



KRAĞ OGNIA

MICHELLE ZINK

Trzeci tom trylogii *Proroctwo Sióstr*

Są rzeczy, do których każda z sióstr chce mieć wyłączone prawo. I wyzwania, które mogą zniszczyć je obie.

„Krań Ognia” to trzeci tom mrocznej, niezwykle intrygującej trylogii. Determinacja Lii Milthorpe jest silniejsza niż kiedykolwiek. Pozostało niewiele czasu na podróż śladem ostatnich tajemnic proroctwa, które od wieków kładzie się cieniem na losy kolejnych pokoleń sióstr. U kresu drogi czeka Lię konfrontacja z przeznaczeniem i ostateczna walka z samą sobą. By jednak mieć w niej jakąkolwiek szansę, musi zbliżyć się do Alice - bliźniaczki, którą przepowiednia uczyniła jej największym wrogiem...

Mojemu ojcu, Michaelowi St. Jamesowi, za cały urokliwy mrok.

Wychodząc z pokoju, czuję ciężar niesionego naręczna sukien. Nie ma tu okien, które wpuszczałyby światło, ostrożnie stąpam więc pięknie wytapetowanym korytarzem przy pobłykiwaniu wiszących na ścianach kinkietów. Posiadłość Milthorpe Manor jest własnością mojej rodziny od wielu pokoleń, ale nie czuję się tu tak swojsko jak w Birchwood, moim domu w pobliżu Nowego Jorku - to tam się urodziłam i wychowałam.

Z drugiej strony, Milthorpe Manor nie zamieszkują żadne duchy przeszłości. Tutaj nie muszę wspominać swojego młodszego brata Henry'ego, takiego, jakim był przed śmiercią. Nie muszę się martwić, że z Ciemnego Pokoju dobiegnie szept Alice, mojej siostry bliźniaczki, wypowiadającej straszne, zakazane zaklęcia. Nie muszę się bać, że zobaczę ją, krążącą po korytarzach, o każdej porze dnia i nocy.

W każdym razie nie w materialnej postaci.

To ciocia Virginia wpadła na pomysł, żebym zapytała Sonię, że ciocia chce pomóc, ale moja przyjaźń z obydwoma dziewczynami jest teraz inna, o czym świadczy fakt, że zbieram siły na spotkanie z nimi. Dokładniej mówiąc, na spotkanie z Sonią. Choć razem z Luisą przybyły z Altus wiele tygodni temu, napięcie odczuwane przez pierwsze dni po ich przyjeździe nie osłabło. Wprost przeciwnie - zdaje się narastać z każdym dniem. Staralam się wybaczyć Soni zdradę, jakiej dopuściła się w puszczy, w drodze na wyspę. Nieustannie próbuję o tym zapomnieć. Lecz zawsze gdy spoglądam w chłodny błękit jej oczu, wspomnienie powraca.

Przypominam sobie, jak obudziłam się i zobaczyłam nad sobą łagodną twarz Soni, i poczułam, że jej ciepłe dłonie przyciskają znienawidzony medalion do delikatnej skóry mojego nadgarstka. Pamiętam jej głos, tak znajomy po wielu miesiącach wspólnych zwierzeń, i gorączkowo szeptane słowa, pozwalające Duszom wykorzystać mnie jako Bramę i wpuścić Samaela do naszego świata. Wspominam to wszystko i czuję, że moje serce znowu trochę bardziej się zamyka.

Bal maskowy organizowany przez Towarzystwo jest jednym z najważniejszych wydarzeń roku. Sonia, Luisa i ja czekałyśmy na niego od czasu powrotu moich przyjaciółek z Altus; jednak one szybko wybrały dla siebie kostiumy, a ja nie mogłam się zdecydować.

Maska, wymyślona i zaprojektowana dawno temu, nie stanowiła kłopotu. Od razu wiedziałam, jak ma wyglądać, chociaż nigdy wcześniej nie byłam na balu maskowym i bynajmniej nie uważam się za kreatorkę mody. A jednak wyobraziłam ją sobie bez trudu i tak wyraźnie, jakbym ujrzała ją w oknie wystawowym. Wkrótce złożyłam zamówienie, opisując projekt krawcowej i patrząc, jak pracuje nad szkicem na cienkiej kalce, dopóki maska nie była zgodna z moim wyobrażeniem.

Mimo że pomysł na maskę pojawił się bez trudu, przez swoje wahanie musiałam zrezygnować z zamówienia sukni. Wybrałam natomiast dwie spośród tych, które wisiały już w szafie. Tak jak zasugerowała ciotka Virginia, poproszę Sonię i Luisę o pomoc w podjęciu decyzji. Kiedyś byłby to dla mnie jeden z rytuałów tak chętnie odprawianych w gronie przyjaciółek; dziś napawa mnie on lękiem, bo będę musiała patrzeć w oczy Soni.

I kłamać, ciągle, bez przerwy kłamać.

Podchodząc pod drzwi pokoju Luisy, podnoszę rękę, żeby zapukać, ale wstrzymuję się, ponieważ słyszę dochodzące ze środka podniesione głosy. Rozpoznaję jeden z nich jako należący do Soni i dociera do mnie moje imię, wypowiedziane tonem pełnym frustracji. Przysuwam się bliżej, nawet nie próbując udawać, że nie będę podsłuchiwać.

- Nic więcej nie mogę zrobić. Przepraszałam już tyle razy. Bez skargi poddałam się wszystkim obrzędom odprawianym przez Siostry na Altus. Lia nie chce mi przebaczyć, choćbym nie wiem co robiła. Zaczynam myśleć, że nigdy mi nie przebaczy - mówi Sonia. Najpierw słyszę szelest tkaniny, potem stuknięcie drzwi szafy, a dopiero później odpowiedź Luisy.

- Nonsens. Może spróbuj spędzać z nią więcej czasu sam na sam? Prosiłaś, żeby pojeździła z tobą w Whitney Grove?

- Niejeden raz, ale zawsze ma jakąś wymówkę. Ostatnio jeździliśmy razem, jeszcze zanim dotarłaś z Nowego Jorku. Przed pobytem na Altus. Przed... wszystkim.

Nie umiem stwierdzić, czy Sonia jest zła, czy tylko smutna, i przez chwilę czuję się winna, myśląc, jak często zapraszała mnie do Whitney Grove. Odmawiałam nawet wtedy, kiedy wybierałam się tam sama, żeby poćwiczyć strzelanie z łuku.

- Musisz po prostu dać jej więcej czasu, i tyle. - Luisa jest bardzo rzeczowa. - To ona dźwiga teraz brzemień medalionu, a oprócz tego jest obciążona rozszyfrowaniem ostatniej strony proroctwa. Spoglądam na nadgarstek, widoczny pośród fałdów jedwabiu i koronki. Spod rękawa sukni szyderczo wystaje czarna, aksamitna tasiemka. To wina Soni, że tylko ja noszę medalion. To ona jest winna temu, że muszę się martwić, czy medalion nie odnajdzie drogi do znaku Jorgumanda, węża pożerającego własny ogon, z literą C pośrodku, znajdującego się na moim drugim nadgarstku. Bez względu na to, jak bardzo Luisa będzie usprawiedliwiać Sonię, te fakty się nie zmieniają.

Moja niezdolność do wybaczenia rodzi silną mieszankę uczuć: niechęci i rozpacz.

- Cóż, zaczynam mieć już dość odwoływania się do lepszych stron jej charakteru. Przecież każda z nas ma udział w proroctwie. My wszystkie. Lia nie jest jedyną osobą, która czuje jego ciężar. - Uraza pobrzmiwająca w głosie Soni rozpała we mnie ogień gniewu. Czyżby właśnie ona miała prawo czuć się dotknięta? Czyżby było nad wyraz łatwo udzielić jej przebaczenia?

Luisa wzdycha tak głośno, że słyszę to na korytarzu.

- Spróbujmy dobrze się bawić na balu, zgoda? Za dwa dni przyjeżdża Helene. To ostatni wieczór, który możemy spędzić jak przyjaciółki, jak dawniej.

- To nie ja sprawiam problemy - mruczy Sonia w głębi pokoju. Policzki mi płoną od nagłego uderzenia krwi, próbuję się opanować i dopiero potem podnoszę dłoń, żeby zapukać w duże drewniane drzwi.

- To ja! - wołam, starając się opanować drżenie głosu.

Drzwi otwierają się i staje w nich Luisa, a jej ciemne włosy połyskują rdzawo w świetle lamp i ognia w kominku.

- Jesteś wreszcie! - Jej radość wydaje się wymuszona, wyobrażam sobie, jak stara się zapomnieć o zakończonej przed momentem rozmowie. Przez jedną nerwową chwilę wydaje mi się, że jest zamieszana w zdradę Soni. Potem przypominam sobie, jak była lojalna i jaki ból musiała odczuwać, stojąc pomiędzy mną a naszą wspólną przyjaciółką. Moje rozdrażnienie znika i nagle przekonuję się ze zdumieniem, że wcale nie jest tak trudno się uśmiechać.

- Jestem. Przyniosłam dwie suknie do obejrzenia.

Spojrzenie Luisy wędruje ku naręczu trzymanyh przeze mnie ubrań.

-Już wiem, czemu nie możesz się zdecydować. Obie są śliczne!
Wejdz! - Odsuwa się na bok, żebym mogła przejść.

- Dzień dobry, Lia. - Kiedy wchodzę do pokoju, moje oczy napotykają wzrok Soni.

- Dzień dobry - próbuję szczerze się do niej uśmiechnąć, podchodząc do rzeźbionego, mahoniowego łoża, które stoi na środku pokoju. Niepewność w towarzystwie mojej najdroższej przyjaciółki to coś nowego; kiedyś potrafiłyśmy rozmawiać o wszystkim i o niczym. Dawniej to ja i Sonia mieszkaliśmy razem w Londynie, podczas gdy Luisa przebywała w Nowym Jorku z ciotką Virginią i Edmundem, naszym stangretem i zaufanym przyjacielem rodziny. Jednym z licznych sposobów przypominania sobie, jak bardzo ją kochałam, jest rozpamiętywanie tych wielu dni, jakie spędziłam z Sonią na przejażdżkach konnych w Whitney Grove, podczas których rozmawiałyśmy o naszych nadziejach na przyszłość i śmiały-śmy się z ugrzeczniczonych panienek w londyńskim towarzystwie. - Niosę suknie! Sonia podchodzi do łóżka, a ja układam sukienki na narzucie.

- Są cudowne!

Robię krok w tył i krytycznie przypatruję się strojom. Jedna suknia jest pąsowa - wymaga odwagi od młodej damy; druga, w głębokim odcieniu szmaragdowej zieleni, ładnie podkreślałaby kolor moich oczu. Nie sposób nie myśleć o Dimitrim, kiedy wyobrażam sobie, jak wyglądałabym w każdej z nich.

Jak gdyby czytając w moich myślach, Luisa mówi:

- Obojętne, którą wybierzesz, Dimitri nie będzie mógł oderwać od ciebie wzroku, Lia.

Kiedy przypominam sobie oczy Dimitriego, ciemniejące z pożądania, trochę poprawia mi się nastrój.

- Właśnie. Przecież chyba o to chodzi?

Sonia pochyla się i dotyka tkaniny, a przez następne pół godziny nie rozmawiamy o niczym innym tylko o sukniach i maskach, aż w końcu decyduję się na szkarłatną kreację z jedwabiu. Przez te trzydzieści minut udajemy, że wszystko jest tak jak dawniej, że postanowienia proroctwa nie mają znaczenia, nie dzielą nas. Udajemy, bo na nic zdałoby się głośne wypowiedzenie tego, z czego wszystkie zdajemy sobie sprawę - że nic już nie będzie takie jak kiedyś.

s-s-*

Siedzę w swoim pokoju, przy toaletce, w samej halce i pończochach, przygotowując się do balu.

Wywołałam niejaki skandal wśród służby, gdy od chwili powrotu z Altus, czyli od prawie trzech miesięcy, zrezygnowałam z gorsetu i pomocy pokojówek. Moim zamiarem nie było pierwotnie unikanie wytworów najnowszej mody. Przez pewien czas pozwalałam, by służąca pomagała mi się ubrać na uroczyste okazje, jak przystoi panience mojego pokroju. Stałam milcząca i pełna niechęci, podczas gdy ściskano i sznurowano mi gorset, a stopy wpychano w wytworne pantofelki, które tak piły, że musiałam walczyć z chęcią rzucenia ich na drugi koniec pomieszczenia.

Wszystko na nic.

Myślałam tylko o jedwabiu z Altus, który, szepcząc, ocierał się o moją skórę, i o luksusie swobodnego chodzenia boso albo w sandałach.

Wreszcie, wróciwszy do domu - do Milthorpe Manor - po jakimś wyjątkowo długim wieczorze spędzonym ze spirytystami, druidami i nadnaturalnie utalentowanymi członkami Towarzystwa, oznajmiłam, że od tej pory będę ubierać się samodzielnie. Głosy sprzeciwu były zaledwie symboliczne. Wszyscy już wcześniej zauważyli, że zaszła we mnie zmiana. Żadne z moich posunięć nie było niespodzianką, a służba, zrezygnowana, pogodziła się z faktem, że będzie mieć ekscentryczną panią.

Sięgam po słoiczek z pudrem i patrzę w lustro, nanosząc delikatne drobiny na czoło, policzki i podbródek. Trudno rozpoznać, że przyglądająca mi się młoda kobieta to ta sama dziewczyna, która pierwszy raz przyjechała do Londynu. Nastolatka, która uciekła z domu, od siostry i od chłopaka, którego kochała.

A jednak ta nowa osoba wydaje się niezwykle znajoma. Jej szmaragdowe oczy błyszczą jak niegdyś oczy mojej mamy, jej kości policzkowe są mocno zaznaczone, jak gdyby przypominały mi o wszystkich wyrzeczeniach wynikłych z proroctwa.

Nic dziwnego, że dziewczyna o okrągłej buzi, po raz pierwszy przybywająca do stolicy Anglii, stała się jedynie wspomnieniem. Mój wzrok przyciąga odbity w lustrze, lekko zmatowiały żmijowy kamień ciotki Abigail. Dotykam go, obejmuję palcami i zastanawiam się, czy to tylko złudzenie, że jest ledwie ciepły.

Sprawdzanie temperatury tego obdarzonego mocą kamienia, który otrzymałam od ciotki Abigail, stało się moim codziennym zwyczajem,

bo mimo iż moja własna moc wzrosła, jestem przekonana, że w zasadzie nic poza kamieniem nie broni mnie przed Duszami. Ciotka Abigail oddała życie, żeby mnie ochronić, wypełniając go każdą kroplą tej siły, którą miała jako władczyni Altus. Kiedy kamień w końcu ostygnie, straci swoją ochronną moc.

A z dnia na dzień jest chłodniejszy.

Odwracam się od lustra. Nie ma sensu rozmyślać o sprawach, na które nie mam żadnego wpływu. Zaczynam chodzić po pokoju i zastanawiać się nad tajemnicą ostatniej strony proroctwa. Stronica, którą odnalazłam w świętej grocie w Chartres, przepadła już na zawsze - spaliłam ją, aby nie wpadła w ręce Samaela i jego Dusz.

Jednak zapisane na niej słowa stały się dla mnie mantrą, którą zawsze będę pamiętała. Przypomnieniem, że możliwa jest przyszłość, w której proroctwo przestanie zatruwać moje nadzieje i marzenia.

Powtarzam je prawie bez zastanowienia, recytuję w myślach, rozważając ich sens.

Lecz wśród chaosu i obłędu powstanie ta Jedna, Co Ród pradawny powiedzie i Kamień uwolni, i Spowita świętością Sióstr, Chroniona przed Bestią.

Wyzwoli tych, których wiąże Proroctwo, Ich przeszłości bliski koniec. Święty Kamień uwolniony ze świątyni, Sliabh na Cailli, Portal Pozaświatów. Siostry Chaosu

Powrócą do brzucha węża U kresu Nos Galon-Mai. Tam, w Kręgu Ognia, Rozpalonego Kamieniem, połączą się Cztery Klucze, ze znakiem Smoka, Anioł Chaosu, zamię i medalion. Bestia, dzięki Siostron U wrót Strażniczki odparta, Obrządkiem Upadłych.

Otwórz ramiona, o, Pani Chaosu,

t

A nastąpi spustoszenie wieków Lub zamknij je, a zniweczysz Jego pragnienie wieczności.

Fakty, które znamy, są takie: to właśnie mnie powołano, bym odnalazła Kamień ukryty niegdyś przez Siostry z Altus. Moje poprzedniczki. Wyzwolenie wszystkich osób związanych z proroctwem oznacza wyzwolenie samej siebie oraz pozostałych Kluczy: Soni, Luisy, a teraz również Helene. Oznacza to także wybawienie przyszłych pokoleń Sióstr i całej ludzkości z mroków chaosu, jaki nastałby, gdyby Samael wkroczył do naszego świata.

Wiadomo też, że Alice przez cały czas postępuje tak, aby nie dopuścić do tego wyzwolenia.

Ja i Dimitri nie potrafimy jednak odgadnąć, w jakim miejscu znajduje się Kamień, a jest mi on potrzebny do wypełnienia Obrzędu w Avebury. Dotychczas przypuszczaliśmy, że może to Kamień jest „spowity świętością Sióstr”, co oznaczałoby, że ukryto go w miejscu uważanym za ważne ze względów duchowych. Być może jesteśmy w błędzie, ale skoro ostatnia strona proroctwa była zakopana Powróć do brzucha węża U kresu Nos Galon-Mai. Tam, w Kręgu Ognia, Rozpalonego Kamieniem, połączą się Cztery Klucze, ze znakiem Smoka, Anioł Chaosu, zamię i medalion. Bestia, dzięki Siostron U wrót Strażniczki odparta, Obrzędkiem Upadłych.

Otwórz ramiona, o, Pani Chaosu,

t

A nastąpi spustoszenie wieków Lub zamknij je, a zniweczysz Jfgo pragnienie wieczności.

Fakty, które znamy, są takie: to właśnie mnie powołano, bym odnalazła Kamień ukryty niegdyś przez Siostry z Altus. Moje poprzedniczki. Wyzwolenie wszystkich osób związanych z proroctwem oznacza wyzwolenie samej siebie oraz pozostałych Kluczy: Soni, Luisy, a teraz również Helene. Oznacza to także wybawienie przyszłych pokoleń Sióstr i całej ludzkości z mroków chaosu, jaki nastałby, gdyby Samael wkroczył do naszego świata.

Wiadomo też, że Alice przez cały czas postępuje tak, aby nie dopuścić do tego wyzwolenia.

Ja i Dimitri nie potrafimy jednak odgadnąć, w jakim miejscu znajduje się Kamień, a jest mi on potrzebny do wypełnienia Obrzędu w Avebury. Dotychczas przypuszczaliśmy, że może to Kamień jest „spowity świętością Sióstr”, co oznaczałoby, że ukryto go w miejscu uważanym za ważne ze względów duchowych. Być może jesteśmy w błędzie, ale skoro ostatnia strona proroctwa była zakopana

w grocie w Chartres - tam, gdzie kiedyś mieściła się podziemna świątynia nawiedzana przez Siostry - jest to chyba prawidłowe założenie.

Zegar na półce nad kominkiem wybija siódmą. Podchodzę do szafy i wyciągam z przepastnego wnętrza swoją szkarłatną suknię, wciąż myśląc o możliwych miejscach ukrycia Kamienia, które odrzuciliśmy,

i o dziewięciu, które pozostały do rozpatrzenia. Wciągając sukienkę przez głowę, ale tak, aby nie zburzyć upiętej fryzury, zmagam się z frustracją, bo nie możemy ostatecznie wykluczyć nawet tych miejsc, które wykreśliliśmy z listy. Szukaliśmy takiego, które było uważane przez naszych przodków za istotne i które miało jakiś związek z życiem znanych nam osób albo z prorocstwem. Wnioski wyciągamy jednak tylko na podstawie własnych poszukiwań. Tymczasem jakiś drobny, zapomniany szczegół z przeszłości może wszystko zmienić. Jest jeszcze coś, co przeszkadza nam rozszyfrować ostatnią stronę przepowiedni.

Powrócą do brzucha węża u kresu Nos Galon-Mai.

Zważywszy dawną funkcję Avebury, jasne jest, że to tam znajduje się „brzuch węża”, lecz nie potrafiliśmy odczytać daty - dnia, w którym powinniśmy się zebrać, żeby zamknąć Bramę Samaelowi. Miałam nadzieję, że znajdziemy wyjaśnienie w którejś z ksiąg ojca, ale przeszukanie wszystkich tomów w domu i przeczesywanie księgarni Londynu nie przyniosły rezultatów.

Z zamyślenia wyrywa mnie pukanie do drzwi.

- Proszę! - wołam, szukając pantofelków robionych na miarę, które dzięki temu są dość eleganckie, a jednocześnie wygodne.
- Edmund przygotował powóz - mówi przez drzwi ciocia Virginia.
- Pomóc ci się ubrać?

16

- Nie. Za minutę schodzę.

Z ulgą przyjmuję fakt, że ciotka nie naciska. Padam na łóżko z szelestem jedwabnej sukni i zauważam wystające spod niego czubki moich bucików. Tylko przez chwilę pozwalam sobie zatęsknić za wygodą chodzenia boso, po czym wsuwam stopy w pantofelki na niskich obcasach.

Mogło być gorzej. Bo przecież są rzeczy, których nawet ja nie mogę zmienić.

Jadę powozem na bal maskowy, kiedy wydaje mi się, że ją widzę. Przesuwamy się ulicami Londynu, Sonia i Luisa siedzą naprzeciwko, wszystkie trzymamy maski. Powóz wypełniony jest bogatą materią naszych sukien, ciemnobłękitny strój Soni szeleści, napotykać jedwabny, fioletowy kostium Luisy. Patrzę na swoją szkarłatną sukienkę i czuję dziwną obojętność wobec decyzji, żeby to właśnie ją dzisiaj założyć. Rok temu natychmiast wybrałabym szmaragdową.

Wmawiam sobie, że suknia tego koloru była jedyną pasującą do maski, którą zamówiłam, jeszcze zanim zastanawiałam się nad toaletą, ale wiem, że to tylko połowa prawdy.

Czerwony strój nie jest wyłącznie dobrany do maski. Jest oznaką poczucia mojej własnej mocy po zdarzeniach w Chartres, po pokonaniu jednego z najstraszliwszych podwładnych Samaela, należącego do Straży. Nie wiem wprawdzie, jak mogę się upajać tą siłą, skoro nie jestem pewna, czy okaże się wystarczająca, aby uporać się z przyszłością.

O tym właśnie myślę, spoglądając poprzez przysłonięte okienko powozu na tętniące życiem ulice. W miasto wpełza ciemność, sączy się z obrzeży aż do centrum. Liczni mieszkańcy Londynu z pewnością wyczuwają jej obecność, ponieważ najwyraźniej przyspieszają, podążając do domu lub pracy. Jakby czuli na karku oddech mroku. Jakby bali się, że ich ściga.

Wyrzucam te ponure myśli z głowy, ale wtedy dostrzegam młodą kobietę stojącą przy latarni na ruchliwym skrzyżowaniu. Jej włosy ułożone są we fryzurę, którą należałoby uznać za zbyt wyszukaną nawet dla Alice, a jej twarz jest szczuplejsza niż ta, którą pamiętam jako należącą do mojej siostry. Jednak nie spotykałam jej osobiście przez dłuższy czas, a codziennie oglądam w lustrze swoje własne zmieniające się odbicie.

Wychylam się mocniej w stronę okienka. Nie wiem, czy krew pędzi mi w żyłach ze strachu, gniewu czy miłości, kiedy staram się lepiej przyjrzeć tej kobiecie. Już prawie mam ochotę zawołać ją po imieniu, gdy ona lekko zwraca się w kierunku powozu. Nie patrzy mi prosto w twarz. Nie całkiem. Jednak ustawia się tak, iż widzę jej profil i ostatecznie upewniam się, że to jednak nie jest Alice.

Kobieta rusza wzdłuż ulicy i znika za obłokami dymu płynącego z gazowych lamp. Znowu przyklejam plecy do oparcia, niepewna, czy serce ściska mi poczucie ulgi czy rozczarowania.

- Lia! Dobrze się czujesz? - pyta Luisa.

- Dziękuję, dobrze - staram się uspokoić swój głos, czując, że serce bije mi jak szalone.

Luisa kiwa głową, a ja silę się na uśmiech, lecz w chwilę potem zamykam oczy, chcąc spowolnić swój przyspieszony oddech.

To tylko twoja wyobraźnia - mówię sobie. Zbyt długo Alice i Dusze prowadzą swój pościg. Widzisz ich na każdym rogu i każdej ulicy.

i

Nagle pragnę, żeby był obok mnie Dimitri, żeby jego silne udo opierało się o moje, a jego ręka pieściła moje palce schowane w fałdach sukni. Mimo tego pragnienia udaje mi się wolniej oddychać i sprawić, żeby mój umysł rozjaśnił się. Nierozsądnie jest zbytnio polegać na innych.

Nawet na Dimitrim.

Edmund podjeżdża powozem pod kościół Świętego Jana, a ja nie mogę się nadziwić, że wszyscy przybyli wyglądają tak zwyczajnie. Oczywiście członkowie Towarzystwa są pod wieloma względami zwykłymi ludźmi, ale i tak nigdy nie widziałam ich tylu naraz zgromadzonych w jednym miejscu. W zasadzie spodziewałabym się, że jakiś dźwięk czy światło będzie zwiastować już samą liczbę gości obdarzonych nadprzyrodzonymi zdolnościami.

A jednak nie. Wygląda to jak każde inne zgromadzenie zamożnych i wystrojonych londyńczyków.

- Jakim sposobem Elspeth zdołała zarezerwować kościół - głos Soni rozbrzmiewa tuż przy moim uchu i nagle widzę, że wszystkie pochyliłyśmy się do przodu, wyciągając szyje w stronę okienka, aby lepiej zobaczyć kobiety i mężczyzn wysiadających z powozów i wchodzących po kamiennych schodach.

- Nie mam pojęcia, jak Elspeth udaje się załatwić połowę z tych rzeczy, które organizuje! - Luisa śmieje się w głos, a ten kochany, niekontrolowany śmiech przypomina mi o narodzinach naszej przyjaciółki przed ponad rokiem.

- Muszę wam wyznać, że nie pytałam o to, gdzie będzie bal, ale teraz jestem dość zaintrygowana - mówię. - Królowa zapewne byłaby niezadowolona, gdyby wiedziała, że tacy poganie gromadzą się

- Hm! - prychna Sonia, a potem dodaje: - Byron poinformował mnie, że w tym kościele odbywa się dużo koncertów i zabaw.

Wymawia te słowa z takim spokojem, że dopiero po chwili rozumiem, co powiedziała. Luisie też zabiera to trochę czasu, aż nagle obydwie zwracamy się w stronę Soni.

- Byron!

Sonia czerwieni się, a ja jestem zdumiona, że po wszystkim, co się wydarzyło, nadal się rumieni na wzmiankę o mężczyźnie.

- Spotkałam go w Towarzystwie po naszym powrocie z Altus.

- Sonia patrzy na Luisę. - To on pierwszy powiedział mi o balu.

Do wnętrza powozu wdziera się podmuch zimnego powietrza
- to Edmund, odświętnie i wytwornie ubrany, otwiera nam drzwiczki.

- Proszę bardzo, szanowne panie.

Drżąca Luisa ciasno owija ramiona szalem.

- Chodźmy już, dobrze? Wygląda na to, że Dimitri nie jest jedynym dżentelmenem niecierpliwie oczekującym naszego przybycia!

Jak łatwo się do niej uśmiechać. Żadna dziewczyna poza Luisą nie potrafi być tak wielkoduszna, żeby życzyć szczęścia mnie i Soni, pozostawiając swojego mężczyznę na Altus.

Wspomnienie wyspy przepływa przez moje serce jak ciepła bryza, jak sekwencja szybko zmieniających się obrazów. Zapach pomarańczy, fale rozbijające się o skały poniżej Pałacu, jedwabne szaty na nagim ciele.

Potrząsam głową i ruszam w stronę tej jednej jedynej osoby, dzięki której jestem bliżej Altus, choć od wyspy dzieli mnie taki szmat drogi.

Nakładamy maski w powozie, jeszcze nim wysiadziemy z ciepłe-

się przez tłum zgromadzony na jej obrzeżach, nie mogę pozbyć się wrażenia, że prócz balu uczestniczę również w jakiejś dziwnej imprezie towarzyszącej. Maski otaczających mnie gości nagle wydają się zbyt jaskrawe, a moja własna za mocno przylega do twarzy. Przebrania utrudniają rozmowę, więc z ulgą patrzę, jak wysoki, niezmiernie chudy mężczyzna zdejmuje maskę i okazuje się Byronem. Kłania się, bierze Sonię za rękę i nieśmiało się uśmiecha, prowadząc ją na parkiet. Chwilę później Luisa opuszcza mnie w towarzystwie jasnowłosego dżentelmena, który nie odrywa od niej wzroku. Obserwuję, jak moje przyjaciółki błyszczą pod zachwyconym spojrzeniem mężczyzn, którzy wirują wraz z nimi na parkiecie. Nie pojmuję, jak to możliwe, że jesteśmy trójką tych samych dziewcząt, które tak niedawno poznały się w Nowym Jorku.

Właśnie rozważam zalety wycofania się do bufetu, kiedy zauważam mężczyznę stojącego w pewnej odległości, pośród tłumu. Wiem, że to Dimitri, chociaż postanowiliśmy, że aż do dziś nie powiemy sobie, jak wyglądają nasze maski. To chyba zarys ramion i sylwetka, jakby

gotowa do obrony - mnie i samego siebie - budzą we mnie pewność, że to on.

Mężczyzna odwraca się i zatrzymuje mnie wzrokiem, a po chwili zaczyna zdecydowanie kroczyć poprzez cizbę. Jego rtiaska jest wyjątkowa, duża, ozdobiona onyksami osadzonymi w połyskującym srebrze i ciemnoczerwonymi piórami.

Jakby zawczasu wiedział, że wybiorę szkarłatną suknię.

Dochodzi do mnie i bierze mnie za rękę, ale nie schyla się, żeby ją ucałować. Nie udaje, że przestrzega londyńskich konwenansów. Jego duża dłoń ogarnia moją, mniejszą, i Dimitri przyciąga mnie tak blisko, że czuję twardą płaszczyznę jego ciała. Przez moment zagłąda mi głęboko w oczy, a potem jego usta nachylają się do moich.

Jego pocałunek jest długi i namiętny, a ja bez zastanowienia wyciągam rękę, żeby dotknąć jego ciemnych włosów wijących się na karku. Niechętnie odsuwamy się od siebie, gdy najbliżej stojący goście unoszą ze zdziwieniem brwi i odwracają się tyłem, by zająć się własnymi sprawami.

Dimitri nachyla się do mojego ucha, jego głos to sekret przeznaczony tylko dla mnie.

- Wyglądasz zachwycająco.

- Och, jakże pan śmiały! - Podnoszę głowę, żeby spojrzeć mu w twarz, i trzepoczę rzęsami, udając zawstydzenie. Po chwili jednak poddaję się, zaczynam się śmiać. - Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Mógłbym spytać cię o to samo. - Dimitri przesyła mi uśmiech. - Czy mam założyć, że wpatrujesz się w każdego mężczyznę noszącego maskę ozdobioną piórami i klejnotami?

- Absolutnie nie - odpowiadam poważnie. - Wpatruję się tylko w ciebie.

Oczy Dimitriego stają się ciemniejsze. Wiem, że to oznaka pożądania, bo od powrotu z Altus wiele godzin spędziliśmy wtuleni w swoje ramiona.

- Chodź. - Dimitri wyciąga rękę. - Zatańczmy. Nie będzie dokładnie tak, jak na Altus, ale jeśli zamkniemy oczy, możemy udawać, że jest.

Przeprowadza mnie przez tłum gości, którzy rozstępują się przed nim. Dochodząc do parkietu, dostrzegamy Sonię wirującą w objęciach Byrona. Wygląda na uszczęśliwioną i w takim momencie nie żałuję jej tej radości.

- Dobry wieczór, panno Milthorpe. Słyszałem, że prawdopodobnie będzie pani potrzebować szczególnych konsultacji. - Głos dochodzi spoza moich pleców, ale i tak od razu zwracam na niego uwagę.

Pociągam Dimitriego za ramię i przestaję przesuwac się między gośćmi; odwracam się natomiast do mężczyzny stojącego za mną, pomiędzy uczestnikami balu. Ma już swoje lata, co widać po siwych włosach i pomarszczonych dłoniach. Nosi czarno-zieloną maskę ozdobioną pawimi piórami, zdradza go jednak granatowa peleryna, bo lubi ją wkładać nawet na bardziej kameralne spotkania Towarzystwa.

- Arthur! - Uśmiecham się, rozpoznawszy leciwego druida. - Skąd pan wiedział, że to ja?

- Och, panno Milthorpe, moje zmysły nie są wprawdzie tak wyostrzone jak kiedyś, ale nadal jestem druidem w każdym calu. Nawet ten przepiękny strój nie potrafi skryć pani osobowości.

-Jest pan bardzo mądry! - Odwracam się do Dimitriego, starając się nie krzyczeć, a jednocześnie przebić się ponad gwarem tłumu. -

Pewnie znasz już pana Frobishera, członka Towarzystwa?

Dimitri potakuje, wyciągając dłoń.

- Spotykaliśmy się wielokrotnie. Arthur był mi bardzo życzliwy, odkąd zamieszkałem w siedzibie Towarzystwa.

Arthur podaje rękę Dimitriemu, a w jego oczach błyszczy podziw.

Mówi cicho, pochylając się, żebyśmy lepiej go sjyszeli:

- To wielki zaszczyt udzielić gościny jednemu z Braci.

Po powitaniach przypominam sobie wcześniejsze słowa Arthura.

- Wspominał pan o konsultacjach.

Arthur kiwa głową, podaje mi coś, co właśnie wyjął z kieszeni.

- Rozeszły się pogłoski, że szukacie informacji. Oto adres moich znajomych. Być może zdołają pomóc.

Wyciągam rękę i czuję gładką, szeleszczącą powierzchnię poskładanej kartki położonej na mojej dłoni.

- Arthurze, kto panu powiedział, że potrzebujemy informacji?

- Oczywiście Dimitriego są bardzo zatroskane. - Nasze poszukiwania powinny odbywać się w największej tajemnicy.

Arthur potakuje i nachyla się, kładąc Dimitriemu rękę na ramieniu uspokajającym gestem.

- Nie martw się, Bracie. W naszych kręgach wiadomości rozchodzą się ostrożnie i powoli. - Prostuje plecy i wskazuje papier w mojej dłoni. - Złóżcie im wizytę. Będą na was czekać.

Potem odwraca się i znika w tłumie bez słowa. Chciałabym rozwinąć kartkę natychmiast, żeby zobaczyć, kto jest w posiadaniu odpowiedzi na wasze pytania, ale nie da się odczytać nazwiska i adresu teraz, na balu, kiedy ciągle ktoś mnie potrąca. Dimitri przypatruje się, jak składam karteczkę jeszcze dwukrotnie, a później rozciągam sznurek maleńkiej balowej torebki, wiszącej mi u nadgarstka. Wtykam zwitek w jej jedwabne wnętrze i mocno zaciskam tasiemkę.

Pojawienie się karteczki kładzie koniec beztróscie, jaką odczuwałam jeszcze parę minut temu. Przypomina, jak wiele pozostało do zrobienia. Żaden bal przebierańców, żadna zabawa, żaden ciemno-oki mężczyzna nie może uwolnić mnie od ciężaru proroctwa. Mogę zrobić to tylko ja sama.

Dimitri chyba wyczuwa moje zatroskanie, bo znowu bierze mnie za rękę.

- Na to będzie dość czasu jutro. - Patrzy mi prosto w oczy.
- Chodź. Tańczmy.

Pozwalam mu się wyprowadzić na środek wielkiego pomieszczenia, gdzie Dimitri bez wahania wchodzi ze mną na parkiet. Nie ma czasu na zmartwienia, kiedy pośród kolorowych strojów, piór i klejnotów zdobiących maski obracamy się tak szybko, że ruch zaciera ich kontury. Silne ramię Dimitriego obejmuje mnie w pasie, poddaję się rytmowi jego kroków, zadowolona, że w tej chwili ktoś inny przejmuje odpowiedzialność, choćby tylko za taniec.

Muzyka przechodzi w crescendo, a potem melodia całkowicie się zmienia. Ciągnę więc Dimitriego za rękę, chcąc zejść z parkietu.

- Napijmy się czegoś - mówię mu do ucha - dobrze?
- Moja pani - zgadza się z uśmiechem - czyżbym wzbudził w tobie pragnienie?
- Można tak powiedzieć - unoszę brwi.

Dimitri odchyła głowę do tyłu i śmieje się. Echo jego śmiechu dociera do mnie nawet ponad dźwiękami muzyki i gwarem rozmów w sali. Przeciskamy się przez tłum do bufetu, kiedy kątem oka dostrzegam charakterystyczny zarys policzka. W szczupłej kobiecej twarzy osadzone są oczy tak zielone, że błyszczą z drugiego końca pomieszczenia. Nie powinnam jej poznać. Nie z takiej odległości. Nie można rozpoznać kogoś, kto niemal całkowicie ukrył swoją twarz pod maską jarzącą się złotem i fioletowymi klejnotami.

Ja jednak prawie mam pewność i ruszam w jej stronę, nie mówiąc ani słowa Dimitriemu.

- Lia, gdzie ty...? - Słyszę za plecami jego głos, ale stopy niosą mnie same. Idę więc, nie dbając o nic, w kierunku dziewczyny, która stoi już niedaleko w dziwnie znajomej pozie.

Podchodzę i łapię ją za rękę, nawet nie zastanawiając się, że przecież mogę się mylić.

Dziewczyna nie wydaje się zdziwiona. Wprost przeciwnie - nawet nie patrzy na moją dłoń, otaczającą w uścisku jej drobne ramię. O nie.

Powoli odwraca się do mnie, jak gdyby fakt, że ją znalazłam, nie był żadną niespodzianką.

Wiem, że mam rację, nim wykona pełny obrót. Poznaje po dumnej linii podbródka i wyzywającym blasku oczu.

nie. Widywałam ją w Pozaświatach i w moim świecie. Czulałam obecność jej ducha, kiedy jej moc narastała, umożliwiając mojej siostrze przechodzenie z jednego świata do drugiego. Jako dziecko spałam obok niej i słuchałam w nocy jej cichego oddechu. Pomimo maski jestem pewna, że to Alice.

Jej uśmiech jest spokojny, nie ma w nim zaskoczenia. Moja siostra zawsze napawała się tym szczególnym rodzajem władzy, jaki daje wiedza uzyskana wcześniej od innych. Jednak w tej chwili czuję coś jeszcze. Coś sekretne i nieokreślone.

- Dobry wieczór, Lia. I pomyśleć, że spotykamy się tutaj.

W oczach Alice jest coś mrocznego i tajemniczego, co przeraża mnie bardziej niż świadomość jej ogromnej siły, teraz obecnej w Londynie. Kręcę głową, próbując odzyskać równowagę - osobiste spotkanie z siostrą, pierwsze od czasu wyjazdu z Nowego Jorku, jest dla mnie szokiem.

- Co tu robisz? To znaczy... Po co przyszłaś?

Są inne rzeczy, które powinnam powiedzieć. Wykrzyknąć, zażądać ich. Ale moje zaskoczenie i odbywający się bal sprzysięgły się, by wymusić na mnie uprzejmość, choć z gardła nieomal wyrzywa mi się wrzask.

- Przyjechałam zrobić zakupy. Poczytać przygotowania - mówi tak, jakby jej zamiary były oczywiste. Nic na to nie poradzę, ale mam wrażenie, że dostałam się w Pozaświaty, w miejsce, gdzie widoki i dźwięki przypominają te z naszego świata, lecz w rzeczywistości są jego zniekształconym, pokrętnym odbiciem.

- Przygotowania? Do czego? - Czuję się jak wioskowy głupek. Alice najwyraźniej bawi się mną, ja tymczasem nie mam siły, by odwrócić się i odejść. Ma mnie w garści, jak zawsze.

Nawet tu i teraz.

Uśmiecha się, a ja przez moment mam wrażenie, że jest szczerą.

- Do ślubu, rzecz jasna.

Z trudem przełykam ślinę, bo w mojej krtani, jak kamień, narasta pewne przecucie. Tymczasem Alice zwraca się do stojącego obok mężczyzny. Do tej pory byłam tak skoncentrowana na niej, że wcale nie zauważyłam jej ukrytego za maską partnera.

Teraz jednak go widzę. Patrzę, a moje wnętrze w mgnieniu oka staje się zupełnie puste.

Mężczyzna podnosi rękę, żeby zdjąć maskę. Zajmuje mu to zbyt dużo czasu, odsłania twarz i włosy centymetr po centymetrze, aż tracę resztki nadziei, że się mylę.

- Lia? Czy to naprawdę ty? - Wyraźnie widać, że jest wstrząśnięty, a jego oczy, napotykać moje, szukają odpowiedzi, których nie mogę mu udzielić.

- Pamiętasz Jamesa Douglasa, prawda? - Alice bierze go pod ramię, a ten gest jest wyrazem dominacji. - Na wiosnę bierzemy ślub. Wtedy sala gwałtownie przechyliła się na bok, a zamaskowane twarze gości wykrzywia dziwny, przerażający grymas. Nie należę do dziewcząt, które mdleją. Przemierzałam straszliwe, niebezpieczne drogi. Stawałam w obronie swojego życia i życia tych, których kocham. Poświęciłam wszystko dla wypełnienia proroctwa i losów świata.

Ale to prawie powaliło mnie na kolana.

Nie zauważyłam nadejścia Dimitriego, ale stoi obok, kiedy moja ręka wędruje bezwiednie w bok, szukając na oślep czegoś, czego można się chwycić, podczas gdy ja staram się odzyskać równowagę.

- O! - mówi Alice. - Czy to twój chłopak?

Nie jestem w stanie patrzeć na swojego dawnego narzeczonego, ale kiedy odwracam się do Dimitriego, który, zmieszany, mieniąc się na twarzy, spogląda raz na Jamesa, raz na mnie, nie umiem spojrzeć również na niego. Kieruję wzrok na Alice i staram się powstrzymać jakże niestosowny w tym momencie śmiech. Sytuacja musi być

faktycznie beznadziejna, skoro wolę patrzeć na swoją siostrę niż na któregoś z mężczyzn.

J

- To jest Dimitri. Dimitri Markov. - Odsuwam na bok swoje zawstyżenie i mówię dalej. Jestem to winna i Dimitriemu, i Jamesowi. - Tak, to mój chłopak.

Alice wyciąga rękę do Dimitriego.

- Miło mi pana poznać, panie Markov. Nazywam się Alice Milthorpe, jestem siostrą Amalii.

Dimitri nie jest zdziwiony tą wypowiedzią, bo któż inny mógłby wyglądać identycznie jak ja? Nie podaje jednak dłoni. Zamiast tego nachyla się tak, żeby jego słów nie słyszały osoby znajdujące się obok.

- Nie mam pojęcia, co pani tu robi, panno Milthorpe, ale radzę trzymać się z dala od Lii. -Jego głos brzmi bardzo stanowczo.

- Posłuchaj - wtrąca się James. - Chyba nie musisz być nieuprzejmy? Chciałbym, żebyśmy żyli w zgodzie, bez względu na to, jak dziwna jest ta sytuacja. Nie będę jednak stał spokojnie, kiedy obrażasz moją narzeczoną. - Mówi urywanym głosem, z zażenowaniem. Nagle zdaję sobie sprawę dlaczego.

On nic nie wie, myślę. Alia nie powiedziała mu o nas. Ani o przepowiedni. O tym, co stało między nami.

Już sama świadomość, że James jest zaręczony z moją siostrą, jest trudna do zaakceptowania, a to, że doszło do zaręczyn, mimo iż on nie ma pojęcia, w jakim znalazł się niebezpieczeństwie, przekracza moje wyobrażenie.

Zwracam spojrzenie ku Alice, szukając w jej obliczu oznak złej woli, które muszą się tam kryć. Uwiodła Jamesa, przywiozła go do Londynu, bez ostrzeżenia rzuciła mi w twarz wiadomość o swoich zaręczynach. Wszystko po to, żeby mnie upokorzyć. Dlaczego miałyby przyrzekać małżeństwo mężczyźnie, którego kochałam i które-

sobie to, co dawniej było dla mnie cenne? Jakby wcześniej za mało mi zabrała.

Jednak kiedy patrzy na Jamesa, nie widzę w niej zła. W jej oczach jest tylko łagodność.

Ale potem przypomina mi się Henry. Myślę o jego delikatnym uśmiechu, o zapachu małego chłopca i znów pamiętam, do czego zdolna jest Alice.

Prostuję się i biorę Dimitriego pod ramię.

- Chciałabym już iść.

Dimitri kiwa głową i przykrywa moją dłoń swoją.

Właśnie zbieramy się do odejścia, kiedy za plecami rozbrzmiewa głos Jamesa.

- Lia.

Odwracam się i napotykam jego spojrzenie, w którym widzę znane mi poczucie rezygnacji.

- Cieszę się, że masz się dobrze - wzdycha.

Mogę tylko skinąć głową. Wtedy Dimitri ciągnie mnie w stronę wyjścia z sali.

- Ale co ona tu robi?

W powozie jest ciemno, gdy jedziemy do Milthorpe Manor, więc głos Soni dochodzi do mnie z mroku. Dimitri zaproponował, że odwiezie nas do domu, ale wystarczająco trudne jest uporanie się z pytaniami Soni i Luisy. Nie jestem pewna, czy miałabym odwagę zmierzyć się z tymi, które malują się w oczach Dimitriego. Przynajmniej nie dzisiaj. Cieszy mnie, że Luisa włącza się do rozmowy, nim zdążę odpowiedzieć.

-Jestem przekonana, że Lia nie ma pojęcia, co Alice tu robi. Czy sobie to, co dawniej było dla mnie cenne? Jakby wcześniej za mało mi zabrała.

Jednak kiedy patrzy na Jamesa, nie widzę w niej zła. W jej oczach jest tylko łagodność.

Ale potem przypomina mi się Henry. Myślę o jego delikatnym uśmiechu, o zapachu małego chłopca i znów pamiętam, do czego zdolna jest Alice.

Prostuję się i biorę Dimitriego pod ramię.

- Chciałabym już iść.

Dimitri kiwa głową i przykrywa moją dłoń swoją.

Właśnie zbieramy się do odejścia, kiedy za plecami rozbrzmiewa głos Jamesa.

- Lia.

Odwracam się i napotykam jego spojrzenie, w którym widzę znane mi poczucie rezygnacji.

- Cieszę się, że masz się dobrze - wzdycha.

Mogę tylko skinąć głową. Wtedy Dimitri ciągnie mnie w stronę wyjścia z sali.

- Ale co ona tu robi?

W powozie jest ciemno, gdy jedziemy do Milthorpe Manor, więc głos Soni dochodzi do mnie z mroku. Dimitri zaproponował, że odwiezie nas do domu, ale wystarczająco trudne jest uporanie się z pytaniami Soni i Luisy. Nie jestem pewna, czy miałabym odwagę zmierzyć się z tymi, które malują się w oczach Dimitriego. Przynajmniej nie dzisiaj. Cieszy mnie, że Luisa włącza się do rozmowy, nim zdążę odpowiedzieć. s

-Jestem przekonana, że Lia nie ma pojęcia, co Alice tu robi. Czy ktoś w ogóle wie, co myśli Alice? Czy my kiedykolwiek wiedziałyśmy?

- Chyba nie - mówi Sonia.

-We wszystkim, co robi Alice, jest jakiś cel - stwierdzam. - Ja po prostu jeszcze nie wiem jaki. *

- Nie mogę uwierzyć... - zaczyna Luisa, ale gwałtownie urywa. W ciemności powozu kręcę głową, patrząc na zasnute dymem ulice i bezimiennych przechodniów.

-Ja też nie.

- Alice jest zdolna do wszystkiego, ale... wyjść za Jamesa? - odzywa się ponownie Luisa. - Jak mo\$! Jak cm mógł?

-Wyjechałam - mówię szeptem i zastanawiam się, czy chcę, żeby Sonia i Luisa w ogóle mnie usłyszały. Żeby ktokolwiek usłyszał prawdę o tym, jak opuściłam Jamesa. - Zniknęłam bez słowa. Nie odpowiadałam na jego listy Nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań.

- Może nie - mówi Sonia - ale dlaczego spośród wszystkich dziewcząt w Nowym Jorku wybrał na żonę akurat Alice?

Odwracam się od okienka powozu. Za szybą jest coraz ciemniej.

- On nic nie wie.

Czuję, jak bardzo wstrząsa to Luisą, która odzywa się dopiero po chwili.

- Skąd masz tę pewność?

- Po prostu mam. James nie ma pojęcia o tym, co stoi między Alice a mną. Nie wie, jakie życie czeka go z moją siostrą, jeśli wszystko pójdzie po jej myśli.

Sonia przybliżyła się do mnie z szelestem jedwabnej sukni, aż jej twarz staje się widoczna w słabym świetle ulicznych latarni.

- Więc ty musisz mu powiedzieć, Lia. Musisz to zrobić, żeby go ratować.

- Co będzie, jeśli mi nie uwierzy? - Rozpacz wzbiera we mnie jak fala.

Sonia wyciąga rękę i chwyta moją dłoń.

- Musisz sprawić, żeby ci uwierzył. Musisz.

Patrzę na nasze złączone dłonie, blade na tle błękitnej sukni Soni i mojej szkarłatnej. Opieram się o siedzenie i zamykam oczy. Widzę Alice stojącą jak królowa w szmaragdowym stroju, który świetnie kontrastuje ze szkarłatem materii udrapowanej na moich ramionach i biodrach.

Oczywiście, myślę. Oczywiście.

W ciemnozielonej sukni, z Jamesem przy boku, Alice jest tą Lia, którą mogłabym być. Widzę nas obie stojące obok siebie na balu, a w wyobraźni trudno jest wskazać, która z dziewcząt jest moją siostrą, a która mną.

Stoję przed drzwiami w koszuli nocnej i szlafroku, a zimno posadzki przenika przez pantofle do moich stóp. Jestem zaniepokojona głosami rozbrzmiewającymi wewnątrz pokoju.

Czekałam cierpliwie, aż cały dom ucichnie, nim wyruszyłam do sypialni ciotki Virginii, ale wygląda na to, że zwlekałam zbyt krótko. Jednak nie mogę tak po prostu wrócić do siebie. Potrzebuję ciocinej rady. Poza tym potrzebuję jej zrozumienia, bo tylko ciotka Virginia może naprawdę pojąć przerażenie, jakie ogarnęło mnie, kiedy stojąc naprzeciw Alice, wysłuchałam wieści o jej zaręczynach z Jamesem. Przybliżam dłoń do drzwi i jak najciszej pukam. Szmer głosów milknie i w chwilę później ciotka Virginia otwiera z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Lia! Myślałam, że już poszłaś spać! - Jej rozpuszczone włosy opadają prawie do pasa. Wygląda całkiem młodo, przypomina moją mamę z portretu wiszącego nad kominkiem w Birchwood Manor.

- Wejdz, kochanie.

Robi krok w tył i przytrzymuje drzwi, a ja wchodzę, rozglądając się za właścicielem drugiego głosu. Kiedy go dostrzegam, jestem bardziej niż zdziwiona. Nie wiem, kogo spodziewałam się zobaczyć, ale na pewno nie Edmunda, który siedzi sobie wygodnie przy ogniu w wysokim fotelu pokrytym grubym, bordowym aksamitem.

- Edmundzie! Co ty tu robisz?

Ciotka Virginia cicho się śmieje.

- Edmund po prostu opowiadał mi o pojawieniu się Alice na balu. Dobrze, że przyszedł. Na pewno powiesz mi coś więcej.

Rzuca spojrzenie Edmundowi, a ja odnoszę silne wrażenie, że to nie pierwszy raz rozmawiają w sypialni ciotki Virginii pod osłoną nocy. Przechodzimy w głąb pokoju i siadamy na niewielkiej sofie naprzeciw kominka. Nie od razu zaczynamy rozmawiać, gdyż każde z nas pogrąża się we własnych myślach. To ciotka Virginia przerywa milczenie i z boku dochodzi jej pełen czułości głos.

- Przykro mi, Lia. Wiem, jak wiele znaczył dla ciebie James.

- Ile znaczy dla mnie James - poprawiam, patrząc w płomienie.

- To, że byłam zmuszona zwrócić mu wolność, ponieważ po moim wyjeździe poznałam Dimitriego, nie jest równoznaczne z tym, że nie obchodzi mnie, co stanie się z Jamesem.

- Oczywiście. - Ciotka Virginia ujmuje moją dłoń. - Nie wiedziałaś o jego związku z Alice? Nie wspomniał nic w którymś liście?

- Przerwaliśmy korespondencję jakiś czas temu - kręcę głową. - Jeszcze przed moim wyjazdem na Altus.

-Ja najzwyczajniej nie rozumiem, jak mógł zaręczyć się z Alice. Ostatni raz, kiedy widzieliśmy ją przed podróżą do Londynu, było już o wiele za późno, żebym mogła się z nią porozumieć.

-James Douglas to dobry, inteligentny mężczyzna - mówi Edmund. - Ale to tylko mężczyzna. Alice wygląda dokładnie tak jak panienka. A James był bardzo samotny, panienko, kiedy wyjechałaś. -Jego oczy nie oskarżają. Po prostu wymienia fakty.

- Edmund powiedział mi, że nie wierzysz, by James słyszał o prorocztwie - odzywa się ciotka. - Skąd masz pewność, że nic nie wie? Patrę w ogień i wspominam Jamesa. Jego łagodny uśmiech, kiedy ustami dotykał moich. Chęć chronienia mnie przed złem. Jego zwyczajną dobroć.

Odwracam się do ciotki Virginii. Mam największą pewność z możliwych.

-James nigdy nie uczestniczyłby w czymś takim. Nie wspierałby Alice w tej roli.

-Jeśli to prawda - ciotka kiwa głową - dlaczego mu nie powiesz? Powiedz mu o wszystkim i błagaj, żeby dla własnego dobra trzymał się jak najdalej od Alice.

Przygryzam dolną wargę, starając się wyobrazić sobie sytuację, kiedy rozmawiam z Jamesem o przepowiedni.

- Panienska myśli, że on jej nie uwierzy - zgaduje Edmund.

- A ty co myślisz? - zaglądam mu w oczy.

Edmund odpowiada powoli, ważąc słowa.

- Wcześniej panienska nie okazała mu zaufania i nie wygląda na to, żeby była z tego zadowolona. Może nadszedł czas, żeby spróbować postąpić inaczej?

- Może. - Patrzę na swoje dłonie, na znienawidzone znamię na jednym z nadgarstków, na drugi przegub z medalionem.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, potem znowu odzywa się

- A co zrobimy z Alice? Sądzicie, że przyjechała, bo niedługo możemy mieć wszystkie cztery Klucze?

- Nawet gdyby o tym wiedziała, nie jest to chyba na tyle istotna sprawa, żeby ściągnąć ją aż do Londynu. To, że możemy mieć wszystkie Klucze, nie jest dla Alice wielkim zmartwieniem. Szukanie ostatniego może nam zająć całe lata, nie mówiąc o Kamieniu.

- Ani o Obrzędzie - dodaje ciotka, mając na myśli uroczysty rytuał, o którym najwyraźniej nikt nie słyszał, a który należy odprawić w Avebury, aby doprowadzić do rozwiązania prorocstwa. - Ale jestem jutro umówiona z Elspeth na herbatkę w Towarzystwie. Będziemy przeglądać różne stare księgi na temat zaklęć. Może w jednej z nich znajdziemy jakąś wzmiankę.

- Mam nadzieję. - Wstaję, nagle wyczerpana i przerażona myślą o zadaniach, które na mnie czekają. - Arthur Frobisher dał mi adres osób, które mogą wiedzieć, gdzie znajduje się Kamień. Mam zamiar iść tam z Dimitrim i dowiedzieć się czegoś, chociaż żałuję, że razem z adresem Arthur nie dał mi nazwiska tych ludzi. Wolałabym wiedzieć, z kim mam się spotkać.

-Jeżeli panienka tego nie wie, służę towarzystwem w trakcie spotkania
- proponuje Edmund. - Lepiej nie chodzić w odwiedziny do
nieznajomych bez opieki, zwłaszcza teraz.

Nie przypominam mu, że w Chartres pokonałam jednego ze Straży.
Ślę pełen wdzięczności uśmiech, życzę im dobrej nocy i kieruję się do
drzwi.

- Lia - nim wyjdę na korytarz, zatrzymuje mnie głos Virginii.

-Tak?

- A co ty zrobisz w sprawie Alice? Ona na pewno czeka na twój
ruch. Przed udzieleniem odpowiedzi rozważam wszystkie możliwości.

- Chciałabym się dłużej zastanowić - mówię w końcu coraz bar-
dziej zdecydowanym tonem - ale nie pozwolę na to, żeby Alice
zmusiła mnie do jakiegokolwiek decyzji, na którą nie jestem gotowa.

- Prawdopodobnie jutro poczynimy jakieś postępy - zgadza się
ciotka Virginia.

- Możliwe. - Wychodzę z pokoju, zamykając za sobą drzwi, nie
wypowiedziawszy myśli, która przyszła mi do głowy. Musimy.

Musimy natychmiast poczynić postępy. Bez względu na cenę.
dziej zdecydowanym tonem - ale nie pozwolę na to, żeby Alice
zmusiła mnie do jakiegokolwiek decyzji, na którą nie jestem gotowa.

- Prawdopodobnie jutro poczynimy jakieś postępy - zgadza się
ciotka Virginia.

- Możliwe. - Wychodzę z pokoju, zamykając za sobą drzwi, nie
wypowiedziawszy myśli, która przyszła mi do głowy. Musimy.

Musimy natychmiast poczynić postępy. Bez względu na cenę.
Następnego ranka, kiedy zimne londyńskie powietrze zapiera mi dech,
tuż przed zamknięciem drzwi słyszę za sobą głos Luisy:

- Dokąd się wybierasz tak wcześnie?

Stoi na najniższym stopniu głównej klatki schodowej, a granatowy
szlafrok sprawia, że jej usta wydają się jeszcze bardziej czerwone niż
zwykle. Staram się ignorować dobrze skrywany w jej wypowiedzi
oskarżycielski ton.

- Mam sprawę do załatwienia z Dimitrim - uśmiecham się z
poczuciem winy. - To taki krótki wypad. Wrócę na podwieczorek,
zjem razem z tobą i z Sonią, będziemy mogły porozmawiać o
jutrzejszym przyjeździe Helene.

- Czy ta sprawa ma coś wspólnego z proroctwem?

Niechęć Luisy staje się wyraźna, a we mnie wybucha gniew.

-Jakie to ma znaczenie, Luiso? Jeżeli będzie dotyczyć ciebie lub Soni, poinformuję was później. - Mówiąc to, czuję, jak bardzo bolą ją te słowa - podobnie jak bolałyby mnie.

Z gardła Luisy wyrywa się gorzki śmiech. Niepodobny do tego zwykłego, beztroskiego.

-Jakie to ma znaczenie? Nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś coś takiego, Lia. Ma znaczenie, bo kiedyś dzieliłyśmy się wszystkim, co miało związek z przepowiednią. Kiedyś rozumiałaś, że stanowi ona ciężar dla nas wszystkich, i chciałaś rozwiązać nasze lęki, nie tylko swoje.

Słowa Luisy przebijają się przez pancierz otaczający moje serce.

Wiem, że mówi prawdę, choć bardzo chciałabym móc zaprzeczyć.

- Lia, czy coś się stało? - Od strony powozu dochodzi wołanie Dimitriego. Odwracam się, ciesząc się z tych kilku sekund przerwy, które pozwalają mi sformułować odpowiedź na zarzuty Luisy.

Podnoszę rękę, prosząc, żeby zaczekał.

Znów patrzę w twarz Luisie i mówię to jedno, na co mogę się zdobyć.

- Przykro mi. Staram się przebaczyć Soni, żebyśmy były przyjaciółkami jak kiedyś. To nie jest... - oglądam czubki swoich butów, szukając właściwych wyrazów. - To nie jest takie łatwe, jak się wydaje.

Luisa schodzi ze stopnia i zbliża się do mnie. Spodziewam się życzliwości. Uścisku wyrażającego przyjaźń i cierpliwość, które Luisa zawsze okazywała.

Ale teraz jej wyrozumiałość wyczerpała się.

-Ja nie jestem Sonią. Nie zdradziłam cię. Nie muszę prosić cię o wybaczenie. - Jej głos jest tak lodowaty, jak londyński wiatr wdzierający się z ulicy do Milthorpe Manor. - A jeśli się nie postarasz, to ty będziesz przeproszać mnie.

Odwraca się i odchodzi korytarzem, pozostawiając mnie w chłodzie poranka. Jej słowa ciążą mi na sercu jak kamień, a wstyd, mimo

m

S

Prostuję się, zamykam drzwi i idę podjazdem do powozu.

Ona nie rozumie, myślę. Nie mówię jej wszystkiego dla jej własnego dobra. Żeby nie zakłócać jej spokoju ducha.

Zaledwie te słowa pojawiają się w mojej głowie, wiem, że to kłamstwo.

Siedzimy z Dimitrim obok siebie, w milczeniu, zaś Edmund prowadzi powóz przez miasto. Dimitri zaczyna mówić dopiero po chwili.

- Od pewnego czasu zdaję sobie sprawę, jaki związek łączył cię z Jamesem Douglasem; od tamtych dni, kiedy czuwałem nad tobą w Nowym Jorku z polecenia Obserwatorów.

- Wiem - przytakuje, wyglądając przez okno.

- To nie jest powód do wstydu czy zakłopotania - mówi Dimitri. Odwracam się do niego, zniecierpliwiona, że mnie o to podejrzewał.

- Ja ich nie odczuwam. Obraża mnie, że coś takiego przyszło ci do głowy. Czy powinnam wstydzić się, że kochałam kogoś innego, nim poznałam ciebie? Być zmieszana, że nie jestem delikatnym angielskim kwiatuszkiem, który nie wie nic o mężczyznach? - Moje kąśliwe słowa szukają sobie drogi poprzez mrok wnętrza powozu. Dimitri raczej nie jest zaskoczony moim wybuchem; to, że zna mnie tak dobrze, prawie wprowadza mnie w złość.

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie oczekiwałem, że będziesz... Jak ty to powiedziałaś? - Kąciki ust wykrzywia mu żartobliwy uśmiešek. - „Delikatnym angielskim kwiatuszkiem, który nie wie nic o mężczyznach”.

Jest coś takiego w jego sposobie mówienia, że muszę stłumić choć staram się powstrzymywać. Wkrótce ramiona trzęsą mi się z wysiłku, by przestać chichotać.

- Muszę przyznać - mówi Dimitri, którego śmiech rozbrzmiewa całkiem swobodnie - że nigdy nie myślałem o tobie w ten sposób! Teraz już obydwójce zaśmiewamy się do rozpuku, a ja wyciągam dłoń i uderzam Dimitriego w ramię.

- No proszę! Ty pewnie... - śmiech prawie nie pozwala mi wydobyć słów- ty pewnie mówisz to wszystkim swoim dziewczynom!

To wywołuje u nas nowy napad wesołości i muszę trzymać się za brzuch jeszcze przez kilka sekund, dopóki radość nie ustanie.

- Lia. - Dimitri przysuwa się bliżej, wciąż zdyszany po atakach śmiechu. Bierze mnie za rękę. - Chciałem tylko powiedzieć, że jest mi przykro z powodu wczorajszego wieczoru. Z powodu tego, co zaszło między twoją siostrą a Jamesem. To musiało być dla ciebie bardzo trudne. A ja nie chcę, żeby cokolwiek było dla ciebie trudne.

- Dziękuję. - Odwzajemniam jego spojrzenie. - Ale to... To było dawno temu, kiedy wiązałam swoją przyszłość z Jamesem.

Dimitri podnosi moją rękę do ust, prostuje mi palce i całuje wnętrze dłoni. Jego dotyk rozpala płomyk gdzieś w dole pleców, który wędruje w górę aż do karku.

-Jednak wyobrażam sobie, że nie tak łatwo wygasić dawne emocje. Ja nie mógłbym zapomnieć o swoich uczuciach do ciebie. Nigdy. Nie winiłbym cię, gdyby część twoich uczuć do Jamesa jeszcze żyła, nawet po tak długim czasie i po wszystkim, co się stało.

W jego głosie słyszę niepewność, choć dobrze ją skrywa pod płaszczykiem zrozumienia. Uwalniam swoją rękę, biorę twarz Dimitriego w obie dłonie i patrzę mu w oczy.

czyła tej części mojej osoby, która już nie istnieje. Nawet jeśli uda mi się wypełnić przepowiednię, nie będę tą samą dziewczyną. Nie ma powrotu do tej Amalii, którą byłam dawniej. Zbyt wiele się zmieniło. A ta Lia, która spacerowała po wzgórzach Altus, całowała cię w zagajnikach i leżała z tobą pod kwitnącymi drzewami... No cóż, ona nie byłaby szczęśliwa z Jamesem.

W oczach Dimitriego dostrzegam wyraźną ulgę i nachylam się, żeby go pocałować. Pocałunek, który miał delikatnie przypomnieć mi o moim przywiązaniu i czułości, szybko staje się namiętny. Kołysanie powozu i półmrok w jego wnętrzu jeszcze bardziej oddalają mnie od rzeczywistości, przenosząc tam, gdzie nie ma nic prócz ust Dimitriego złączonych z moimi i jego ciała opierającego się o mnie, kiedy na wpół leżę na tylnym siedzeniu.

Nie wiem, ile czasu mija, zanim dociera do nas, że pojazd zwalnia - zmiana tempa jazdy sprowadza nas na ziemię. Odsuwamy się od siebie, pospiesznie wygładzając ubrania i fryzury, bo Edmund właśnie zatrzymuje konie.

Dimitri przybliżył się do mnie i całuje po raz ostatni, nim nasz stangret otworzy drzwiczki. Wysiadając z powozu, zagaduję Edmunda, chcąc pozbyć się uczucia, że on i tak dokładnie wie, co działo się wewnątrz podczas podróży.

- Gdzie jesteśmy, Edmundzie? *

Krytycznie przypatruje się brudnej ulicy i prostakom spacerującym po chodniku.

- W niezbyt dobrej okolicy. Ale to jest dom - wskazuje głową zapuszczoną kamienicę - którego adres zapisał na kartce pan Frobisher.

Przyglądam się uważnie budynkowi; mogłabym przysiąc, że jest lekko przechylony w prawo. Jednak po wszystkich moich doświad-

czeniuach trzeba by czegoś więcej niż starej kamienicy i podejrzanego towarzystwa, żeby zasiać w moim sercu lęk.

- Dobrze, więc chyba tam musimy się udać.

Chwytam Dimitriego za rękę i przechodzimy za Edmundem przez zaśmiecone podwórze, a potem wspinamy się po zmurszałych schodach aż do drewnianych drzwi, pomalowanych, co dziwne, na kolor jaskrawoczerwony. Nie ma na nich żadnego brudu ani zadrapania, przez co bardzo odbiegają wyglądem od zaniedbanego otoczenia.

Edmund bynajmniej nie jest zadowolony, mimo że wejście nosi tak wesołą barwę.

- Pan Frobisher nie powinien wysyłać szanującej się młodej damy do takiej dzielnicy, nie podając jej nawet nazwiska gospodarzy - mruczy, unosząc pięść i pukając.

Odpowiada mu cisza, ale kiedy ponownie podnosi rękę, słyszymy odgłosy kroków - ktoś zmierza w stronę wejścia. Rzucam Dimetriemu nerwowe spojrzenie, bo tupot słyhać coraz wyraźniej. Naraz drzwi otwierają się i staje w nich elegancka kobieta, tak modnie ubrana, jakby właśnie wychodziła na herbatę. Przygląda się nam z cierpliwym uśmiechem, nic nie mówiąc.

Już po sekundzie rozpoznaję ją, a wtedy odwzajemniam uśmiech.

- Madame Berrier? Czy to naprawdę pani?

✓ ?

Kobieta uśmiecha się szerzej.

- Oczywiście. Spodziewaliście się kogoś innego?

Madame Berrier odsuwa się, żeby nas wpuścić, a jej błyszczące oczy mają tajemniczy, a zarazem psotny wyraz.

- Wejdźcie. Wprawdzie panowie na ulicy nie zrobią wam krzywdy, ale rozsądniej jest zajmować się naszymi sprawami na osobności, prawda?

- Tak, na pewno. - Wciąż jestem zdumiona faktem, że Madame Berrier przeprowadziła się z Nowego Jorku do Londynu w tej chwili stoi przede mną.

Wchodzimy za nią do wnętrza domu, a ona zamyka drzwi i przekręca w nich klucz. Edmund pozostaje niewzruszony i milczy, a ja zastanawiam się, czy pamięta Madame Berrier z czasów naszego pierwszego spotkania, kiedy ujawniła moją tożsamość Anioła Bramy. Zwracając się w naszą stronę i z aprobatą kiwając głową na Dimi-

- A kim może być ten dżentelmen? Hmm?

- Och, przepraszam. Madame Berrier, to jest Dimitri Markov. Dimitri, przedstawiam ci Madame Berrier. Bardzo pomogła mi w odkryciu, jaka jest moja rola w przepowiedni. - Odwracam się do gospodyni. - A od tego czasu niezmiernie pomógł mi Dimitri.

- Jestem przekonana, że tak, kochanie - Madame Berrier uśmiecha się znacząco.

Na tę aluzję cała twarz mi płonie, ale nie mam czasu, żeby zrewanżować się ciętą ripostą, bo Madame Berrier rusza głównym korytarzem na tyły budynku.

- Chodźcie za mną. Spodziewam się, że herbata jest już gotowa. - Jej głos, naznaczony francuskim i jakimś innym, tajemniczym akcentem, którego nie potrafię określić, słabnie, kiedy gospodyni oddala się od nas.

Edmund, Dimitri i ja przyspieszamy kroku, żeby za nią nadążyć. Ze względu na Madame Berrier wołałabym, żeby reszta domu była w lepszym stanie niż hol. Jest ohydny, pokryty postrzępioną tapetą i oświetlony tylko słabym światłem sączącym się z przyległych pomieszczeń.

Lecz niepotrzebnie się martwię. Madame Berrier wchodzi do salonu po prawej stronie i nagle czuję się tak, jakbym została przeniesiona w jakiś bajkowy świat. W pokoju pali się wiele lamp ozdobionych kolorowymi paciorkami, a w kominku płonie ogień. Meble są dosyć stare, ale wyraźnie widać, że moja znajoma całkiem wygodnie się urządziła, przynajmniej w tym pomieszczeniu.

- Och, ta herbata ma doskonały zapach! - Podchodzi do stolika przy sofie, zastawionego spodeczkami i filiżankami. - Wspaniale, że wszystko przygotowałaś.

sądząc po zmieszanych twarzach Edmunda i Dimitriego. Patrzymy na siebie, podczas gdy Madame Berrier sadowi się na sofie. Zabiera się

za nalewanie herbaty z dzbanka stojącego na srebrnej tacy, jakby nie było nic dziwnego w tym, że podziękowała jakiejś niewidzialnej osobie.

Kiedy jednak uważniej przyglądam się bardziej zaciemnionym miejscom w kątach pokoju, dostrzegam, że nie tylko my jesteśmy tu obecni. W rogu, przy regale, którego półki uginają się pod ciężarem mnóstwa książek i nieokreślonych przedmiotów różnych rozmiarów i kształtów, widzę lekko przygarbioną sylwetkę. Edmund i Dimitri wędrują oczami za moim wzrokiem, napotykać ten sam kształt, i obydwaj stoją spięci, zdając sobie sprawę, że w salonie znajduje się ktoś jeszcze.

Madame Berrier odwraca głowę w kierunku tej postaci.

- Odłóż książki i przyłącz się do nas, dobrze? Jestem pewna, że to z tobą panna Milthorpe przyszła porozmawiać, choć ja, naturalnie, także jestem zachwycona jej towarzystwem.

Osoba odwraca się i potakuje:

-Już idę. Przepraszam za nieuprzejmość.

Nie sądziłam, że Edmund i Dimitri mogą być jeszcze bardziej spięci, ale kiedy nieznajomy wynurza się z półmroku, czuję, że stoją za mną niczym mur. Gryzę się w język, żeby im nie przypomnieć, że w Chartres obroniłam się sama, a zatem nie trzeba mnie ratować za każdym razem, kiedy ktoś obcy wchodzi do pokoju.

Ów człowiek okazuje się mężczyzną, którego widzimy dokładnie w chwili, gdy robi zaledwie kilka kroków w przód i zatrzymuje się w świetle lampy stojącej na jednym z licznych małych stolików.

- A więc jesteście! Od ostatniego spotkania dzieli nas sporo czasu i wiele mil!

Przez moment mrugam, wrośnięta w podłogę, nie mogąc uporać się z kolejną niespodzianką.

- Pan Wigan? - pytam cienkim głosem. Chyba wyszłam na idiotkę, bo przecież to jest pan Wigan.

Jego śmiech jest jak przyjemna muzyka przerywająca ciszę panującą w salonie.

- To naprawdę ja! Razem z drogą Syla przepląnałam cały ocean!

Pan Wigan podchodzi do sofy i siada wygodnie obok Madame Berrier, która wręcza mu filiżankę parującej herbaty.

Dimitri z Edmundem stoją obok sztywno i grzecznie, ale ja, w zaskoczeniu, zupełnie zapominam o dobrych manierach. Zbliżam się

do pana Wigana i Madame Berrier, a potem padam na krzesło naprzeciwko sofy.

- Obawiam się, kochanie, że sprawiliśmy jej zbyt dużą niespodziankę. - W głosie Madame Berrier słychać żartobliwy ton. - A ja już myślałam, że w Nowym Jorku byliśmy za mało dyskretni.

- Mało dyskretni? - powtarzam. - Kochanie?

Madame Berrier, zamiast odpowiedzieć, wypija łyk i zaczyna się interesować naparem.

- Alastair, mój drogi, czemu zawdzięczamy dzisiejszy smak herbaty?

Szeroką twarz pana Wigana rozjaśnia uśmiech.

- Dodałem trochę migdałów, moje złotko. I odrobinę czekolady.

- Przepyszna. - Madame Berrier z aprobatą kiwa głową. -

Przedtem nie lubiłam herbaty. Jednak Alastair potrafi wprost świetnie ją parzyć. Jesteśmy... razem już od pewnego czasu. To był jeden z powodów, dla których unikali mnie ograniczeni mieszkańcy mojego małego miasteczka w pobliżu Nowego Jorku. Jedną z przyczyn, dla

munda i Dimitriego, jakby prawie zapomniała o ich obecności. -

Usiądźcie, proszę. Wydaje mi się, że nie musimy przesadzać z etykietą.

Na jej prośbę moi towarzysze siadają, a ja zwracam się do Dimitriego, wskazując mu gestem drobnego mężczyznę siedzącego przy stoliku i z zadowoleniem popijającego herbatę.

- To pan Wigan. Z Nowego Jorku. Pomógł nam ustalić, że Luisa i Sonia są dwoma spośród czterech Kluczy. - Spoglądam na pana Wigana. - A to Dimitri Markov. Mój... przyjaciel.

- Tacy z nich przyjaciele, jak i z nas, kochanie! - Madame Berrier patrzy łobuzersko na pana Wigana.

Czerwienię się ze wstydu i unikam wzroku Edmunda, mimo że bez wątplenia rozumie on charakter mojego związku z Dimitrim lepiej niż ktokolwiek inny, zwłaszcza po podróży, którą odbył na Altus w naszym towarzystwie.

- Tak bardzo się cieszę ze spotkania z państwem - zagaduję, chcąc zmienić temat - ale nie rozumiem, dlaczego Arthur przysłał nas tutaj. Madame Berrier stawia przede mną filiżankę z herbatą, następne wręcza Edmundowi oraz Dimitriemu. Podaje także śmietankę i cukier,

a ja milczę, bo wiem, że udzieli mi odpowiedzi, gdy będzie gotowa. Jednak to pan Wigan pierwszy zabiera głos.

- Nie chciałbym się okazać nadgorliwy, ale chyba jestem tą osobą, która potrafi ci pomóc. Innymi słowy, mam wiedzę, którą nie każdy może posiadać.

W jego głosie słyszę urazę i zdaję sobie sprawę, że zraniłam jego dumę. Odstawiam filiżankę i uśmiecham się.

- Jestem przekonana, że tak jest. W istocie, gdybym wiedziała, że przebywa pan w Londynie, byłby pan pierwszym człowiekiem, z którym skontaktowałabym się z prośbą o informacje.

- Oczywiście nie wiem wszystkiego. - Pan Wigan skromnie opuszcza głowę. - Ale ta konkretna sprawa, można powiedzieć, należy do dziedziny, na której znam się najlepiej.

- Na pewno tak - odpowiadam. - Co w takim razie powiedział panu Arthur? I jak do pana trafił?

- Skontaktowaliśmy się przez dawnego znajomego. - Pan Wigan pogryza ciasteczko i zwraca się do Madame Berrier. - Całkiem smaczne te herbatniki, moja słodka. Całkiem smaczne.

Edmund, siedzący koło mnie, wykonuje niespokojny ruch.

- Panie Wigan... - zaczynam.

- Słucham? - patrzy na mnie nieobecny spojrzeniem.

- Pytałam o Arthura. Co powiedział panu o naszych poszukiwaniach?

- Tak, tak! Już pamiętam! - Wkłada do ust resztę ciastka na raz, gryzie i połyka, a potem kontynuuje. - Nie rozmawiałem z panem Frobisherem. Nie osobiście. To on zaczął dyskretnie szukać wiadomości w wiadomej sprawie, lecz nikt nie potrafił mu pomóc. Każda z indagowanych osób przekazywała pytanie następnej, aż w końcu dotarło do mnie. Kiedy dowiedziałem się, jakiego rodzaju informacji poszukuje, natychmiast zrozumiałem, po naszym spotkaniu w Nowym Jorku, że za wszystkim kryjesz się ty.

- Chcesz powiedzieć, kochany - Madame Berrier przysuwa się do pana Wigana - że natychmiast to zrozumieliśmy.

- Dokładnie tak, moja śliczna różyczko - pan Wigan energicznie przytakuje. - Właśnie tak.

- Czy w takim razie może pan podać nam niezbędne informacje? - Pytanie Dimitriego zaskakuje mnie. Skupiona na dialogach między

panem Wiganem a Madame Berrier, prawie zapomniałam, że siedzi tu w salonie.

- Niestety nie. Obawiam się, że nie - kręci głową pan Wigan.

- Nie rozumiem. - Staram się wrócić pamięcią do rozmowy, podczas której Arthur powiedział mi, że znalazł kogoś, kto zna odpowiedź na moje pytanie. - Ze słów Arthura z pewnością wynikało, że pan nam pomoże.

- Oczywiście, że możemy pomóc - zgadza się Madame Berrier.

- Tym bardziej nie... nie rozumiem. - Jestem kompletnie zagubiona, jak w nieznanym kraju, gdzie wszyscy posługują się obcym językiem, ale patrzą na mnie tak, jakbym doskonale wiedziała, co do mnie mówią.

Pan Wigan pochyla się. Używa konspiracyjnego tonu, jak gdyby obawiał się, że ktoś go podsłucha.

- Nie stwierdziłem, że nie mogę ci pomóc. Powiedziałem tylko, że sam nie znam odpowiedzi.

Madame Berrier wstaje i wygładza fałdy sukni.

- Szukanie informacji u kogoś innego dobrze sprawdziło się w przeszłości, prawda?

Podnoszę na nią oczy, rozmyślając, co zamierza zrobić.

- Raczej tak.

- A więc jedziemy. Zakładam, że macie do dyspozycji powóz. Budynek jest imponujący, prawie tak duży jak Birchwood Manor.

- Jaki piękny dom! - woła Madame Berrier, patrząc na murowaną fasadę porośniętą ciemnozielonym bluszczem.

Wyjechaliśmy za miasto zgodnie z instrukcjami podanymi Edmundowi przez pana Wigana, który cel naszej podróży zatrzymał w sekrecie. Coraz bardziej widoczna staje się frustracja Dimitriego związana z tym, że pan Wigan odmówił podania nazwiska osoby, z którą mamy się spotkać. Bez słowa rusza w kierunku kamiennych schodów, prowadzących do wejścia.

- No tak - stwierdza pan Wigan. - Twój chłopak jest dosyć niecierpliwy.

Spoglądam na niego i idę za Dimitrim.

- Wszyscy się niecierpliwimy, panie Wigan. Stawka jest duża, a do tej pory zapłaciliśmy już wysoką cenę.

- Zgadza się - pan Wigan powoli skłania głowę. - Słyszałem o twoim bracie, przykro mi. Wolałbym nie myśleć o stracie tak młodego człowieka.

Czuję, jak na wspomnienie Henry'ego Edmund sztywnieje.

- Dziękuję - odpowiadam z ukłonem. - To było ciężkie przeżycie. Nawet teraz takie słowa przychodzą mi z trudem.

Idąca po schodach za mną i Dimitrim Madame Berrier dotyka mojego ramienia.

- Twój brat nie odszedł, kochanie. Przeniósł się po prostu w lepsze miejsce i czeka tam na ciebie.

Przytakuję, starając się powstrzymać smutek, który na wzmiankę o Henrym zalewa całą moją duszę. Mój brat jest w lepszym miejscu.

Stanie się ono jeszcze lepsze, kiedy Henry, wraz z rodzicami, przejdzie do ostatniego ze światów. Nie martwi mnie jego los ani moja własna śmierć. To wszystko nie jest takie proste.

O, nie.

Najbardziej boję się tego, że na Równinie zostanę schwytana przez Dusze. Że zostanę uwięziona pod lodem w zimnej Pustce i już nigdy nie zobaczę swojego braciszka. Że śmierć nie będzie mi dana, bo będę zmuszona przez całą wieczność oglądać niebo w Pozaświa-tach i pozostać w piekle obmyślonym przez Dusze.

Jednak nie mówię o tym. Jaki miałoby to sens?

W zamian uśmiecham się, patrząc w oczy Madame Berrier.

- Dziękuję. j

Tylko tak można odpowiedzieć na jej życzliwość.

Dochodzimy do szczytu schodów, a Dimitri zwraca się do pana Wigana.

- Chciałbym zapukać, ale ponieważ nie wiem, kogo mamy odwiedzić, myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan się tego podejmie. Chyba tylko ja wyczuwam sarkazm w tym zdaniu.

Pan Wigan wysuwa się naprzód.

- Święta racja, mój chłopcze. Święta racja.

Unosi dłoń do rzeźbionych drzwi, chwyta ogromną mosiężną kołatkę i uderza nią w blaszkę, aż echo niesie się przez korytarze domu, gdzieś wewnątrz.

W ciszy, jaka nastąpiła po pukaniu, rozglądamy się, chłonąc widok uśpionych ogrodów i nagich drzew. Wyobrażam sobie, jak pięknie musi tu być latem, ale teraz krajobraz jest pusty, trochę straszny.

Drzwi lekko skrzypią i drżą; zdaję sobie sprawę, że ktoś za nimi stoi. Wydaje mi się, że tylko ja tak myślę, ale w tym momencie pan Wigan zaczyna dosyć głośno mówić w ich stronę.

- Victor? To ja, Alastair. Alastair Wigan. Przepląnąłem ocean, stary przyjacielu, żeby stanąć na progu tego domu. Otwórz drzwi, proszę.

Zastanawia mnie przymilny ton jego głosu; pan Wigan przemawia jak do upartego dziecka, niestety bezskutecznie. Drzwi pozostają zamknięte na cztery spusty.

-Victor, to ja. - Przygląda się naszej grupce. - Ja i parę osób, które chciałyby się z tobą zapoznać w sprawie wielkiej wagi.

Drewniane drzwi znowu skrzypią, ale wcale się nie otwierają.

Edmund i Dimitri wymieniają spojrzenia, jakby coś sobie mówili bez słów.

Pan Wigan wzdycha i zwraca się do mnie.

- Widzisz, on ma pewien problem. Nie lubi wychodzić, a nawet otwierać drzwi. - Nachyla się do mojego ucha. - Boi się.

- Nie boję się! - Lekko podskakuję, przestraszona, kiedy zza drzwi odzywa się głos. - Po prostu nie spodziewałem się was.

Madame Berrier zaciska wargi, a potem spogląda na pana Wigan.

- Alastair, kochanie, może ja spróbuję. Kobieca delikatność czyni cuda.

Pan Wigan zdaje się rozważać tę propozycję, kiedy głos zza drzwi zaczyna się dopytywać:

- Kobieta? Mówisz, że jest z tobą kobieta, Alastair? Prawdziwa dama? - Głos nie dowierza, jak gdyby pan Wigan oznajmił, że przyprowadził ze sobą jakieś rzadkie zwierzę.

Pan Wigan przybliżył się do drzwi.

-Jest lepiej - wyjaśnia. - Są ze mną dwie damy.

- Chwileczkę - zaczyna Edmund. - To niestosowne, żeby traktować kobiety jako...

Nie ma czasu dokończyć, bo nagle drzwi otwierają się i patrzymy w mrugające oczy małego, dość wątlęgo człowieczka.

- Mogłeś powiedzieć, że jesteś w towarzystwie pań. Nie byłbym tak nieuprzejmy.

- Łatwiej byłoby mi o tym napomknąć, gdybyś po prostu uchylił drzwi - gdera pan Wigan.

Mężczyzna nazwany Victorem ignoruje to, skłania lekko głowę przed Madame Berrier, a następnie przede mną.

- Przepraszam szanowne panie i zapraszam na herbatę. Skoro Alastair przywiózł was do mnie, to musi oznaczać, że wasza sprawa jest bardzo pilna.

- Wybaczcie, proszę. Większość służby jest nieobecna, ale ze i

zwykłym parzeniem herbaty radzę sobie nie najgorzej.

Obserwuję, jak nalewa nam napój. Jest jasnowłosa, drobnej postury i niezwykle spokojny w obejściu. Wręcza każdej z nas filiżankę z cienkiej porcelany, potem podaje herbatę mężczyznom, a my rozglądamy się po jego bogato zaopatrzonej bibliotece.

Victor wskazuje gestem tacę.

- Proszę się częstować. Ja wspominał podróż z Londynu jako długą, męczącą i, prawdę mówiąc, raczej nudną!

Jego szczerłość rozbawia mnie, pozwala się odprężyć. Zdaję sobie sprawę, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz się śmiałam w towarzystwie kogoś innego niż Dimitri. Wyciągam rękę w kierunku tacy i częstuję się delikatnym herbatnikiem.

- Dziękuję za herbatę. - Uśmiecham się do Victora, myśląc, że już dawno nie polubiłam nikogo w tak krótkim czasie.

Macha niechętnie dłonią.

-Cała przyjemność po mojej stronie, młoda damo. Przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby wynagrodzić swoje okropne zachowanie przy drzwiach. Serdecznie przepraszam.

Przełykam pogryziony kęs herbatnika.

- Nie lubi pan towarzystwa?

Victor wzdycha i smutno się uśmiecha.

- Wprost przeciwnie: uwielbiam je.

- Więc dlaczego nie otwierał pan drzwi? - Głos Dimitriego jest zaskakująco łagodny.

- Cóż, to dość skomplikowana sprawa. Rozumiecie, mam problem. .. Nie potrafię... - Bierze głęboki oddech i zaczyna od nowa.

- To trudne...

- Wygląda na to, że się pan boi. - Stwierdzenie Edmunda jest rzeczowe, nie ma w nim złości.

- Rzeczywiście na to wygląda - zgadza się Victor.

- A czego, jeżeli można zapytać? - Nie chcę być wścibska, ale nie znam nikogo, kto bałby się wychodzić z domu.

- Choroby, przestępców, wypadków drogowych, narowistych koni... Chyba wszystkiego - wzrusza ramionami Victor.

- Jak zaopatruje się pan w niezbędne artykuły? - pyta Madame Berrier, ogarniając wzrokiem luksusowo wyposażone wnętrze.

Victor unosi dłonie ku górze, jak gdyby to, co jest mu niezbędne, spadało wprost z sufitu.

- Służba dba o to, żebym miał jedzenie i opał. Krawiec przyjeżdża i bierze miarę w domu. Mam raczej wszystko, czego mi trzeba. - Głos jednak świadczy o tym, że Victor nie jest osobą, której wszystkie potrzeby są spełnione.

- Poza towarzystwem - uzupełnia życzliwie Madame Berrier, odstawiając filiżankę na spodeczek.

- Poza towarzystwem - uśmiecha się Victor z wdzięcznością. Madame Berrier ujmuje rękę pana Wigana w swoje dłonie.

- Postaramy się więc jak najczęściej wpadać z wizytą, oczywiście jeśli nie będzie pan miał nic przeciwko temu.

- Nie będę miał nic przeciwko - przytakuje Victor, a w jego oczach widać szczerą radość. - Mam tylko nadzieję, że okażą państwo cierpliwość, jeżeli otwarcie drzwi zajmie mi parę minut.

- Naturalnie - odpowiada Madame Berrier i śmieje się, odchylając głowę do tyłu. Wyobrażam sobie, jak musiała wyglądać jako młoda kobieta. Na pewno była piękna i dzika. Myślę, że nawet wtedy świetnie byśmy się rozumiały. *

- A teraz do rzeczy. - Victor także odstawia filiżankę na spodek.

- Sprawiliście mi swoimi odwiedzinami wielką przyjemność i byliście nad wyraz życzliwi, wybacząc mi moją przywarę. A co ja mógłbym zrobić dla was?

- Widzisz, ci młodzi ludzie starają się rozwikłać pewną zagadkę — zaczyna pan Wigan. - Jest to istotna sprawa, a ja, mimo że posiadam niemałą wiedzę w tej dziedzinie, nie mogę znaleźć odpowiedniej wzmianki w żadnej z moich książek.

- A o co dokładnie chodzi? O mapę? O datę? Nieznany przedmiot z przeszłości? Mam mnóstwo czasu - śmieje się Victor, robiąc szeroki gest ramieniem i wskazując niekończące się półki pełne książek, stojące przy każdej ścianie. - Spędzam go tutaj, studiując jeden tom za

drugim. Jestem dość czytany w wielu dziedzinach, ale najlepiej w historii alternatywnej.

- Historii alternatywnej? - Głos Edmunda odbija się echem w całej bibliotece.

Dimitri odwraca się do niego.

- Victor chyba ma na myśli te bardziej kontrowersyjne interpretacje zdarzeń historycznych, przemian w religii... I tak dalej.

- Właśnie - przytakuje Victor.

- Dlatego jest pan właściwą osobą, żeby udzielić nam pomocy.

- Przypatruję się naszemu niewielkiemu gronu, dziwiąc się, że los doprowadził do zebrania się tak niezwyklej grupy w tak

nieprawdopodobnych okolicznościach. - Chcemy poznać znaczenie dwóch wyrażeń: Nos Galon-Mai oraz Sliabh na CaiUt. - Kręcę głową.

- Nawet nie wiem, czy poprawnie je wymawiam. Widziałam je tylko w formie pisanej. I sądzę, że być może są to nazwy miejsc.

- Nos Galon-Mai to dawny termin określający Beltane - Victor ze znawstwem kiwa głową. - Tego jestem pewien.

Z uśmiechem patrzę Dimitriemu w oczy. Aby zamknąć Bramę, musimy zebrać się w Avebury- wraz z Alice, Kluczami i Kamieniem

- w nocy z trzydziestego kwietnia na pierwszego maja. To się zgadza, zwłaszcza że wszystkie Klucze urodziły się o północy w święto Samhain, które jest przeciwieństwem Beltane.

Proroctwo rozpoczyna się od Samhain. Zakończy się podczas Beltane.

1

wiedni rozbudza moje wielkie nadzieje, ale szansę na drugie równie szybkie rozwiązanie rozwiewają dalsze słowa Victora:

- Drugie wyrażenie to Sliabh na Cailli, nieprawdaż? Nie brzmi znajomo. - Victor cedzi słowa, jakby powolna mowa pomagała mu w szukaniu znaczenia. - Mówiłaś, że widziałaś je w formie pisanej.

Potwierdzam.

- Mogłabyś mi je napisać? - prosi.

- Oczywiście. Czy ma pan pióro i kartkę papieru?

- Proszę za mną. - Victor wstaje.

Podnoszę się z miejsca i nie potrafię pohamować rozdrażnienia, kiedy Edmund i Dimitri także powstają.

Na ustach Victora pojawia się krzywy uśmieszek.

- No, no! Jesteś chyba bardzo ważną osobą? Czy oni nigdy cię nie odstępują?

- Tylko czasem - przewracam oczami.

Victor bierze mnie za rękę i pomaga wyjść zza stołu.

- Panowie - mówi do Dimitriego i Edmunda - zapewniam was, że nie zamierzam zabierać panny Milthorpe na koniec świata po to, żeby przynieść zwykłe pióro. Trzymam je w biurku przy oknie, więc możecie się do nas przyłączyć, jeśli chcecie.

Obydwaj wpatrują się w oddalone o parę metrów biurko. Mam nadzieję, że jest im przynajmniej tak głupio jak mnie. Znów zajmują swoje miejsca, a ja z Victorem podchodzę do mebla. Tam Victor zapala lampę, a od jej witrażowego abażuru rozplywa się jasna plama różnokolorowego światła. Otwiera niewielką szufladę z przodu, a ja zerkam w jej doskonale uporządkowane wnętrze: w równym szeregu leżą identyczne pióra, a obok plik kartek oraz kilka kałamarzy. Victor wyjmuje jedno pióro i podaje mi, zaś papier kładzie na biurku.

- Postaraj się poprawnie zapisać. Nieraz zapamiętuję słowa

<

w takiej formie, w jakiej pierwszy raz je widziałem. Gdyby zmienić literę czy dwie, mogę nie skojarzyć znaczenia - wzrusza ramionami. Potakuję. Nigdy nie zapomnę ani jednego słowa zawartego w proroctwie. Ono stało się już częścią mnie.

Victor odkręca kałamarz i również stawia go na pulpicie. Zanurzam stalówkę w błękitnym atramencie, pochylam się nad biurkiem i piszę wyrazy zachowane na ostatniej stronie Księgi Chaosu. Te słowa określają miejsce ukrycia Kamienia.

Sliabh na Cailli.

- Proszę bardzo. - Prostuję się i oddaję Victorowi pióro.

On tymczasem sięga na biurko, podnosi papier i przysuwa się do lampy, żeby trzymać kartkę bliżej światła. Jego usta poruszają się, kiedy odczytuje dziwne słowa.

- Czy było coś jeszcze? Czy coś towarzyszyło temu wyrażeniu? Może pomogłoby mi je rozszyfrować? - pyta.

Przygryzając wargę, staram się przypomnieć sobie szczegóły.

- Było napisane tak: uwolniony z świątyni, Sliabh na Cailli, portal Pozaświatów. - Cytuję jak najmniej, tyle tylko, żeby uzyskać odpowiedź na nasze pytanie. Stało się to moim nawykiem, aby chronić tekst proroctwa przed oczami i uszami postronnych. I jednocześnie zabezpieczać postronnych przed jego konsekwencjami.

Victor marszczy brwi, a jego wargi poruszają się, szepcząc niezrozumiałe dla nas słowa jak modlitwę. Nagle odkłada kartkę na biurko i rusza w stronę jednego z regałów wznoszących się wysoko ponad naszymi głowami, aż pod sufit. Widząc jego zdecydowanie, czuję, że zakwita we mnie nadzieja, i idę za nim, choć o to nie prosił. Dochodzi do drewnianej drabiny i przesuwa ją pod regał obok. Śledzę jej ruch wzrokiem i zauważam, że jest przymocowana do każdego regału. Oczywiście wcześniej widywałam już takie urządzenia, ale nigdy w prywatnej bibliotece. Wywiera to na mnie duże wrażenie.

- Czy pan wie, co to znaczy? - Z drugiego krańca pokoju odzywa się Dimitri, ale nie jestem zdziwiona, gdy Victor nie reaguje.

Dostrzegam, jak bardzo jest skupiony.

Naraz zatrzymuje drabinę i zaczyna się po niej wspinać. Myślę, czy jego rozliczne obawy pozwolą mu dotrzeć do tomu, którego szuka, lecz wcale nie widać po nim lęku, kiedy tak szybko kroczy w górę po szczeblach.

Wszedłszy prawie pod sufit, zatrzymuje się i sięga na półkę najbliższą drabinie, a jego palce pieszczą grzbiet każdej książki po kolei.

Wreszcie zaprzestaje tych karesów i wybiera jeden z woluminów, który - przynajmniej z miejsca, gdzie stoję - wygląda identycznie jak pozostałe. Gospodarz jednak zdaje się go rozpoznawać i przytula do piersi, schodząc na dół. Kiedy wreszcie staje na podłodze, wypuszcza z płuc chyba całe powietrze.

- Tak! - Lekko się prostuje. - Popatrzmy. Jeżeli dobrze pamiętam, tutaj znajdziemy odpowiedź.

Ale odpowiedzi tam nie ma. Czekamy, a Victor kartkuje książkę, najpierw szybko, potem coraz cierpliwiej, jakby przypatrywał się każdemu słowu i wciąż nie mógł natrafić na to poszukiwane. Po kilku dalszych próbach z innymi tomami słyszymy, jak gdzieś w głębi domu dzwoni zegar i niechętnie postanawiamy wrócić do Londynu, nie będąc bliżej rozwiązania zagadki niż dziś rano.

Kiedy się żegnamy, pobrużdżona twarz Victora wyraża konsternację. Widać, że nie nawykł do porażek w pracy poszukiwacza; obiecuje, że będzie dalej badał sprawę i prześle wiadomość natychmiast, jeśli natknie się na wyrażenie.

Podczas podróży do Londynu siedzimy w milczeniu. Słońce wisi nisko na niebie, chowając się za chmurami, które zasnuwają cały

krajobraz. Nawet pan Wigan stracił swój codzienny entuzjazm, więc z ulgą zostawiamy jego i Madame Berrier przy zaniedbanej kamienicy z piaskowca, do której przybyłam z Dimitrim zaledwie kilka godzin wcześniej.

- Przykro mi, Lia - mówi Dimitri, podczas gdy powóz telepie się ulicami Londynu w stronę Milthorpe Manor. - Wiem, miałaś wielką nadzieję, że osoba wskazana przez Arthura poda nam rozwiązanie, tym bardziej gdy okazało się, że to pan Wigan i Madame Berrier.

- Wszystko będzie dobrze - wzdycham. Moje słowa nie brzmią tak przekonująco, jak powinny. Patrzę Dimitriemu w oczy. - Będzie dobrze, prawda?

Nienawidzę siebie za to, iż wypowiedziałam na głos swoje obawy: że wcale nie będzie dobrze; że nigdy nie dotrę do odpowiedzi, których szukam; że Dusze wraz z Alice ostatecznie zapanują nad okrytym ciemnością światem.

- Lia. - Dimitri chwyta moją dłoń. Jego oczy mówią wszystko wyraźnie, ale on i tak ujmuje to w słowa. - Masz zmijowy kamień ciotki Abigail. Będzie cię chronił podczas naszych poszukiwań, bo przecież będziemy szukać dalej, dopóki nie doprowadzimy do rozwiązania przepowiedni. Masz moje słowo.

Zmuszam się do pocieszającego uśmiechu, chociaż czuję, jak jest fałszywy. Nie mówię mu, że zmijowy kamień jest z każdym dniem chłodniejszy. Nie zdradzam, że Sonia, Luisa i ja być może nie zdołamy żyć w zgodzie na tyle długo, żeby razem walczyć ze skutkami prorocstwa - nie mówiąc o Helene, która przyjeżdża jlitro i spowoduje jeszcze większą niepewność w naszym gronie.

Nie dzielę się z Dimitrim największą obawą: z każdym upływającym dniem moja determinacja także słabnie. Staję się dla siebie najpoważniejszym wrogiem, groźniejszym niż kiedykolwiek Alice.

Dimitri wraca na noc do swojej kwatery w siedzibie Towarzystwa, Sonia i Luisa. Resztki dnia pochłonął już mrok. Obietnica, że przyjadę na podwieczorek, abyśmy razem mogły spędzić ostatnie popołudnie przed przybyciem Helene, okazała się pusta.

Niepotrzebnie jednak się trapię. Luisa i Sonia poszły już do swoich sypialni, a w domu panuje całkowita cisza, poza tykaniem dużego zegara przy wejściu i cichym odgłosem kroków służby w kuchni.

Nieobecność moich przyjaciółek jest jak wyrzut. Siadam na sofie przy kominku. Nie mam ochoty wracać do swojego pokoju i iść spać. Sen nie przynosi uspokojenia. Zwracam więc swoje myśli ku niekończącym się trudnościom związanym z prorocstwem, przeglądając całą ich listę: znalezienie ostatniego Klucza, odszukanie Kamienia, odprawienie Obrzędu koniecznego, by położyć kres przepowiedni - i to dopiero wtedy, kiedy rozwiążę wszystkie wątpliwości. Pytania unoszą się na powierzchni mojej podświadomości. Uczucie nie jest nieprzyjemne, dlatego pozwalam się ponieść myślom tam, gdzie chcą, wiedząc, że rozwiązania często pojawiają się wówczas, kiedy najmniej się ich spodziewamy. Z zamyślenia wyrywa mnie ciche pukanie do drzwi wejściowych. Podnoszę się z sofy, patrzę w głąb korytarza i zastanawiam się, czy przypadkiem nie uległam złudzeniu. Chyba nikt inny nie usłyszał pukania. Mam już wrócić do salonu, kiedy rozlega się znowu. Tym razem jestem pewna, że ktoś pukał.

Dźwięk dochodzi od frontowych drzwi.

Rozglądam się po korytarzu w lewo i prawo, szybko zdając sobie sprawę, że nikt poza mną niczego nie usłyszał. Służące nadal krzątają się w kuchni, ale nikt nie podchodzi do wejścia. Cieszę się z tego, idąc przez hol. Mam przecucie, że ten gość przychodzi do mnie.

W mosiężnej gałce u drzwi odbija się mój zniekształcony obraz, otwieram jednak bez wahania. I wtedy wcale nie jestem zaskoczona, widząc na progu swoją siostrę. Niemal nie zauważam chłodnego podmuchu, który wdziera się do domu, bo Alice zaczyna mówić.

- Dobry wieczór, Lia. Ja... - urywa. - Przepraszam, że przychodzę tak późno. Miałam nadzieję, że nie śpisz i że porozmawiamy bez świadków.

Zaglądam jej w oczy, ale w ich głębi nie znajduję wrogości. Poza tym bardziej bezbronna jestem podczas snu, podróżując po Równinie, niż w drzwiach domu, w którym jest cała służba - i Edmund. Robię krok w tył i otwieram szerzej.

-Wejdz.

Alice ostrożnie wkracza do wnętrza, patrząc w sufit, kiedy ja zamykam drzwi.

- Tak naprawdę nie pamiętam Milthorpe Manor - mruczy. - Byłyśmy chyba tutaj z mamą i tatą jako małe dziewczynki, ale ja w ogóle nie znam tego domu.

- Kiedy przyjechałam, czułam się tak samo - ze zrozumieniem kiwam głową. - Myślę, że tamto wydarzyło się zbyt dawno.

- Tak przypuszczam. - Alice ściąga rękawiczki.

- Gdzie mieszkasz podczas pobytu w Londynie? - pytam i natychmiast tego żałuję. Takie pytania zadają najczęściej dalsi znajomi podczas oficjalnych odwiedzin.

Alice jednak nie zwraca na to uwagi. j

-Wynajęliśmy pokoje w hotelu Savoy. Wiedziałam, że tutaj oczywiście nie będę mile widziana.

Stoimy bez ruchu, obrzucając się spojrzeniami, aż zaczynam dostrzegać absurd sytuacji. Dzieli nas w zasadzie wszystko, lecz Alice nadal jest moją siostrą.

- Przejdźmy do salonu. - Ruszam korytarzem, nie sprawdzając, czy Alice idzie za mną - wiem, że tak jest, bo czuję na plecach jej wzrok.

Po wejściu do ogrzanego kominkiem salonu zajmuję krzesło, zostawiając dla Alice miejsce na sofie, gdzie siedziałam ledwie chwilę temu. Siostra ogląda pokój, a ja zgaduję, czy porównuje go do salonu w Birchwood.

- Co tu robisz, Alice? - Łagodność tych słów zdumiewa mnie samą. To zwykłe pytanie, niezawierające oskarżeń, jakie czają się w zakamarkach mojego serca. - Po co przyjechałaś?

Alice bierze głęboki oddech i przygląda się swoim dłoniom, zanim odpowiada:

-Jesteś moją siostrą, Lia. Bliźniaczką. Często żałowałam, że tych minionych tygodni nie mogłam spędzić z tobą.

Aluzja do zaręczyn budzi gniew, dotychczas śpiący gdzieś we mnie.

- Na twoim miejscu nie spodziewałabym się mojego udziału w przygotowaniach do ślubu. Zwłaszcza że zaręczyłaś się z moim dawnym narzeczonym - mówię surowo i chyba nie powinnam się dziwić, że mój głos przepelnia gorycz.

- Gniewasz się - stwierdza Alice.

Z gardła wrywa mi się chrapliwy śmiech.

- Myślałaś, że urzęduję przyjęcie na twoją cześć? Że będę życzyć ci szczęścia?

Alice podnosi oczy i napotyka mój wzrok.

- Tak, chyba miałam nadzieję, że będziesz umiała cieszyć się moim szczęściem, Lia, bez względu na to, co stało między nami.

Słyszając to, zrywam się z miejsca i podchodzę do kominka, starając się opanować nagłe drżenie rąk.

- Twoim szczęściem? Naprawdę tak myślałaś? - Nie znajduję innych słów, bo przepelnia mnie niedowierzenie.

- Chyba tak. - Głos Alice jest twardszy niż przedtem. - Zostawi-
*

łaś go, Lia. To ty wyjechałaś. Czego się spodziewałaś? Że z wypiekami na twarzy będzie czekał, aż wrócisz?

Odwracam się do niej, a płomień mojej wściekłości jest chyba gorętszy niż ten za mną w kominku.

- To ty sprawiłaś, że nikt na mnie nie czeka, Alice. I że nie miałam po co zostawać!

- Nie bądź naiwna, Lia. - Moja siostra wstaje z błyskiem w oczach. - Nie tylko ja jestem winna. Obydwie dokonałyśmy wyboru. Mogłaś poprosić Henry'ego o listę i dać ją mnie, żeby go chronić. Mogłaś pomagać Duszom, bo taka jest twoja powinność jako Bramy. Ty też podjęłaś pewne decyzje. - Chłód w jej głosie narasta. - Nie jesteś niewiniątkiem.

Rozgniewana, przemierzam dywan trzema krokami i staję naprzeciwko Alice. Trzęsę się ze złości.

-Jak śmiesz! Jak śmiesz mówić o Henrym! Nie masz prawa! Nie masz prawa już nigdy o nim wspominać.

Alice zaczyna wciągać rękawiczki, a oddycha tak szybko, że dostrzegam, jak faluje jej pierś.

- Widzę, że to bez sensu. Po prostu sądziłam, że możemy zapomnieć o prorocztwie, zajmując się bardziej osobistymi sprawami. Że twoje serce zdobędzie się na to, by mi pobłogosławić.

-Pobłogosławić? Potrzebujesz błogosławieństwa? - Mój śmiech jest lekko histeryczny. - Och, Alice, zapewniam cię, że moje błogosławieństwo na nic ci się nie przyda.

- Niby dlaczego? - Przechyliła głowę.

Nagle histeria ustępuje. Mówię stanowczym głosem, patrząc jej w oczy.

- Bo nie będzie ślubu. Przynajmniej nie z Jamesem.

-I tu się mylisz, Lia - uśmiecha się Alice. - Będzie ślub. Zostanę żoną Jamesa Douglasa.

- Naprawdę? - pytam. - Jesteś pewna, że się z tobą ożeni, kiedy dowie się, jaką rolę odgrywasz w przepowiedni?

Jej ciało nieruchomieje.

- Skąd wiesz, że już się nie dowiedział?

- Ponieważ, droga Alice - odpowiadam z uśmiechem - James Douglas jest dobrym człowiekiem. Nigdy nie ożeniłby się z dziewczyną o sercunak czarnym jak twoje... gdyby tylko wiedział, jak bardzo jest czarne.

Alice wzdryga się, krew odpływa jej z policzków. Po chwili, ze względu na moją obecność, uspokaja się.

- Nie uwierzy ci.

-Jesteś pewna? Absolutnie pewna? A może popatrzy mi w oczy i zobaczy prawdę?

Widzę, jak na tę groźbę Alice przełyka ślinę.

-James mnie kocha. To fakt, że przez wiele miesięcy w jego oczach widziałam twój cień, ale to już sprawa przeszłości. - Wyzywająco zadziera głowę. - Nawet jeśli mu powiesz, a on ci uwierzy, będzie stał u mojego boku, tak jak kiedyś stałby przy tobie - gdybyś miała odwagę mu powiedzieć.

Jej słowa kaleczą moje serce jak sztylet. Ona ma rację. W tym, co się stało, mam swój niemały udział, bo w sprawie proroctwa potraktowałam Jamesa jak pionek. Gdybym mu zaufała, powiedziała mu o wszystkim, prawdopodobnie stanąłby po mojej stronie i nie był teraz narzeczonym mojej siostry.

Ale wtedy nie miałabym Dimitriego. A to również jest niewyobrażalne.

- Zobaczymy.

*

- Zobaczymy - Alice wygładza suknię. Rusza do wyjścia, a ja podążam za nią przez salon i hol. Kładąc rękę na klamce, jeszcze odwraca się do mnie.

- Wiesz, to nie było łatwe.

- Co nie było łatwe? - pytam, chociaż tak naprawdę nie obchodzi mnie to. Naprawdę nie. Wolałabym, żeby sobie poszła.

Wydaje mi się, że na jej twarzy dostrzegam ślad bólu, nim znów przesłania go wrogość.

- Widzieć podziw w oczach ludzi, kiedy mówili o tobie. Zdawać sobie sprawę, że ojciec, James, nawet mama woleli ciebie niż mnie.

Czy to taki problem uwierzyć, że James pogodził się z twoim odejściem, że kocha mnie mocno i szczerze? Może przynajmniej ten jeden raz nie budzisz większego zachwytu niż ktoś inny?

- Nie wiem, o czym mówisz, Alice. - Potrząsam głową. - Od urodzenia zawsze żyłam w cieniu twojej osoby. Miłość Jamesa była jedną z niewielu rzeczy należących tylko do mnie. - W swoim głosie słyszę konsternację. To Alice była zawsze faworyzowana.

Piękna. Energiczna. Pełna życia.

Jej uśmiech nie ma w sobie takiego pojednawczego ciepła, jakie widziałam w salonie.

- Jesteś taka uparta, Lia. Nie chcesz patrzeć na rzeczy w prawdziwym świetle, jeśli ci to nie odpowiada. Nie mam pojęcia, czemu ciągle mam nadzieję, że coś się zmieni. To nigdy nie następuje.

- Tak, i nigdy nie nastąpi. Nie w przypadku proroctwa i mojej w nim roli. Nie tam, gdzie stawką jest los osób, które kocham. Boję się tego uśmiechu, który wypełza na jej usta. Widywałam go wcześniej podczas naszych licznych spotkań na Równinie. Jest wymownym znakiem tego, że Alice sprzymierzyła się z Duszami, na-

- Dziwię się, że nadal tak dobrze myślisz o sobie, Lia, i że nie dostrzegasz prawdy.

Krzyżuję ręce na piersiach.

- Co to za prawda, Alice?

Przechyliła głowę, jakbym pytała o coś oczywistego.

- Że wcale się tak mocno ode mnie nie różnisz i co dzień stajesz się bardziej podobna do mnie. - Otwiera drzwi, wymyka się na zewnątrz i zatrząskuje je.

Przez pewien czas stoję i wpatruję się w drzwi, rozmyślając o mojej siostrze, Jamesie i przepowiedni, o tym, jak pogmatwały się nasze relacje.

Kiedy wreszcie odwracam się, żeby wejść po schodach, staram się skupić wyłącznie na Jamesie i na tym, co mu powiem, na jego życiu i potrzebie ochrony go przed Alice. Lecz cały czas słyszę ostatnie słowa siostry. Odbijają się echem w moich myślach, aż tracę pewność, czy wypowiedziała je ona, czy ja.

Nie śpię dobrze. Sny są pełne mrocznych postaci i szeptów dochodzących jakby z wnętrza głowy.

Przemierzając te pólśenne krajobrazy, mam świadomość, że wciąż zastanawiam się nad miejscami, gdzie mógłby znajdować się Kamień. Widzę Victora, jak przesuwając drabinę po szynie, przemieszczając się od jednej książki do drugiej, oraz Dimitriego, który stoi na dole, trzymając kartkę papieru. Na moment przed przebudzeniem czuję, jakby odpowiedź przeciekała mi przez palce. Jednak kiedy minutę później siadam na łóżku, zdaje mi się, że ją znam.

- Czy możesz mi wyjaśnić, co właściwie robimy?

Dimitri zmęczonym gestem przeciera twarz, powstrzymując ziewnięcie. Nasz powóz, kołysząc się, przemierza przestrzeń w bladonie-bieskim świetle poranka.

Przysuwam się do niego i, przejęta, chwytam go za rękę.

- Nie rozumiesz? Patrzyliśmy na to ze złej strony. - Przygryzam wargę, zastanawiając się nad wypowiedzianym zdaniem. - To znaczy ja uważam, że patrzyliśmy na to ze złej strony. Nie będziemy mieć pewności, dopóki nie rozmówimy się z Victorem.

- Tak, o tym już wspominałaś - wzdycha Dimitri. - Ale nadal nie rozumiem, na co patrzyliśmy ze złej strony. Do tego jeszcze nie doszłaś.

- Pytaliśmy Victora i pana Wigana o wyrażenie z ostatniej strony proroctwa.

- Tak - zgadza się Dimitri - bo właśnie ją staraliśmy się rozszyfrować. To jednak nie tłumaczy, dlaczego jedziemy do Victora o tak

- Zabrałaś listę? - wyciągam rękę.

- Tak, oczywiście. Przecież mnie prosiłaś, prawda? - Sięga do kieszeni i wyjmując złożoną kartkę, po czym kładzie mi ją na dłoni. Rozwijam papier i odczytuję listę potencjalnych miejsc ukrycia Kamienia - wielu, które wykreśliliśmy, oraz dziewięciu pozostałych.

- Zdaje się, że ta ostatnia strona podaje lokalizację Kamienia w jakimś obcym języku. - Mój głos jest ledwo słyszalny z powodu turkotu kół toczących się po kamienistej drodze. Nie mam pojęcia, jak Edmundowi udaje się utrzymać powóz w pozycji pionowej.

- Poszukiwanie znaczenia na podstawie tylko jednego wyrażenia, którego nie rozumiemy, przypomina szukanie igły w stogu siana.

- To dosyć oczywiste, kochanie. Właśnie dlatego do tej pory nie odgadliśmy, gdzie jest Kamień. - Dimitri stara się ukryć zniecierpliwienie, ja jednak słyszę je w jego słowach.

- Tak, ale również dlatego, że szukaliśmy w niewłaściwy sposób.

- Odrywam wzrok od listy i napotykam spojrzenie Dimitriego.

- Nie korzystaliśmy z tego, co już wiemy.

- A co wiemy?

- To. - Macham mu kartką przed nosem. - Zostało tylko dziewięć miejsc.

- Tak. - Dimitri marszczy brwi.

- Jeżeli damy Victorowi naszą listę, będzie mógł prowadzić badania dotyczące tylko dziewięciu miejsc, szukając odniesienia do Sliabh na Cailli. - Przerywam, bo czuję nagle, że mój pomysł nie jest tak błyskotliwy, jaki wydawał mi się jeszcze dwie godziny temu w zaciszu sypialni. - To żadna gwarancja sukcesu, ale lepsze niż zaczynanie od zera, jak sądzisz?

Dimitri przez chwilę siedzi w milczeniu, potem nachyla się i całuje mnie w usta.

- To o wiele więcej, niż mieliśmy dotychczas. I takie proste, że prawie genialne.

Staram się przejąć jego entuzjazm i próbuję wskrzesić nadzieję, jaką czułam, budząc się z myślą, żeby zawieźć listę Victorowi. Naraz nie jestem już taka pewna. Nasze pragnienie znalezienia odpowiedzi wisi na bardzo cienkiej nici, a zważywszy wszystkie nierozwiązane kwestie, trzeba pamiętać o tym jednym, co jest pewne: Beltane przypada za dwa miesiące.

Mamy coraz mniej czasu.

- O nie! Jest ich za dużo! Nigdy wszystkich nie przejrzymy! - Rozwalam się w szerokim, wyściełanym fotelu. Wiem, że to nie-elegancko, ale nie dbam o to.

Po długich namowach Victor otworzył wreszcie drzwi; zajęło nam to dwadzieścia minut, odkąd zaczęliśmy pukać. Wysłuchał naszych wyjaśnień nad tacą zastawioną filiżankami i tostami, a kiedy pokazaliśmy mu listę, prawie natychmiast zabrał się do ściągania druków z półek biblioteki.

- Ciii! - brzmi odpowiedź Victora na moją frustrację. - Mów za siebie, młoda damo. Teraz, skoro mam wytyczony kierunek pracy, nie przestanę szukać, dopóki nie zbadam każdego miejsca wymienionego na liście.

Rozglądam się po pokoju i zatrzymuję wzrokiem na olbrzymiej stercie książek ułożonych przed nami na biurku.

- Spędzimy tu cały dzień! - Na tę myśl prostuję się. - Edmundzie, która jest godzina?

Szuka oczami zegara na półce nad kominkiem.

- Dochodzi jedenasta. Czemu panienka pyta?

4-

Zrywam się z fotela i dotykam ręką czoła, zdając sobie sprawę z tego, co zrobiłam.

- Helene. Helene przyjeżdża dziś rano, w tej chwili prawdopodobnie jest już w Milthorpe Manor. - Zaczynam się zastanawiać, jak mój postępek wpłynie na relacje z Sonią i Luisą.

- Kimkolwiek jest Helene, musi być ważną osobą - mówi Victor, wstając. - Nie martwcie się. Będę szukał dalej i zawiadomię was natychmiast, gdy tylko coś znajdę.

Ponownie przyglądam się stercie książek czekających na przejrzenie.

-Jest pan pewien? To chyba nie w porządku zostawiać pana samego z tym zadaniem.

Victor głośno się śmieje i klaszcze w dłoń.

- Droga panienko! Nie mam zbyt wielu zajęć, żeby wypełnić samotne godziny. Zapewniam cię, że robisz mi wielką przysługę. Uśmiecham się i pochylam, żeby pocałować jego pomarszczony policzek.

- Dziękuję panu, jest pan bardzo dobry!

Victor rumieni się; zastanawiam się, od jak dawna nikt go nie dotykał.

- Nonsens, cała przyjemność po mojej stronie! - Rusza w stronę drzwi biblioteki. - Chodźcie, odprowadzę was.

Pospiesznie żegnamy się, przechodząc przez hol, i w kilka chwil później siedzę z Dimitrim w powozie, a Edmund dzierży lejce - wracamy do Londynu.

- Myślisz, że coś znajdzie? - pytam Dimitriego, podczas gdy dom Victora znika za naszymi plecami.

- Nie wiem. Ale szanse są większe niż wczoraj.

Powóz jedzie o wiele za szybko. Przygotowuję się na spotkanie z Helene oraz konfrontację z Sónią i Luisą, wyobrażając sobie całe zdarzenie, ale źle mi to działa na nerwy - im bliżej domu, tym bardziej robię się spięta.

- Chcesz, żebym wysiadł razem z tobą w Milthorpe Manor?
- odzywa się Dimitri, biorąc mnie za rękę, kiedy wjeżdżamy do miasta.

Walczę z impulsem, żeby przytaknąć - Sonia i Luisa na pewno będą się gniewać, że nie uwzględniłam ich w swoich porannych planach, ale przyprowadzenie do domu Dimitriego dołałoby tylko oliwy do ognia.

- Nie, lepiej będzie, jeśli sama powitam Helene. Mam nadzieję, że i tak wkrótce się poznacie. Będzie mieszkała w Milthorpe Manor.
- Jak dużo powiedział jej Philip o proroctwie? I roli Helene?
- pyta Dimitri.

Wzdychając, wyglądam przez okno, jakby w ciasnym wnętrzu powozu nagle dopadła mnie klaustrofobia.

- Powiedział jej prawdę, w jak najprostszym sposobie - wyjaśniam cicho. - A czy mu uwierzyła, czy nie... Cóż, to zupełnie inna sprawa.
- Pewnie mu uwierzyła, przynajmniej trochę. Inaczej po co przyjeżdżałaby do Londynu?
- Prześladowają ją pewne sny, tak jak każdą z nas. Powiedziała Philipowi, że niechętnie podróżuje w mrokach nocy. Czuje, że Dusze siedzą jej na karku, choć do tej pory nie potrafiła tego dokładnie określić. - Unikam spojrzenia Dimitriego; mimo że wciąż wyglądam przez okno, czuję na sobie jego wzrok. Nie chcę, żeby dostrzegł strach w moich oczach. - Proroctwo zawładnęło nią, tak jak nami wszystkimi.

Palce Dimitriego dotykają mojego policzka. Obraca moją twarz w stronę swojej. Kiedy spoglądam w jego oczy, widzę płonącą w nich szaloną miłość.

- Tobą, Lia, nie zawładnęło. I nie zawładnie, dopóki żyję.

Zbliża swoje usta do moich, a ja staram się zatracić w tym pocałunku. Chcę, żeby przesłonił wszystko inne. Moje troski, koszmary, najczarniejsze myśli.

Mój plan nie jest jednak dość skuteczny. Zaszłam za daleko, myśląc, że to takie łatwe. Dimitri nie ma możliwości mnie uratować. Moje

ocalenie będzie zależało tylko ode mnie, a muszę do niego doprowadzić z pomocą mojej siostry.

Taka sytuacja jest nie do pomyślenia, odkładam więc rozważania na bok. Jeśli będę wciąż roztrząsać niemożność pozyskania przychylności Alice dla mojej sprawy, przypomnę sobie, jak beznadziejne są okoliczności.

A kiedy pomyślę o braku nadziei, będę zmuszona zacząć się zastanawiać, ile czasu pozostało mi do chwili, kiedy spojrzę w dół, stojąc na skraju urwiska. Jak moja mama.

Kiedy wchodzę do holu w Milthorpe Manor, z salonu dobiega szmer głosów.

Wieszam pelerynę przy drzwiach, wygładzam suknię i poprawiam spinki we włosach, potem przechodzę przez korytarz. Jestem zdenerwowana i żałuję, że nie zgodziłam się, aby Dimitri wszedł ze mną do domu. Albo że Edmund nie stoi tu przy mnie, zamiast wjeżdżać do powozowni.

Im bliżej jestem drzwi salonu, tym wyraźniejsze stają się głosy wewnątrz. Rozpoznaję spokojny ton Soni oraz serdeczny, hałaśliwy śmiech Luisy. Spoza nich przebija inny głos, którego nigdy nie słyszałam. Głębszy i bogatszy niż głosy moich przyjaciółek, pozostaje dla mnie niezgłębioną jeszcze tajemnicą nieznanego mi życia w odległym kraju.

Potrzebuję momentu, tylko krótkiej chwili, żeby opanować się przed wejściem do salonu. Nie wiem, czy to pierwsze spotkanie z Helene, czy perspektywa zmagania się z irytacją Soni i Luisy spra-

łam powstrzymać tych zdarzeń. Nie na długo. Zbliżam się do nieznamomej dziewczyny siedzącej przy kominku, w krześle z wysokim oparciem.

- Dzień dobry. Przepraszam, że tak późno przyjechałam. Rano miałam pewną sprawę do załatwienia, która zajęła mi więcej czasu, niż przypuszczałam. - Kiedy podchodzę, ciemne oczy Helene przyglądają mi się ze skrywanym zainteresowaniem. Jej włosy, starannie upięte na cząbku głowy w kok, są czarne jak nocne niebo nad Altus.

- Ty zapewne jesteś Helene Castilla. - Dziewczyna mruga na widok mojej wyciągniętej ręki, więc cofam ją, przypomniawszy sobie, że wiele młodych kobiet uważa uścisk dłoni za zbyt męski zwyczaj.

- Nazywam się Lia Milthorpe, miło mi cię poznać. Czy miałaś przyjemną podróż?

- Podróż była długa - kiwa głową Helene - ale całkiem przyjemna. Pan Randall zadbał o moją wygodę. - Mówi po angielsku z egzotycznym akcentem. Z urody podobna jest do Luisy, choć jej sposób bycia nie ma w sobie nic z ujmującej otwartości mojej przyjaciółki.

Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem i dostrzegam stojącego w półmroku Philipa.

- Philip! - Podchodzę do niego i przysuwam twarz, żeby pocałować go w policzek. - Nie zauważyłam cię! Jak przebiegła podróż?

Philip uśmiecha się. Zmarszczki wokół jego oczu są głębsze niż podczas naszego ostatniego spotkania. Przepowiednia wszystkim nam daje się we znaki.

- Przeprowa przez kanał La Manche była nieprzyjemna. Przez cały czas morze było wzburzone, ale panna Castilla zносиła wszystko ze stoickim spokojem. - Posyła jej uśmiech. Nie wiem, czy tylko

- Dlaczego stoisz? Musisz być bardzo zmęczony. Usiądź, proszę. Czy jedliście coś?

- Wolę postać - Philip kręci głową. - Za długo siedziałem na statku. - Rzuca spojrzenie w stronę Soni i Luisy. - Proponowano nam posiłek, ale niestety byliśmy zbyt utrudzeni, żeby jeść. Wydaje mi się, że panna Castilla miałaby ochotę obejrzeć swój pokój. Po prostu czekaliśmy na ciebie.

W jego głosie nie słychać wyrzutu, ale mnie oblewa rumieniec wstydu na myśl o tym, że straciłam poczucie czasu, bawiąc u Vic-tora.

- Oczywiście. - Zwracam się do Luisy i Soni: - Czy bagaże Helene zanesiono już do jej pokoju?

- Służba umieściła je w żółtej sypialni na górze - potakuje Luisa, zaciskając usta.

Jej wyraźna złość budzi i we mnie irracjonalny gniew, bo choć muszę przyznać, że powinnam była zabrać przyjaciółki rano do Vic-tora, nie mam ochoty prosić ich o wybaczenie. Zmuszam się do uśmiechu, starając się zapomnieć o niedobrych emocjach.

- Czy ty i Sonia mogłybyście zaprowadzić Helene do pokoju, podczas gdy ja przejdę się z Philipem?

Luisa zgadza się i wstaje, a ja wyciągam rękę do nowo przybyłej, mając nadzieję, że tym razem nie odrzuci tego gestu przyjaźni.

- Bardzo się cieszę, że przyjechałaś. Czuj się jak u siebie w domu, a gdybyś czegokolwiek potrzebowała, proś o to służbę albo którąś z nas. Może, gdy odpoczniesz, zjesz z nami obiad? Miałybyśmy okazję lepiej się poznać.

- Dziękuję. - Helene podnosi się z krzesła z uśmiechem tak nikłym, że prawie niewidocznym. To wszystko, co mówi, wychodząc psem. Kiedy znikają w głębi korytarza, z moich ust wyrywa się westchnienie.

- Wszystko w porządku? - Philip podchodzi do mnie. - Wyglądasz na zmęczoną.

Odwracam się, unikając jego badawczego wzroku, i zbliżam się do kominka.

- Sądzę, że sprawy mają się tak, jak można się było spodziewać. Mam wrażenie, że jesteśmy wyczerpani zmaganiem się z przepowiednią.

- Po tym, co się stało, z pewnością masz prawo być wyczerpana. Co jeszcze mogę zrobić, żeby ci pomóc? - pyta Philip. Decyduję się jednak spojrzeć mu w oczy, czując, że na usta wypływa mi smutny uśmiech.

- Powinnam powiedzieć: „Znajdź ostatni Klucz”, ale wiem, że właśnie nad tym pracujesz.

Philip spokojnie potakuje, marszcząc mocno brwi.

- Dostałem wiadomość z małego miasteczka, w którym mieszkała dziewczyna ze znamieniem. Mam kilka spraw, którymi muszę się zająć tu, w Londynie, ale zbadam tę kwestię za parę dni.

- Czy tylko mi się wydaje, czy nie podchodzisz do tego optymistycznie? - Uważnie patrzę mu w twarz.

- Nie chodzi o brak optymizmu, lecz o niedostatek informacji. Wiesz, powiedziano mi, że ona już nie przebywa w tej miejscowości. Podobno jej matka zmarła przy porodzie, a ojciec po paru latach zabrał gdzieś dziecko.

- Nie rozumiem - kręcę głową. - Po co masz tam jechać, skoro jej tam nie znajdziesz?

Philip wzrusza ramionami, a w tym geście kryje się rezygnacja.

że ktoś poinformuje mnie, dokąd wyjechała. To dość nieprawdopodobne, żeby ona była czwartym Kluczem, zważywszy na nasz dotychczasowy brak szczęścia, ale najroztropniej będzie podążać każdym śladem aż do końca.

Uważnie przyglądam się swoim dłoniom; spod rękawa sukni widać pasek skóry naznaczony znamieniem węża. Słowa Philipa to żadna rewelacja. Dobrze jest przyjąć praktyczne założenie, że podczas poszukiwania Kluczy nasze tropy wreszcie doprowadzą do celu. Tyle że jest bardzo dużo dziewcząt, o których mówi się, że mają takie dziwne znamię. Dlatego nagle cała energia opuszcza moje ciało, jakby wsiąkała w dywan pod stopami, i zostaje mi tylko wszechogarniające znużenie.

- Tak - cicho potwierdzam. - Musimy cierpliwie badać każdą wskazówkę, nawet najbardziej nieprawdopodobną. Nie spiesz się, Philipie, i odpocznij po podróży z Helene. Bardzo ciężko dla nas pracowałeś i ty też wyglądasz na zmęczonego.

Philip uśmiecha się, zмирzając do drzwi salonu.

- Nie bardziej niż ty, moja droga. Na pewno nie bardziej.

- Chodźmy - biorę go pod ramię. - Odprowadzę cię do wyjścia, a potem jedź do domu i wypocznij.

Przechodzimy przez główny korytarz, gdzie Philip zdejmuje z wieszaka przy drzwiach swój płaszcz. i

- Dziękuję, że przywiozłeś Helene do Londynu, Philipie. Nie wyobrażam sobie, co bym bez ciebie zrobiła. - Mam nadzieję, że dostrzeżę życzliwość w moich oczach.

Odwzajemnia uśmiech i kładzie rękę na klamce.

- Twój ojciec był wspaniałym przyjacielem. Sprawy proroctwa oraz ocalenie cię przed jego konsekwencjami stały się dziełem mojego życia. Modlę się tylko, abym zdołał sprostać zadaniu.

Chcę jeszcze coś dodać, zapewnić go, że jeśli ktokolwiek może znaleźć ostatni Klucz, to z pewnością on. Ale wychodzi, nim zdążę wypowiedzieć choć jedno słowo.

Najpierw zamierzam udać się do swojej sypialni, żeby odpocząć przed obiadem, ale minawszy o parę kroków pokój Soni, nieruchomieję.

Wiem, że moja przyjaciółka jest po drugiej stronie drzwi; prawdopodobnie odpoczywa, szcotokuje włosy albo czyta jakąś książkę z domowej biblioteki. Zamknięte drzwi budzą we mnie

smutek - kiedyś wbiegłabym do środka, żeby omówić wszystkie wydarzenia dnia.

Nie - kiedyś Sonia przebywała razem ze mną zawsze i wszędzie. Nie było potrzeby informować jej o niczym, bo była moją przyjaciółką i towarzyszką we wszystkich sprawach. Nagle nie potrafię sobie wyobrazić utraty tej przyjaźni. Wracam pod pokój Soni i cicho pukam, nie dając sobie czasu na zmianę decyzji.

Po chwili Sonia otwiera, a ciekawość na jej twarzy szybko przeradza się w zdumienie, kiedy okazuje się, że to ja stoję na progu.

-Lia! Co ty tu...? Wejdz!

Ponieważ jest tak wyraźnie zaskoczona, widząc mnie w wejściu do swojego pokoju, mam poczucie winy. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio potrzebne mi było jej towarzystwo. Wchodzę do środka, a Sonia zamyka za mną drzwi.

-Wchodź i siadaj. Sarah właśnie rozpałała ogień.

Podchodzę do jej łóżka, omijając inne siedziska przy kominku. Tylko na łóżku siadywałam przy tych rzadkich okazjach, gdy przychodziłam do pokoju Soni po jej przyjeździe z Altus. I tym razem opadam na pluszowy materac, wpatrując się w podłogę, bo przypominam sobie, jak wygodnie mościłyśmy się w łóżkach, zwierza-

jąc się sobie, śmiejąc się i rozmyślając o przyszłości. W tym momencie chciałabym tylko, żeby wszystko było jak dawniej. Sonia siada nieśmiało obok mnie, jakby się bała, że w każdej chwili mogę zmienić zdanie i wyjść.

- Czy wszystko w porządku?

Biorę głęboki oddech i podnoszę wzrok, żeby popatrzeć jej w oczy.

- Wydaje mi się, że od pewnego czasu nie w porządku.

- Tak - zgadza się Sonia - ale staramy się poprawić sytuację.

- Chciałam tylko powiedzieć... Przepraszam. - Te słowa są trudniejsze, niż przypuszczałam.

- Wiem. - Sonia bierze mnie za rękę.

Jej ton nie jest niezyczliwy, ale ponieważ nie protestuje przeciw przeprosinom, przez moje żyły zaczyna płynąć fala oburzenia. Chcę zdusić w sobie gorycz, która jest jak zwierzę, pragnące pożreć mnie żywcem.

Uśmiecham się, ale czuję, jakbym miała na twarzy maskę.

-Ja się staram i ty się starasz, żeby wszystko znów było po staremu.
Sonia odpowiada ze smutnym uśmiechem:

- Tak, ale jest pewna różnica.

-Jaka?

Unosi dłonie w górę, jak gdyby się poddawała.

- Ty szukasz rozwiązań związanych z prorocstwem i dążysz do tego, żeby mi przebaczyć, a ja tylko patrzę, co przyniesie mi los. -
Wzrusza ramionami. - To ty kontrolujesz sytuację. A ja mogę wyłącznie czekać.

Chciałabym zaprzeczyć jej słowom, zanegować ich prawdziwość. Ale moja przyjaciółka ma rację. Od wyjazdu z Altus cała władza jest w moich rękach. Kiedy więc skłaniam głowę i wstaję, aby opuścić

ności dlatego, że obawiam się zdrady, czy dlatego, że podoba mi się, iż pociągam za wszystkie sznurki.

Początkowo obiad przebiega w dość niezręcznej atmosferze. Ciotka Virginia stara się podtrzymać rozmowę, przekazując nam ploteczki Elspeth z balu maskowego, lecz wszyscy czują ukryte napięcie.

Ja mam dziwne wrażenie, jakbym była sparaliżowana. Zmartwienia związane z poszukiwaniem Kamienia, wymiana zdań z Sonią i perspektywa rozmowy z Jamesem sprawiły, że siedzę w milczeniu, bo słowa nie są w stanie wygrać z moimi myślami.

Wreszcie dochodzę do siebie, starając się zachowywać tak, jak przystało na dobrą panią domu.

- Czy wygodnie ci w twoim pokoju? - pytam Helene, unosząc do ust kieliszek z winem.

- Tak, dziękuję - kiwa głową Helene, odłożywszy widelec.

- Udało ci się odpocząć po podróży?

-Tak.

Jej twarz jest nieprzenikniona. Nie wiem, czy ta dziewczyna celowo utrudnia rozmowę, czy po prostu nie potrafi jej rozwinąć.

- Wyjechałaś z domu, to musiało być smutne - mówi łagodnie Sonia. Budzi we mnie wspomnienie tej osoby, którą była kiedyś w Nowym Jorku.

- Tyle że... konieczne - odpowiada Helene. - Ale to prawda, że niełatwo zostawiać za sobą to, co znajome.

Widzę, że stoicka fasada zaczyna się odrobinę kruszyć.

- Wiem, co czujesz - kontynuuje Sonia. - Ja też zostałam wysłana z domu do Nowego Jorku i zamieszkałam z obcą osobą. Byłam

otoczeniu. - Uśmiecha się do Helene. - Jednak potem przywykłam, więc mam nadzieję, że i ty się przyzwyczaisz.

Helene prostuje plecy i znów ma nieodgadnioną twarz.

- Chyba źle mnie zrozumiałaś. Nie mam zamiaru przyzwyczajać się do Londynu. Chcę jak najszybciej wrócić do Hiszpanii.

Luisa kręci głową, a w jej oczach kryją się same pytania.

- Więc dlaczego przyjechałaś?

Helene stawia kieliszek na stole, a kiedy przełyka wino, jej piękna szyja drży.

- Chcę, żeby to szaleństwo już się skończyło. Jestem zmęczona dręczącymi mnie snami, czarnymi myślami nawet w najbardziej słoneczny dzień. Im staję się starsza, tym jest gorzej. Jeżeli przyjazd do Londynu i zapoznanie się z wami oznacza, że nareszcie będę wolna, niech się tak stanie.

Ciotka Virginia ze zrozumieniem kiwa głową. Ciekawa jestem, czy myśli o mojej mamie i jej przegranej walce z Duszami.

- Czy zdziwiłaś się, kiedy Philip cię odnalazł? - pyta. - Kiedy wyjaśnił ci twoją rolę w przepowiedni?

Helene przygląda się potrawom na talerzu, ale nie je. Kiedy zaczyna mówić, słyszę w jej głosie wspomnieniowy ton.

- Zawsze byłam inna. I nie chodziło tylko o zamię. Odkąd pamiętam, docierały do mnie głosy ludzi znajdujących się po drugiej stronie. Mówili do mnie nawet wtedy, gdy błagałam, żeby przestali. Ale to nie wszystko. Jako dziecko często śniłam o lataniu.

Wiedziałam, że to nie jest normalne, żeby przedmioty z mojego snu przemieszczały się do rzeczywistości, lecz tak się nieraz zdarzało.

Przynosiłam kamyk, piórko, źdźbło trawy - Wzrusza ramionami. - W nocy trafiały do mojego łóżka, wiedziałam więc, że sny są prawdziwe.

Światło świec migoczących na stole oraz śpiewny akcent Helene, ciągnącej swoją opowieść, kołyszą mnie i wprowadzają w stan odprężenia.

- Wkrótce jednak stały się nieprzyjemne. W świetle snu ciągle ktoś mnie prześladował, nie przynosiłam też ze sobą miłych pamiątek.

Miałam pokrwawione stopy i siniaki, bo nieustannie uciekałam przed mrocznymi, przerażającymi istotami. - Helene na moment przerywa. - Nie wiedziałam, jak mam o tym rozmawiać, powiedziałam tylko rodzicom. Zresztą oni już wcześniej podejrzewali, że coś jest nie tak, bo pamiętali o znamieniu i wielu dziwnych rzeczach, jakie przydarzyły mi się od czasów dzieciństwa.

- Czy rodzice rozumieli, jakie posiadasz zdolności? - W pytaniu Soni słyhać ból, musi wspominać, jak niechętnie rodzina odnosiła się do jej własnych nadprzyrodzonych talentów.

- Na tyle, na ile mogli - przytakuje Helene. - Ale to za mało.

- Po kolei patrzy nam w oczy. - Mam prawie osiemnaście lat, a jednak nie wolno mi się nawet zakochać albo śmiać się w towarzystwie innych dziewcząt, nie kontrolując każdego swojego słowa. Bo któżby mnie taką zaakceptował? Jak mogłabym to w ogóle wytłumaczyć?

Myślę o Jamesie i zaczynam ją rozumieć.

- Tutaj w Londynie mieszka wielu ludzi - mówi łagodnie Luisa

- podobnych do nas, mających niezwykle umiejętności. Nie musisz być aż tak samotna.

- To miłcf z waszej strony, że tak się staracie i chcecie mnie pocieszyć. - Helene przestaje mówić z rezerwą. -1 oferujecie swoją przyjaźń. Lecz ja nie chcę takiego życia, nie mam zamiaru być dziwadłem, poruszać się po obrzeżach świata. Chcę, aby to się skończyło, chcę wrócić do Hiszpanii i normalnie żyć.

Pamiętam czas, kiedy i moje plany były tak proste. Zanim poznałam Dimitriego. Nim ciotka Abigail i prawo obowiązujące na wyspie doprowadziły do przekazania mi uprawnień władczyni Altus.

Nie ma to jednak znaczenia, czy nasze marzenia są nieskomplikowane, czy wyszukane. Czy pragniemy żyć spokojnie jako żony, czy być na świeczniku jako władczynie, zwierzchniczki innych. Ostatecznie chcemy tego samego - żyć. Na naszych własnych warunkach, bez przepowiedni uwieszanej na szyi jak młyński kamień.

g

Ubrałam się bardzo starannie, choć wstydę się do tego przyznać nawet sama przed sobą.

Tylko ciotka Virginia i Edmund wiedzą, co mam zamiar zrobić. Nie potrafię powiedzieć o tym Dimitriemu, nie chcę patrzeć, jak się martwi, choć szczerze ukrywa troskę pod maską pewności siebie.

- Czy mam panience towarzyszyć? - pyta Edmund, kiedy wysiadam z powozu przed hotelem Savoy.
Zaprzeczam. Nie pozostawiłby mi wyboru, gdyby chodziło o kogokolwiek innego, lecz Edmund wie, że ze strony Jamesa nie mam się czego obawiać.

Przyglądam się imponującemu frontonowi budowli.

-Jeżeli chcesz, Edmundzie, możesz poczekać wewnątrz.

Bardziej czuję, niż widzę, że odmownie kręci głową.

- Będę tutaj, przy powozie, kiedy panienska skończy.

Odwracam wzrok od Savoya i uśmiecham się do Edmunda.

- Dziękuję, nie zajmie mi to dużo czasu.

O poranku ulice Londynu tętnią życiem, powozy i konie z trudem przepychają się przez tłum przechodniów. To wszystko znajduje się jednak na obrzeżach mojego umysłu. Im bardziej zbliżam się do bramy eleganckiego hotelu - i do Jamesa - tym mocniej kurczy się mój żołądek.

Nie znam numeru pokoju, lecz i tak nie wypada, abyśmy tam się spotkali, mimo naszej bliskiej znajomości w minionych latach.

Dlatego przechodzę przez pięknie urządzone lobby do recepcji, gdzie staję przed uśmiechającym się do mnie, tęgim i eleganckim dżentelmenem.

- Czym mogę służyć?

- Przyszłam z wizytą do pana Jamesa Douglasa. - Staram się opanować nerwy.

- Kogo mam zapowiedzieć? - Recepcjonista unosi brwi.

- Nazywam się Amalia Milthorpe. - Dziwnie się czuję, podając na głos swoje pełne imię. Odkąd opuściłam Nowy Jork i kształcąca panienska szkołę Wycliffe, nikt raczej nie zwracał się do mnie w ten sposób.

- Doskonale - odpowiada mężczyzna.

Odchodzę, żeby poczekać na Jamesa, i nerwowo rozglądam się po pomieszczeniu, czy nie zobaczę gdzieś Alice. Najprawdopodobniej zdaje sobie sprawę, że zechcę porozmawiać z Jamesem, lecz spotkanie to byłoby znacznie trudniejsze, gdyby postanowiła wprosić się na nie. Poza tym jednak nie mam pewności, czy większy niepokój budzi we mnie możliwość natknięcia się na Alice, czy zobaczenia Jamesa. Jakże to dziwne, myślę, że obydwójce są tutaj w Londynie, tak blisko, i że mieszkają właśnie w tym hotelu, prowadząc przygotowania do ślubu.

-Lia!

Na dźwięk tego głosu za plecami wzdrygam się. Byłam przygotowana na to, że James przyjdzie z moją siostrą, ale kiedy się odwra-

dem przepychają się przez tłum przechodniów. To wszystko znajduje się jednak na obrzeżach mojego umysłu. Im bardziej zbliżam się do bramy eleganckiego hotelu - i do Jamesa - tym mocniej kurczy się mój żołądek.

Nie znam numeru pokoju, lecz i tak nie wypada, abyśmy tam się spotkali, mimo naszej bliskiej znajomości w minionych latach. Dlatego przechodzę przez pięknie urządzone lobby do recepcji, gdzie stoję przed uśmiechającym się do mnie, tęgim i eleganckim dżentelmenem.

- Czym mogę służyć?

- Przyszłam z wizytą do pana Jamesa Douglasa. - Staram się opanować nerwy.

- Kogo mam zapowiedzieć? - Recepcjonista unosi brwi.

- Nazywam się Amalia Milthorpe. - Dziwnie się czuję, podając na głos swoje pełne imię. Odkąd opuściłam Nowy Jork i kształcąca panienki szkołę Wycliffe, nikt raczej nie zwracał się do mnie w ten sposób.

- Doskonale - odpowiada mężczyzna.

Odchodzę, żeby poczekać na Jamesa, i nerwowo rozglądam się po pomieszczeniu, czy nie zobaczę gdzieś Alice. Najprawdopodobniej zdaje sobie sprawę, że zechcę porozmawiać z Jamesem, lecz spotkanie to byłoby znacznie trudniejsze, gdyby postanowiła wprosić się na nie. Poza tym jednak nie mam pewności, czy większy niepokój budzi we mnie możliwość natknięcia się na Alice, czy zobaczenia Jamesa. Jakie to dziwne, myślę, że obydwójce są tutaj w Londynie, tak blisko, i że mieszkają właśnie w tym hotelu, prowadząc przygotowania do ślubu.

-Lia!

Na dźwięk tego głosu za plecami wzdrygam się. Byłam przygotowana na to, że James przyjdzie z moją siostrą, ale kiedy się odwra-

* mm

• f

- Dzień dobry, James - uśmiecham się.

Jego twarz nie jest taka, jaką ją zapamiętałam. Ze zdziwieniem zauważam, że się postarzała, jednak nie wygląda nieprzyjemnie. Przez

moje ciało przebiega nieoczekiwany dreszcz na myśl, że James nie jest już młodzieńcem, ale dojrzałym mężczyzną. Jego oczy, błękitne jak niebo w Birchwood, gdzie chadzaliśmy na spacer, zadają każde z tych pytań, na które boję się odpowiedzieć.

- Cieszę się, że przyszłaś - mówi, ale nie uśmiecha się.

Kiwam głową, rozglądając się po ruchliwym holu.

- Czy moglibyśmy...? Może chciałbyś przejść się trochę? Tutaj trudno byłoby rozmawiać.

James nie zastanawia się. Zamiast dalej stać w hotelowym lobby, sekundę później służy mi ramieniem i prowadzi do wyjścia. A gdy wychodzimy na londyńską ulicę, jesteśmy sami - tak jak czuliśmy się przez ostatni rok, odkąd opuściłam Nowy Jork.

Przemierzamy londyńskie ulice w milczeniu. Trzymając Jamesa pod ramię, dotykam jego napiętych mięśni. Prowadzi mnie pewnym krokiem, jakby dokładnie wiedział, gdzie mnie zabiera. W powietrzu nie czuję chłodu, chociaż oddychając, wypuszczam z ust obłoczki pary.

W chwilę później docieramy do parku, skrywającego się za gąszczem gałęzi drzew i krzewów. Przechodzimy przez żelazną bramę rozpościerającego się przed nami ustronia, w którym cichną hałasy miasta. Czuję, że zdenerwowanie trochę mnie opuszcza. Brak mi spokoju panującego na Altus albo w Birchwood Manor, chociaż przez większość czasu jestem tak zajęta i zafrasowana, że nie zauważam spięcia ramion, które towarzyszy mi podczas długiego pobytu. Podążamy zwirową ścieżką, którą od reszty parku oddzielają rosnące po obu stronach rozłożyste drzewa. Odgłosy miasta stają się ledwie szmerem. Bez tłumów ludzi, turkotania powozów i stukotu końskich kopyt o bruk jeszcze wyraźniej czuję bliskość Jamesa. Z trudem przetykam ślinę, bo kiedy idzie tuż obok, mój umysł zalewają wspomnienia.

- Nie pisałaś. - James przerywa milczenie tak niespodziewanie, że dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, iż zwraca się do mnie.

- Nie pisałam. - To za mało, ale tylko tyle potrafię powiedzieć. Podążamy dalej, dochodząc do zakrętu, skąd dostrzegam w oddali taflę wody.

- Czy ty nie...? Nie kochałaś mnie? - pyta wreszcie James.

Zatrzymuję się i ciągnę go za rękę, żeby też przystanął. Chcę popatrzeć mu w oczy.

- Nie na tym polegał problem. Zapewniam cię, James.

- A więc na czym? - Wzrusza ramionami. - Jak mogłaś mnie zostawić prawie bez słowa? Dlaczego nie napisałaś, skoro przez cały ten czas miałaś się świetnie, przebywając w Londynie?

To nie tak, myślę. To nie jest tak, jak sądzisz.

A jednak, zważając na to, jak niewiele miał informacji, wszystko musiało właśnie tak wyglądać.

Nie jestem w stanie patrzeć mu w oczy zbyt długo, dlatego znów pociągam go za rękę, tym razem po to, aby wznowić spacer.

- Na pewno nie było tak, że „miałam się świetnie”, James, ale zdaję sobie sprawę, jak ty to widziałeś. j

Docieramy do brzegu niewielkiego stawu, w którym odbija się szare niebo i którego fale rażno chlupoczą o brzeg. Tu, nad wodą, jest chłodniej, ale przyjmuję ten fakt z obojętnością, mimo że moje ciało zaczyna drżeć.

James patrzy na mnie i zdejmuje kurtkę, potem wkłada mi ją pod pelerynę i owija wokół ramion.

- Nie powinienem był przyprowadzać cię tutaj - stwierdza. - Jest zbyt zimno.

Znajome dotknięcie sprawia, że czuję się tak, jakby nie istniał upływ czasu. Jakbyśmy w tym momencie stali na brzegu rzeki przy Birchwood Marfior, słuchając, jak Henry i Edmund śmieją się gdzieś w oddali.

- Nic mi nie jest. Dziękuję za kurtkę. - Ruszam w kierunku kutej ławki stojącej nad sadzawką. - Usiądziemy?

Kiedy James siada na ławce, jego udo dotyka mojego. Nie wiem, czy powinnam się odsunąć, oddalić od niego ze względu na swój związek z Dimitrim i na zaręczyny Jamesa z Alice. Okazuje się jednak, że nie potrafię. Dotknięcie jego silnego ciała sprawia mi przyjemność. A pozwalanie sobie na tak drobne przyjemności nikomu nie zaszkodzi. Biorę głęboki oddech i zaczynam tak, jak trzeba - od początku.

- Pamiętasz księgę - tę, którą znalazłeś w bibliotece ojca po jego śmierci?

-W bibliotece twojego ojca, po jego śmierci... - skupiony James marszczy brwi. - Podczas katalogowania znalazłem dużo książek, Lia.

Nie przyszło mi do głowy, że James mógł zapomnieć. Dla niego Księga Chaosu była jednym z wielu ciekawych znalezisk, chociaż całkowicie odmieniła i moje, i jego życie.

- Chodzi o tę, na którą natrafiłeś zaraz po pogrzebie. O Księgę Chaosu. Napisaną po łacinie. - Mam nadzieję, że pobudzę jego pamięć. Wystarczająco trudno będzie mu uwierzyć w proroctwo, nawet jeśli przypomni sobie książkę. Jednak w przeciwnym razie, jak

- Chyba pamiętam - powoli kiwa głową. - Była w niej tylko jedna strona?

- Właśnie tak. - Oddycham z ulgą. - A pamiętasz, że przetłumaczyłeś ją dla mnie?

- Co nieco pamiętam - odpowiada. - Ale, Lia, co to ma wspólnego...?

Podnoszę rękę, żeby mu przerwać.

- Niełatwo to wyjaśnić. Mógłbyś chwilę posłuchać? Słuchaj i staraj się otworzyć swój umysł.

James kiwa głową.

- Pamiętasz tę opowieść o siostrach i siedmiu plagach? - ciągnę, nie czekając na odpowiedź i tak dobierając słowa, aby nie brzmiały zbyt nieprawdopodobnie. - To nie jest zwykła opowieść, tak jak się nam na początku zdawało. To... jakby legenda. Tyle że prawdziwa. James przygląda mi się z nieprzeniknioną twarzą.

- Mów dalej.

-Wiele tysięcy lat temu - zaczynam opowiadać szybciej - zastęp aniołów został wysłany na ziemię. Miały strzec ludzi, jednak... zakochały się w ziemskich kobietach i zabroniono im powrotu do nieba. - Nie wiem, co znaczy mina Jamesa, więc kontynuuję, nim braknie mi odwagi. - Od tej pory potomkinie tych kobiet, zawsze siostry bliźniaczki, miały swój udział w proroctwie. Przepowiednia, opisana w książce, mówi, że jedna z bliźniaczek zawsze jest Strażniczką, druga - Bramą.

- Jedna Strażniczką, druga Bramą - mruczy James. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście przypomni sobie słowa Księgi Chaosu, czy tylko powtarza za mną.

- Tak. Moja mama i ciotka Virginia, jak również ja i Alice wywodzimy się od tych kobiet. Mamie wyznaczono rolę Bramy, której

zadaniem jest wpuścić do naszego świata Szatana i sprzyjające mu Dusze, oczekujące na objęcie przez niego władzy. Ciotka Virginia miała być Strażniczką i kontrolować posunięcia mojej mamy: pilnować, aby nie wpuszczała Dusz albo przynajmniej wpuszczała ich jak najmniej. Jednak ciotka nie umiała powstrzymać swojej siostry od wypełniania zadań. Matka nie chciała tego, ale nie umiała z tym walczyć, James. Wyniszczało ją to. W końcu doszła do wniosku, że nie ma wyboru i musi oddać życie. Lecz to z kolei oznaczało, że obowiązek wypełnienia proroctwa przejdzie na Alice i na mnie.

- Co to ma wspólnego z twoim wyjazdem, Lia? - Głos Jamesa jest łagodny, ale pobrzmiwa w nim coś, co z obawą odbieram jako sceptycyzm.

- Alice jest Strażniczką, James, a ja jestem Bramą - wyjaśniam niezwłocznie. - Niestety, nie taką zwykłą Bramą. Jestem Aniołem Bramy i jedynie ja mam moc, aby wpuścić Samaela we własnej osobie. Ja... staram się przed tym bronić. Znaleźć sposób na doprowadzenie proroctwa do końca, tyle że Alice odrzuca rolę Strażniczki, bo wolałaby pełnić moją. Sprzymierzyła się z Duszami już jako dziecko, a teraz nadal dąży do tego, żeby nasz świat przestał istnieć. - Ujmuję dłoń Jamesa. - Nie możesz się z nią ożenić, James. Nie możesz! Kiedy ten świat się skończy, będziesz u jej boku i choć ochroni cię związek z Alice, wszyscy, których kochasz, i wszystko, co cenisz, obróci się w proch.

Wytrzymuję jego wzrok i zaglądam mu głęboko w oczy. Chcę, żeby uwierzył, że mówię prawdę. Chcę, aby ją poczuł. Zobaczył w moich źrenicach.

Przez chwilę James odwzajemnia spojrzenie, a potem wstaje i podchodzi na brzeg stawu. Między nami zalega milczenie, długie

- Nie musiałaś tego robić - głos Jamesa niesie się nad wodą i jest tak cichy, że muszę się pochylić, by zrozumieć poszczególne słowa.

- Czego? - dopytuję się. - Czego nie musiałam robić?

- Zmyślać tej... tej historyjki. - Odwraca się i patrzy na mnie.

Zbiera mi się na płacz na widok cierpienia w jego twarzy. - Nadal cię kocham, Lia. Kochałem cię cały czas. Zawsze będę cię kochał. -

Przemierza dzielącą nas przestrzeń, klęka przede mną i chwyta moje dłonie. - Czy mam rozumieć, że wciąż mnie kochasz? Czy o to chodzi?

Przypatruję się jego twarzy i oczom, szukając czegoś, czego wcześniej nie zauważyłam. Odrobiny wiary w prorocstwo. I we mnie. Lecz znajduję tylko uwielbienie i miłość, które kiedyś całkowicie mi wystarczały.

- Nie wierzysz mi.

- Lia - mruga, zmieszany - to bez znaczenia, nie widzisz? Ta historyjka jest niepotrzebna. Zawsze potrzebowałam tylko ciebie. Gorączkowo szukam w myślach czegoś, czegokolwiek, co pomogłoby mu zrozumieć. I uwierzyć.

- Zdaję sobie sprawę, że trudno to pojąć. - Kiedy to mówię, zaczynam odwijać rękaw i patrzę Jamesowi w oczy, starając się przekazać mu każdą cząstkę znanej mi prawdy. Wysuwam rękę. - Spójrz na to, James. Mam znamię związane z prorocstwem. Czy zauważyłeś je kiedykolwiek wcześniej?

Spogląda niechętnie na znak węża na moim nadgarstku, jakby nie chciał badać wzrokiem niczego, co przydawałoby wiarygodności mojej opowieści. Jego spojrzenie zatrzymuje się tylko na sekundę, potem powraca do mojej twarzy.

- Nigdy przedtem go nie widziałem, Lia. Ale to nic nie znaczy.

Opuszczam rękę na kolana i odwracam się, żeby uniknąć jego rozgorączkowanego wzroku. Ten żar nie jest odbiciem miłości, lecz negacji.

- Dlatego właśnie nic ci nie mówiłam. - Mój głos przesycony jest goryczą. - Wiedziałam, że mi nie uwierzysz. Przez wszystkie te miesiące żyłam w poczuciu winy, że cię zostawiłam. Tymczasem okazuje się, że tak naprawdę postąpiłam słusznie.

James potsząsa głową; widać, że moje słowa go zaboląły i szuka odpowiedzi.

- Chcę ci wierzyć, Lia. Jeżeli to konieczne, żeby cię odzyskać i udowodnić moją miłość, uwierzę we wszystko.

Z trudem przelękam ślinę, uświadamiając sobie, że Alice miała rację. James mi nie uwierzy. Pomimo złożonej deklaracji w jego twarzy nie ma cienia wątpliwości, cienia szansy. Tylko desperacka chęć powiedzenia mi tego, co chcę usłyszeć.

- To nie jest takie proste, James. Już nie.

- Nie rozumiem - kręci głową.

Puszczam jego dłonie i przechodzę obok, zbliżając się do stawu. Narasta we mnie dziwne uczucie, którego się nie spodziewałam. Oczekiwałam raczej żalu za tym, co utraciliśmy, albo obawy o bezpieczeństwo Jamesa.

Tymczasem jestem zła, że od chwili wyjazdu z Nowego Jorku, od chwili opuszczenia Jamesa, zżerał mnie smutek. Rozgniewana, że przez tyle godzin zdręczałam się niemożnością wyjawienia mu prawdy wiele miesięcy temu.

Wracam, a podchodząc do miejsca, gdzie stoi James, zdejmuję z ramion jego kurtkę.

- Przepraszam. To był błąd. - Kiedy podaję mu ubranie, głos więźnie mi w gardle. - Wspaniale było znów cię zobaczyć. Życzę ci wszystkiego dobrego.

Pospiesznie oddalam się ścieżką, a za każdym moim krokiem podąża wołanie Jamesa.

- Lia! Lia!

Staram się nie zwracać na nie uwagi, pędzić naprzód i nie oglądać się za siebie. Jednak po sekundzie James dogania mnie i zatrzymuje, kładąc dłoń na moim ramieniu.

- Nic nie rozumiem. Kocham cię. Kiedyś tylko to się liczyło. Jeżeli od tego, czy dam wiarę twoim słowom, zależy to, czy znów będziemy razem - uwierzę.

Jego twarz jest szczerą, a ja zastanawiam się, jak może wydawać się tak przejrzysta, skoro właśnie proponuje, by nasz odnowiony związek opierał się na fałszu. Myślę o Dimitrim i jego absolutnej gotowości zaakceptowania moich najczarniejszych, najbardziej niebezpiecznych stron.

- To byłoby kłamstwo - mówię.

James zaciska szczęki i odwraca głowę, rozważając te słowa. Po minucie znów spogląda na mnie, napotykać mój wzrok.

- To nie ma dla mnie znaczenia.

To zdanie jest dla mnie wyzwoleniem - rezygnacja przestaje być nagle tak trudna.

- Na tym właśnie polega problem, James. - Dotykam dłonią jego zziębniętego policzka. - Dla mnie ma.

Zbieram się do odejścia. Tym razem już mnie nie goni.

4

Gdy wracam do Milthorpe Manor, znajduję czekający na mnie list. Widząc nazwisko nadawcy, niecierpliwie rozrywam kopertę, nie zdjawszy nawet peleryny. Kiedy odczytuję tekst zapisany na grubym papierze, serce bije mi jak szalone. W sekundę potem znowu stoję

Jedziemy ulicami Londynu, a ja wyglądam przez okienko z nadzieją, że wreszcie zmierzamy ku rozwiązaniu przepowiedni. Dostrzegając budynek Towarzystwa, wysiadam z powozu, nim Edmund zdąży podejść i otworzyć mi drzwiczki.

- Zaraz wracam! - krzyczę, biegnąc po schodach, żeby zadzwonić do wejścia.

- Dzień dobry, panienko. Jest w bibliotece. - Lokaj uśmiecha się, widząc mnie na progu.

- Dziękuję - odwzajemniam uśmiech i przemykam obok niego, jak wiele razy wcześniej, więcej niż mogę zliczyć.

Ta wizyta jest jednak inna. Dzisiaj przychodzę z odpowiedziami. Kiedy wchodzę do biblioteki, Dimitri podnosi wzrok.

- Lia! Co się dzieje? Czy stało się coś złego?

Nie jestem zaskoczona, odnajdując go przy biurku zawalonym książkami. Przechodzę przez pomieszczenie, aż wreszcie stoję obok.

- Nie, nie stało się nic złego. - Macham listem. - Wprost przeciwnie. Można powiedzieć, że wreszcie stało się coś dobrego. Dimitri wyrywa mi kartkę z ręki, przebiegając oczyma tekst, a potem patrzy na mnie.

- Ale to oznacza...

Śmiejąc się, kiwam głową.

- Że jedziemy do Irlandii!

Odpowiada mi uśmiechem. I naraz nie ma dla nas rzeczy niemożliwych.

✓ i

4P

Ponieważ nikomu nie mówiłam, jak zamierzam się ubrać, jestem przygotowana na taką reakcję. Lecz i tak policzki mi płoną, kiedy zmierzam w dół schodów w stronę osiodłanych koni.

Ciotka Virginia przygląda mi się najwyraźniej wstrząśnięta i odzyskuje równowagę dopiero wtedy, gdy zatrzymuję się przed nią.

- Włożyłaś bryczesy!?

Nie wspomina o męskiej dżokejce, która skrywa moje włosy, ani o tym, że uczyniłam wszystko, by nie dopuścić do ujawnienia faktu, iż jestem kobietą. Widocznie te drobne występki bledną wobec najbardziej szokującego - noszenia spodni.

Przyglądam się im z uśmiechem, a potem patrzę na ciotkę.

- Pewnie wydaje ci się dziwne, że jestem tak ubrana. Ale przecież wkładam je do jazdy konnej od zawsze, a trudno jest prędko jechać, kiedy spódnice płaczą się wokół nóg. - Nie zdradzam jej, że muszę przemieszczać się sprawnie, bo z każdym dniem żmijowy kamień jest chłodniejszy, a nasze życie zależy od tego, czy zdołam odnaleźć Kamień i jak najszybciej zamknąć Bramę. Ciotka wie o tym zbyt dobrze.

Po chwili przytakuje.

- Powierzono ci losy świata, kochana siostrzenico. - Pochyliła się, żeby mnie objąć. - Myślę, że potrafisz sama odpowiednio dobrać strój do sytuacji, bez wątpienia do tej również.

Oddycham głęboko i pozwalam sobie na chwilę zatonać w jej objęciach. Ponieważ nie miałam matki, to ciotka Virginia dzieliła się ze mną swoją nieskończoną mądrością i dawała wsparcie. Teraz będzie mi jej brakować bardziej niż zazwyczaj, ale ktoś musi zostać i opiekować się moimi przyjaciółkami, podczas gdy ja i Dimitri podążymy do Irlandii i jej pradawnych kamiennych grobowców w Loughcrew. To, że Victor znalazł dawną wzmiankę o Loughcrew w nawiązaniu do nieznanego nam wyrażenia, może być wyłącznie zbiegiem okoliczności, ale skoro nie mamy innych odpowiedzi, głupotą byłoby zignorowanie tej jedynej.

Odsuwam się i zaglądam ciotce w oczy.

- Niedługo wrócę. - Ściszam głos, rzucając spojrzenie na Sonię, Luisę i Helene, które czekają przy koniach. - Proszę, opiekuj się nimi i uważaj na nieprzewidziane zdarzenia.

Ciocia potakuje i wiem, że obydwie myślimy o zdradzie Soni.

Przybliżam się, żeby pocałować ją w policzek, a potem idę pożegnać się z innymi.

Sonia i Luisa trzymają się blisko siebie, a Helene stoi kilka centymetrów od nich. Nic nie poradzę na to, że zbliżam się do nich pełna niepewności, ponieważ przypominam sobie rozmowę z Luisą, przeprowadzoną w dniu, kiedy szukałam Madame Berrier i Alastaira

Wigana. W jej oczach wciąż czai się niechęć i przez sekundę żałuję swojej decyzji, aby pozostawić Klucze w Londynie.

Jednak to nie trwa długo. Podróżowanie w dużej grupie byłoby kłopotliwe. Czas to luksus, na który nas nie stać, i bezmyślnością byłoby informowanie Helene o miejscu, gdzie znajduje się Kamień, jako że dopiero się poznałyśmy. Już wystarczająco trudne było znalezienie związku między grobowcami w Loughcrew a treścią proroctwa. Nie mam zamiaru ryzykować utraty tej informacji. Jest jeszcze jedna sprawa. Myśl, którą odpycham od siebie, nie pozwalając jej zapaść korzeni w urodzajnej glebie mojej nieprzemijającej nieufności.

W tym samym stopniu, w jakim uważam za rozsądne ukrywanie istotnych wiadomości przed Helene, nie chcę ujawniać niczego znaczącego Luisie ani Soni. Chociaż przyznaję, że mogę się mylić, wiem na pewno, że nie wolno mi zdawać się na przypadek.

Zatrzymuję się koło przyjaciółek, patrzę w dół, na swoje podróżne buty. Zasznurowane, wzute na odziane w spodnie nogi, wyglądają, jakby nie należały do mnie.

Kiedy w końcu podnoszę wzrok, zachowuję się jak tchórz i najpierw zwracam się do Helene.

- Przykro mi, że zabrakło nam czasu, żeby się lepiej poznać, ale zostawiam cię w dobrych rękach. Mam nadzieję, że będziesz się czuć jak u siebie. Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak należy, po moim powrocie znajdziemy się znacznie bliżej zakończenia proroctwa. Helene kiwa głową, jej twarz nie wyraża emocji, jałc zawsze.

- Wiem, że robisz to, co trzeba. Nie martw się o mnie.

Uśmiecham się do niej, a potem zbliżam do Luisy.

- Szkoda... Szkoda, że muszę podróżować bez ciebie. Będzie mi brakowało twojego towarzystwa. Poradzicie sobie pod moją nieobecność?

Usta Luisy, wcześniej zaciśnięte w cienką kreskę, łagodnieją. Jej oczy najpierw patrzą w dal, a później wprost na mnie.

- Tutaj wszystko toczy się prawidłowo. Rób to, co należy. Poczucie porażki, jakie przebija w jej głosie, boli mnie mocniej niż wszystko inne. Luisa zawsze była dla mnie niewyczerpanym źródłem optymizmu i dobrego humoru. Widać przepowiednia odebrała mi nawet to. Albo sama spowodowałam tę stratę.

Pochylam głowę i zmuszam się do przełknięcia twardej kuli narastającej mi w krtani. Stoimy, jakże niezręcznie, naprzeciw siebie, a potem wyciągam rękę i ściskam dłoń Luisy, żeby na końcu porozmawiać z Sonią.

Nie wiem, jak długo tkwimy tak w milczeniu, nim wreszcie odzywa się Sonia. Kiedy zaczyna mówić, złość w jej głosie przeraża mnie.

- Rób to, co powinno być zrobione, Lia. Uczyń to i doprowadź sprawę do końca. - Odwraca się i odchodzi, krzyżując ręce na piersiach z powodu zimna.

Stoję zdumiona i nieruchoma, ale zbliża się do mnie Dimitri. Łapie moją dłoń i prowadzi mnie w stronę koni.

- Cierpi i gniewa się. Przejdzie jej, gdy wszystko minie.

Jego słowa nie czynią wyłomu w moim smutku, jednak idę za nim.

Edmund podaje mi wodze Sargenta, a ja podnoszę rękę, żeby pogłaskać chrapy mojego wierzchowca.

- Mimo wszystko nie podoba mi się plan, żebyście podróżowali tylko we dwoje - stwierdza Edmund.

- Z przyjemnością przyjąłabym twoje towarzystwo, Edmundzie - uśmiecham się - ale tutaj jesteś bardziej potrzebny. Ciotka Virginia nie może zostać sama, opiekując się dziewczętami i udając się z nimi do różnych miejsc. A ponieważ Alice jest tuż-tuż...

Edmund wskazuje gestem kołczan zawieszony na moim ramieniu.

- Zabrała panienka łuk i sztylet?

Potwierdzam, a Edmund kieruje następane słowa do Dimitriego:

- Pilnuj jej dobrze.

- Ręczę własnym życiem, jak zawsze - odpowiada poważnie Dimitri, ściskając jego dłoń.

Edmund wbija wzrok w ziemię i, zrezygnowany, z westchnieniem wzrusza ramionami.

- Dobrze, jedźcie już.

Dimitri sadowi się w siodle, a ja wieszam sobie kołczan na plecach tak, że jego pasek przecina mi pierś. Ostatni raz gładzę chrapy Sargenta, przysuwam się do boku konia i wsadzam nogę w strzemię, drugą jednym ruchem przekładając przez grzbiet.

Dimitri zawraca swojego wierzchowca i szuka spojrzeniem moich oczu.

- Gotowa?

Kiwam głową, a potem spinamy konie ostrogą do jazdy. Kiedy przemierzamy ulicę, nie oglądam się za siebie. Jestem zbyt zajęta: usiłuję zapomnieć o tym niewinnym przecież pytaniu Dimitriego i moich własnych wątpliwościach, gdyż chyba wcale nie jestem gotowa.

Ani na podróż do Irlandii, ani na to wszystko, co nadejdzie.

Mój nastrój się poprawia, w miarę jak przejeżdżamy przez miasto. Ogarnia mnie radosne podniecenie, zastępując troski związane z dopiero rozpoczętą podróżą. Potrzebuję chwili, żeby zrozumieć, skąd to uczucie, a kiedy mi się udaje, nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Hi

Uwolniona z krępujących ruchy spódnic i halek, mam teraz więcej swobody niż przez cały czas, jaki minął od wyjazdu z Altus. Spodnie nie są tak wygodne jak tuniki noszone na wyspie, ale bez wahania przyznaję im drugie miejsce. Lato zacznie się za dwa miesiące, a w powietrzu wciąż wyczuwalny jest chłód, choć bardziej orzeźwiający niż nieprzyjemny. Gdy dotrzemy do lasu, z pewnością będzie zimniej, ale nawet ta świadomość nie może mi popsuć humoru, kiedy lak jadę z Dimitrim przez Londyn - najpierw ruchliwymi, głównymi drogami, potem coraz węższymi i mniej uczęszczanymi.

Łatwiej było przygotować się do wyjazdu do Irlandii niż do wyprawy na Altus. Ja i Dimitri szczegółowo omawialiśmy nasze plany z Edmundem, szybko zamawiając prowiant i mapy w ciągu kilku dni. Zabraliśmy niewiele bagażu, dlatego wszystko, co potrzebne, poniosą nasze dwa konie.

Ranek upływa mi w przyjemnym roztargnieniu. Razem z Dimitrim mówimy o ludziach zauważonych podczas jazdy, powozach i koniach, mijanych budynkach. Słońce jest już wysoko ponad naszymi głowami, gdy widzę, że miasto pozostało daleko z tyłu. Zakurzone i zatłoczone ulice ustąpiły miejsca drogom wijącym się przez podlondyńskie wioski, a powietrze, które w mieście było ciężkie od dymu i zapachów, tu stało się czyste i świeże.

-Jesteś głodna? - odzywa się Dimitri z mojej lewej strony.

Dopóki nie zapytał, nie czułam głodu, ale teraz mam ściśnięty żołądek. Odpowiadam twierdząco.

Skinieniem głowy Dimitri wskazuje trakt przed nami.

- Niedaleko jest farma. Zatrzymajmy się tam, może uda nam się kupić coś do jedzenia.

Nie muszę pytać, dlaczego nie powinniśmy zużywać zapasów

załadowanych w sakwy. Podróż do grobowców w Loughcrew zajmie nam prawie dwa tygodnie i niewątpliwie przytrafią się takie momenty, kiedy trudno będzie o żywność, a nawet o miejsce, gdzie da się ją kupić. Rozsądniej jest jak najdłużej oszczędzać to, co mamy.

Podprowadzamy konie do krytego strzechą budynku, gdzie Dimitri za kilka pensów kupuje chleb i ser od ładnej młodej kobiety, która pokazuje nam stajnię za domem i zaprasza, żebyśmy skorzystali ze stojącej w wiadrach wody. Myjemy więc ręce i twarze przed napojeniem koni. Chłepczą głośno, a Dimitri przemierza wnętrze, szukając miejsca, gdzie moglibyśmy usiąść i posilić się.

- Tutaj - macha z drugiego końca pomieszczenia. - Znalazłem wolny boks i siano. Myślę, że będzie nam wygodnie siedzieć.

Uśmiecham się, jednocześnie rozbawiona i pokrzepiona tym, że nawet teraz Dimitri dba o mój komfort.

W stajni jest dość ciemno, panuje półmrok. Siadam na ziemi, ponieważ wolę oprzeć się o bele siana, niż sadzić się na nich. Po paru godzinach spędzonych w siodle przyjemnie jest wyciągnąć się na słomie, chociaż trochę drapie. Nie jestem nawet zażenowana tym niezbyt wytwornym zachowaniem w obecności Dimitriego.

On wzdycha, kładąc się na boku i opierając na łokciu.

- Tu jest jak w niebie. Mógłbym przebywać w tym miejscu wiele dni sam, wyłącznie w towarzystwie twoim i koni.

Gryzę ser, zachwycając się jego wyraźnym, ostrym smakiem.

-Ja i konie, tak? Widocznie nie byłbyś szczęśliwy tylko ze mną...

Dimitri podrzuca w górę kawałek chleba i łapie go ustami, a potem zwraca się do mnie.

- Oczywiście, jesteś niewątpliwie wspaniała, ale czasami... Cóż, dla mężczyzny nie ma lepszego kompana niż dobry koń.

- Naprawdę? - Kąciki warg wykrzywia mi uśmiech. Rzucam

w Dimitriego okruchem chleba. - Będę mieć to na uwadze wieczorem, kiedy rozbijemy obóz. Może Blackjack dotrzyma ci towarzystwa w namiocie.

Dimitri znajduje okruch w sianie, gdzieś kolo swojej nogi, i wrzuca go do ust.

- Może. A tobie z radością oddam swój koc, gdybyś obawiała się, że zmarzniesz, śpiąc sama.

- Rozważ to. - Śmieję się w głos.

Przez chwilę oczy Dimitriego łobuzersko błyszczą, potem poważnieją.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo lubię słyszeć twój śmiech.

Przełykam ugryziony chleb i patrzę Dimitriemu w oczy. Przez szpary w dachu wdzierają się promienie słońca, a oświetlone drobinki kurzu tańczą w powietrzu wokół nas.

- Skoro sprawia ci to przyjemność, postaram się śmiać częściej.

Dimitri kiwa na mnie palcem.

- Chodź tutaj.

Przekomarzam się z nim, nie ruszając się z miejsca.

- Przepraszam pana, ale jestem zajęta swoim chlebem i serem.

Dimitri nie odpowiada, ale pożądanie w jego oczach wystarcza mi za wszystkie słowa. W sekundę później jestem już przy nim.

- Lia... Lia... - głaszcze palcem moją brew.

Nie wykonuje żadnego ruchu, ale przyciąga mnie spojrzeniem, tak że to w końcu ja pochylam się nad nim i lekko dotykam wargami jego ust. Przez chwilę zostaję tak blisko, a oddechy wędrują pomiędzy nami jak szept.

Dimitri wydaje głośne westchnienie, a ja nachylam się bardziej, całując go z zachłannością powstrzymywaną przez całe dni i tygodnie - te, które spędziliśmy zamknięci w salonach i bibliotekach, obserwowani przez służbę w budynku Towarzystwa lub w Milthor-pe Manor.

Teraz to Dimitri kładzie mnie na sianie. Z trudem oddycham, kiedy jego dłonie błądzą po moim ciele, dotykając mnie lekko przez ubranie, choć mogłabym przysiąc, że czuję jego palce na samej skórze. ✓
Prostuję ramiona, obejmuję go za szyję i przyciągam do siebie, tak że całym ciałem mocno przylega do mnie.

- Zaplanował pan to, panie Markov? Żebyśmy wreszcie naprawdę mogli być sami? - mruczę mu do ucha, aż na jego karku pojawia się gęsia skórka.

Pokrywa moją twarz i szyję pocałunkami aż do miejsca, gdzie skóra skrywa się pod bawełnianą koszulą.

- Zrobiłbym to i jeszcze więcej - mówi - żeby na moment mieć cię tylko dla siebie.

Jego wargi z powrotem wędrują w górę wzdłuż mojej szyi; mam wrażenie, że zaraz umrę z rozkoszy. Wiem, że powinniśmy już jechać, ale nie chcę myśleć o niczym poza tą chwilą. Teraz nic innego nie istnieje. Nie ma prorocstwa. Ani Kamienia. Ani Dusz.

Tylko my. Dimitri i ja, sami we własnym świecie.

Poddaję się tym uczuciom, nie zważając na wewnętrzny głos, który szepcze: Zatrzymaj tę chwilę. On nie jest ci darty na długo.

- Nad czym się tak głęboko zamyśliłaś? - Podskakuję, gdy głos Dimitriego odzywa się tuż obok mnie. Mówi spokojnie, ale w otaczającej nas ciemnej nocy jego słowa odbijają się echem.

Podnoszę wzrok, przykładając rękę do piersi - pod palcami czuję rozpędzony puls.

-Jak ci się to udaje?

- Co? - Dimitri siada przy mnie na przewróconej kłodzie koło ogniska.

- To - powtarzam. - Takie ciche podkradanie się do mnie.

- Nie chciałem cię przestraszyć. - Wzrusza ramionami. - A ty zmieniasz temat.

Choć mój śmiech nie jest głośny, i tak naruszam spokój głębokiej nocy.

- Nie zmieniam tematu. Myślałam o grobowcach i o tym, czy na pewno znajdziemy tam Kamień.

- Waśnie - wzdycha Dimitri. - Nie dowiemy się, dopóki nie

to dotychczas najlepszy ślad związku między miejscami na naszej liście a przepowiednią.

- Loughcrew - mruczę, wysyłam tę nazwę w ciemność jak modlitwę. - Portal Pozaświatów.

- Tak - cicho mówi Dimitri, a w jego tonie słyszę nadzieję.

Umiejętne poszukiwania Victora prowadzone z pomocą listy dziewięciu możliwych miejsc zaowocowały tym, czego ani mnie, ani Di-mitriemu nie dały całe tygodnie bezładnego, choć żarliwego szperania: to Loughcrew zostało kiedyś nazwane „Portalem Pozaświatów”. Nie możemy wykluczyć, że wzmianka nie odnosi się

do znanych nam Pozaświatów, tylko do jakiegoś abstrakcyjnego, mitologicznego pojęcia, lecz nie wolno nam również jej zignorować. Mimo wszystko wzdragam się przed głośnym mówieniem o swoich obawach. Wydaje mi się, iż wyrażenie ich sprawi, że się urzeczywistnią. Szybko jednak odrzucam tę myśl. Wszystkie możliwości są otwarte, bez względu na to, czy nazwiemy je, czy nie.

- Co będzie, jeśli to niewłaściwe miejsce? - pytam.

Dimitri nie odzywa się od razu; wiem, że zastanawia się nad taką odpowiedzią, która pozostawi nam choćby cień nadziei.

W końcu jednak stawia na szczerłość.

- Nie wiem. Jeżeli tak się stanie - albo kiedy tak się stanie - będziemy musieli znaleźć rozwiązanie. Ale jedna rzecz jest pewna.

-Jaka? - odwracam się i patrzę na niego. j

- Każde nasze posunięcie było celowe. Nawet to, co kiedyś wydawało się przeszkodą, doprowadziło nas do jakichś wniosków - mówi, zwrócony w stronę ognia. - Nieważne, czy znajdziemy Kamień w Loughcrew. Będzie to kolejny etap naszej podróży do zakończenia prorocstwa. Z każdym krokiem przybliżamy się do tego końca.

Kiedy zawijam się w koce, w obozie panuje cisza. Poczucie bezpieczeństwa daje mi zniekształcony cień siedzącej przy ognisku postaci, rzucany na ścianę namiotu. Przez jakiś czas klóciliśmy się o to, bo Dimitri upierał się, że będzie stał na straży, podczas gdy ja kwestionowałam możliwość podróżowania bez odpoczynku.

Ostatecznie ustaliliśmy, jak rozwiązać ten dylemat: będzie pilnował obozu aż do brzasku, po czym zażyje krótkiej drzemki, dopóki nie zwiniemy obozowiska. Oznacza to, że w dalszą drogę wyruszymy trochę później, ale przecież musi się przespać, a przekonywanie go, żeby położył się przy moim boku, było bezskuteczne.

Wszystkie mięśnie mam już sztywne od jazdy na grzbiecie Sargenta i wiem, że minie jeszcze wiele dni, zanim znowu przywyknę do trudów przebywania długich odcinków drogi. Od czasu podróży na Altus minęło wiele tygodni, a chociaż jeździłam konno sama w Whitney Grove, spędzałam tam głównie czas na strzelaniu z łuku do tarczy. Dotykam wiszącego mi u szyi zmiętego kamienia i sprawdzam jego ciepłość. Pomiar jego wyczerpującej się mocy stały się dla mnie bolesnym nawykiem. Prowadzę je, mimo że coraz trudniej jest stwierdzić, czy kamień jest chłodniejszy niż wczoraj albo

przedwczoraj. Z pewnością jest o wiele zimniejszy niż na Altus, gdzie budziłam się, czując jego parzące gorąco na swojej piersi, ale codzienne zmiany są prawie niezauważalne. Nadal jednak kontroluję jego stan, jakby potwierdzenie słabnącej mocy kamienia miało przygotować mnie na chwilę, kiedy zaniknie ona zupełnie. Puszczam kamień i wkładam palce jednej ręki pod medalion zawieszony na drugiej. Żmijowy kamień przypomina mi, że jestem Siostrą: płynie we mnie światło wszystkich Sióstr zamieszkujących Altus i tych, które żyły wcześniej.

Nie da się jednak zapomnieć o medalionie, gdyż i on jest częścią mnie. Zwraca się szeptem do tych zakamarków mojej osoby, które są zamknięte. Pozostają w ukryciu, ponieważ boję się, że gdyby ktoś się dowiedział o ich istnieniu - a tym samym zrozumiał, jaka jestem naprawdę - losów świata nigdy nie oddano by w moje ręce.

Nawet śpiąc, jestem świadoma, że przeżywam marzenie senne. Stoję w kręgu, a w każdej dłoni czuję ciepłą rękę innej osoby. Postaci po moich obu stronach odziane są w tuniki, a na głowy mają naciągnięte kaptury, które zakrywają wszystko poza ocienioną płaszczyzną twarzy.

W gardle narastają mi przedziwne słowa. Moje ciało przeszywają strach i radosne oczekiwanie, a kiedy ze środka kręgu nadlatuje gorący podmuch, moja szata nadyma się wokół nóg jak balon. Jestem zmuszona przerwać monotony śpiew, ponieważ z mojego wnętrza coś się wyrywa, pragnie wyswobodzić - jakby pozostawało tam długo ukryte, oniemiałe, uśpione. Krzyczę i puszczam ręce najbliższych stojących, bo ktoś woła mnie z bardzo daleka.

- Nie przerywaj kręgu.

Jednak robię to. Pokonana przez strach i ból, przerywam krąg. Potykając się, wkraczam w jego centrum i widzę, że łańcuch rąk zamyka się poza mną, a stojące postaci zlewają się w jednO. Jakby mnie tam nigdy nie było.

Z mojego wnętrza wciąż się coś wyrywa - tak mocno, że prawie rozdziera mnie na pół. Czuję, jakbym była rozszarpywana od środka. Przewracam się na ziemię, a nade mną otwiera się czarne, połyskujące odwiecznymi gwiazdami niebo. W chwilę potem coś ściska mój nadgarstek. Odwracam się na bok i unoszę rękę, żeby spojrzeć

>

Waż.

Wije się i skręca, wrzyna coraz głębiej w skórę, jakby całkowicie wypalał ciało na moim przegubie.

Wołam, żeby przestał, ale on nie słucha. Płonie, płonie, płonie...

- Lia! Obudź się, Lia!

Na to wołanie otwieram oczy i dostrzegam w namiocie pochyłającego się nade mną Dimitriego.

- Krzyczałaś przez sen. - Odgarnia mi włosy z czoła.

Palce mojej prawej dłoni trzymają lewy nadgarstek w żelaznym uścisku. Podnoszę rękę do oczu i w nikłym świetle księżycy, jakie dociera do wnętrza namiotu, staram się dostrzec znamię. Nie jest mocniej wyżłobione. Ani ciemniejsze. Może tylko wydaje mi się, po przebudzeniu ze snu, że jeszcze czuję piekący ból, ale nie ufam sobie w wystarczającym stopniu, żeby tej myśli przypisywać jakieś znaczenie.

Biorę głęboki oddech, staram się uspokoić rozszalały puls, a później odpowiadam Dimitriemu:

-Ja... Przepraszam.

- Przepraszasz? - Gniewnie marszczy brwi. - Lia, nie musisz przepraszać. Wcale.

Nagle przypomina mi się scena ze snu: z kręgiem ognia, zakapturzonymi postaciami i moim własnym głosem, którym wypowiadam niezrozumiałe słowa.

- Miałam koszmary sen.

Twarz Dimitriego łagodnieje. Mój chłopak kładzie się na ziemi, wyciągając się obok mnie i obejmując mnie ramionami, tak że moja głowa dotyka jego piersi.

Ciąży mi na sercu cisza, jaka między nami zapada. Przypomina mi się inna, dawniejsza sytuacja, kiedy zachęcano mnie do opisanego swoich lęków. Rzeczy dzikich i mrocznych, narastających w twierdzy mojej świadomości. Alice ma rację: obydwie podjęłyśmy decyzje, od których obecnie zależą zajmowane przez nas pozycje. Raz - a w zasadzie więcej niż raz - James dał mi szansę, abym opowiedziała o tym, co się ze mną dzieje.

Lecz nie miałam zaufania ani do niego, ani do jego miłości.

Wyczuwając moje wahanie, Dimitri mruczy mi do ucha:

- Kocham cię, Lia. Nieczęsto o tym mówimy, ale teraz musisz o tym wiedzieć. Zrozum, że tak jest, i opowiedz mi o swoim strachu, żebym mógł cię od niego uwolnić.

Oddycham głęboko, chłonąc jego zapach. To zapach Altus. Najpiękniejszego ze wszystkich Pozaświatów. Przeszłości i przyszłości. Daje mi siłę, aby spojrzeć w oczy Dimitriemu i wszystko mu wyjaśnić.

Opowiadam o swoich koszmarach. O tym, że zdarzają się coraz częściej. O niemożności wybaczenia Soni, znalezienia choćby strzępów miłości, którą można by ją obdarzyć po zdradzie. O zmniejszającej się mocy zmiowego kamienia ciotki Abigail. Mówię o odwiedzinach Alice w Milthorpe Manor. O jej stwierdzeniu, że wcale się tak bardzo nie różnimy.

A potem wyjawiam swój największy lęk: boję się, że Alice ma słusność i pozostaje tylko kwestią czasu, bym za sprawą proroctwa zwróciła się przeciwko wszystkiemu, co teraz jest mi drogie.

- Dobrze spałaś?

Dimitri całuje mnie w czubek głowy, a jego głos jest matowy ze zmęczenia.

- Najlepiej, jak się tylko dało - odpowiadam, zakopując się głębiej w koce i ciesząc się chwilą spokoju poprzedzającą zwijanie obozu i całodniową jazdę.

Dimitri nie mówi nic, tylko przyciąga mnie bliżej do siebie gestem pełnym zrozumienia.

Wciąż jestem zdziwiona jego reakcją na moje wyznanie. Właściwie nie mam pewności, czego się spodziewałam. Że mną wzgardzi? Że nie będzie na mnie patrzeć z tym samym zachwytem?

Nie wiem. Przez cztery dni, które dzielą nas od nocy, kiedy wszystko mu powiedziałam, szukałam na jego twarzy oznak podejrzliwości lub wstrętu. Lecz nawet w tych momentach, kiedy błądził myślami gdzieś indziej, nie znalazłam w jego oczach nic prócz oddania.

Kiedy zdaję sobie sprawę, że z Jamesem byłoby zupełnie inaczej,

ś

czuję się jednocześnie wolna i smutna. Wreszcie nie ma miejsca na żal. James nie uwierzyłby mi wcześniej, tak jak nie uwierzył teraz.

Wszystko, co mogę w tej chwili zrobić, to go ocalić.

A żeby go uratować - i uratować nasz świat - muszę powstrzymać Alice i Dusze.

Ani Dimitri, ani ja nie mówimy nic, zwijając obóz i jedząc szybkie śniadanie przed ponownym wyruszeniem w drogę. W tej podróży nasze posiłki są znacznie mniej wyszukane niż podczas wyprawy na Altus. Ponieważ jest nas tylko dwoje, a musieliśmy ograniczyć ilość bagażu, odżywiamy się głównie serem, chlebem i jabłkami zabranymi z Londynu; czasem zjadamy jakieś małe zwierzę, które uda się nam ustrzelić z łuku.

Po pięciu dniach jazdy pokonaliśmy ponad połowę drogi do wybrzeża, skąd morzem przedostaniemy się do Irlandii. Krajobraz zmienia się codziennie, w miarę jak oddalamy się od południowej Anglii.

Łagodne wzgórza i tereny rolnicze ustępują nieuprawianym, porośniętym krzewinami wrzosowiskom. Ich wygląd jest dokładnym odzwierciedleniem mojego coraz bardziej posępnego nastroju; przyłapuję się na tym, że oglądając tę ponurą krainę, myślę o swojej siostrze. Prawdę mówiąc, nasze relacje zawsze były zawile, splatały się w nich miłość, strach, groza, a nawet nienawiść. Jednak tym razem wspomnienie Alice przepelnia mnie ogromnym niepokojem. Trudno określić jego przyczynę, lecz z godziny na godzinę narasta. W porze rozbijania kolejnego obozu i spożywania kolacji wiem już, że coś jest nie w porządku.

Nie powinnam się martwić sytuacją Alice, ale wygląda na to, że wszystko, co przytrafia się jej, w jakiś sposób dotyczy również mnie. Życie moje i jej jest związane, bez względu na to, czy mi się to podo-

i wszystkich dotkniętych nim ludzi. Dlatego przygotowując się do snu i całując Dimitriego na dobranoc, jestem do głębi zmartwiona. Szybko zapadam w sen i wcale się nie dziwię, kiedy moja duchowa istota wzbija się w nocne niebo ponad Równiną.

Prawie nie pamiętam już czasów, kiedy podróżowanie po Równinie było nowością, teraz jednak mam złe przeczucie, gdyż dociera do mnie, że jestem tam wzywana przez swoją siostrę. Mądrzejsza część mojej osoby zdaje sobie sprawę, że powinnam odrzucić wezwanie i pospiesznie wrócić do pogrążonego we śnie ciała. Myśląc o tym, od razu wiem, że tego nie zrobię. Wcześniejszy niepokój nie pozwoli mi odrzucić szansy uzyskania wyjaśnienia, dlatego lecę nad ziemią, a pola przemykają poniżej jak ciemne pasma - wracam poprzez regiony środkowej Anglii do południowej części kraju.

Widzę Londyn na długo wcześniej, zanim do niego docieram. Nad miastem, jak wielki potwór, wisi chmura dymu, widoczna nawet wśród nocnego nieba. Instynktownie szukam Alice. Nawet teraz przyciąga moją duszę. Okazuje się, że zbliżam się do hotelu, gdzie dwa tygodnie temu spotkałam się z Jamesem. Mimo ciemności fasada budynku robi wrażenie, przenikam ją jednak bez trudu i z ulgą dotykam stopami podłogi wyłożonej grubym dywanem. Odczuwam obecność Alice, jakby przywoływało mnie jakieś dawne wspomnienie. Przepływam przez drzwi do znajdującej się za nimi luksusowej sypialni.

W kominku pali się ogień, oświetlając pokój migotliwym pomarańczowym blaskiem. Moja duchowa istota nie odczuwa temperatury płomieni, ale czuje ich energię i wie, że w pokoju musi być ciepło. Rozglądam się po ciemniejszych zakamarkach i dopiero po chwili dostrzegam szczupłą postać swojej siostry, leżącą w cieniu baldachimu na bogato zaślany łóżu. Już z oddali, stojąc przy

4P

drzwiach, dostrzegam, że jej ramionami i całym ciałem wstrząsa szloch.

Ten widok zatrważa mnie, ponieważ nie potrafię sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek widziała, jak Alice płacze. Nie zdarzyło się to nawet po śmierci mamy, która rzuciła się w dół z urwiska nad jeziorem w Birchwood. Ani po znalezieniu ciała taty, którego twarz zastygła w niemym krzyku. Ani wtedy, gdy musieliśmy pochować drobne, kalekie ciało Henry'ego w zmarzniętej ziemi niedaleko naszej rezydencji.

Chcę zbliżyć się do tej załamanej, bardziej ludzkiej Alice, choć jestem zszokowana faktem, że przeniosłam się do materialnego świata.

Oczywiście możliwe jest przenikanie granic pomiędzy światami.

Wtedy, podróżując, stajemy się widzialni. Alice udowodniła, że da się to zrobić za cenę pogwałcenia prastarych zasad ustanowionych przez Obserwatorów. Ja też mogłabym tego dokonać, gdybym chciała.

Zyskałam już wystarczającą moc.

Jednak nie chcę dźwigać takiego ciężaru. Gdyby moja matka żyła, musiałaby odpowiedzieć przed Radą Obserwatorów za to, że korzystała z zakazanej magii. Alice, poinstruowana przez Dusze, jak wspomagać się ciemną mocą, przyczyniła się do tego, że nasze

rodowe nazwisko spowiła jeszcze gęstsza mgła podejrzeń. Jeżeli przeżyję i obejmę władzę na Altus, niełatwo mi będzie zdobyć zaufanie Sióstr. Dlatego głupotą byłoby obecnie łamanie praw nadanych przez Obserwatorów. Choć dręczy mnie ciekawość, nie chcę doprowadzić do konfrontacji z Alice. W ten sposób nic nie zyskam. Chcę się tylko dowiedzieć, jakie było źródło mojego niepokoju, i cieszę się, że znalazłam się tutaj zawezwana, a nie z własnej woli.

Ostrożnie zbliżam się do Alice i zatrzymuję niedaleko łóżka. Moja siostra leży na boku, skulona, a jej twarz chowa się pod wycią-

. >

gniętym ponad głową ramieniem. Ta poza przywodzi mi na myśl pewne wspomnienie: widzę Alice po pogrzebie naszej mamy, jako sześciolletnią dziewczynkę leżącą na łóżku, z ręką zasłaniającą buzię, dokładnie w tym samym ułożeniu - brakowało tylko łez.

Pochylam się nad nią i przyglądam z bliska, wyteżając słuch, bo spośród łkania dochodzą niewyraźne słowa. Na początku myślę, że coś mi się zdawało, ale potem słyszę to dokładniej. Muszę się powstrzymać, żeby nie krzyknąć, by powtórzyła.

Kasztanowe włosy Alice, połyskujące w blasku ognia, opadły jej na twarz. Bez zastanowienia wyciągam rękę, bo przepełnia mnie pragnienie, by odgarnąć je z czoła siostry.

Wtedy nagle jej słowa stają się jasne, rozumiem, co mówi Alice.

- On mnie nie kocha. Nigdy mnie nie pokocha.

Moja ręka zatrzymuje się kilka centymetrów od jej twarzy, zaś moja siostra mówi dalej, a jej ciałem szarpie nowy płacz, wywołany wypowiedzianymi słowami.

-Ja nigdy nie będę... taka jak trzeba. - Głos Alice łamie się, każdy wyraz ocieka rozpaczą. - Taka będziesz zawsze tylko ty.

Ze zdziwieniem czuję, że do oczu napływają mi łzy. Mrugam, żeby się ich pozbyć, bo odbieram je jako znak nielojalności wobec Henry'ego. Skoro mam wziąć odpowiedzialność za swoje decyzje, które doprowadziły nas do obecnej sytuacji, Alice musi zrobić to samo.

Jej płacz przycicha. Moja siostra odsuwa ramię i wyraźnie widzę jej twarz, mokrą od łez. Patrzy mi prosto w oczy, ale w pokoju nie jest na tyle jasno, żeby dostrzec ich zieloną barwę. W słabym świetle kominka zdają się czarne jak heban.

Dokładnie się jej przyglądam, przypatruję się jej szepeczącym wargom. Przybliżam się trochę, żeby odczytać znaczenie słów z ruchu ust. Kiedy wreszcie mi się to udaje, gwałtownie się odsuwam.

- To wszystko twoja wina. On nie pokocha innej, a już na pewno nie mnie.

Odpycham swój strach - nawet kiedy Alice leży tu koło mnie, pozornie załamana, i tak się jej boję. Wmawiam sobie, że ona mnie nie widzi, ale wtedy odzywa się ponownie, a nasze spojrzenia spotykają się. Czuję, że w tym niesamowitym, groźnym śnie jestem uwięziona jak w pułapce.

- Widzę cię. - Jej dziwnie śpiewny głos przerywa prawie całkowitą ciszę. Przychodzi mi na myśl mała dziewczynka, która kiedyś wręczyła mi medalion. - Wiem, Lia, że cieszy cię moje cierpienie, ale pamiętaj: jeżeli James nie może należeć do mnie, naprawdę nie mam nic do stracenia.

Brzeg morza nie wygląda tak, jak sobie wyobrażałam, lecz jestem zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Dziewięć dni jazdy konno oraz osiem zimnych nocy, pełnych dręczących snów, doprowadziło mnie prawie na skraj wyczerpania. Kiedy przekazujemy konie ludziom wynajętym do pomocy w podróży, z radością oczekuję zmiany scenerii i wejścia na pokład łodzi, która zabierze nas do Irlandii. Całuję Sargenta w nos, ostatni raz poklepuję go po gładkim boku i biorę Dimitriego za rękę.

- Mamy spotkać się z przewodnikiem koło portu - informuje, prowadząc mnie przez leżące wokół śmieci i zdechłe ryby oraz omijając uliczników, kręcących się w przybrzeżnych zaułkach. Panuje tu nieznośny smród, ale staram się udawać niewzruszoną. Nie każdy może żyć pośród luksusów Milthorpe Manor. Niestety muszę martwić się o nasze bezpieczeństwo, bo różni podejrzani ludzie przyglądają mi się jakimś wyglodniałym wzrokiem. Mocno trzymam pasek kołczanu, bo posiadanie łuku i sztyletu w zasięgu ręki. Gdy tak idziemy, spoglądam na Dimitriego.

- Jak rozpoznamy naszego przewodnika? - ściszam głos. - Skąd będziemy pewni, że nie służy Duszom? Nietrudno byłoby przebrać się za jednego z tutejszych.

- Zaufaj mi - Dimitri uśmiecha się chytrze.

Wzdycham, bo z wyciągniętą rączką podchodzi do nas chłopiec, mający nie więcej niż sześć lat.

- Czy da mi pani jakieś drobne?

Ma wychudzoną buzię i ubranie, które zwisa w strzępach, ale oczy bystre. Sięgam do kieszeni i wręczam mu kawałek suszonego mięsa, jaki został mi z ostatniego posiłku. Myślałam, że jego dłoń będzie brudna, tymczasem jest sucha i gładka.

- Bardzo pani dziękuję!

Patrzę, jak odbiega, i myślę o Henrym. Mimo że pod wieloma względami miał szczęście, los pokarał go przez to, iż uczynił go moim bratem. Nic dziwnego, że robi mi się ciężko na sercu. Śmierć Henry'ego jest dla mnie stratą, której poczucie nigdy nie osłabnie.

- Brakuje ci go. - Od myślenia o Henrym odciąga mnie głos Dimitriego.

- Skąd wiesz? - Zaglądam mu w oczy.

- Po prostu wiem. - Odpowiada poważnie, ściskając moją rękę. Czulość w jego spojrzeniu każe mi odwrócić wzrok, przyglądam się pomostowi, na którym stoimy. Jest stary i zniszczony, a deski spłwiałały i popękały od licznych sztormów. Przechodzimy przez cały, docierając do miejsca, gdzie jego koniec spotyka się z wodą.

- Jesteś pewien, że...

Dimitri wzdycha.

- Lia, na pewno rozpoznamy przewodnika, przysięgam.

Tłumię swoją irytację, choć nie wiem, czy jest spowodowana tym,
120

»

że Dimitri mi przerwał, czy tym, że wiedział, o co zamierzam spytać. Zatrzymujemy się w miejscu, gdzie pomost urywa się, a ja wychylam się ponad wodą. Przycumowano tu małą żaglówkę, a przy sterze, skupiony i pochylony, stoi jej właściciel. Słyszając, jak nadchodzimy, prostuje się, a ja nagle wszystko rozumiem.

- Gareth! - Moją twarz rozjaśnia uśmiech, który odczuwam jako nową, niewypróbowaną minę, bo podczas długiej podróży z Londynu nad morze nie było zbyt wielu powodów do radości. - Co ty tu robisz?

r

Włosy Garetha połyskują złotem nawet w dzisiejszy szary dzień, a skórę pokrywa opalenizna, jak w trakcie naszej wyprawy do Chartres. Znowu zastanawiam się, dlaczego jest tak śniady, skoro w Anglii słońce musi walczyć, żeby przebić się przez zakrywające ten kraj chmury.

Uśmiech Garetha jest o wiele bardziej promienny niż mój.

- Brat Markov przysłał wiadomość, że potrzebny jest zaufany przewodnik, który przewiezie pewną bardzo ważną Siostrę przez morze. Żadna z Sióstr nie jest tak ważna jak ty, pani, a żaden Brat nie cieszy się większym zaufaniem niż ja. - Śmieję się w głos, gdyż Gareth kończy tę wypowiedź mrugnięciem.

- Mhm-mhm. - Dimitri krzyżuje ręce na piersiach.

- Oczywiście poza obecnymi tu osobami. - Gareth wyciąga do niego dłoń.

Twarz Dimitriego pozostaje poważna - nie jestem pewna, czy znów pojawiła się iskra rywalizacji, jaka wystrzeliła między nimi podczas podróży do Chartres. Jednak chwilę potem Dimitri rozchmurza się i ściska prawicę Garetha.

- Miło cię widzieć, Bracie. Dziękuję, że przyjechałeś. mi pomost i stabilizuje łódź. - Wsiadajcie. Czeka nas długa przeprawa. Musimy jak najwięcej przepłynąć za dnia.

Wpatruję się w jego wyciągniętą rękę, ale nie wykonuję żadnego ruchu. Włodzi widzę tylko takielunek i parę desek, na których można usiąść. Jest mała, a toń ciemna i mętna. Woda zawsze budziła we mnie obawy, poza tym teraz świeże jest jeszcze wspomnienie rejsu na Altus. Nie sposób zapomnieć o podstępny koniu morskim i moim zstąpieniu w mroczne głębiny, kiedy zanurzyłam w morzu dłoń, chcąc dotknąć połyskliwej skóry stwora.

Oczy Garetha przybierają łagodny wyraz.

-Wsiądź, pani. Jesteś zbyt odważna, żeby ugiąć się przed groźbami Dusz i zsyłanymi przez nie potworami. Ponadto - dodaje - władczyni Altus musi zawsze pokonać swój strach.

Chwytam jego rękę i śmiało wsiadam do łodzi.

-Jeszcze nie przyjąłem tej funkcji - mruczę.

- Tak, tak - potwierdza Gareth, prowadząc mnie do miejsca, gdzie mogę usiąść. - Chyba coś o tym wspominałaś.

Dimitri wsiada za nami, a po chwili Gareth odwiązuje łódź od pomostu. Odbijamy. Gareth i Dimitri zaczynają stawiać żagle, a ja zastanawiam się, czy jest coś, na czym Dimitri się nie zna.

Obserwuję wodę, ale siedzę jak najdalej od burty. Myślę o krystalicznie czystym morzu, gładkim jak zwierciadło, opływającym Altus. Tutaj jest ono całkiem inne. Nie da się przeniknąć wzrokiem pod powierzchnię, pokrytą mnóstwem unoszących się na niej

odpadków, które wraz z ruchem fal raz po raz uderzają o łódź. Nie mam ochoty dowiadywać się, co pływa głębiej.

Jest już dobrze po południu, kiedy opuszczamy port. Dimitri i Gareth wreszcie siadają i spokojnie jemy przyjemny obiad, a oni wymieniają informacje dotyczące Altus. Gareth słyszał, że Ursula prowadzi swoją kampanię i zbiera zwolenników w nadziei, że poniosę porażkę. Jako daleka krewna zmarłej ciotki Abigail jest druga po mnie w kolejności dziedziczenia władzy na wyspie. To żadna tajemnica, że Ursula pragnie przejąć pozycję, która zgodnie z prawem należy się mnie, a potem zapewnić sukcesję swojej córce Astrid.

Przygryzam dolną wargę, chłonąc wieści z krainy, którą pokochałam. Myśl, że Ursula dąży do władzy, podczas gdy ja ryzykuję życie własne i innych ludzi, aby doprowadzić do końca wiążące nas proroctwo, jest dla mnie źródłem silnego niepokoju.

Jednak tego właśnie potrzebuję. Przypomnienia.

Nie stać mnie na to, żeby poddać się lękowi - przed stworami Samaela, przed Duszami, a nawet przed mrocznymi stronami własnej osobowości. Stawka jest zbyt wysoka i choć mogę nie zgadzać się z wyrokami losu, który obarczył mnie taką odpowiedzialnością, nie zrzeknę się jej.

W ten czy inny sposób wezmę ją na siebie.

Resztę dnia spędzam, obserwując, jak Gareth i Dimitri uwijają się przy żaglach, i słuchając ich wyjaśnień na temat funkcjonowania różnych urzędów. Wydaje mi się, że kiedyś mogłabym sama zacząć uczyć się żeglarstwa, i wyobrażam sobie, jak razem z Dimitrim przemierzam kryształowe wody otaczające Altus.

Kiedy kończymy naszą skromną kolację, łódź jest już na kursie, popycha nas niezmienny wiatr. Na wodzie jest chłodniej niż na lądzie, więc w poszukiwaniu ciepła opieram się o plecy Dimitriego, patrząc, jak niebo robi się coraz ciemniejsze. Żeglowanie nie wydaje się już tak atrakcyjne i zaczynam tęsknić za domowymi wygodami.

- Wiesz, co byłoby pyszne?
- Taaak? - pyta rozleniwionym głosem.
- Przepiórka. Ogromna przepiórka z przypieczoną skórką i soczystym mięsem, oddzielającym się od kostek.

Czuję, że się śmieje, więc odwracam się, żeby na niego popatrzeć.

- Co w tym śmiesznego? Nie masz ochoty na coś innego niż suszone mięso i chleb?

-Tak, oczywiście, mam. - W jego ciepłym tonie wciąż pobrzmiwa rozbawienie. - Tylko nigdy wcześniej nie słyszałem, żebyś tak perorowała o jedzeniu.

-Jestem głodna! - Żartobliwie uderzam go w ramię.

- Ja ją rozumiem - z drugiego końca łodzi odzywa się Gareth. - Zjadłbym trochę puddingu jabłkowego z Altus, takiego prosto z pieca, gorącego, żeby aż parzył w usta.

- A ty co? - zwracam się do Dimitriego. - Co byś chciał?

- Niczego więcej mi nie trzeba - odpowiada, nagle poważniejąc. - Wszystko, czego chcę, mam tutaj.

Spoglądam na niego z uśmiechem. Nim znowu zaczyna mówić, między nami, po cichutku, rozgrywa się coś bardzo ważnego.

- Choć muszę przyznać, że pieczona przepiórka i gorący pud-ding byłyby mile widziane.

Tym razem to ja wybucham śmiechem i znów opiekam się o jego plecy, z przyjemnością dotykając jego silnego ciała. Gdy tak płyniemy w stronę Irlandii pod ciemniejącym niebem, nie odczuwam zmęczenia. Jestem zwyczajnie szczęśliwa, a w mrok snu zapadam tak szybko, że nie mam czasu pomyśleć, jak dziwne jest to, iż odnajduję spokój pośrodku morza, w towarzystwie dwóch mężczyzn: przyjaciela i tego drugiego, który jest kimś znacznie więcej.

■ •

Spodziewałam się, iż po przybiciu do brzegów Irlandii zostaniemy przekazani nowemu przewodnikowi, dlatego bardzo się cieszę na wieść, że to jednak Gareth będzie nam towarzyszył aż do grobowców w Loughcrew. Sprawnie manewruje łodzią, przybijając do niewielkiego pomostu w porcie, a potem kierujemy swoje kroki ku ruchliwemu nabrzeżu, gdzie rudy chłopak przyprowadza nam Sargenta, Blackjacka i jeszcze jednego konia, którego rozpoznaję jako należącego do Garetha. Napotykać mój wzrok, chłopiec uśmiecha się nieśmiało i z szacunkiem; zastanawiam się, czy on też jest jednym z Braci z Altus. Nie pytam, w jaki sposób konie odbyły przeprawę. Przyzwyczaiałam się już, że Siostry i Obserwatorzy mają swoje tajne sposoby, i na razie nie pragnę ich rozszyfrowywać.

Wsiadamy na konie i mijamy ruchliwe portowe ulice, kierując się do centrum Dublina. Potem zostawiamy miasto za sobą, zaś przed nami rozciąga się krajobraz Irlandii, jak rozwijający się na wszystkie strony puszysty zielony dywan.

Dimitri i Gareth dochodzą do wniosku, że najbezpieczniej będzie unikać głównych dróg, dlatego dzień upływa nam na przemierzaniu szmaragdowych łąk i pokonywaniu łagodnych wzgórz. Mimo chłodu jazda przez piękną, dziką i rozległą krainę jest przyjemna i rozjaśnia nieco niektóre z mrocznych zakątków mojego serca.

Odwracam się do Garetha.

-Jak długo będziemy jechać do Loughcrew?

-Jeden dzień albo trochę dłużej, o ile po drodze nie będzie kłopotów.

Kiwam głową, a rozczarowanie niszczy mój spokojny nastrój.

- Sądzisz, że szybko się zdecydujesz? - pyta po chwili Gareth.

Patrzę na niego i wyjaśniam, wystrzegając się ujawnienia tych szczegółów dotyczących proroctwa, których Gareth nie zna:

- Niemądrze byłoby myśleć o tym teraz, kiedy tyle pozostaje do zrobienia.

Ciąży mi milczenie Dimitriego, unikam jego spojrzenia. Obydwoje mamy świadomość, że ta decyzja dotyczy również wielu innych spraw, nie tylko mojej pozycji na wyspie. W zasadzie nie przyjąłam jeszcze jego propozycji, abyśmy byli razem, jeżeli ocaleję po wypełnieniu się przepowiedni. Na początku nie odpowiedziałam z powodu Jamesa i dlatego, że nie byłam pewna swoich uczuć do niego. Teraz nie mam pewności, jaka będzie moja przyszłość, a nie chciałabym zapeszyć, zakładając, że wszystko się powiedzie.

- Sposoby działania Sióstr i Obserwatorów nie są jasne, nawet dla mnie. - Gareth marszczy brew. - Mimo że często powierzają mi kluczowe zadania, nikomu nie mówią wszystkiego. Jednak...

Przerywa, więc go zachęcam:

-Jednak?

- Wygląda na to, że kiedy cała sprawa się zakończy, będziesz musiała podjąć decyzję dość szybko, prawda?

- Prawda - powoli kiwam głową.

- Dlatego, oczywiście mówię to z całym szacunkiem, może powinnaś postanowić coś wcześniej, tak żeby objąć władzę lub zrezygnować z niej, kiedy nadejdzie czas?

-Jesteś bardzo rozsądny, Gareth - próbuję się uśmiechnąć. - Pomyślę o tym.

I rzeczywiście zastanawiam się cały dzień. Przepadł mój wewnętrzny spokój: Gareth słusznie stwierdził, że głupotą jest unikanie prawdy. Zbyt często robiłam tak w przeszłości - uciekałam przed faktami związanymi z Alice, Sonią, całą moją rodziną. Nie przyniosło to żadnego pożytku, a same straty, stąd łatwo jest mi dojść przynajmniej do jednego wniosku.

Kiedy wszystko zostanie powiedziane i wykonane, możliwe będą tylko dwa zakończenia: albo wypełnię postanowienia proroctwa i podejmę decyzję, która odmieni moje życie na zawsze, albo, usiłując do tego doprowadzić - zginę.

Czuję, że zbliżamy się do grobowców, jeszcze zanim je widzę. Jakby od wewnątrz coś mnie ciągnęło w ich stronę, tak mocno, że jestem przekonana, iż odnalazłabym drogę nawet bez Garetha. Wierzę silniej niż przedtem, że Kamień tam jest, bo z jakiej innej przyczyny reagowałabym tak intensywnie w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie byłam? Tą myślą się pocieszam, kiedy natrafiamy na ścieżkę wiodącą w stronę niewielkiego lasu.

- To musi być dróżka do domu. Nie wiem, jak wy, ale ja nie mogę się doczekać spania w normalnym, wygodnym łóżku - mówi Gareth, prowadząc nas przez rzadki zagajnik.

-Ja mam wielką nadzieję na kąpiel. - Mimo zmęczenia próbuję się uśmiechnąć.

- A ja biorę i to, i to, oraz - dodatkowo - smaczny posiłek - dołącza się Dimitri.

Dróżka jest za wąska, żebyśmy mogli jechać obok siebie, więc przejeżdżamy pośród drzew jedno za drugim. Przez chwilę tracę cieramy do polany, na środku której stoi dom z szarego kamienia, niemal stapiający się barwą ze stalowym, późnozimowym niebem. Pasma dymu unoszące się z komina wywołują jednak uśmiech na mojej twarzy.

Patrzę na Garetha i Dimitriego, szczerząc zęby.

- Ciepło!

Odwzajemniają uśmiech i podprowadzamy konie do ogrodzenia przy domu.

- Na razie przywiążemy je tutaj - mówi Gareth. - Chodźmy przywitać się z gospodarzami.

Zsiadam z grzbietu Sargenta i uwiązuję go u płotu, potem przez chwilę głaszczę jego szyję.

- Dziękuję - szepczę, poklepując bok wierzchowca, a potem dołączam do mężczyzn stojących u wejścia do budynku.

- Jak się nazywa gospodarz? - pytam po cichu Dimitriego, kiedy wchodzimy na ganek, czekając, aż ktoś odpowie na nasze pukanie.

- Fergus. Fergus O'Leary.

Kiwam głową i szeptem powtarzam nazwisko. Z nerwów mam ściśnięty żołądek. Przyzwyczaiałam się do tego, że radzę sobie sama. Przywykłam do Milthorpe Manor w Londynie, do Dimitriego i tych, których dobrze poznałam. Dziwnie będzie mieszkać w obcym domu podczas poszukiwań Kamienia.

Gareth podnosi rękę, żeby ponownie zapukać, ale wtedy drzwi otwierają się. Spodziewałam się widoku starszego mężczyzny, dlatego kilka razy mrugam, zauważając stojącą na progu dziewczynę. Naraz przypominam sobie. Dimitri wyjawiał mi, że gospodarz ma córkę.

- Dzień dobry - mówi dziewczyna z lekkim irlandzkim akcen-

Dimitri potakuje, wymownym spojrzeniem przypominając mi, abym podawała wyłącznie swoje imię. Kwatera została wynajęta na jego nazwisko, ustaliliśmy też, że cel naszego przyjazdu oraz moją tożsamość najlepiej będzie trzymać w tajemnicy.

- To moi towarzysze podróży, Lia i Gareth - przedstawia nas Dimitri. - Gareth zostanie tu tylko na jedną noc.

Patrzę na niego ze zdumieniem. Właściwie nie powinnam być zdziwiona, bo Gareth nie zna powodu naszego pobytu w Loughcrew. Podobnie jak przedtem, gdy poszukiwaliśmy ostatniej strony proroctwa, podano mu tylko część wiedzy na temat przepowiedni. Takie było życzenie cioci Abigail i nadal jest respektowane.

- Proszę, wejdźcie. - Dziewczyna cofa się, wpuszczając nas do domu, a potem zamyka za nami drzwi. - Jestem Brigid O'Leary. Ojciec czeka w salonie.

Odwraca się, a my podążamy korytarzem za nią. Na ścianach palą się świece, rzucając światło na włosy Brigid. Na początku wydaje mi się, że są jasne, jak włosy Soni, ale potem zauważam ich miedziany połysk.

Korytarz jest ciemny i wąski. Przechodząc, nie umiem powściągnąć ciekawości i zaglądam do pokoi. Wyposażenie bynajmniej nie jest tak

luksusowe jak w Milthorpe Manor, ale meble, choć zniszczone, wyglądają na wygodne, dlatego dochodzę do wniosku, że dom już mi się podoba.

- To tutaj. - Brigid otwiera drzwi po prawej stronie i wchodzimy do niewielkiego pomieszczenia. Przy biurku nad otwartą księgą siedzi siwy mężczyzna, pochylony ponad kartką papieru, po której pisze piórem. - Wybacz, ojciec. Przyjechali nasi goście.

Mężczyzna podnosi zamglone oczy. Znam ten wyraz twarzy.

Podobnie patrzył mój ojciec, kiedy bez reszty pogrążył się w badaniach

w swojej bibliotece. Takie spojrzenie ma osoba niechętnie powracająca z innego świata.

- Co mówisz, córko? - Przypatruje się nam zdezorientowany.

Zastanawiam się, czy Brigid przypadkiem nie zapomniała poinformować go o naszym rychłym przyjeździe.

- Nasi goście, tato - łagodnie powtarza dziewczyna. - Przyjechali. Przypomnij sobie. Pan Markov dał znać, że chce wynająć pokoje na czas badań w grobowcach.

Wymyśliliśmy z Dimitrim historyjkę, że jesteśmy naukowcami, którzy przygotowują ważne opracowanie na temat historycznego znaczenia grobowców. To pozwoli nam swobodnie poruszać się po terenie i zadawać pytania, które, bez wzbudzania zbytnich podejrzeń, mogą nas doprowadzić do Kamienia.

- Pan Markov? - Mężczyzna patrzy na nas pytająco i dopiero po chwili w jego oczach pojawia się błysk zrozumienia. - Ach tak! Pan Markov. Czekaliśmy na pana. - Z tymi słowami wstaje i podchodzi do nas, jakby przed chwilą wcale nie przyglądał się nam bezradnie zza biurka.

Najpierw z wyciągniętą dłonią kieruje się do Dimitriego i ściska mu rękę, potem grzecznie przysuwa się do Garetha i wita się z nim w ten sam sposób. Jednak kiedy spogląda na mnie, czuję pomiędzy nami mur. W oczach gospodarza trudno nie dostrzec podejrzliwości.

- Zobacz, Brigid. Mamy tu i panienkę. Zdaje mi się, że przyjaciółka pana Markova będzie dla ciebie świetnym towarzystwem.

Na mleczych policzkach Brigid wykwitają dwie czerwone, ogniste plamy. Wtula głowę pomiędzy ramiona.

- Och, ojciec! Przypuszczam, że pan Markov i jego znajomi muszą wykonać ważną pracę i nie będą mieli dużo czasu na rozrywki.

- Rzeczywiście mamy dość pilne terminy - przytakuje Dimitri.

- Musimy jak najszybciej dokończyć badania i wracać. Ale - mruga do Brigid - na pewno zostanie nam dosyć czasu na przyjacielskie pogawędki.

Dziewczyna bez entuzjazmu kiwa głową.

Jej ojciec zakłada ręce do tyłu.

- Pomyśl. Będzie ci miło w towarzystwie młodej kobiety, Brigid. Tymczasem jego wypowiedź wcale nie brzmi tak, jakby uważał to za przyjemne, a ja czuję, że wpadłam do króliczej nory i znalazłam się w zupełnie innym świecie. Być może to skutek zmęczenia, ale wydaje mi się, że w każdym słowie O'Leary'ego jest jakieś ukryte znaczenie - podobnie jak w ukradkowych spojrzeniach, które ojciec wymienia z córką, sądząc, że nie zwracamy na nich uwagi. Mój wewnętrzny głos napomina mnie, że jestem znużona i przesadzam, lecz mimo to cieszę się, gdy, klasnąwszy w dłonie, pan O'Leary mówi:

- Dobrze. Ja teraz zajmę się końmi, a Brigid pokaże państwu pokoje. Przyjechaliście na koniach, prawda?

- Są przed domem - potwierdza Gareth - przywiązane do płotu. Pójdę z panem i odprowadzę je do stajni.

- Nie, nie trzeba. Proszę się umyć i odpocząć po podróży. Ja się wszystkim zajmę.

O'Leary chce już odejść, ale w pół kroku zatrzymują go słowa Dimitriego.

- Panie O'Leary!

- Słucham.

- O ile zrozumiałem, ma pan pięć pokoi do wynajęcia. - Dimitri sięga do kieszeni.

- Tak - odpowiada gospodarz - ale was jest tylko troje, czyż nie? Do jutra, dopóki ten pan nie wyjedzie? - Wskazuje na Garetha.

x :~

- Możemy oczywiście przygotować więcej pokoi, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Dimitri wyciąga do niego rękę.

- Nie ma takiej potrzeby, panie O'Leary, ale moja praca ma wielkie znaczenie i musi być wykonywana w spokoju. Chciałbym, aby na czas

naszego pobytu nie było tutaj innych gości. Naturalnie zapłacimy panu za niewykorzystane kwatery.

O'Leary się waha, spogląda na rękę Dimitriego z niejaką odrazą, choć zapewne niewiele osób przyjeżdża zwiedzać grobowce z początkiem wiosny. Zastanawiam się, co go uraziło, ale w chwilę później widzę, że bierze od Dimitriego pieniądze. Nie mówi już nic więcej i oddala się.

W półmroku pokoju spojrzenia moje i Dimitriego spotykają się. Wiem, że myślimy o tym samym: nikogo nie wolno wykluczać z kręgu podejrzeń, że pracuje dla Dusz. Nawet pana O'Leary'ego i jego córki.

- Czy przynieść coś jeszcze? - Brigid napełniła wodą wielką miedzianą wannę stojącą na środku pokoju. Powyżej unoszą się kłęby pary, rozplywając się jak eter w delikatnie oświetlonym wnętrzu.

- Nie, dziękuję. Cudowna kąpiel.

- Kolację podajemy o szóstej, jeżeli to wam odpowiada - dodaje Brigid.

Zauważam, że ma o wiele za długie rękawy, które zamoczyła przy nadgarstkach, nalewając wodę do wanny. Mam wyrzuty sumienia, że wcześniej tak krytycznie, choć może nie bez przyczyny, myślałam o O'Learych.

- Doskonale - mówię z uśmiechem. - Dziękuję za wszystko. Stoimy w przedłużającym się milczeniu, które staje się coraz bardziej niezręczne. Mam nieodparte wrażenie, że dziewczyna chciałaby mi powiedzieć coś jeszcze. Czekam i w chwilę potem rzeczywiście pada pytanie:

- Przyjechaliście z Londynu, tak?

- Tak. - Celowo nie rozwijam tematu. Niedopowiedzenia są przyjaciółmi tych, którzy mają coś do ukrycia.

Brigid patrzy w dół, przygryzając dolną wargę, jakby zastanawiała się nad następnym zdaniem.

- Zostaniecie na długo?

To zwykła ciekawość, mówię sobie. Mieszka prawie sama na takim odludziu, a za całe towarzystwo ma tylko starego ojca.

Mimo to odpowiadam surowym tonem, pragnąc w ten sposób zapobiec dalszemu indagowaniu.

- Tak długo, żeby skończyć naszą pracę.

- Życzę przyjemnej kąpieli. - Brigid kłania się przed odejściem.

Stoję bez ruchu, starając się powstrzymać falę podejrzliwości, która ruszyła wraz z naszym przybyciem do Loughcrew. Coś podświadomie mnie dręczy i jestem przekonana, że chodzi o jakiś istotny szczegół.

Dopiero później, gdy siedzę w stygnącej wodzie, opierając głowę o brzeg wanny, zdaję sobie sprawę, co mnie zaintrygowało.

Dimitri i ja nie jesteśmy z Londynu. Bynajmniej. Prawdę mówiąc, żadne z nas nie mieszkało tam na tyle długo, żeby nabyć londyńskiego akcentu. Ja ciągle mam amerykańską wymowę, dlatego bywam obrzucana przez londyńczyków zdziwionymi spojrzeniami. Z kolei Gareth jest „znikąd”: wciąż podróżuje, wykonując zadania zlecone przez Braci i Siostry z Altus. Jego akcent przypomina londyński jeszcze mniej niż mój. W dodatku wszyscy troje mamy na sobie nędzne ubrania; nie chcieliśmy się stroić, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Jeśli przy tym wszystkim założyć jeszcze, że ostrożny Dimitri nie wygadał się, skąd przyjeżdżamy, Brigid nie ma powodu sądzić, iż przybyliśmy z Londynu. A to oznacza, że przez przypadek udało się jej odgadnąć nazwę miasta - albo że wie o nas więcej, niż powinna. Przy kolacji panuje skrępowanie. Nie wiem, czy ze względu na obopólną podejrzliwość, czy na brak zażyłości z gospodarzami, przez większość czasu jemy w milczeniu, a próby nawiązania towarzyskiej rozmowy podejmuje tylko Gareth. Brigid przebrała się w inną za dużą suknię, której rękawy przesuwają się niebezpiecznie blisko różnych potraw i sosów poustawianych przed nami na stole. Przez moment robi mi się przykro, że jest taka samotna i najwyraźniej brakuje jej kobiecej rady.

Pomimo że w tym towarzystwie czujemy się obco, jemy z wielkim apetytem. Brigid, z pomocą starszej kobiety z pobliskiego miasteczka, przygotowała dla nas wspólny posiłek. Jedzenie jest niewyszukane, ale podane w ogromnych ilościach, a ja pochłaniam porcje, przed którymi powstrzymałaby się każda dobrze wychowana panienka. Po deserze pijemy jeszcze piwo i pod koniec kolacji pan O'Leary nawiązuje do naszej wyprawy do grobowców.

- Pewnie będziecie potrzebowali przewodnika. - Jestem przekonana, że w jego stwierdzeniu słychać ton nadziei.

<r •

Nie miałam dotąd okazji, żeby zrelacjonować Dimitriemu swoją rozmowę z Brigid, więc zabieram głos, nim on zdąży się odezwać.

-W zasadzie wolimy pracować sami, ale dziękujemy za propozycję.

Dimitri zerka na mnie, a ja staram się powiedzieć mu spojrzeniem: Później ci wszystko wyjaśnię.

Pan O'Leary powoli kiwa głową.

- Zapewne macie więc mapę okolicy.

- Tak, rzeczywiście mamy - potwierdza Dimitri. - Ale kiedy zagłębimy się w badania, bez wątpienia będziemy musieli skorzystać z pana wiedzy.

- Ojciec dużo wie o tych grobowcach - odzywa się Brigid, siedząca po prawej ręce O'Leary'ego. - Jeśli szukacie czegoś konkretnego, pomoże wam to znaleźć.

W oświetlonej świecami jadalni rozlega się śmiech O'Leary'ego, jak podmuch zimnego wiatru.

- Córkó, zapominasz, że pan Markov i jego zespół interesują się tylko historycznym aspektem grobowców. To zaś może ogarnąć każda osoba, która zna zasady prowadzenia badań naukowych. - Sarkazm w jego wypowiedzi jest aż nazbyt wyraźny. Gospodarz zwraca się do Dimitriego. - Czyż nie mam racji, panie Markov?

- Ma pan rację. - Dimitri wytrzymuje jego spojrzenie.

Następuje chwila ciszy, kiedy dwaj mężczyźni uważnie przypatrują się sobie nawzajem. Zastanawiam się, czy dojdzie do rękoczynów, bo wyczuwam między nimi silną wrogość. Jednak po chwili pan O'Leary odsuwa się od stołu.

- To był długi i męczący dzień, przede wszystkim dla państwa. Proszę, rozgoście się. Brigid podaje śniadanie o siódmej.

Wychodzi do holu, a Brigid podnosi się z miejsca z niepewnym

- Ojciec nie nawykł do towarzystwa. Rzadko mamy gości, więc łatwo zapomnieć, jak należy się zachować w obecności innych. Proszę mu wybaczyć.

- To drobiazg. - Dimitri opiera się o krzesło, rozluźniony po wyjściu gospodarza.

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc, nim udadzą się państwo na spoczynek? - pyta z ukłonem Brigid.

- Jeżeli chodzi o mnie - odpowiada Gareth - to potrzebny mi jest tylko materac, który czeka na mnie na górze.

- Niczego nam nie trzeba, dziękujemy. - Zmuszam się do uśmiechu. Chcę zdławić niepokój, myśląc, że przecież wszyscy jesteśmy zmęczeni i drażliwi.

- Rozumiem.

Mówimy dobranoc, ale siedzimy w milczeniu wokół stołu jeszcze dłuższą chwilę po odejściu dziewczyny.

Gareth nachyla się ku nam i scenicznym szeptem pyta:

- Co to miało znaczyć?

- Nie tutaj. - Dimitri kręci głową. Wstaje i gestem nakazuje nam to samo. - Musimy porozmawiać w którejś z sypialni, i to po cichu.

Wchodzimy za Dimitrim po schodach i mijamy pokoje przydzielone po przyjeździe jemu i Garethowi. Zatrzymujemy się przed moją sypialnią. Dimitri otwiera drzwi i unosi pytająco brwi, a ja skinieniem głowy zgadzam się, żeby wszedł do środka, wiedząc, że prosi o pozwolenie ze względu na Garetha. Dimitri jest mile widziany w moim pokoju i dobrze o tym wie.

Kiedy wszyscy jesteśmy w środku, Dimitri zamyka drzwi i przesuwamy się głębiej. W kominku już napalono. Podchodzimy do sofy i stojącego obok kompletu krzesel. Gareth wybiera krzesło z wysokim oparciem i wytartą tapicerką, a ja wolę skulić się w rogu kanapy.

Dimitri siada na dywanie przed kominkiem, z westchnieniem wyciąga swoje długie nogi i opiera się na łokciach.

- Teraz mówcie - zaczyna cicho. - Co podejrzewacie? Biorę głęboki oddech.

- Nie jestem niczego pewna. Brigid zapytała, czy przyjechaliśmy z Londynu, ale nie w taki sposób, jak pyta ktoś, kto chce usłyszeć odpowiedź.

- Czegoś tu nie rozumiem, jeżeli chodzi o pytania - mówi Gareth z humorem. - Czy oznacza to, że jest jeszcze jakiś inny sposób ich zadawania?

Zaglądam mu prosto w oczy, starając się, aby moja wypowiedź nie zdradzała irytacji.

- Nie. Czasami zadaje się pytanie, żeby uzyskać potwierdzenie tego, co już wiemy.

- Myślisz więc, że Brigid wiedziała wcześniej, że przyjedziemy z Londynu? - pyta Dimitri.

- Na to wyglądało. - Przechodzę spojrzeniem od jednego do drugiego. - Jesteście pewni, że nie wygadaliście się, skąd wyruszyliśmy?

- Jestem absolutnie pewny - stwierdza Dimitri bez wahania.

- Zrobiłem wszystko, co się dało, żeby nie ujawniać, kim jesteśmy, skąd pochodzimy. Nie podawałem żadnych szczegółów poza zmyśloną przez nas historyjką. Po tym, co zdarzyło się w drodze do Chartres, nie będę narażać twojego bezpieczeństwa na szwank, Lia.

- Jego głos jest głęboki, bogaty w emocje, a moje policzki płoną od gorąca.

-Gareth?

- Nie wiem zbyt dużo o powodach, dla których tu jesteście
- wzrusza ramionami - dlatego nie mógłbym zbyt wiele zdradzić.

Poza tym nie miałem ani czasu, ani ochoty, żeby paplać o Londynie. Natomiast ty i Dimitri jesteście elokwentni, a z Londynu przyjeżdza

m
pewnie wielu naukowców, żeby badać grobowce. Może Brigid po prostu zgadła?

- Może. - Patrzę w ogień, jakby tam skrywały się rozwiązania wszystkich naszych zagadek. - Myślę, że to prawdopodobne. Ja tylko
- spoglądam w oczy Garetha - czuję, że oni wiedzą więcej, niż dają po sobie poznać. * '

- Zgadzam się z Lią - rzuca spokojnie Dimitri w głąb pokoju.

- Być może to nic nie znaczy, ale nie wolno nam ryzykować. Podczas pobytu tutaj musimy bacznie im się przyglądać i nic im nie wyjawiać, jeśli coś odkryjemy.

- Chcecie, żebym został? - pyta Gareth. - Mógłbym przynajmniej pilnować was i zadbać o wasze bezpieczeństwo.

Dimitri patrzy w moją stronę, bo to mnie pozostawia decyzję. Wie, że chciałabym wywiązywać się ze swoich zadań zgodnie z wolą ciotki Abigail, przynajmniej do tego momentu, kiedy nabyta wiedza pozwoli mi postępować inaczej.

Kusi mnie jednak propozycja Garetha. Od zdrady Soni grono osób, którym ufam, drastycznie się zmniejszyło.

Z drugiej strony, ciotka Abigail nie chciała, żeby Gareth został wtajemniczony. Wyznaczając go na jednego z naszych przewodników do Chartres, zapoznała go zaledwie z wycinkiem naszej trasy

- podobnie jak pozostałych przewodników. Nie należy przypuszczać, że moja niewielka wiedza i nikłe doświadczenie pozwoliłyby mi podjąć lepszą decyzję.

Uśmiechając się do Garetha, wyciągam do niego rękę. Patrzy zaskoczony to na moją dłoń, to na Dimitriego, jakby prosił o pozwolenie. Na lekkie skinienie głowy Dimitriego przyjmuje mój uścisk.

- Gareth, mój drogi, gdybym mogła komukolwiek powierzyć
I i 9

ze względu na twoje i moje własne bezpieczeństwo. Szczerze żałuję, ale tak musi być.

-Jestem zawsze do usług, pani - kłania się Gareth. Ściska moją rękę i uśmiecha się, nim zdązę odpowiedzieć. - I proszę, nie trudź się przypominaniem mi, że nie przyjęłaś jeszcze swojej funkcji. Ludzie z Altus, twoi poddani, potrzebują cię. Żadna władczyni, a nikt nie zasługuje na to miano bardziej niż ty, nie może się odwracać od potrzeb swojego ludu.

Z emocji dławi mnie w gardle, ale na szczęście Gareth wstaje, oszczędzając mi trudu udzielenia kłopotliwej odpowiedzi.

- Życzę dobrego odpoczynku i dobrej nocy.

- Dobranoc, Bracie. - Gdy Dimitri żegna Garetha, udającego się do swojej sypialni, w jego głosie słychać szacunek połączony z serdecznością.

Po jego odejściu siedzimy z Dimitrim w milczeniu, a jedyne dźwięki, które rozlegają się w pokoju, to trzaskanie i przesuwanie się szczap w kominku. Podnoszę wzrok i widzę, że Dimitri obserwuje mnie swoimi ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami. Nadal leży, opierając się na łokciach, w opiętej białej koszuli. Krawat przy kołnierzu rozwiązał mu się, odsłaniając skrawek gładkiej skóry. Gdybym rozplątała wszystkie tasiemki, mogłabym zdjąć tę koszulę, całować jego pierś i brzuch.

- Czemu tak na mnie patrzysz? -Jego spojrzenie przepływa przeze mnie, mój głos nie jest w stanie ukryć pożądania.

Namiętność w oczach Dimitriego jest odbiciem mojej.

- Czyż nie mogę patrzeć na ciebie wyłącznie dla przyjemności, o, pani?

- Nie mów tak do mnie, Dimitri - odwracam wzrok. - Nie tutaj. Nie teraz. Nie chcę rządzić Altus. Jeszcze nie.

Dimitri poklepuje miejsce na dywanie, tuż koło siebie.

- Chodź tu. - Jego głos jest przesycony pragnieniem.

Pokonuję tę niewielką odległość, jaka nas dzieli, podchodzę do niego i siadam obok.

- Bliżej - mówi tak cicho, że prawie go nie słyszę.

Przysuwam się i zatrzymuję dopiero wtedy, kiedy moja twarz znajduje się kilka centymetrów od twarzy Dimitriego.

-Jeszcze bliżej - prosi.

Uśmiecham się i nachylam nad nim tak nisko, że nasze wargi prawie się stykają.

-Tutaj?

- Wystarczy. - Jego uśmiezek jest nieodgadniony i podstępny.

Dimitri przyciąga mnie do siebie i lekko unosi moją twarz, żeby znalazła się naprzeciw jego twarzy. - Nawet jeśli nadejdzie pora objęcia władzy, nie będziesz wyłącznie panią Altus. Nie dla mnie. Zbliża swoje usta do moich i czuję, jak są miękkie, nim prześlizgną się ku wrażliwej szyi. Odchylam głowę do tyłu i staram się powstrzymać umykające westchnienie.

- Więc kim? Kim będę dla ciebie?

- To proste pytanie - odpowiada, prawie dotykając wargami mojej skóry. - Będiesz moją ukochaną. Moim sercem. - Jego usta kontynuują swoją wędrówkę, dochodząc do delikatnych okolic obojczyka. - Kiedy stajesz przed całym światem, musisz być taka silna. Ale przede mną możesz zupełnie się odkryć, a i tak nie spotka cię żadna krzywda.

Płomień rozpala się we mnie, a pierwszą iskrą są te łagodne słowa wyszeptane ustami Dimitriego. Przesuwam się tak, aby nachylić się nad nim, na wpół leżąc na dywanie. Kładę jego głowę na podłodze. Moje włosy opadają na nas jak ciemna kurtyna, przez ich pasma ledwie prześwieca płomień z kominka.

- Myślę, że chciałabym się odkryć, Dimitri, i leżeć przy tobie nago. - Tym razem to ja go całuję, bez pośpiechu, czując, jak jego wargi poruszają się przy moich.

Kiedy przestaję, dotyka palcem moich nabrzmiąłych od pocałunków ust.

- Mogę zaczekać, Lia. Nigdy nie przestanę czekać.

Śpię źle, prześladowają mnie dziwnie skonstruowane sny. Raz znowu tkwię w kręgu ognia, a znamię na nadgarstku bez przerwy płonie. Za chwilę otaczają mnie ramiona Dimitriego, czuję jego dotyk na nagiej, ciepłej skórze. Kiedy następnego ranka wychodzę z sypialni, cieszę się, że w pokojach dla gości nie ma luster. Jestem pewna, że nie spodobałoby mi się moje odbicie.

Słyszę dobiegający z dołu szmer rozmów, więc schodzę prymitywnymi schodami do głównego korytarza. Odwagi dodaje mi sztylet mamy, który obciąża małą torebkę uwieszoną u przegubu mojej dłoni. Być może to obsesja każe mi go zabierać, ale Wolę mieć go przy sobie i nie potrzebować, niż odwrotnie.

Przechodzę na tyły domu do salonu, który pokazano nam po przyjeździe, i jestem zdziwiona, spotykając tam tylko Dimitriego z głową pochyloną nad książką. Jego barczysta postura sprawia, że krzesło, na którym siedzi, wydaje się malutkie. Jeszcze kilka godzin temu oplatały mnie jego silne ręce; na to wspomnienie przeszywa

- Dzień dobry - mówię po cichu, gdyż nie chcę go przestraszyć. Dimitri podnosi swoje czujne oczy.

- Witaj, kochana. Dobrze spałaś?

Tak czułe powitanie to dla mnie nowość, dlatego przez całe moje ciało przepływa strumień przyjemności, bo naraz zdaję sobie sprawę, że jestem jego miłością. A on moją.

Idę przez pokój w jego stronę, a ponieważ Dimitri wstaje, trafiam w jego objęcia.

- Nie. Obawiam się, że ostatnio sen przestał należeć do grona moich przyjaciół.

Dimitri unosi mi podbródek i uważnie przygląda się mojej twarzy, jakby czytał książkę.

- Rzeczywiście - potwierdza. - Powinienem był spojrzeć, nim zapytałem. Od razu widać, że nie miałaś spokojnej nocy.

- Wielkie dzięki! - Lekko go popycham. - Czy ta uwaga ma mi pochlebiać?

Dimitri całuje mnie w czubek nosa.

- Nie chciałem cię urazić. Jesteś śliczna o każdej porze dnia i nocy, w każdych warunkach. Martwię się tylko o ciebie, to wszystko.

Zmizerniałaś i wyglądasz na zmęczoną, a przed nami jeszcze tyle pracy.

Uśmiecham się, wzruszona jego zatroskaniem.

- To drobiazg, pomoże mi świeże powietrze i dobry posiłek. - Cofam się, wyglądając na korytarz. - Gdzie reszta?

- Pan O'Leary z córką zajmują się gospodarstwem - mówi Dimitri niepewnie, pocierając ręką nieogoloną brodę. - A Gareth niestety już wyjechał.

- Wyjechał? - Kręcę głową. - Co to ma znaczyć?

Dimitri pochyla się ponad stołem i podnosi złożoną kartkę.

- Powiedział, że nie lubi pożegnań. Ruszył wcześniej rano, a to zostawił dla ciebie.

Wręcza mi list, a ja przybliżam się do światła, rozwijając gruby papier i starając się odczytać pochyłe pismo.

Moja Pani,

Przepraszani, że odjeżdżam bez pożerania, ale nigdy ich nie lubiłem, tym bardziej teraz. Szkoda, że nie możesz zlecić mi swojego zadania, gdyż najwyraźniej bardzo ciąży Ci ono na sercu. Pragnę powiedzieć, że gdybyś kiedykolwiek w przyszłości potrzebowała pomocnika, albo po prostu zaufanego przyjaciela, jestem do usług i zapewniam o swoim oddaniu.

Obojętne, jaką drogę wybierzesz, dla mnie zawsze pozostaniesz prawowitą władczynią Altus.

Twój wierny sługa,

Gareth

Powoli składam papier. Odbieram zniknięcie naszego przewodnika jako niemiłą niespodziankę, chociaż wiedziałam, że ma dziś wyjechać. Tak wiele strat, które poniosłam, nastąpiło nagle, spadło na mnie, nim zdążyłam powiedzieć to, co chciałam.

Chyba pragnęłam, przynajmniej tym razem, zwyczajnie się pożegnać.

-Jestem przekonany, że chciał wam obydwójgu oszczędzić smutku - dobiega mnie z tyłu głos Dimitriego. - To oczywiste, że stałaś się dla niego kimś bardzo ważnym.

- A on dla mnie. - Mówię to odwrócona w stronę ognia. Potem biorę głęboki oddech i proponuję Dimitriemu: - Może zjemy teraz śniadanie w jadalni i zaczniemy dzień? Wiem, że jest dużo do zrobienia.

- Śniadanie z pewnością nie zaszkodzi. - Dimitri uśmiecha się i bierze mnie za rękę. - Ale nie w jadalni. Chodź. Mam dla ciebie niespodziankę.

Galopujemy przed siebie; przed nami w całej okazałości rozciągają się pola, a z każdej strony widać łagodne wzgórza. Niebo ma niezwykle błękitny kolor i kiedy podnoszę oczy, żeby podziwiać, jak jest czyste, cały świat przechyla się na bok, a ja tonę w niebieskim morzu.

Z oddali przypatrują nam się kamienne kopce, skrywające w swym wnętrzu grobowce. To dziwne, specjalnie usypane niewielkie pagórki, którymi usiana jest cała zielona równina. Podjeżdżamy w ich stronę, a im bliżej jesteśmy, tym silniej odczuwam z nimi jakąś dziwną więź, podobnie jak czułam się w Chartres. Gdy zatrzymujemy się u podstawy najwyższego kopca, moje napięte nerwy drżą w oczekiwaniu. Wiem, że ten surowy krajobraz i grobowe korytarze kopców są mi jakoś bliskie, ale moje serce wypełnia trudna do wytłumaczenia melancholia.

Zsiadając z Sargenta, oglądam kopiec i otaczające go pola, a potem z uśmiechem mówię do Dimitriego:

- To wspaniała niespodzianka, ale chyba nie zamierzasz przypisywać sobie żadnych zasług. Kopce stoją tu od wieków. Tymczasem Dimitri wyjmuje z sakwy jakieś zawiniątko i szuka miejsca w słońcu, u podnóża ściany jednego ze wzgórków kryjących w sobie dawne grobowce.

- Coraz częściej żartujesz, Lia - stwierdza z aprobatą. - To mi się podoba. Ale nie kopce mają być niespodzianką, mój głuptasku. Wyciągam rękę i obracam się, wskazując na otaczający nas krajobraz.

- Tak, to trudno byłoby przebić, jednak jestem skłonna uwierzyć ci na słowo i poczekać.

Dimitri potrząsa zawiniątkiem i widzę, że to wełniany koc w beżowo-zieloną kratę.

- Teraz boję się przyznać, co to jest, bo chyba masz rację: błędnie w porównaniu z pięknym porankiem w tak urokliwym miejscu. Podchodzę do niego i staję na palcach, żeby pocałować go w usta.

- Bzdura. Wywiozłeś mnie aż tutaj. Bez śniadania! Domagam się niespodzianki!

- Dobrze - wzdycha Dimitri, udając zrezygnowanego. - Postaram się sprostać twoim oczekiwaniom.

Zanurza dłoń w skórzanej sakwie i zaczyna wyciągać owinięte ściereczkami pakunki. W chwilę później siedzę koło niego, a on wyjmuje jajka na twardo, świeży chleb, ser, jabłka i mały kamionkowy garnuszek miodu.

Przygląda się kompozycji potraw na kocu, po czym przesuwa garnuszek z miodem trochę w lewo, a jajka trochę w prawo i mówi:

- Teraz możemy jeść.

Kładę się obok i ujmuję rękami jego twarz. Dotykam ustami jego warg.

- Wspaniale, Dimitri. - Patrzę mu w oczy. - Dziękuję.

Odwzajemnia spojrzenie, potem znowu siada i sięga po chleb.

- Nie miałem ochoty na powtórkę z nieudanej kolacji, zwłaszcza pierwszego dnia w grobowcach.

Wzdycham, biorąc od niego kromkę oraz garnuszek z miodem.

- Bardzo rozsądna decyzja. - Jako że nakapałam już miodu na chleb, zjadam kęs, przykrywam garnuszek pokrywką. Ten chleb jest niepodobny do innych, jakie jadłam: suchy, łatwo się kruszy, czuć

- Od czego zaczniemy?

- Myślę, że dzisiejszy dzień powinniśmy poświęcić na zapoznanie się z terenem. Trudno jest rozeznaczyć się w jakiejś okolicy, mając tylko mapę.

- Zgadza się. - Częstuję się serem. - Byłoby dobrze, gdybyśmy zdołali odgadnąć rangę poszczególnych grobowców. Jeżeli Kamień jest tutaj, pewnie będzie schowany w jakimś ważnym miejscu, prawda? Tak jak ostatnia strona w Chartres.

-Ja też tak przypuszczam. Czytałem trochę przed wyjazdem, jednak nie znalazłem nic konkretnego. Pytałem nawet Victora, ale przysłał mi wiadomość, że to miejsce, jakich wiele w Anglii i Irlandii, od jakiegoś czasu, pozostawione samo sobie, niszczeje. - Dimitri nadgryza jabłko. - Wygląda na to, że ostatnio nikt nie prowadził tu poważnych badań.

Wzdycham, próbując stłumić frustrację, która we mnie narasta. Jest na nią o wiele za wcześnie.

- Skoro nie ma prostej odpowiedzi, chyba powinniśmy zacząć.

- Słusznie - potwierdza Dimitri, wstając energicznie.

Zbieramy resztki i wkładamy je z powrotem do sakwy Dimitriego, po czym wsiadamy na konie. Teren jest rozległy i poznanie go zajmuje nam cały ranek i część popołudnia. Nie wchodzimy do wnętrza kopców. Na razie. Po prostu ten dzień przeznaczamy na rekonesans, jeżdżąc po okolicy. Od czasu do czasu zatrzymujemy się, a ja dyktuję Dimitriemu opisy zewnętrznej budowy kopców, żebyśmy później mogli korzystać z notatek. Nie wiemy, czy ich wygląd jest istotny, ale przyda nam się wszystko, co odróżnia jeden kopiec od drugiego. Gdy zbieramy się do powrotu do domu, słońce już zachodzi, a powietrze jest niebieskoszare. Nie dokonaliśmy dzisiaj żadnych odkryć, ale uczyniliśmy pierwszy ważny krok w kierunku odnalezienia Kamienia.

On jest gdzieś tutaj. Czuję to.

Tego wieczoru, podczas drugiej kolacji z panem O'Learym i Brigid, jesteśmy zasypywani pytaniami. Dotykam rękojeści sztyletu przez materiał swojej małej torebki, bo nieustannie indagują nas w sprawie grobowców. I to pomimo natychmiastowego zapewnienia Dimitriego, że tylko zwiedzaliśmy konno okolicę. Dopiero po deserze nasz gospodarz wydaje się przyjmować wyjaśnienia dotyczące sposobu, w jaki spędziliśmy dzień. Trudno powiedzieć, czy w jego oczach dostrzegam uspokojenie, czy rozczarowanie.

Chciałabym jak najszybciej odejść od stołu, więc cieszę się, kiedy wreszcie upływa wystarczająco dużo czasu, żebym wraz z Dimitrim mogła życzyć O'Leary'emu i jego córce dobrej nocy, nie naruszając zasad grzeczności. Razem wchodzimy po schodach i zatrzymujemy się przy drzwiach mojej sypialni na pospieszny, ale namiętny pocałunek na pożegnanie, po czym Dimitri idzie do swojego pokoju w głębi korytarza.

Z ulgą zdejmuję bryczesy i koszulę. Są bardziej wygodne niż suknie i halki, ale wprost bosko jest włożyć nocną koszulę na gołe ciało.

Wślizguję się do łóżka i podciągam sobie wełniane koce aż pod brodę, zadowolona, że napalono w kominku. Zastanawiam się, czy zrobiła to Brigid, ponieważ nie zauważyłam w domu żadnej innej służącej oprócz kobiety, która przychodzi przyrządzić kolację. Nie sprawdzam już temperatury zmijowego kamienia. W ostatnich dniach zarzuciłam ten zwyczaj. Coraz trudniej jest zaprzeczać, że jego moc zanika.

Dlatego pozwalam sobie w inny sposób nie przyjmować tego do wiadomości - wskakuję w przepaść snu.

Wiem na pewno, że znajduję się we wnętrzu jednego z kopców w Loughcrew, choć nie mam na to żadnego wyraźnego dowodu. Wiem to w jakiś niewyjaśniony sposób, tak jak się zdarza w snach.

Na początku jestem sama i przemierzam zimne, wilgotne pomieszczenie; prowadzi mnie tylko światło pochodni. Szukam czegoś, czego nie umiem nazwać - lub kogoś. Kieruje mną tylko cień myśli, ale posuwam się naprzód, dokładnie oglądając ściany i posadzkę grobowca oraz wchodząc coraz głębiej do jego brzucha. Potem słyszę szept. Nie ten dziwny pomruk, jaki zwykle słyszałam przed obudzeniem się, gdy Alice rzucała swoje zaklęcia w Ciemnym Pokoju, ale zwykły szmer rozmowy. Z każdym krokiem dochodzi do mnie wyraźniej, a kiedy skręcam za róg, widzę je.

Dziewczynki stoją obok siebie, trzymając się za ręce. Wyglądają prawie identycznie, nawet z tyłu. Jedną z nich rozpoznaję od razu.

W przeblysku pamięci widzę dziewczynkę z Nowego Jorku, po raz pierwszy wręczającą mi medalion.

Dostrzegam ją na ścieżce niedaleko Birchwood, wręczającą mi po raz kolejny ociekający wodą medalion, który chwilę wcześniej wrzuciłam do rzeki.

Na koniec widzę ją we śnie: jej anielska buzia zmienia się w twarz Alice, taką, jaką pamiętam przed wyjazdu na Altus.

Teraz postrzegam to dziecko jako swoją „Alice ze znów”, mimo że ma złote włosy, zupełnie inne niż kasztanowe pukle mojej siostry.

Dziewczynka stojąca po prawej jest tego samego wzrostu, a jej loki są właśnie kasztanowe. Odwraca się i patrzy na mnie, nasze oczy spotykają się. Nawet w nikłym świetle pochodni widzę, że jej tęczęwki są zielone, tak jak moje. Pomijając włosy, dziewczynka wygląda tak samo jak ta, która odegrała ważną rolę w najtrudniejszych chwilach związanych z proroctwem. Jednak jej twarz jest jakaś delikatniejsza, bardziej niewinna.

- Pójdiesz z nami? Prosimy - mówi drżącym głosem, a jej buzia o drobnych, subtelnym rysach wyraża strach.

Potakuję, a serce bije mi coraz szybciej. Wiem, że ta druga jest dzieckiem z moich koszmarów, i nie podoba mi się pomysł, żeby

podążać z nią dalej w głąb grobowca. Po sekundzie właśnie ona odwraca się z tajemniczym uśmiechem.

-Tak, chodź z nami, Lia. Coś wam pokażę. - Dobrze pamiętam ton, którym mówi: ten dziecięcy głosik, tak obłudnie naiwny.

Nie mam czasu, by spytać, co ma na myśli, bo stoi już plecami do mnie, ciągnąc swoją towarzyszkę za rękę. Podążam za nimi i czuję, że powietrze wokół nas staje się wilgotniejsze, a jego podmuchy niosą coraz bardziej metaliczny zapach.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - odzywa się mała Alice, nie zatrzymując ani nie odwracając.

Druga, ciągnięta przez nią za rękę, ogląda się na mnie. W oczach ma taki lęk, że zamiera we mnie serce. Dziecko potyka się i znów patrzy przed siebie, żeby odzyskać równowagę. Robi jeszcze kilka kroków, po czym gwałtownie się zatrzymuje. Wiem, dlaczego to robi, kiedy i do mnie dochodzi słaby szum wody. Słyszę szybko kapiące krople, spadające na kamienną powierzchnię.

„Alice” podąża dalej. Jeszcze mocniej ciągnie za sobą drugą dziewczynkę.

- Chodź, nie bój się. To tylko woda.

Nie chcę iść za nimi. Woda dwa razy nieomal odebrała mi życie.

Bardziej niż wody boję się tylko mojej siostry.

Mimo to idę, widząc, jak przerażona dziewczynka wleczona jest coraz głębiej. Jej strach nie pozwala mi odejść, nawet we śnie.

We wnętrzu nagle robi się bardzo ciemno. Nie widzę już dziewczynek, ponieważ pochodnia oświetla tylko niewielki skrawek drogi przede mną. Poza nim jest ciemność, ale po chwili znowu skręcam za róg, gdzie otwiera się przede mną większa przestrzeń.

Mam wrażenie, że komora jest bardzo wysoka, ponieważ strop znajduje się poza zasięgiem wzroku. Nie jest jednak duża. W zasadzie okazuje się całkiem mała, kiedy oświetli się ją niesamowitym, czerwonym światłem pochodni - kilka kroków przed nami widać wtedy zbiornik wody. Z jakiegoś niewidocznego miejsca ponad naszymi głowami skapują krople i odbijają się od ścian, by wpaść do jeziora. Przebywają długą drogę, bo tafla wody nie znajduje się na poziomie półki, na której stoimy. O nie. Półka urywa się, a poniżej ziele kamienna przepaść; czarne jak noc jezioro leży w jej głębi.

Nie zastanawiam się nad tym, czy chcę stamtąd odejść. Cała drzę ze strachu i tylko największym wysiłkiem woli udaje mi się utrzymać

poходnię. Tak naprawdę chciałabym przylgnąć do ściany i jak najszybciej wycofać się z tego snu.

Lecz jestem jakby przykuta do tego miejsca. Nie mogę się oddalić, bo wiem, że zaraz coś się wydarzy.

A ja mam się przyglądać. Tylko to można zrobić w takim śnie.

154

- Podejdz bliżej, Lia - zachęca Alice ze snów. - Chcę, żebyś to zobaczyła.

Pragnę jej odmówić, ale zabrania mi błagalne spojrzenie drugiej dziewczynki, jakby moja bliskość była zdolna ją ocalić. Ja wiem, że to niemożliwe. Nie uda się.

Muszę jednak podjąć próbę, wysuwam się więc odrobinę dalej i wyciągam dłoń do wystraszonej małej, żeby odciągnąć ją od wypełnionej wodą jamy, nad którą stoi.

Ta szansa nie jest mi dana. Jestem już bardzo blisko, prawie dotykając wątlej, drżącej postaci, kiedy Alice puszcza jej rękę. Przez chwilę cieszę się, myśląc, że ją uwolniła.

Ale wtedy Alice robi krok w stronę dziewczynki o kasztanowych włosach, wysuwając przed siebie obie dłonie. Popycha ją w sposób tak delikatny i pełen wdzięku, że dopiero po chwili dociera do mnie, że mała spadła z urwiska.

Rzucam się do przodu, zapominając o własnym strachu. Gdy przybliżam się do brzegu przepaści, ona nadal spada. Bez krzyku, bez żadnego innego dźwięku. Widzę tylko lekkie falowanie jej rączek i nóżek i dziwnie spokojną twarz. Twarz, która należy nie tylko do niej - podczas spadania zmienia się w moją własną.

Pan O'Leary, orzekłszy, że mapa Dimitriego jest beznadziejnie nieaktualna, daje nam nową. Wygląda na to, że jako dozorca terenu ma również obowiązek uwzględniania zmian po dokonaniu każdego nowego odkrycia, a następnie przekazywania map osobom przyjeżdżającym badać kopce. Robi tak już od wielu lat, podczas gdy wciąż przybywają tu poszukiwacze i naukowcy. O'Leary pomaga nam bez entuzjazmu, ale najwyraźniej czuje się zobowiązany do przedstawienia najnowszej wersji mapy. Jego rady przyjmujemy z waha-

niem, ale rozsądniej będzie wykorzystać wszystkie środki, jakie mamy do dyspozycji.

Ja i Dimitri omawialiśmy tę sprawę przez pewien czas i w końcu postanawiamy zacząć od jednego z największych grobowców. Uważam, że Kamień może być schowany w jakimś ustronnym zakamarku, żeby nie dopuścić do odkrycia go przez przypadkową osobę, ale Dimitri twierdzi, że znajduje się on w miejscu o dużym znaczeniu, czyli prawdopodobnie w którymś z wielkich kopców. W końcu uznaję słuszność tej hipotezy. I tak będziemy musieli przeszukiwać wszystkie grobowce, dopóki nie znajdziemy Kamienia albo nie dojdziemy do wniosku, że wcale nie został ukryty w Loughcrew.

Jedziemy konno do pierwszego dużego kopca, który znajduje się z lewej strony jednego ze zgrupowań. Jest coś niepokojącego w widoku kopców, rozsianych w nieregularnych grupkach po pagórkowatej okolicy. Wydaje się niemożliwe, aby w takim kopcu skrywał się wymyślny grobowiec z wieloma korytarzami. Kiedy jednak, zsiadłszy z koni, wchodzimy do chłodnego wnętrza, okazuje się, że tak jest. W zasadzie nie wiemy dokładnie, czego szukamy, a to zarazem spowalnia i przyspiesza nasze działania. Zaczynamy spokojnie, szczegółowo sprawdzając, czy nie widać czegoś nadzwyczajnego, ale tempo wzrasta, w miarę jak wchodzimy coraz głębiej do grobowca. Wrażenie jest po prostu za dużo, a im dalej wkraczamy - omijając głązy blokujące przejście, a czasami kuląc się tam, gdzie strop jest niski - tym więcej rzeczy zaczyna wyglądać tak samo.

Kamienne ściany, niekiedy podparte sporymi głazami, pokryte są dziwnymi płaskorzeźbami. Prawie w całości ozdobione są spiralami, wyłobieniami, zygzakami. Nie sposób nie zastanawiać się, co oznaczają wszystkie te rysunki. Jednocześnie martwię się, czy miej-

156

sce, gdzie znajduje się Kamień, nie zostało wskazane na którymś z nieodgadzionych obrazków na ścianie. Ja przecież nawet nie znam dobrze łaciny! Jeśli trzeba będzie rozszyfrować wyryte w skale znaki, przepadliśmy.

- Tu jest koniec korytarza. - Dimitri zatrzymuje się przede mną, tak że prawie na niego wpadam. - Musimy zawrócić.

- Dobrze. - Wzdycham, sama nie wiem, czy zadowolona, czy zniechęcona.

- Nie poddawaj się, Lia. To dopiero pierwszy kopiec. Jest jeszcze dużo do zbadania.

- Właśnie. - Nie potrafię powstrzymać się od narzekania, zmierzając z powrotem w kierunku wyjścia. - Co zrobimy, jeśli one wszystkie wyglądają tak samo? Czy zdołamy dojść do jakichś wniosków?

- Nie wiem - głos Dimitriego odbija się echem od ścian. - Ale do czegoś dojdziemy na pewno.

Taka odpowiedź nie rozwiewa moich wątpliwości, ale nic już nie mówię, dopóki nie wyjdziemy na zewnątrz, pod szare niebo przedwiośnia. Rozglądam się po okolicy we wszystkich kierunkach; mniejsze kopce znajdują się po prawej i lewej, większy - w oddali.

- Który następny?

Widzę, że Dimitri zastanawia się, jakby dłuższy namysł mógł zwiększyć szanse, że wejdziemy do właściwego grobowca. A przecież coraz wyraźniej widać, że cała wyprawa będzie toczyć się w sposób przypadkowy.

-Jedźmy w stronę dużego, ale po drodze wstąpmy do tego mniejszego.

- Wskazuje w prawo, a ja podążam za jego spojrzeniem.

Nie spodziewam się niczego innego poza jednolicie zielonym krajobrazem, jaki rozpościera się we wszystkich kierunkach, ale przyglądając się uważnie, w pobliżu małego kopca dostrzegam jakąś żółtą plamę.

- Spójrz! Tam coś jest! - Pokazuję Dimitriemu.

Mruży oczy, patrząc za moim palcem.

- Nic nie widzę.

Przyglądam się uważniej jeszcze raz, żeby pokazać mu plamę. Ale jej już nie ma.

- Zniknęło. A może coś mi się zdawało?

- Chyba nie. - Dimitri kręci głową. - Nie jesteś osobą, która ma przywidzenia. Skoro mówisz, że coś zauważyłaś, na pewno tak było. Podjedźmy i sprawdźmy, zgoda?

Już po chwili jesteśmy przy drugim kopcu. Mogliśmy wprowadzić konie przy pierwszym i podejść pieszo, ale niezwykle otoczenie sprawia, że odczuwam głęboki niepokój. I choć oprócz nas jak okiem sięgnąć nie ma tu nikogo, stare nawyki dają o sobie znać. Jestem zawsze gotowa do ucieczki albo myślę, jak się bronić.

Małego kopca w zasadzie nie da się zbadać. Strop znajduje się zbyt nisko, a wewnętrzne korytarze są nie do przebycia. Próbujemy wdzierać się do wnętrza centymetr po centymetrze, niczego przy tym nie niszcząc, ale wkrótce musimy się poddać. Skorygujemy nasz plan podczas lunchu.

- Co teraz? - pytam, starając się, by nie zabrzmiało to rozpaczliwie.

Siedzimy na trawie niedaleko kopca. Staram się wykrzesać z siebie jakiś entuzjazm, żeby przynajmniej smakowało mi jedzenie spakowane rano przez Brigid, ale zniechęcenie spowodowane brakiem postępów nie sprzyja zaostreniu apetytu.

- Proponuję skończyć dziś wcześniej - wzdycha Dimitri - i wrócić do domu. Nielatwo mi to przyznać, ale przyszliśmy źle przygotowani. Nie do końca ufam O'Leary'emu, chyba jednak będziemy zmuszeni skorzystać z jego usług jako przewodnika.

Myśl o spędzeniu z O'Learym całego dnia w ciemnych grobowcach wywołuje we mnie dreszcz, lecz Dimitri ma rację.

- Cóż, nie zaszkodzi, jeśli poprosimy, żeby na początku nam towarzyszył. Może dowiemy się czegoś od niego, a dalej będziemy szukać sami?

- Myślę, że to najrozsądniejsza ze wszystkich możliwości - potakuje Dimitri. - Poza tym - wyciąga się na trawie, ziewając - mam ochotę odpocząć przed kolacją. Nie sypiam tu dobrze.

Gwałtownie odwracam się w jego stronę, bo, o ile pamiętam, dotychczas Dimitri nigdy źle nie sypiał, bez względu na okoliczności, w jakich się znajdowaliśmy.

- Dlaczego?

- Coś mi... przeszkadza. Nie wiem, czy to dlatego, że Kamień jest blisko, a moi przodkowie są związani z tym miejscem, czy może dlatego, że O'Leary i jego córka są tacy dziwni, ale nie jestem w stanie dobrze wypocząć.

-Ja też to odczuwam - dodaję.

- Nadal masz złe sny? - Dimitri bierze mnie za rękę.

- Czasami. - Oczywiście zdarza się to dość często, ale nie chcę wystraszyć Dimitriego ani przyczyniać się do jego bezsenności.

Unosi moją rękę do ust, delikatnie całując kostki palców.

- Gdybyś się bała, zawsze możesz przyjść do mnie.

- Dziękuję. - Jego czułość wywołuje mój uśmiech. - Na razie daję sobie radę.

- Chodź. - Dimitri wstaje i pomaga mi się podnieść. - Spytamy gospodarza, czy będzie jutro naszym przewodnikiem.

Wracamy do domu pod osłoną coraz bardziej znajomego szarego nieba, a ja przez cały czas zadaję sobie pytanie, co jest gorsze: nie znaleźć Kamienia, czy powierzyć swoje życie komuś takiemu jak O'Leary.

- Śliczna bransoletka - zauważa Brigid, kiedy sięgam po kieliszek z winem. - Prosta, a niezwykła.

Spoglądam na medalion i cofam łokieć, chowając nadgarstek w rękawie. Do tej pory bardzo uważałam, żeby i medalion, i znamię na drugiej ręce były dobrze schowane.

- Dziękuję. - Staram się mówić niedbałym, znudzonym tonem. - Tak naprawdę to zwyczajna aksamitka.

- Aksamitka? - Brigid nakłada ziemniaki. Być może tylko mi się wydaje, że jej głos jest spięty. - Ciekawa ozdoba.

- No cóż, nigdy nie miałam słabości do biżuterii. - Chcąc zmienić temat, biorę kęs potrawy z talerza: to kapusta zapiekana z mięsem. - Mmm, jakie pyszne!

- Dziękuję - odpowiada Brigid, patrząc na mnie chłodno. - To irlandzkie danie. Cieszę się, że ci smakuje.

- A jak wam się udał dzień i zwiedzanie grobowców? - pyta pan O'Leary. Jego pozorne znudzenie tematem jest przesadzone. Chyba -Jeżeli o to chodzi - mówi Dimitri, sącząc wino - zastanawialiśmy się, czy mógłby pan jutro iść z nami. Widzimy, że miał pan rację - to rozległy teren. Przydałaby się nam jakaś pomoc, żeby mieć lepszą orientację. Potrzebujemy pana na jeden dzień, o ile to możliwe. Potem powinniśmy poradzić sobie sami.

- A więc nie znaleźliście tego, czego szukaliście? - Gospodarz zagląda Dimitriemu w oczy.

- Nie szukamy niczego konkretnego - odpowiada Dimitri z podejrzliwym spojrzeniem. - Chcielibyśmy jednak ogólnie zapoznać się z okolicą, żeby opisać ją w naszym sprawozdaniu, a trudno jest stwierdzić, co jest ważne, a co nie, skoro wszystkie obiekty wyglądają podobnie. Przypuszczam jednak, że osoba znająca grobowce tak dobrze jak pan nie ma problemu z dokonywaniem takich rozróżnień.

Ze strony Dimitriego jest to prymitywna próba przypodobania się gospodarzowi. Trochę więc się dziwię, kiedy O'Leary na znak zgody kiwa głową - prawdopodobnie jednak chce po prostu obserwować nasze poczynania.

- Z przyjemnością oprowadzę państwa jutro po grobowcach - informuje. - Zajmują duży obszar, dlatego lepiej zarezerwować sobie cały dzień. Wyruszamy o świcie.

Jedziemy przez pola, a nad nami rozciąga się bladopomarańczo-we i jasnoróżowe niebo. Pan O'Leary, na czele kawalkady, dosiada starego, siwego wałacha. Żałuję wprawdzie, że ani ja, ani Dimitri nie mamy wystarczającej wiedzy, żeby zwiedzać grobowce bez przewodnika, ale przynajmniej jesteśmy lepiej wyposażeni niż wczoraj. Nasz przewodnik zabrał trzy pochodnie i wspaniały lunch skomponowa-

W
otrzymał Dimitri, z kilkoma zaznaczonymi punktami. Nareszcie będziemy dobrze widzieć, doskonale się odżywiać i mieć jakieś rozeznanie, dokąd się udajemy.

Ruszamy do tego samego dużego kopca, gdzie zaczynaliśmy wczoraj. Dimitri protestuje, ale O'Leary gestem nakazuje mu milczenie.

- Weszliście do środka od frontu? - pyta, wciąż siedząc w siodle, i prowadzi nas na tyły grobowca.

- Noo... tak. - Zaskoczony Dimitri marszczy brwi. - Jak inaczej mielibyśmy wejść?

O'Leary zatrzymuje konia za kopcem i zeskakuje na ziemię.

- To jest najbardziej logiczne postępowanie, lecz istnieje jeszcze jedno wejście. - Patrzy na nas, bo wciąż siedzimy w siodłach.

- Idziecie?

Schodzimy z wierzchowców i przywiązujemy je obok wałacha naszego przewodnika. Gdy podnosimy spojrzenia, O'Leary jest już w połowie drogi na szczyt.

- Proszę pana! - Oślaniam oczy przed rozbłyskującym słońcem.

- Co pan robi?

On wzdycha i spogląda na mnie zmęczonym wzrokiem.

- Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli oszczędzimy sobie pytań. Poprosiliście, żebym był waszym przewodnikiem, dlatego -wskazuje ręką czubek kopca, jakby oficjalnie nas zapraszał-chodź-cie za mną.

Dimitri wchodzi na zbocze, u którego podnóża mieszają się ziemia, skały i trawa. Kiedy stoi już pewnie, wyciąga do mnie rękę, oferując pomoc, lecz ja tymczasem zdążyłam się prawie z nim zrównać. Uśmiecha się, a zachwyty w jego oczach porusza we mnie falę skrytej przyjemności.

> \

Wspinamy się na kopiec, nadążam za obydwojema mężczyznami. Nie jest stromy, ale kamienie pomieszane z błotem i gdzieś tam trawą sprawiają, że podejście jest zdradliwe, dlatego stąkam ostrożnie. Pan O'Leary dociera do szczytu jako pierwszy i stoi tam bez ruchu, spuściwszy wzrok, jakby jego stopy były szczególnie fascynujące. Dopiero gdy wraz z Dimitrim dołączam do niego, rozumiemy, czemu tak patrzy.

Na powierzchni kopca dostrzegam zięjący otwór. Wpatrując się w niego, pytam:

- Co to jest?

- Jak widać, wielka dziura - odpowiada znudzony O'Leary, jak gdyby było czymś zwyczajnym, że stoimy sobie na czubku dawnego grobowca, tuż przy ogromnym wejściu.

- Tak, oczywiście. - Staram się powściągnąć zniecierpliwienie. - Ale skąd się tu wzięła? Kto ją zrobił?

- W istocie to wstydliwa sprawa - kręci głową O'Leary. - Zrobił ją jeden z dżentelmenów, którzy odkryli te kopce. Mówił, że szuka dokładnego miejsca pochówku.

- I znalazł? - pyta Dimitri.

- Nie - zaprzecza nasz przewodnik. - Ale niestety kamienie nie zostały ułożone tak jak wcześniej. Jeśli z tego punktu opuścimy się do wnętrza, zobaczycie tę część grobowca, która jest niedostępna, gdy się wchodzi od frontu.

- A co z kopcem? - Zaglądam do jamy. - Czy nie uszkodzimy go bardziej, bo przecież usunięto już trochę kamieni?

- Nikt nie jest bardziej ostrożny ode mnie przy wchodzeniu do grobowców. Spuścimy się tam powoli, wszystko obejrzymy i wyjdziemy, niczego nie ruszając. Kiedy wy będziecie schodzić, ja potrzymam pochodnie, a potem, kiedy staniecie na dole, rzucę je wam.

Dno grobowca jest skaliste, a ja wcale nie jestem pewna, czy dam radę tam zeskoczyć, nie robiąc sobie krzywdy. Niepokoi mnie również to, że my mamy opuścić się w dół bez pochodni, a pan O'Leary będzie pilnował nas na górze. Przegrywam walkę ze swoimi obsesjami, a wyobraźnia podsyła mi różne obrazy. W końcu jestem przekonana, że dziwny przewodnik zamierza zostawić nas w grobowcu, może nawet zasypać wejście kamieniami i ziemią.

Wszystkie te myśli wirują mi w głowie, ale wiem, że w żaden sposób nie wyrażę swojego strachu.

- Idę pierwsza. - Mówiąc to, nie patrzę na Dimitriego, i choć chce mnie powstrzymać, od razu próbuję spuścić się kamiennym otworem.

- Co ty wyprawiasz? Pozwól przynajmniej, żebym zszedł pierwszy. Złapię cię, kiedy będziesz zeskakiwać.

- Wszystko w porządku! - wykrzykuję, ześlizgując się w głąb i jednocześnie patrząc w górę. - Jestem już w połowie drogi!

- Uważaj! - Słysząc, że się martwi, dlatego uśmiecham się, zeskakując na dno jamy. Naturalnie jestem z siebie zadowolona, tym bardziej że się bałam. W uszach wciąż mam słowa ojca, tak wyraźne, jakby stał tuż obok mnie: Nie można być niewolnikiem strachu, Lia. Pamiętaj o tym.

Zaczyna schodzić Dimitri i już po chwili jest przy mnie. Zejście, które dla mnie było niebezpieczne i powolne, w jego wykonaniu jest całkiem proste. Mój niepokój związany z intencjami pana O'Leary'ego znika, gdyż przewodnik zrzuca nam pochodnie i najwyraźniej pragnie do nas dołączyć. Czekamy, aż pokona tę samą drogę. Schodzi nie wolniej niż Dimitri, a ja podziwiam jego tempo i sprawność, kiedy zeskakuje na kamienie, jakby odmłodził o połowę.

- Możemy iść.

Wręcza nam szczapy i wchodzimy za nim głębiej do grobowca.

Zwiedzanie z panem O'Learym to całkowite przeciwieństwo naszego wczorajszego błędzenia bez celu. Po drodze oświetla ściany pochodnią, pokazując nam wryte rysunki i symbole, jak również przedstawiając rozmaite teorie na temat ich znaczenia. Dowiadujemy się więc, że niektórzy uważają te znaki za rodzaj kalendarza, inni zaś twierdzą, że mają one coś wspólnego ze wschodami słońca. Nikt nie ma jednak całkowitej pewności, dlatego uspokajam się i milknę z szacunku cHa tego uświęconego miejsca.

Ciekawie jest poznawać wnętrze w towarzystwie przewodnika, lecz powracamy w okolice otworu w stropie, którym dostaliśmy się do środka, nie natknąwszy się na nic, co pomogłoby nam w poszukiwaniach. Oczywiście nie chcielibyśmy odnaleźć Kamienia w obecności pana O'Leary'ego, ale mimo wszystko jestem rozczarowana, że tak szczegółowe zapoznanie się z historią miejsca nie doprowadziło nas do żadnego odkrycia związanego z prorocstwem i Kamieniem. Reszta dnia przebiega równie spokojnie. Pan O'Leary zabiera nas do drugiego dużego kopca i trzech mniejszych, gdzie również nie znajdujemy żadnych wskazówek dotyczących obiektu naszych poszukiwań. Spiralny znak labiryntu widoczny jest wszędzie, ale nie sugeruje obecności świętego Kamienia.

Ostatni, niewielki kopiec, który planujemy zbadać tego dnia, oglądamy w milczeniu. Zastanawiam się, co będzie dalej, bo dziś chcemy już wracać do domu, a ja nie wyobrażam sobie, co moglibyśmy robić jutro. Widzę, że włączenie się od kopca do kopca nie przyniesie pożytku.

Dimitri po raz ostatni przygląda się mapie, chcąc schować ją

- Co to jest?

Podążam za jego spojrzeniem: ta sama żółta plama, którą widziałam wczoraj. Tyle że dziś dostrzegam, iż to jakaś kobieta w żółtym płaszczu, który wydyma się z wiatrem, stojąca w pobliżu jednego z większych kopców.

- Na litość boską - mruczy O'Leary, podchodząc do konia. - Tyle razy jej mówiłem, żeby trzymała się od kopców z daleka.

- Co pan wyprawia?! - Rzucam się w jego stronę i chwytam go za ramię, gdy widzę, że z sakwy wyciąga strzelbę.

Marszczy brew, jakby nie rozumiał, czemu to, że celuje z broni do jakiejś kobiety, w ogóle mnie obchodzi.

- To zwariowana Maeve McLoughlin. Podkrada się pod kopce o każdej porze dnia i nocy, choć nieraz ją upominałem, że to teren prywatny.

- Nie sądzę, żeby była nam potrzebna strzelba. - Dimitri patrzy starszemu mężczyźnie prosto w oczy. - Proszę ją odłożyć.

O'Leary zauważa poważny ton Dimitriego i robi gniewną minę.

Odwracam wzrok w kierunku nieznajomej postaci i z ulgą widzę, że kobieta zwana Maeve zniknęła. Nie pomogliśmy wiele, ale

przynajmniej opóźniliśmy atak O'Leary'ego na tyle, żeby zdążyła bezpiecznie się oddalić.

Podążając za moim wzrokiem, O'Leary również postrzega, że uciekła. Wraca do konia i ze złością pakuje strzelbę z powrotem do sakwy, cały czas zrzędząc.

- Nie miałem zamiaru do niej strzelać. Chciałem ją tylko wystraszyć. To w końcu mój obowiązek.

Wsiadamy na konie i ruszamy w stronę domu, dziękując przewodnikowi za pomoc. Gdy odprowadzamy wierzchowce do niewiel-

kiej stajni na tyłach gospodarstwa, Dimitri zadaje pytanie, które nie jest skierowane do mnie, lecz do O'Leary'ego:

- Czy jest tu w pobliżu jakieś miasteczko, w którym znajduje się biblioteka?

Przyglądam mu się, zdumiona, nie wiedząc, co zamierza.

O'Leary wprowadza swojego wałacha do boksu, nie patrząc na Dimitriego.

- W Oldcastle jest mały zbiorek. Najwięcej książek dotyczy historii regionu i podobnych rzeczy. Trudno uznać to za prawdziwą bibliotekę, ale w odległości jednego dnia jazdy nie znajdzie się nic lepszego. - Odwraca się, żeby wyjść z boksu, i teraz przypatruje się Dimitriemu z ledwie skrywaną ciekawością. - Ale my tu na miejscu mamy całkiem pokaźny zbiór materiałów na temat grobowców, jeżeli tego pan potrzebuje.

Dimitri wprowadza Blackjacka do boksu zajmowanego przez konia od czasu naszego przybycia do Loughcrew.

- Chcę bardziej ogólnie zapoznać się z historią tych obszarów. Gdyby opisał nam pan drogę, moglibyśmy jutro z Lią wybrać się do Oldcastle. Poza tym - uśmiecha się, napotykać mój wzrok - Lia zapewne chciałaby zrobić jakieś zakupy.

Nie zaprzeczam, bo wiem, że chce znaleźć przekonującą wymówkę, abyśmy mogli bez wzbudzania nadmiernej podejrzliwości gospodarza udać się do miasteczka. Nie jestem jednak zadowolona.

- Zgadza się. - Zmuszam się do uśmiechu. - Chciałabym kupić parę rzeczy, nim ruszymy w drogę powrotną.

- A kiedy to będzie? - Pan O'Leary powoli kiwa głową. - To znaczy kiedy wracacie?

Dimitri ujmuję moją dłoń i ściska ją, jakby chciał mi przekazać tajną wiadomość.

- Chyba już niedługo.

- Tym, co mnie zastanawia, jest mapa - mówi Dimitri, gdy następnego dnia jedziemy do Oldcastle.

- Która?

Po kolejnym dziwnym wieczorze spędzonym z O'Learym i Brigid wprost umieram z ciekawości.

- I jedna, i druga. - Dimitri spina Blackjacka w prawo, wąską drogą, która prowadzi ku stojącemu w oddali skupisku domów. - Ściślej mówiąc obydwie, jeśli je porównamy.

Przygryzam dolną wargę, starając się zrozumieć sens jego słów.

- A nie są takie same?

- Prawie identyczne - zgadza się Dimitri - poza jednym drobnym szczegółem.

-Jakim?

- Na mapie, którą przywieźliśmy z Londynu, jest jeden kopiec więcej. Duży. Brakuje go na mapie, którą dał nam O'Leary.

Ponieważ nie spieszy się nam do Oldcastle, wchodzimy do mia-

dze byłby kojący, gdyby nie to, że w moim umyśle zakiełkowało już ziarno niepokoju.

Odwracam się do Dimitriego.

- Czy to ten kopiec, który oglądaliśmy bez O'Leary'ego?

Dimitri zaprzecza.

- Pierwszego dnia korzystałem z jego mapy, zakładając, że jest bardziej aktualna, skoro on twierdzi, że wprowadza wszystkie nowości. Dopiero po pierwszej naszej wycieczce porównałem obydwie mapy. f.

- Ale czemu mi tego nie powiedziałeś? - Nie mogę oprzeć się uczuciu irytacji, że nie podzielił się ze mną swoim odkryciem.

- Myślałem, że to po prostu pomyłka, ale wczoraj, gdy zobaczyłem tę kobietę...

- Maeve.

- Maeve - powtarza Dimitri. - No cóż, chodziła właśnie koło tego kopca, którego nie ma na mapie O'Leary'ego. Jego reakcja wydaje się przesadzona, jak na tak drobne wykroczenie. A ty co myślisz?

Sytuacja zaczyna się rozjaśniać i mam nadzieję, że dojdziemy do jakiegoś przełomu.

- Co to ma wspólnego z biblioteką w Oldcastle?

Naprzeciw nas jedzie na koniu starszy mężczyzna z małym chłopcem. Dimitri kłania się im na powitanie, ale uważnie ich obserwuje. Czekają, aż odjadą dość daleko, nim znów podejmie rozmowę.

- Może nic. Jednak mam nadzieję, że w archiwach znajdziemy jakieś informacje na temat kopca, który nie jest zaznaczony na mapie O'Leary'ego. Nie opuszcza mnie myśl, że on coś ukrywa, a ja mam zamiar się dowiedzieć, co to takiego.

Za bibliotekę zawsze uważałam każdą kolekcję książek, nawet tę, która mieściła się w czterech ścianach naszego domu. Jednak o zbiorach archiwalnych w Oldcastle trudno jest myśleć w ten sposób. Na początku zresztą sądzimy, że pomyliliśmy budynek, kiedy nasze pytania spotkają się z nieprzytomnym spojrzeniem podstarzałego urzędnika. Dopiero kiedy Dimitri prosi: - Chcielibyśmy skorzystać z archiwum - zostajemy doprowadzeni do pomieszczenia na tyłach. Po drodze, na korytarzu, widzimy mnóstwo ludzi ze wsi, jeden z nich trzyma nawet kozę na postronku. Zdają się na coś czekać, ale nikt nie podąża za nami w stronę archiwum. Przechodząc obok nich, kulę się; ciekawe, czy domyślają się, że jestem dziewczyną, bo kiedy jeżdżę konno, zwykle chowam włosy pod nakryciem głowy.

Bez żadnych komentarzy zostajemy wprowadzeni do zatłoczonej sali pełnej książek i wszelkiego rodzaju luźnych druków. Nie ma w nich żadnego porządku, ale po dokładnym przyjrzeniu się odkrywamy, że materiały podzielono na trzy sekcje: świadectwa urodzenia, ślubu i zgonu, dokumenty prawne oraz dokumenty geodezyjne.

Zaczynamy od tych ostatnich, dzieląc się nimi na pół: Dimitri przegląda jeden stos, ja drugi. Materiały pochodzą nawet sprzed wieku i przerzucamy je, szukając wzmianek o Loughcrew. Tereny wokół Oldcastle są raczej niezamieszkane, więc obydwie sterty papierów zostają przebadane już wczesnym popołudniem.

- Chyba nie ma sensu patrzeć na świadectwa ślubu, - mówi Dimitri, przechylając się do tyłu wraz z krzesłem, żeby się przeciągnąć. -

Przejdźmy lepiej do sporów sądowych, dobrze?

Godziny spędzone nad dokumentami zapisanymi drobnym, prawie nieczytelnym pismem zmęczyły mnie, próbuję powstrzymać się od ziewania.

- Czemu mielibyśmy znaleźć informacje o tajemniczym kopcu w aktach sądowych?

Dimitri prawie bezszelestnie ustawia swoje krzesło prosto na drewnianej podłodze.

- Może nie znajdziemy, ale z drugiej strony może była jakaś sprawa o ziemię albo prośba o pozwolenie na zbadanie terenu, lub coś podobnego. To jedna z niewielu szans, jakie nam pozostały. Myślę, że powinniśmy wyeliminować tę możliwość, zanim przetrząśniemy gabinet pana O'Leary'ego, nie sądzisz?

- Chyba masz rację - wzdycham. - Daj mi połowę. - Wskazuję na stertę dokumentów po prawej ręce Dimitriego.

Nie wyjawiam tego, co mi przychodzi do głowy: przetrząśnięcie gabinetu naszego gospodarza wydaje się coraz bardziej atrakcyjną propozycją. Jednak mimo iż mam pewność, że on i Brigid coś ukrywają, wolałabym uniknąć konfrontacji, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Jeżeli oboje działają na rzecz Dusz, w co zaczynam wierzyć, lepiej byłoby znaleźć to, czego szukamy, i niezwłocznie wracać do Londynu.

Przedzieranie się przez dokumentację sporów sądowych jest znacznie trudniejsze niż badanie dokumentów geodezyjnych. Te czytane przez nas wcześniej opracowywane były najczęściej przez osoby z pewnym wykształceniem. Akta procesowe natomiast wypełnione są drobnymi literkami i roją się od tak strasznych błędów ortograficznych, że niektórych słów w ogóle nie jestem w stanie odczytać. Dochodzę jednak do przekonania, że w okolicach Oldcastle toczy się dość wiele postępowań dotyczących skradzionych zwierząt hodowlanych, włamań do sklepików przy uliczkach miasta, pijackich bójek w pubach oraz nieuregulowanych długów.

Jednakże wzmianek o Loughcrew brak. Nim zdążymy przejrzeć

stosy dokumentów, starszy urzędnik, który rano przyprowadził nas do archiwum, zagląda tu aż dwukrotnie, chcąc zamknąć budynek na noc. Na twarzy Dimitriego widać rozczarowanie, a ja staram się mówić jak najbardziej pogodnym tonem, żeby zdławić rozpacz.

- Mimo wszystko uważam, że warto było tu popracować.
- Nie mogę powiedzieć, że bym się zgadzał - mruczy Dimitri, podając mi ramię. - Ale muszę powiedzieć, że jestem ci winien dobry obiad za zmuszenie cię do spędzenia popołudnia w tak nudny sposób. Rozejrzemy się za jakąś gospodą, żebyśmy przynajmniej zjedli obiad, skoro już tu jesteśmy.

Wiem, że ze względu na mnie nie zdradza swoich złych myśli, dlatego ściskam jego rękę, kiedy wychodzimy na ulicę przed archiwum.

- Zobaczmy... - Dimitri bada wzrokiem okoliczne sklepy i puby, wypatrując wśród nich miejsca odpowiedniego na zjedzenie smacznego posiłku.

Podczas gdy on patrzy w prawo, ja zwracam wzrok na lewo, chcąc pomóc w tych poszukiwaniach. Nagle dostrzegam osobę znikającą za rogiem. Pewnie nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby nie jeden szczegół: żółty płaszcz powiewający na wietrze, którego połę jeszcze widać, nim kobieta chowa się za węglem. Wygląda jak promień słońca pośród szaroburych ubrań innych mieszkańców. Bez zastanowienia puszczam ramię Dimitriego.

I ruszam biegiem.

Jest ślisko, ale nawet nie próbuję zwalniać. W moją świadomość - niczym duszące pnącze-wplata się desperacja. Przepowiednia nie daje mi nieograniczonego czasu. Żmijowy kamień jest co dzień zimniejszy, a moja siostra ma coraz większą moc. Jeśli jest choćby najdrobniejsza szansa, że Maeve McLoughlin zna odpowiedzi na nasze pytania, trzeba tę okazję wykorzystać.

- Zaczekaj! Zatrzymaj się! Ty, w żółtym płaszczu! - krzyczę w biegu, rozganiając przechodniów na boki lub przepychając się między nimi, gdy to konieczne.

W Oldcastle ludzie chyba dość często ganiają się po ulicach, bo nikt nie zwraca na mnie uwagi, poza parobkiem, który woła: - Zachowujże się! - kiedy przeciskam się obok niego.

Skrećam za róg; dla utrzymania równowagi muszę przytrzymać się ściany budynku. Cały czas modlę się w nadziei, że kobieta o imieniu Maeve nie zniknie mi z oczu. Gdy znów stoję o własnych siłach, z ulgą dostrzegam jej żółty płaszcz w tłumie ludzi przede mną.

- Maeve McLoughlin! - wołam jak naj donośniej, żeby mój głos dotarł do niej poprzez ciżbę. - Poczekaj! Nie zrobię ci krzywdy!

Na dźwięk swojego imienia kobieta odwraca się, a wtedy przez mgnienie oka widzę pokrytą smugami brudu twarz i wystraszone oczy. Biegając, słyszę strzępki komentarzy przechodniów:

- ...szalona Maeve...
- Wiecie, że ona...
- ...ci McLoughlinowie!

Potem dochodzi mnie głos Dimitriego:

- Lia! Co ty wyprawiasz!?

Biegnę jeszcze szybciej. Zawzięcie. Nie mam czasu na pytania, jakie zada mi Dimitri, gdy mnie dogoni. Muszą poczekać, dopóki ja nie dogonię Maeve McLoughlin.

Odległość między nami zmniejsza się. Maeve zbliża się do zakurzonego skrzyżowania, a ja zmuszam swoje nogi, żeby poruszały się coraz prędzej, mimo że z wysiłku bolą mnie już płuca, bo biegnę tak długo i tak szybko. Gdy kobieta dociera do prostopadłej ulicy, dzieli nas może metr, więc rzucam się naprzód i chwytam żółty płaszcz, nim przejdzie na drugą stronę.

Przewracamy się obydwie. Kapelusz spada mi z głowy, a kiedy uderzam o ziemię, moje gęste pukle rozsypują się na ramiona.

Odciągam kobietę kawałek dalej, bo niebezpiecznie blisko nas przejeżdża rozklekotany wóz.

Przekręcam ją z boku na plecy, oddychając pospiesznie i z trudem.

Dołącza do mnie Dimitri.

- Co ty, do wszystkich Sióstr, wy... - Przerywa, widząc, że trzymam Maeve za rękę, żeby uniemożliwić jej ucieczkę.

Kobieta nie odzywa się. Przynajmniej na początku. Patrzy prosto na mnie, a jej oczy błyszczą ze strachu. Są pełne pytań, które - skądś to wiem - pozostawały niewypowiedziane przez wiele długich lat.

- Nie uciekaj, proszę - przemawiam jak najciszej i najspokojniej, choć cały czas przeszkadza mi przyspieszony oddech. - Nie zrobimy ci krzywdy. Chcemy tylko zadać parę pytań. Mogę puścić twoją rękę? Porozmawiasz z nami?

Maeve zagląda mi głęboko w oczy, podczas gdy wokół nas wciąż kręcą się ludzie: omijają nas i obchodzą, zajęci własnymi sprawami. Wreszcie kobieta spogląda na mój nadgarstek - spod lekko podciągniętego rękawa wystaje część znamienia. Chcę obciągnąć rękaw i schować znamię, ale wtedy napotykam jej spojrzenie.

Rozumiemy się bez słów, zanim jeszcze Maeve kiwa głową i wypowiada jedyne słowa, które pragnę usłyszeć:

- Pomogę wam.

Dotarłszy do niewielkiego pubu na obrzeżach miasteczka, zamawiamy posiłek dla siebie i Maeve, która, sądząc po wyglądzie, bardzo go potrzebuje. Siedzimy w milczeniu, podczas gdy ona, w absolutnym skupieniu, pochłania dwie miski gorącej zupy. Zaczyna mówić dopiero wtedy, gdy przynoszą nam dzbanek świeżo zaparzonej herbaty.

- Nie jestem szalona. - Jej oczy są wyraziste. Nie da się uniknąć refleksji, że pan O'Leary wprowadził nas w błąd co do władz umysłowych Maeve, żebyśmy nie wpadli na jej ślad.

Dimitri początkowo nie reaguje na to stwierdzenie, skinieniem głowy pokazując pustą miskę stojącą przed kobietą.

- Może zjadłabyś jeszcze zupy?

Maeve przygląda się naczyniu, jakby rozważała propozycję, ale potem kręci przecząco głową.

- Nie, ale przyjemnie być najedzonym. - Napotyka spojrzenie Dimitriego. - Dziękuję.

gggtoMj

- Cała przyjemność po naszej stronie. - Dimitri kłania się z uśmiechem.

Przez moment siedzimy w ciszy, a potem zbieram się na odwagę i zadaję dręczące mnie, dość obcesowe pytanie:

- Dlaczego ludzie mówią, że jesteś szalona? Przecież nie jesteś. Cieszy mnie fakt, że się nie obraziła.

- Dlatego, że włączę się dniem i nocą. I uwielbiam grobowce. I dlatego... - urywa, spoglądając na swój brudny płaszcz i podarte spodnie, trochę podobne do moich, choć o wiele bardziej zniszczone. - Chyba dlatego, że nie ubieram się jak przyzwoita kobieta.

- Wiem, co masz na myśli - uśmiecham się, a między nami nawiązuje się nic porozumienia.

Uśmiech Maeve nie płynie ze szczerego serca, ale wydaje mi się, że w jej oczach widzę jakieś siostrzane uczucia.

- Dlaczego wchodzisz na teren grobowców, skoro pan O'Leary ci zabrania? - pytam jak najdelikatniejszym tonem, aby nie pomyślała, że wypowiadam oskarżenie lub groźbę. - Może ci się stać coś złego.

- Phi! - Maeve z niechęcią wydyma policzki. - Stary Fergus słabo widzi i kiepsko strzela. - Kobieta marszczy czoło, zastanawiając się nad własnymi słowami. - Taką przynajmniej mam nadzieję.

- W takim razie - wtrąca Dimitri - co jest na tyle ważne, żeby aż tak ryzykować?

Maeve bierze filiżankę z herbatą w zaskakująco drobną dłoń.

- Nie tyle ważne, co wyjątkowe - wyjaśnia cicho.

- Co tam jest wyjątkowego? - pytam ostrożnie, nie chcąc jej spłoszyć zbyt nagabywaniem. - Grobowce?

- Oczywiście, grobowce. - Maeve zdaje się rozmawiać sama ze

Źr

wtarzała coś w kółko, pomimo że tego nie robi. Zaczynam rozumieć, dlaczego prości mieszkańcy okolicy uważają ją za pomyloną, chociaż sama nie uznaje słuszności tego stwierdzenia. - To ten jeden kopiec. Ten jeden jest wyjątkowy.

Spojrzenia moje i Dimitriego spotykają się. Wiem, że obydwójmy myślimy o kopcu, który nie figuruje na mapie O'Leary'ego. Znow spoglądam na Maeve.

- Czemu, powiedz? Dlaczego jest wyjątkowy?

Maeve gładzi wygiętą łyżeczkę, leżącą na stole obok filiżanki. Trudno powstrzymać się od pytań. Czuję, że jesteśmy blisko jakiegoś odkrycia, dzięki któremu wszystko ułoży się w całość, a jednocześnie boję się, że jeśli będziemy nadgorliwi, stracimy i ten drobny ślad, jaki może doprowadzić nas do rozwiązania.

Wreszcie nasza rozmówczyni zabiera głos, choć nie spuszcza wzroku z łyżeczki.

- Nie da się o tym opowiedzieć. Naprawdę nie.

- Dlaczego? - Ton Dimitriego jest dociekliwy, chociaż łagodny. - Czy to sekret?

Z ust Maeve wyrywa się krótki, cierpki śmiech. Kilka osób siedzących przy stołach obok odwraca się. Patrzą podejrzliwie, spode łba.

- Prawdę mówiąc, jest to pewnego rodzaju sekret.

Biorę głęboki oddech.

- Czy możesz nam go wyjawić?

Maeve patrzy mi uważnie w oczy, aż zatyka mnie w gardle. Ona za dużo rozumie.

- Czemu nie spytacie Fergus O'Leary'ego?

- Pytamy ciebie. - Dimitri nie spuszcza wzroku z Maeve. Jej spojrzenie natomiast wędruje w stronę mojego nadgarstka, a potem moich oczu.

- Przyjeżdżali już wcześniej, szukali. - Jej twarz wyraża coś bardziej mrocznego niż strach. - Czy jesteś jedną z nich? Nie wiem, o kogo jej chodzi. Nie do końca. Nie jestem nawet pewna, czy Maeve myśli dość jasno. Wiem jednak, co widzę. Kobieta boi się tych, którzy przyjeżdżali tu przed nami.

- Nie, nie jestem jedną z nich - kręcę przecząco głową. Maeve prostuje się na krześle, jeszcze raz obrzucając spojrzeniem mnie i Dimitriego, a potem mówi:

- Musimy jechać tam dzisiaj. Czekałam, ale jeszcze do tego nie doszło. Zdarzy się lada dzień.

-Jak zimno! Wytłumacz mi jeszcze raz, dlaczego mamy tkwić tu całą noc.

Początkowo uparte przekonanie Maeve, że powinniśmy siedzieć w grobowcu aż do rana, było intrygujące, ale po wielu godzinach, jakie spędziliśmy w ciemnościach przy ścianie, ogrzewając się tylko ogniem niewielkiej pochodni, mój entuzjazm osłabł.

- Bo będzie świtać. A to nie zdarza się zawsze o tej samej porze. Jak przegapimy, trzeba będzie czekać następny rok.

- Cały rok tak robisz? Siedzisz w kopcu i czekasz na wschód słońca? - Pytanie Dimitriego jest bez wątpienia sceptyczne. Maeve kręci głową. Czarne, splątane, opadające na ramiona włosy nadają jej wygląd, który częściowo uzasadnia opinię, że jest szalona.

- Tylko w marcu.

- Tylko w marcu? - Zdziwiona, unoszę brwi. - Czemu?

Maeve wzdycha i przemawia jak do małych dzieci:

- Bo wtedy się to zdarza. Boże, ciągle mnie o coś pytacie!

Poczekajcie trochę i zrozumiecie, o co mi chodzi.

Wytrzymuję w milczeniu tylko przez chwilę.

- Wybacz, ale...

- Och! - Maeve unosi ramiona w górę. - Co znowu?

Mimo że głupio mi z powodu zniecierpliwienia, jakie okazuję, z godnością prostuję plecy.

-Ja tylko się zastanawiam, skąd masz pewność, że to... zdarzenie. ... czy cokolwiek to jest... nastąpi dzisiaj o świcie.

Maeve opiera się o zimną ścianę grobowca.

- Nigdy nie ma całkowitej pewności, ale jestem na tyle pewna, na ile się da.

- Dobrze - mówi Dimitri, skrywając wahanie, gdyż nie chce ponownie rozgniewać Maeve. - Co to znaczy „pewna, na ile się da”?

- Ponieważ dzisiaj jest dwudziesty drugi marca — wyjaśnia z zamkniętymi oczami nasza towarzyszka - a to nie stało się ani wczoraj, ani przedwczoraj. Musi więc nastąpić dziś lub jutro.

- I zawsze zdarza się w któryś z tych dni? - Zamyślona bazgrzę palcem po ziemi.

Coraz trudniej jest pozostać przy zdrowych zmysłach, kiedy wciąż powracamy do zdarzenia, którego Maeve jest tak pewna; im dłużej tu siedzimy, marznąc, tym bardziej niedorzeczna wydaje się cała sytuacja.

- No, nie zawsze. Dwa lata temu zdarzyło się dziewiętnastego marca, ale to jest naprawdę rzadkość. Teraz przychodzę trochę wcześniej, tak na wszelki wypadek.

- Rozumiem. A teraz opowiedz mi o innych. Tych, którzy przyjeżdżali przed nami. - Przedtem bałam się o nich spytać, ale wygląda na to, że mamy bardzo dużo czasu. Równie dobrze możemy go poświęcić na uzyskanie jak największej liczby informacji.

Maeve odrywa głowę od ściany. Jej oczy są pełne ognia i tajemnic. W słabym świetle pochodni odnajdują moje.

- Nie chcę o nich mówić.

- W porządku, Maeve - zgadzam się z westchnieniem.

Zapada milczenie, a ja przysuwam się bliżej Dimitriego, starając się chłonąć ciepło jego ciała. Po chwili jego oddech się uspokaja, a wkrótce potem sen ogarnia także mnie.

- Wstańcie! To już!

Na gwałtowne szarpnięcie budzę się i otwieram oczy. Przed sobą widzę brudną twarz Maeve. Nie muszę pytać, co ma na myśli. Nawet w tym półśnie, w który zdołałam zapaść, mój umysł czuwał, czekając na wydarzenie, które chciała nam pokazać Irlandka.

Dimitri zrywa się na nogi w jednym momencie, wyciągając rękę, żeby pomóc mi podnieść się z ziemi.

- Gdzie? - kieruje pytanie do Maeve, rozglądając się i ciągnąc mnie w górę.

- Tutaj. Tutaj! - Kobieta nie potrafi opanować podniecenia, a ja patrzę wokół, nie wiedząc, co się dzieje. - Chodźcie! Tutaj! Popycha mnie na bok i odwraca tak, że mam przed sobą kamienną tylną ścianę grobowca.

- Patrzcie. - Wymawia te słowa prawie bez tchu i teraz już wiem, że to, na co czekała, nadejdzie.

Zaczyna się wraz ze wschodem słońca. Dimitri stoi za mną, z boku wąskiego korytarza, który przebiega przez cały grobowiec, dochodząc aż do miejsca, w którym się znajdujemy. Wnętrze, w którym dotychczas było ciemno, jeśli nie liczyć wątłego światła pochodni, z nadejściem brzasku zaczyna się rozjaśniać.

Wschodzące słońce, które wznosi się na niebie na zewnątrz, rzuca swoje promienie do środka, a na ścianie, w kącie najbardziej oddalonym od wejścia, pojawia się błyszczący złoty prostokąt. To taki drobiazg, ale ja nie mogę się nadziwić, w jaki sposób światło przebiega miliony kilometrów, a potem znajduje drogę poprzez korytarze i zakamarki grobowca aż do zamykającej go ściany.

Lecz to nie wszystko.

Obserwujemy, jak światło przemieszcza się od lewej do prawej strony, a jego natężenie rośnie. W końcu dociera do środka ściany, a ona cała jak gdyby staje w ogniu. Wyryte w niej zawile znaki są doskonale widoczne w swej tajemnej świętości i chwale. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ludzie, którzy usypali te kopce tysiące lat temu, zdołali wszystko tak precyzyjnie obmyślić. Fakt, że wschodzące słońce oświetla tylną ścianę grobowca tylko raz w roku, jest dla mnie jeszcze głębszą tajemnicą. W chwilę potem słyszę słowa, jakby poprzez mgłę otaczającą Altus: wiosenne zrównanie dnia z nocą. Grobowiec zaprojektowano tak, aby promienie padały na kamień tylko podczas wiosennej równonocy.

W tym momencie odbieram wszystko wyostrzonymi zmysłami.

Dimitri stoi za mną, a nasze ciała stykają się, tak że czuję jego przyspieszony oddech, kiedy patrzy, jak słońce odczytuje pradawne znaki. Czuję pod stopami dno grobowca, twarde i zimne, stare jak świat. Dociera do mnie wilgotny, metaliczny zapach skał znajdujących się wewnątrz oraz gruntu, na którym uformowano kopiec.

Po kilku minutach światło pokonuje drogę od środka ściany do prawej strony, a kiedy się przesuwają, jego natężenie maleje. Stoimy bez ruchu

i bez słów, patrząc, jak promienie przechodzą po kamieniach, dopóki w grobowcu znów się nie ściemni, gdy jasny prostokąt skurczy się do rozmiarów łepka od szpilki, jakby maleńkiej gwiazdki, która w końcu zupełnie znika.

Pozostajemy nieporuszeni jeszcze przez jakiś czas. Kiedy zaczynam się rozglądać i obracam głowę, by spojrzeć na znajdującego się

ii

z tyłu Dimitriego, napotykam jego wzrok. W jego oczach jest nasza wspólna przeszłość, losy naszych poprzedników i - tak! - przyszłość, którą chcemy spędzić we dwoje. Jego uśmiech to obietnica, a ja nabieram dziwnej pewności, że od tej chwili jesteśmy razem w każdym miejscu i o każdej porze.

t

Staram się zebrać myśli i odwracam się w stronę Maeve, która wciąż wpatruje się w zachwycie i skupieniu w miejsce, gdzie zniknął ostatni punkcik światła. Chyba wyczuwa mój wzrok, bo odwzajemnia spojrzenie, a jej oczy są jaśniejsze niż w ciągu ostatnich godzin, odkąd się poznaliśmy.

- Dziękuję - mówię szeptem. Chciałabym powiedzieć jej, że pojmuję czar tej chwili, chociaż nie przyniosła nam odpowiedzi, których oczekujemy.

- Jeszcze mi nie dziękujcie - twarz Maeve rozpromienia się w uśmiechu. - Muszę przecież pokazać wam to, czego szukacie. Wydaje mi się, że ma zamiar odczytać znaki na ścianie, ale ona odciąga mnie na bok i pochyla się, patrząc w dół.

- To nie jest kamienna płyta na ścianie, choć może znaczenie napisów, tych zapomnianych symboli, jest takie samo. - Gestem przywołuje Dimitriego i prosi o pochodnię, więc on pochyla się, przybliżając płomień do ściany.

kamień z wcięciem w środku, u podnóża kamiennego słupa sięgającego stropu grobowca.

- Poczekaj... - Dimitri drugą ręką dotyka ściany i ściera trochę kurzu, którego drobinki unoszą się w świetle pochodni. Znów się odzywa, tym razem zdziwionym szeptem: - Coś tu jest.

Wyteżam wzrok i zastanawiam się, czy wszystko z nim w porządku, gdyż ja nie widzę żadnych znaków. Ale później dłoń Dimitriego przesuwają odrobinę, a światło pada na kępkę darni w ścianie - i wtedy to dostrzegam.

Chwytam połę koszuli i dokładnie wycieram ścianę w tym miejscu, gdzie być może znajduje się jakiś napis. Już po chwili wiemy, że Dimitri ma rację.

Rzeczywiście coś tam jest.

- Trzymaj pochodnię. - Dimitri wręcza mi ją i nachyla się, a ja przybliżam płomień do znaleziska.

Przez dłuższy czas nic nie mówi, a ja nie wiem, czy przypadkiem nie żywiliśmy złudnych nadziei. Być może napisy nie mają nic wspólnego z Kamieniem.

Lecz kiedy Dimitri odwraca się i napotykam jego wzrok, rozumiem, że mają.

- To tekst proroctwa. Zapisany, wyryty, po łacinie.

- Mówiłam wam - promienieje Maeve.

- Czy to wszystko? - Przybliżam się, żeby lepiej zobaczyć, zapominając o swojej nieszczęsnej nieznajomości łaciny. --Czy jest tu coś napisane o Kamieniu? On jest tutaj ukryty?

- Niezupełnie. - Dimitri przejeżdża palcami po wyłobionych w ścianie literach.

- Niezupełnie? - Nie mam ochoty ukrywać zniecierpliwienia. - Tutaj podany jest tekst proroctwa, tej strony, na którą natrafiłaś w bibliotece ojca, i tej, którą znaleźliśmy w Chartres. - Przerzywa, a potem, coraz bardziej skupiony, mówi poważnym głosem: - Dalej jest inny tekst, po łacinie, mniej więcej taki: Z pierwszym światłem Nos Galon-Mai uwolnij tych, których spętali Upadli, mocą tego Kamienia i słów ich Obrzędu.

- Zaczekaj... - Kręcę głową. - „Słów ich Obrzędu”? Myślisz, że chodzi o Obrzęd Upadłych? Czy jest mowa o tym, gdzie jest opisany Obrzęd?

- Taak... To możliwe. - Dimitri marszczy czoło i jeszcze bardziej przybliży się do ściany. - Tu jest mowa o... zobaczmy... kręgu utworzonym przez upadłe anioły i coś o... zebraniu mocy Sióstr, żeby zamknąć Bramę pilnowaną przez Strażniczkę i ocalić świat przed Bestią... Wieków. - Odwraca się do mnie z błyszczącymi oczami, a jego ton świadczy o podekscytowaniu, którego stara się nie okazywać.

- Trudno to dokładnie przetłumaczyć tu na miejscu. Ściana jest przybrudzona, te litery wyryto dawno temu. Jednak widać, że to pewien rodzaj zaklęcia.

- Zaklęcia? - powtarzam. - A więc to jest zaklęcie? Takie, którego możemy użyć w Avebury i zamknąć Bramę?

Dimitri przytakuje, a ja widzę, że się zastanawia.

- Na to wygląda. Zresztą każde zaklęcie jest w zasadzie jakimś obrzędem. Napisano także „mocą tego Kamienia”, co mogłoby oznaczać, że Kamień jest ukryty tutaj, wraz ze słowami Obrzędu.

- Ale Kamienia nie schowano w tym miejscu. A przynajmniej teraz go tu nie ma. - Mówiąc, rozglądam się dokoła. - Chyba że...

- Przypatruję się Maeve. - Maeve, czy zabierałaś coś stąd? Czy kie-
dyś było tu coś, czego teraz nie ma?

- Niczego nie zabrałam! - W oczach kobiety pojawia się złość.

- Przychodzę tu tylko oglądać. - Odwraca głowę, wbijając wzrok w ścianę. Potem mruczy gniewnie: - To inni zabierają. Ja tylko oglądam. Zajmuję się tylko oglądaniem.

Na jej słowa w moim umyśle uruchamia się jakiś mechanizm.

Dotykam ściany poniżej miejsca, gdzie wyryto zaklęcie. Wgłębienie w skale jest gładkie, okrągłe. W ciemnym wnętrzu kopca napotykam spojrzenie Dimitriego.

Znowu zwracam się do Maeve:

- Przepraszam cię. Teraz już rozumiem. Ty tylko oglądasz. To inni zabierają. To inni zabrali, prawda?

Maeve patrzy mi w oczy przez krótką chwilę, a później ponownie odwraca wzrok, jednak ten moment mi wystarcza.

- Idziemy - mówię do Dimitriego.

Zamykamy konie w stajni i mamy właśnie udać się do domu, kiedy Dimitri kładzie mi rękę na ramieniu.

- Oni nie są członkami Straży, tego możemy być pewni.

- Zgadza się - przytakuję - ale to nie znaczy, że nie mogą dla Straży pracować, albo że sami nie są niebezpieczni.

- Oczywiście - potwierdza Dimitri. - W jakiś sposób są w tę sprawę zamieszani. Odkąd przyjechaliśmy, robili, co się da, żebyśmy nie weszli do tego kopca.

- I nie znaleźli Kamienia - dodaję. - Poza tym za bardzo się dopytują, są zbyt zainteresowani naszymi zajęciami.

- A ty jak się czujesz? - W tym pytaniu słyszę wahanie. Dimitri niechętnie je zadaje.

Patrzę na niego w jasnym porannym świetle, którego pasma wnikają do wnętrza stajni. Po części jestem urażona, że podejrzewa mnie o słabość, ale trochę też ucieszona, bo wyczuł, że moja siła zanika.

- Ja... walczę. Staram się być mocna.

- Ty zawsze walczysz, Lia. - Spojrzenie Dimitriego łagodnieje.

- O to nie trzeba pytać. Chcę tylko wiedzieć, jak silna jesteś teraz. W tym momencie. - Jego oczy obserwują mnie jeszcze dokładniej.

- Powiedz mi to szczerze.

Z trudem przełykam ślinę, odwracam głowę i biorę głęboki oddech, a potem wyjaśniam.

- Nie jestem tak silna, jak bym chciała. Żmijowy kamień jest prawie zimny. Moja moc... - Staję twarzą do niego, chcąc, aby pomimo moich wątpliwości widział też głęboką wiarę. - Cóż, jest mniejsza niż trzy miesiące temu, kiedy mogłam liczyć na to, że wszystkie zdolności ciotki Abigail wspierają moje. Jednak nadal mogę stanąć do walki, jeśli o to się martwisz.

- Nie wiem, co przed nami, Lia. Chciałbym... - Pociera ręką twarz, a z ust wyrывa mu się pełne zniechęcenia westchnienie.

- Chciałbym, żeby istniało jakieś bezpieczne miejsce, gdzie mógłbym cię wysłać, ale chyba nigdy nie może być bezpieczniej, niż wtedy, gdy jesteś ze mną.

-1 tak bym nie wyjechała. - Unoszę wysoko podbródek. - Moje miejsce jest tutaj i muszę doprowadzić prorocstwo do końca.

- A potem? - Na jego usta wypływa pełen podziwu uśmiech. Wspinam się na palce, zarzucam mu ręce na szyję i odchylam głowę do tyłu, żeby zająrzeć mu w oczy.

- Potem - mówię - będę z tobą. Moje miejsce jest przy tobie. Ręka Dimitriego otacza mnie w pasie i przyciąga bliżej.

- Zatem zostaniesz.

Jego wargi, kiedy dotykają moich, są miękkie i czułe. Ten pocałunek trwa krótko, ale gdy się rozdzielamy, czuję się silniejsza. Zmierzamy w stronę domu. Mówię sobie, że razem możemy osiągnąć wszystko. Że nie ma znaczenia, czy pan O'Leary i jego córka służą Duszom, Straży, czy nawet Samaelowi.

Potem wmawiam sobie, że w to wierzę, choć jakiś głos w mojej głowie twierdzi, że kłamię.

Wydawało mi się, iż jestem przygotowana na wszystko, ale kiedy wchodzę do salonu i widzę wycelowaną w siebie strzelbę, rozumiem, że się myliłam.

- Proszę, proszę, zapraszam do środka. - O'Leary siedzi w fotelu i trzyma broń jak osoba przyzwyczajona do takich sytuacji. - Chyba musimy porozmawiać.

Za fotelem stoi Brigid. Jej oczy, mimo ognia płonącego w kominku, są ciemne i nieprzeniknione.

Dimitri bierze mnie za rękę, przyciąga do siebie, a potem staje z przodu, zasłaniając mnie własnym ciałem.

- Panie O'Leary, chyba nie ma potrzeby trzymać nas na muszce. Jesteśmy przecież rozsądnymi ludźmi.

- Przekonałem się, co dla indywidualuów waszego pokroju znaczy „rozsądny” - mówi mężczyzna z kwaśnym uśmiechem. - Nasze definicje tego słowa są całkiem odmienne.

Nie widzę twarzy Dimitriego, ale czuję, że jest zdezorientowany.

- Nie wiem, kogo pan uważa za „indywidua naszego pokroju”, ale na pewno posiada pan coś, co jest nam potrzebne.

- A ja wiem - mruży oczy O'Leary - że nie mam niczego, co należy do was. 4

- Racja - zgadza się Dimitri. - To nie jest moje. Ale pana też nie, prawda? Przysięgam, że mamy znacznie bardziej szlachetne cele niż te, do których dąży pan i córka.

- Jak pan śmie! - wtrąca się Brigid. Jej oczy płoną. - Czy uważa nas pan za tak naiwnych i myśli, że uwierzymy w te kłamstwa? Że skazemy świat na straszny los z waszych rąk?

Nastaje milczenie. Dimitri stoi zmieszany, a ja próbuję zebrać własne mętne myśli. Patrzę na Brigid, widzę jej uważne, badawcze spojrzenie, jej wszystkie wątpliwości, jej niepospolitą wiedzę.

Wychodzę zza pleców Dimitriego. Staram się mówić spokojnie.

- Bez względu na to, co wam się wydaje, wierzcie mi, jesteśmy po waszej stronie.

- Lia, co ty opowiadasz? - Zszokowany Dimitri spogląda na mnie nic nierozumiejącym spojrzeniem.

Podchodzi do Brigid, starając się nie patrzeć na wycelowaną we mnie lufę.

- Zabrałaś go, tak? Zabrałaś Kamień z grobowca?

Trzeba przyznać, że Brigid nawet nie mrugnie, kiedy się zbliżam, przeciwnie niż jej ojciec, który jest coraz bardziej spięty z każdym moim krokiem.

- Najwyższa pora, żeby odsunąć się od mojej córki. I w ogóle odejść z tego domu.

- Przykro mi, panie O'Leary, ale tego nie mogę zrobić. - W moim gardle utkwiała twarda gruda, dlatego słowa z trudem wydostają się na zewnątrz.

- Lia, ja... - Dimitri podchodzi do nas, ale zatrzymuje się na dźwięk odbezpieczenia strzelby.

- Nie jesteś sama, Brigid. - Odsłaniam lewy nadgarstek, podwijając wysoko rękaw, żeby znamię było widoczne.

Jej oczy spoglądają na moją rękę, na przedstawiony przeze mnie dowód, i widzę, jak jej pierś zaczyna falować szybkim oddechem.

- Mogę? - Łapię ją za przegub dłoni.

Brigid kiwa głową, ale jej ojciec krzyczy:

- Nie rób tego! Nie wolno! Ręce precz od mojej córki!

mi, że ona już nie przebywa w tej miejscowości. Podobno jej matka zmarła przy porodzie, a ojciec po paru latach zabrał gdzieś dziecko. Czekam na odgłos wystrzału, ale zamiast niego dociera do mnie głos Brigid. Jest cichszy, niż go znałam z naszego pobytu w Loughcrew, i sprawia, że napięcie znika.

- Tato, to ona. Tak jak mówił Thomas.

Otrząsam się z szoku, jakiego doznałam na dźwięk imienia swego ojca. Ujmuję Brigid za rękę. Teraz rozumiem, dlaczego nosi za duże sukienki i dlaczego ma zbyt długie rękawy - kiedy odsłaniam delikatną skórę na jej lewym nadgarstku, znamię od razu rzuca mi się w oczy.

Znamię Soni, Luisy i Helene.

Znak ostatniego Klucza.

- Tak myślałam. - Czuję pod palcami ciepłą skórę Brigid i dotykam kciukiem znajomych zarysów. To Jorgumand. Wąż pożerający własny ogon. Kolisty kształt.

Wyciągam rękę i przystawiam do jej przedramienia, porównując znamiona. Przez moment nasze spojrzenia spotykają się, potem Brigid patrzy na stojącego za mną ojca. Jej skinienie jest prawie niedostrzegalne, ale O'Leary nie potrzebuje nic więcej.

Odkłada strzelbę i przez dłuższy czas milczy. Potem stwierdza:

- Rzeczywiście mamy wiele spraw do omówienia, a nie zostało nam dużo czasu.

- Twój ojciec był znacznie mądrzejszy, niż przedtem przypuszczałem, a przecież uważałem go za bardzo inteligentnego. - Dimitri przygląda mi się poprzez parę unoszącą się z filiżanki z herbatą.

Minęła niecała godzina, odkąd pan O'Leary odłożył strzelbę. Przez ten czas Dimitri i ja informowaliśmy ojca i córkę o szczegółach związanych z prorocstwem, o Pozaświatach, Duszach, pozostałych Kluczach. Sądziłam, że Brigid może nam nie dowierzać. Że będzie zaprzeczać sprawom, które, opowiedziane, brzmią jak wymysł. Ona jednak nie zaprzecza. Po prostu siedzi zasłuchana, jakby już dawno wiedziała, że to wszystko prawda.

Spoglądam na nią.

- Urodziłaś się w Anglii, tak jak pozostałe dziewczęta, prawda? Skąd wzięłaś się w Loughcrew, właśnie w tym miejscu, gdzie zapisane jest zaklęcie potrzebne do Obrzędu?

Odpowiada nie Brigid, lecz jej ojciec.

- Moja żona zmarła przy porodzie. Mieszkaliśmy wtedy w Anglii, bo spodziewaliśmy się, że jej krewni, mieszkający w okolicy Newbury, pomogą nam przy urodzeniu dziecka, ale ta pomoc nic nie dała.

- Zostaliśmy tam - Brigid gładzi dłoń ojca - bo rodzina mojej matki opiekowała się mną. Jednak gdy miałam dziesięć lat, pojawił się pewien mężczyzna i wszystko się zmieniło.

- To był mój tata. - Myślę o jego rozlicznych podróżach i zastanawiam się, która z nich sprawiła, że po tylu latach zdołałam odnaleźć ostatni Klucz. Czym się właściwie zajmowałam, kiedy on reżyserował zdarzenia, aby zabezpieczyć mi przyszłość?

- Chyba tak - potwierdza pan O'Leary. - Na początku nie chciałem zostać dozorcą tego odludnego miejsca, ale Thomas obiecał mi dobry dom, gdzie mógłbym wychować Brigid, oraz dożywotnie pobory. Dla mnie była to szansa, żeby zacząć nowe życie, i dziękowałem za nią Bogu, mimo że obawiałem się tego, o czym opowiedział mi Thomas.

- A co panu przekazał? - pyta Dimitri.

O'Leary spuszcza wzrok na zniszczony stolik.

- Mówił, że ten znak, który moja córeczka ma na nadgarstku, oznacza, że może spotkać ją coś złego, dlatego jedynym wyjściem było zniknąć. - Patrzy mi w oczy. - Zniknąć i czekać na ciebie.

- Dlaczego nic pan nie powiedział? - Kręcę głową. - Myśleliśmy, że pan... Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie służy pan drugiej stronie. J

- My to samo myśleliśmy o was - chociaż pan O'Leary. - Thomas nie podał nam imienia córki. Uważał, że byłoby to niebezpieczne, gdyby coś... albo gdyby ktoś chciał... - Niespokojnie kręci się na krześle. - Gdyby zmuszono nas do wyjawienia twojej tożsa-
m

- Skąd wiedzieliście, że w ogóle przyjedziemy? - docieka Dimitri.

- Powiedziano nam po prostu - odzywa się siedząca koło ojca Brigid - że przyjedzie pewna kobieta ze znamieniem na nadgarstku i będzie szukała Kamienia. I że inni też mogą przyjechać, ale tych należy się obawiać. - Patrzy na Dimitriego. - Thomas nie wspominał, że kobieta przyjedzie w towarzystwie mężczyzny, a przez te wszystkie lata oglądaliśmy tutaj wielu wątpliwych „badaczy”. Odsyłaliśmy ich, żeby strzec Kamienia w oczekiwaniu na twoje przyszłe przybycie. Nauczyliśmy się ostrożności, a kiedy nie wróciliście z wycieczki do Oldcastle, doszliśmy do wniosku, że znaleźliście coś, co pomoże wam odszukać Kamień, zwłaszcza że zbliżała się równonoc.

Patrzę na odsłonięte znamię na przegubie dłoni, a potem na Brigid.

- Tak pilnowałam, żebyś go nie zauważyła.

-Ja też - uśmiecha się Brigid.

Nagle przechodzi mnie dreszcz, bo zdaję sobie sprawę, że mamy ostatni Klucz i zakłęcie do Obrzędu. Jesteśmy dwa kroki bliżej do rozwiązania proroctwa na zawsze.

Lecz to zwycięstwo, bez Kamienia, pozostaje słodko-gorzkie.

Jakby odgadując moje myśli, odzywa się Dimitri.

- Ale wiecie o tym, że Kamień nie znajduje się w grobowcu?

Byliśmy tam z Maeve McLoughlin dzisiaj, podczas zrównania dnia z nocą. To oczywiste, że tam jest jego miejsce, żeby raz do roku oświetlało go słońce, jednak niestety nie ma go.

Pan O'Leary nie wydaje się zdziwiony.

- Maeve jest raczej nieszkodliwa, ale ma zły nawyk przyciągania uwagi do tego kopca, kiedy co rok czeka na nadejście wiosny. Nie

możliśmy ryzykować, że doprowadzi do Kamienia niewłaściwą osobę.

- Dlatego właśnie - wyjaśnia Brigid, sięgając ręką pod stanik sukni - już od wielu lat chronię go własnym ciałem.

Jej palce chwytają srebrny łańcuszek i ciągną go, dopóki na końcu nie ukaże się czarny, atłasowy woreczek. Brigid zdejmując łańcuszek z szyi, ujmuje w dłonie sakiewkę, otwiera ją i odwraca, a wtedy na jej rękę wypada spory kamień.

Spodziewałam się, że będzie piękny; błyszczący, połyskujący, pełen mocy. Ale on wygląda jak zwykły szary kamień, tyle że idealnie owalny.

-Jesteś... pewna, że to właśnie ten? - Nie chcę urazić O'Learych, lecz trudno uwierzyć, że taki odłamek skały, identyczny jak wszystkie inne w grobowcach w Loughcrew, ma taką siłę, która pozwoli nam zamknąć Bramę przed Samaelem.

Brigid uśmiecha się, a ja uświadamiam sobie, że wszystkie uśmiechy, jakie do tej pory widzieliśmy na jej ustach, to mizerne kopie oglądanego właśnie arcydzieła.

- Musicie mi uwierzyć - kiedy oświetli go słońce, błyszczy tak jasno, że inne mogą się schować. Dzięki temu znaleźliśmy go i zorientowaliśmy się, że to ten. Ale nie tylko dlatego. - Wręcza mi Kamień. - Zresztą zobacz sama.

Beztrosko sięgam po Kamień, ale im bardziej zbliżam do niego rękę, tym silniej mnie przyciąga. Kiedy obejmuję go palcami, czuję jego siłę. Nie jest tak duża, jak początkowa moc zmijowego kamienia od ciotki Abigail, ale Kamień mruczy, buzuje tą samą energią, kipiącą pod gładką, chłodną powierzchnią.

Z uśmiechem podnoszę wzrok na Brigid. i

-Jest o wiele silniejszy-wyjaśnia dziewczyna - i gorący, gdy świeci na niego słońce. - Speszona spuszcza głowę. - Kiedyś nawet się oparzyłam, to było tego dnia, gdy go znaleźliśmy. Był taki piękny. - Pod-

czas tych wspomnień jej głos zdaje się dobiegać gdzieś z daleka. - Nie mogłam się powstrzymać, żeby go nie chwycić, ale kiedy znalazł się w mojej ręce, jego moc wstrząsnęła całym moim ciałem. Nim go upuściłam, poparzył mnie.

Otwiera dłoń, żeby pokazać nam wypukłą, jasną bliznę.

Zaciskam palce wokół Kamienia.

- Czy to... bezpieczne, tak go nosić?

- Noszę go pod ubraniem już od lat - potwierdza Brigid. - Robi się gorący tyllco w świetle wschodzącego słońca w czasie równonocy.

Czemu pytasz?

- Bo musimy zabrać go do Londynu. - Spoglądam na Dimitriego, a potem, z głębokim westchnieniem, znów na Brigid. - A ty musisz jechać z nami.

Po raz pierwszy od czasu szalonego wyścigu do Chartres podróżuję przez las bez Dimitriego.

Jadę konno, przemykając pomiędzy drzewami, a Straż depcze mi po piętach. Wiem, że znajduję się w Anglii, chociaż noc jest tak ciemna, że ledwie widzę przed sobą szyję Sargenta.

Prześladowcy są w pewnej odległości za mną, ale słyszę tętent kopyt ich koni. Staram się zwiększyć dystans między nami. Dolne gałęzie drzew chłozczą moją twarz i wplątują mi się we włosy, ciągną je jak zachłanne palce, żeby zatrzymać mnie i rzucić na pożarcie. Przytulam się do szyi Sargenta i uparcie, desperacko spinam go ostrogą, wbijając pięty w jego boki i szepcząc mu do ucha słowa zachęty.

Druga szansa nie będzie mi dana.

Zaczynam myśleć, że nie ma dla mnie nadziei, bo noc jest nieskończenie czarna, a rumaki Straży przybliżają się z każdą sekundą,

kiedy nagle wypadam spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń.

Wydaje mi się, że mam przed sobą pola, ale naprawdę przyciąga mnie ogień, płonący w dali jak latarnia.

Jego języki liżą niebo, są jedynym źródłem światła na tym otaczającym mnie pustkowiu. Wiem, że bez wątpienia właśnie do tego miejsca miałam trafić. Spieszę w stronę ognia, a Straż przedziera się między drzewami, żeby wydostać się na pustą przestrzeń za mną.

Kiedy zbliżam się do światła, zauważam, że otaczają je jakieś sylwetki, jedno w małym kręgu tuż wokół ogniska, drugie w dalszym, większym. Docieram do pierwszego kręgu i wszystko rozumiem.

Avebury. Jestem w Avebury.

Dokoła ognia ustawione są ogromne kamienie, jak wartownicy.

Wchodzę w krąg i wiem, że teraz jestem w brzuchu węża. Jak gdyby w odpowiedzi na moje myśli, płomienie z rykiem wzbijają się w górę.

Sięgają nieba, podczas gdy wiatr przynosi z oddali jakiś pomruk, który niesie się przez pola, przepływa przez mój umysł.

Wokół mniejszego kręgu sylwetek łopoczą fałdy tkanin. Kiedy się przybliżam, pomruk robi się coraz głośniejszy, a ja zaczynam pojmować, kogo widzę.

Gdy nadchodzę, postaci rozstępują się, a Sargent wjeżdża w sam środek oświetlonego koła, nim zdołam go powstrzymać. Panika chwyta mnie za gardło, bo krąg się za mną zamyka, a ja zostaję uwięziona wewnątrz, słuchając niesamowitego śpiewu.

Nie mam jednak czasu zastanawiać się nad tą dziwną ceremonią.

Tętent kopyt koni Straży jest jak walenie piorunów w ziemię. Jeźdźcy rozsuwają się, tworząc kolejny krąg wokół otaczających mnie figur.

Niebo rozjaśnia się, ale ja dostrzegam to dopiero wtedy, gdy sto-

które dotychczas skrywały ich twarze. Kiedy pierwsza ściąga kaptur, ze zdumienia tracę oddech - wpatrują się we mnie ciemne źrenice Helene. Potem pozostałe robią szybko to samo: Brigid, Luisa i wreszcie Sonia, a jej zimne, niebieskie oczy żarzą się absolutną wściekłością.

Jestem wyczerpana, głośno łykam powietrze. Ale nawet to nie pomaga, żeby przygotować mnie na ciąg dalszy. Jest jeszcze jedna postać. Dotychczas nie ujawniła swojej tożsamości. Jej oblicze pozostaje skrywaną tajemnicą.

Delikatnymi dłońmi dotyka spowijającego jej głowę materiału.

Odsuwa go, odsłania swoje subtelne rysy tak, że ledwie ośmielam się spojrzeć. Potem jednak nie potrafię odwrócić wzroku. Stoję jak przygwożdżona, a ogień i szybko jaśniejące niebo rzucają światło na jej twarz.

To Alice. Stoi razem z Kluczami, podczas gdy ja jestem sama, osaczona nie tylko przez znienawidzoną Straż, lecz także przez osoby, z którymi współdziałałam, żeby doprowadzić proroctwo do końca.

Ale i na tym nie koniec.

Sonia unosi ramiona i bierze za rękę Alice, stojącą po prawej, oraz Brigid, znajdującą się po lewej stronie. Pozostałe idą w ich ślady, chwytając się za dłonie, i zamykają krąg. W blasku wschodzącego słońca dokładnie widzę ich znamiona i dopiero gdy moje spojrzenie

pada na nadgarstek wyciągającej rękę Alice, zdaję sobie sprawę, jak bardzo się myliłam.

Nie widzę gładkiej skóry nadgarstka mojej siostry.

Nie.

Jest naznaczona znamieniem. Nie „jakimś” znamieniem. Moim.

Nawet w bladym świetle świtu dostrzegam węża, zwiniętego

Prawie bez zastanowienia ześlizguję się z grzbietu Sargenta. Potykając się, idę w stronę ognia, podciągam rękaw i z rozpaczą szukam znaku, który zawsze nienawidziłam, a który teraz pragnę zobaczyć, choćby po to, żeby dowieść, że nadal jestem sobą.

Ale znamienia nie ma. Moje oczy znajdują tylko niezeszpeconą skórę. W chwilę później słońce wspina się na niebo o milimetr wyżej. Wtedy dostrzegam, że na drewnianym trójnogu, obok ogniska, zawieszony jest Kamień. To ten sam zwykły, szary kawałek skały, który pokazała mi Brigid.

Tak długo, dopóki nie pogładzą go delikatne paluszki słonecznego promyka.

Wówczas Kamień wydaje z siebie przenikliwy pisk, a potem mruczy, zupełnie jak otaczające mnie, nucące, zakapturzone postacie. Wibruje tak, że moje ciało przeszywa ból. Wijąc się, upadam na ziemię, podczas gdy cały świat wokół mnie niebezpiecznie kołysze się na boki. Odgłosy galopady wierzchowców Straży wychodzą z wnętrza mojej głowy, ale to nie z tej przyczyny moje serce zastyga w przerażeniu.

Dzieje się tak, gdy uświadamiam sobie, że wszystko układa się w całość.

Znamię na nadgarstku mojej siostry. Uśmiech na jej twarzy, kiedy już wie, że zrozumiałam. Moja własna wiedza o tym, że skoro Alice zajmuje moje miejsce w kręgu, ja zastępuję ją. '

Tym razem nie jestem wybawicielką Sióstr.

Jestem ich wrogiem.

Siadam na łóżku, w gardle zastyga mi krzyk, a serce bije tak szybko i mocno, że z trudem łapię oddech. Nie wiem, co znaczy ten sen.

Naprawdę nie wiem. Ale pojmuję, dlaczego mi się przyśnił, jeszcze nim dotknę ręką piersi.

Ciepło zmijowego kamienia, choć mała, było ze mną od chwili, kiedy wiele miesięcy temu zbudziłam się na Altus. Teraz zaciskam

palce wokół swojego amuletu, starając się wycisnąć z niego jakąś iskierkę żaru.

Jest zimny.

Po mocy ciotki Abigail pozostała tylko pamięć. Dusze już o tym wiedzą. Samael i jego Straż o tym wiedzą.

Teraz dopadną mnie z całą zajadłością.

Pan O'Leary nie usiłuje odwozić swojej córki od wyruszenia wraz z nami w podróż do Londynu. Podobno Brigid także jest dręczona przez koszmary, w których ścigają ją Dusze, a granica między jej ziemskim bytowaniem a Pozaświatami coraz bardziej się zaciera. Ona również wie to, czego wszyscy jesteśmy świadomi: nie będziemy mogli żyć własnym życiem, dopóki Brama nie zostanie zamknięta na zawsze.

Przygotowawszy się do powrotu do irlandzkiej stolicy, wyjeżdżamy z Loughcrew z nowymi zapasami i w towarzystwie jeszcze jednej osoby. Brigid z łatwością wchodzi w rytm wstawania, zwijania obozu, całodniowej jazdy i spania na ziemi, pod osłoną rjamiotu. Nie skarży się, a ja - mimo radości, że tak łatwo się przystosowała - zaczynam patrzeć na nią ze skrywaną podejrzliwością. Pamiętam jej twarz ze swojego snu o Avebury, jej dłonie złączone z dłońmi pozostałych Kluczy, jej postać stojącą w kręgu razem z moją siostrą. Nie potrafię tego zapomnieć ani przestać rozmyślać, czy Brigid nie sta-
I czy sen nie zwiastuje rzeczy, które mają nadejść.

Prawdopodobieństwo, że odchodzę od zmysłów, jest większe niż kiedykolwiek wcześniej. Próbuję się opanować, powiedzieć sobie, że to niemożliwe, aby wszystko i wszyscy byli przeciwko mnie. Nawet Soni, mimo że nasza przyjaźń poważnie ucierpiała, nie da się nazwać moim wrogiem.

To przez prorocstwo, myślę. Przez Dusze. Samaela. Moją własną słabość. Moją własną ciemność.

Odkąd miałam wizję Avebury, moje sny stały się jeszcze bardziej wyraziste. Mam klaustrofobiczne uczucie, że mrok osacza mnie ze wszystkich stron, jakbym była w grobie i starała się gołymi rękami wykopać spod ziemi.

Jakby nie było już nadziei.

Brigid została zwolniona z obowiązku pilnowania Kamienia i od dnia, kiedy odkryłam go przy niej, noszę go osobiście, w woreczku zawieszonym na szyi. Przypuszczałam, że może doda mi mocy, skoro

utracił ją zmiłowy kamień ciotki Abigail, ale ten drugi Kamień pozostaje dla mnie tylko zimnym ciężarem.

Przyzwyczaiłam się do tego, żeby trzymać się bardzo prosto i mieć spokojny wyraz twarzy pomimo przenikającego mnie do szpiku kości wyczerpania i strachu. Jednak jakaś część mnie zdaje sobie sprawę, że ta przybrana poza rodzi się tylko z dumy. Chciałabym popisywać się swoją siłą, ale Dimitri najwyraźniej jest świadom, jak cierpię. To on pędzi do namiotu, słysząc, jak krzyczę. To on mnie przytula, dopóki znowu, przynajmniej na chwilę, nie zapadnę w drzemkę.

Nie pozwalam sobie na głębszy sen, którego tak rozpaczliwie potrzebuję, a mój umysł zachowuje czujność nawet w ciemnościach nocy. Podczas tych czarnych godzin łuk i sztylet, choć zawsze pod

ręką, nie dają mi poczucia bezpieczeństwa. Nabieram coraz większej pewności, że któregoś dnia obudzę się, a czarna aksamitka, na której wisi medalion, będzie otaczać mój lewy nadgarstek, zaś wyryty na metalowym krążku Jorgumand dopasuje się do znamienia na mojej skórze.

Po południu, czwartego dnia podróży, wyjeżdżamy z lasów i znajdujemy się na drodze, która wije się poprzez pola. Jest ich coraz mniej, zaczynają się natomiast pojawiać nieliczne puby i zajazdy. W powietrzu unosi się zapach morza i już w chwilę później docieramy do niewielkiego wzgórka, z którego dostrzegamy Dublin, a w oddali morski brzeg.

- Czy Gareth znowu będzie przeprowiał się z nami? - zwracam się do Dimitriego.

-Jeśli wszystko pójdzie dobrze. - Dimitri spina konia ostrogą.

Nie muszę dociekać, skąd ta niepewność w jego głosie. Obydwoje nauczyliśmy się, że w związku z prorocstwem wszystko się może zdarzyć. Chcę odepchnąć od siebie obawę, że coś przytrafiło się Garethowi, ale nie oddycham swobodnie, dopóki nie docieramy do portu, gdzie widzę go stojącego przy znajomej łodzi. Po raz pierwszy od wielu dni uśmiech pojawia się na moich ustach bez wysiłku.

- Gareth!

Prowadzimy konie do miejsca w dokach, gdzie czeka nasz przewodnik, tymczasem jemu znika z twarzy powitalna radość.

- Moja pani!... Czy jesteś zdrowa? Czy coś się stało?

Prostuję się w siodle, zmieszana taką aluzją do mojego wyglądu.

-Jestem po prostu zmęczona, to wszystko. W takim zimnie trudno zasnąć.

- Tak, pani. - Gareth kiwa głową. - Oczywiście wyglądasz pięknie, jak zawsze. Każdy byłby zmęczony po takiej podróży. - Jego słowo

202
wa mają mnie uspokoić, ale dostrzegam spojrzenie, jakie rzuca w stronę Dimitriego. Wiem, że później, pod moją nieobecność, żeby mnie nie urazić, będą rozmawiać o moim zdrowiu.

Staram się jak najszybciej zmienić temat i jak najprościej wyjaśnić, dlaczego jest z nami Brigid.

- Na pewno pamiętasz pannę O'Leary. Będzie towarzyszyć nam przez resztę drogi. - Nagle zdaję sobie sprawę, że dziewczyna nie wie, jaką rolę ma pełnić Gareth, więc tłumaczę. - Gareth jest przyjacielem Dimitriego, jeszcze z dzieciństwa. Był z nami podczas niejednej niebezpiecznej podróży. Pomoże nam przepłynąć przez morze.

- Miło mi widzieć cię ponownie. - Gareth skłania głowę przed Brigid. - Wybacz mi to, co powiem: dziś jesteś nieco przyjaźniej nastawiona niż kiedyś.

- Przepraszam, że wcześniej byłam nieuprzejma. - Na policzki dziewczyny wypływa rumieniec. - Zaszło pewne nieporozumienie i nie wiedzieliśmy, czy możemy sobie nawzajem ufać.

Uśmiecham się do niej, wdzięczna za dyskrecję, a Gareth ze zrozumieniem kiwa głową.

- Takie teraz czasy, pełne nieporozumień. - Zwraca się do mnie: - A mówiąc o nieporozumieniach, muszę sprostować jeszcze jedno, spowodowane przez ciebie.

- Przeze mnie? Jakie?

- Pozwolono mi towarzyszyć wam nie tylko do brzegów Anglii, lecz dalej. W istocie pojedę z wami aż do Londynu. - Jego szeroki uśmiech świadczy o tym, że jest zadowolony z takiego obrotu spraw.

- Naprawdę? - Nie czekam na potwierdzenie. - To najlepsza wiadomość, jaką mogłam od ciebie usłyszeć!

zaufanego przewodnika ani przyjaciela. A teraz potrzebna jest nam każda pomoc.

Gareth ucisza nas machnięciem ręki.

- Wsiadajcie. Rozgoście się na łodzi, ja tymczasem zajmę się końmi.

Zsiadamy, a Gareth skinieniem przywołuje dwóch mężczyzn opierających się o brudną ścianę pobliskiego budynku. Podchodzą, przejmują lejce, zdejmują kapelusze przede mną i Brigid, a potem odwracają się i odchodzą piaszczystą drogą.

- Niezbyt rozmowni, prawda? - chichocze Dimitri.

Gareth podchodzi na skraj pomostu i wyciąga rękę do Brigid.

- Najlepsi ludzie, jakich można zatrudnić w tych okolicznościach, chyba się zgodzicie? - mówi.

- Bez wątpienia - odpowiada Dimitri, chwytając moją dłoń, kiedy wsiadam do łodzi za panną O'Leary.

Niedługo potem Gareth i Dimitri odwiązują cumę od pomostu.

Nieufnie obserwuję wodę, kiedy łódź odsuwa się od jego słupów, a po chwili port i panujący w nim zgiełk zostają coraz dalej za nami.

Brigid wychyla się za burtę i patrzy w wodę, jakby spodziewała się, że w głębi coś się kryje. Myślę, że powinnam ją chronić. Powiedzieć jej, żeby uważała, siedziała w łodzi i nigdy, przenigdy nie wkładała rąk do wody.

Ale nic nie mówię. Odwracam się i kulę na dnie, ni&zastanawiając się nad przyczynami swojego zdradzieckiego milczenia.

Przeprawy przez morze nie przerywa nic poza bujaniem łodzi i kilkakrotnym rozdawaniem pożywienia i wody. Porcje mamy skrupulatnie podzielone, tak by wystarczyły nam aż do Londynu, ale mimo wszystko rozważnie zużywamy zapasy.

Chociaż w zasięgu wzroku nie ma żadnego innego statku, czuję się osaczona, jakby Dusze śledziły każde moje posunięcie. Łódź kołysze się łagodnie, lecz sen nie przychodzi łatwo. W czasie nieznośnie zimnej nocy przytulam się mocno do Dimitriego; trudno powiedzieć, czy w poszukiwaniu fizycznego ciepła, czy siły psychicznej. Na zmianę zapadam w sen i budzę się, jakbym spodziewała się, że z morza wynurzy się jakiś straszny potwór i pociągnie mnie za burtę. Myślę, że nie walczyłabym ze zrzędzeniem losu, gdyby jakieś monstrum chciało unicestwić mnie w czarnych głębinach.

Kiedy następnego ranka naszym oczom ukazują się brzegi Anglii, nie dbam o to, czy dobijemy do nich, czy nie. Podróż łodzią była przynajmniej jakimś wytchnieniem, bo ciężar, jaki noszę w sobie, staje się większy z każdą upływającą minutą, im bliżej do Londynu. Nie potrafię doprowadzić do porządku swoich własnych myśli ani motywów działania. Jak mam namówić do współpracy Sonię, Luisę,

Helene, a teraz jeszcze Brigid? Jak mam to zrobić, skoro moje relacje z Sonią i Luisą tak się pogorszyły? Jak mam zebrać wszystkich w Avebury i dopełnić Obrzędu, tak jak wymaga tego ode mnie proroctwo?

Jak mam wykonać to najbardziej niewykonalne zadanie i przeciągnąć Alice na naszą stronę? Przecież przepowiednia wyraźnie mówi, że Strażniczka i Brama muszą się sprzymierzyć, aby Brama mogła zamknąć się na zawsze.

Te pytania walczą ze sobą o pierwszeństwo w moim umyśle, podczas gdy Dimitri i Gareth kierują łódź do brzegu. Gareth znajduje wolne miejsce przy nabrzeżu i wkrótce, chwiejąc się na nogach, wysiadamy z łodzi i wchodzimy na pomost.

- Będziemy mieć konie? - Brigid nie kieruje tego pytania do konkretnej osoby.

- Na pewno. - Gareth rozgląda się wokół.

Dimitri łapie mnie za rękę, idziemy za Garethem i Brigid po rozpadających się deskach pomostu, a potem wchodzimy na biegnącą wzdłuż brzegu drogę.

- O, tam są! - Gareth kroczy w kierunku dwóch młodych mężczyzn, z których każdy prowadzi dwa konie.

Natychmiast rozpoznaję Sargenta, lecz spotkanie nie wywołuje we mnie takiego zachwyty jak dawniej. Moja radość z ujrzenia konia jest jakaś odrętwiała, oddalona, zmuszam się tylko do uśmiechu, gładząc go po szyi.

Gareth szeptem rozmawia z mężczyznami. Oddają mu lejce koni i znikają w ruchliwych uliczkach. Wokół nas tłoczą się i przepychają ludzie, a ja przeżywam chwilę paniki, bo próbuję obserwować ich wszystkich i sprawdzać, czy nie mają na szyi znaku Straży Samaela.

- Wszystko w porządku, Lia. - Dimitri jest przy mnie, odbiera mi wodze Sargenta, jednocześnie drugą ręką poklepując wierzchowca. - Wsiadaj na konia, a ja przeprowadzę cię przez tę ciżbę.

Nie wiem, jak odgadł moje przerażenie, teraz jednak moje rozszalałe serce trochę zwalnia. Odczuwam dużą ulgę; nie czuję zażenowania, iż jego obecność napełnia mnie taką otuchą. Łapię za siodło i wsiadam na grzbiet Sargenta. Jadę ponad tłumem, a to od razu zwiększa moje poczucie bezpieczeństwa. Biorę lejce z ręki Dimitriego i głęboko oddycham, starając się zapomnieć o chwili paniki, jaką niedawno przeżyłam.

Brigid bez trudu wsiada na swojego konia, białego w łaty, i wkrótce znacznie oddalamy się od brzegu. Zostawiamy za sobą fetor i brud portu, wyjeżdżając na otwartą przestrzeń, skąd w dużej odległości widać las. Mój strach słabnie.

To wytchnienie jest jednak tylko chwilowe, wiem, że nie potrwa długo. Za nieco ponad tydzień będę z powrotem w Londynie, otoczona przez nieznaną ludzi, Klucze i... moją siostrę.

- Co się będzie działo, kiedy dotrzemy do Londynu?

To nasza trzecia noc na angielskiej ziemi. Brigid siedzi ze mną przy ognisku, a Dimitri i Gareth zaopatrują konie przed snem. Do tej pory nie miałam ochoty na rozmowy i byłam kiepską towarzyszką podróży, ale przyzwyczaiałam się do obecności tej milczącej dziewczyny.

Przypomina mi Sonię sprzed naszego przybycia do Londynu, tyle że spokój Brigid ma raczej swoje wewnętrzne źródło, a nie wynika ze wstydu czy bojaźliwości.

- Zapoznam cię z pozostałymi dziewczętami-Kluczami. Luisa i Sonia należały... należą do moich najlepszych przyjaciółek. Helene dołączyła do nas tuż przed moim wyjazdem do Loughcrew, obawiam się więc, że nie mogę ci o niej powiedzieć więcej ponad to, iż równie gorąco jak my pragnie doprowadzenia proroctwa do końca. Są jeszcze ciocia Virginia i Edmund. - Zwracam się do niej z uśmiechem, który już od jakiegoś czasu wydaje się nie pasować do mojej twarzy. - To wspaniali, życzliwi ludzie. Na pewno ich polubisz. Je-
Kiwa głową.

- A potem?

- Potem będę musiała odbyć rozmowę z moją siostrą Alice - wzdycham głęboko - żeby dowiedzieć się, czy będzie z nami w Avebury, kiedy nadejdzie Beltane.

Brigid opiera głowę na kolanach, a jej orzechowe oczy połyskują w świetle ognia.

- Myślisz, że zdołasz ją namówić?

Nie chcąc napotkać jej spojrzenia, wpatruję się w ognisko.

- Alice to... Cóż, mówiłam ci wcześniej, że współpracuje z Samaelem i Duszami. Zawsze działała na ich korzyść, jeśli mam być szczerą. Jeśli brać pod uwagę intencje i zamiary, jesteśmy po przeciwnych stronach.

Oczy Brigid zasnuwa mgła niezrozumienia.

- Więc jak ją przekonasz, żeby pomogła nam zamknąć Bramę?

- Tego jeszcze nie wymyśliłam, ale kiedyś zdarzyło się, że uratowała mi życie. - Zniżyłam głos do szeptu, bo owładnęły mnie wspomnienia. Pamiętam deszcz i rzekę przepływającą wściekłym pędem obok Birchwood Manor, Alice popychającą Henry'ego, by wpadł w rozszalały nurt. Widzę, jak wychylona ponad rzeczną skarpą, wysuwa w moją stronę konar, ryzykując życie, żeby wyciągnąć mnie bezpiecznie na brzeg. Odwracam się do Brigid. - Były długie okresy, kiedy zachowywała się wobec mnie jak obca osoba, ale niekiedy, niespodziewanie, pojawiał się przebłysk jej ludzkich uczuć. Wierzę, że przemówię do niej w jednym z takich momentów, choć przyznaję, że trudno na to liczyć.

Nie zdradzam, że Alice omawiała już ze mną nasze przeciwstawne role i odmawiała mi wiele razy. Moją jedyną nadzieją jest to, że jednak zdołam dotrzeć do mojej siostry, a poinformowanie Brigid, czwartego Klucza, że nie ma na to szans, nie pomoże nam w dążeniu do wspólnego celu.

- Ale co zrobimy, jeżeli nie zechce stanąć po naszej stronie? - To spokojne pytanie Brigid budzi we mnie mimowolny podziw. Sprawy proroctwa są dla niej nowością, a mimo to rozumie, o co toczy się gra. Jej głos nie nosi jednak śladów paniki.

Jakaś część mnie chciałaby pozwolić zachować jej tę niewinność, lecz czas na puste obietnice już minął. Coraz częściej myślę, że wszystkim, co mamy, jest prawda, dlatego zaglądam nowej przyjaciółce w oczy i odpowiadam:

- Nie wiem.

Tym razem nie znajduję się w lesie, lecz w lodowatej, martwej Pustce. To tylko sen, ale ta świadomość nie zmniejsza mojego przerażenia. Spinam konia ostrogą, nie mam odwagi, żeby spojrzeć wstecz. I tak wiem, że Sfora jest blisko, bo słyszę jej niebezpiecznie zbliżające się wycie.

A wilki nie są same.

Za nimi z tętentem gonią mnie Dusze, kopyta ich koni przeraźliwie dudnią o grubą warstwę lodu, która skuła ziemię. Zmuszam się do patrzenia przed siebie, do skupienia się na ucieczce. Jeśli ośmielę się zerknąć w dół, zobaczę na wpół żywe ofiary Samaela i Dusz, uwięzione pod lodem. Zobaczę je i zrozumie, co mnie czeka.

To sen z gatunku tych, które nie mają zakończenia. Nie znajdę żadnego schronienia. Nie ma miejsca, które zapewniłoby mi azyl. Lód ciągnie się, jak okiem sięgnąć, we wszystkich kierunkach, a ten ponury, jednostajny krajobraz urozmaica tylko błękit nieba nade mną. Wiem, że to nie przypadek, iż lazururowe niebo nad Pustką jest

210
zawsze bezchmurne, ale odbieram to jako ironię losu. Jakim okrucieństwem jest zmuszanie uwięzionych pod lodem, aby dzień po dniu oglądali czysty horyzont i złociste słońce Pozaświatów, wiedząc, że już nigdy nie poczują jego ciepła.

Dostrzegam daremność swojej ucieczki, dlatego moja determinacja słabnie, a tempo maleje, mimo że zmuszam konia do biegu. To nie ma sensu. Sfora jest coraz bliżej, a poszczekiwania i skowyt wilków coraz głośniejsze i bardziej złowrogie. Tuż za nimi pędzą Dusze, a ich wierzchowce zmniejszają dystans z każdą minutą.

Poza tym, r prawdę mówiąc, jestem zmęczona. Utrudzona sprzeciwianiem się woli Dusz. Znużona walką z losem, z moją siostrą. A może to Alice ma rację? Może mądrzej będzie uratować to, co się da, z życia swojego i osób, które kocham?

Wtedy przypomina mi się Henry. Wspominam jego śmierć z ręki Alice i wiem, że za tę tragedię współodpowiedzialne są Dusze. Bo czyż nie one szeptały, przypochlebiały się, namawiały moją siostrę, żeby zrobiła to, co jej każą? Czyż to nie one starały się przeciągnąć ją na swoją stronę, odkąd była dzieckiem w kołysce?

Ta myśl rozbudza moją wściekłość, nachylam się niżej przy szyi konia.

Sen to czy nie, jedna rzecz jest pewna: nie pozwolę, żeby Dusze mnie pochwyciły. Ani w świecie snu, ani w świecie materialnym, ani w Pozaświatach.

Jeśli im się uda, wiem, że na wieczność zostanę w Pustce.

Kiedy budzę się z tego koszmaru, Dimitri spędza ze mną kilka następnych godzin. Martwi mnie to, że schodzi z warty, ale on zapewnia, że podczas tak spokojnej nocy Gareth da sobie radę sam. Potem przez płótno namiotu stopniowo zaczyna przenikać światło

dnia i Dimitri zapada w drzemkę. Nie mam sumienia go budzić, słucham tylko rytmu wdechów i wydechów, planując, że pozwolę mu pospać trochę dłużej.

Ten luksus jednak nie jest mu dany. W chwilę później na równe nogi zrywa nas krzyk dochodzący z zewnątrz. Dimitri jednym susem wstaje, jakby wcale nie spał, i bez zastanowienia, nie ogarnąwszy się nawet, wybiega z namiotu. Nieuważnie wpycham stopy do butów, nie tracąc czasu na ich sznurowanie, i wychodzę za Dimi-trim na poranne słońce.

Dopiero po chwili moje oczy przyzwyczajają się do światła, gdy osłaniam je ręką uniesioną do czoła.

- Co się dzieje? O co chodzi? - Dimitri i Gareth stoją przy koniach i sakwach, a ja wołam do nich z drugiego końca obozu. Obserwuję cały teren, sprawdzając, co było powodem alarmu, i zauważam porozrzucane wszędzie przedmioty o rozmaitych kolorach i kształtach.

Idąc w stronę Dimitriego i Garetha, mijam je i zdaję sobie sprawę, że są to rzeczy z naszego bagażu.

Gareth patrzy na mnie. Ma tak zdumioną minę, że zaczynam się martwić, zanim wymówi choćby słowo.

- Nasza woda. Ktoś wylał nam wodę.

Rozglądam się, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

- Nasza woda? Co to znaczy?

Dimitri podnosi jeden z bukłaków i odwraca go do góry dnem. Nie wypływa z niego ani jedna kropla.

- Ktoś przyszedł w nocy do obozu i wylał wodę ze wszystkich manierek i bukłaków.

- Ale kto mógł zrobić coś takiego? - z boku odzywa się Brigid. Nie zdążyła zapleść włosów, a ich miedziane pasma odbijają każdą * *

drobinę światła, jaka dociera teraz do nas z zachmurzonego nieba. -1 po co?

- Nie wiem - Dimitri ociera dłonią twarz znajomym gestem, świadczącym o zmęczeniu i frustracji - ale nie to dręczy mnie najbardziej.

Gareth siedzi na ziemi, sprawdzając pozostałe bagaże, a ja usiłuję pojąć sens wypowiedzi Dimitriego.

- A co cię dręczy najbardziej?

- Kim była ta osoba, która weszła do obozu, mimo że Gareth i ja czuwaliśmy. Co prawda drugą część nocy spędziłem przy tobie, ale przedtem zmienialiśmy się: gdy jeden spał lub zajmował się toaletą, drugi trzymał straż. Gareth zapewnia, że nie zostawiał obozu bez nadzoru nawet na sekundę, gdy ja byłem przy tobie.

- Ktoś zakradł się do obozu? Ktoś się tu kręcił, chociaż pilnowaliście? - Kiedy Brigid zadaje pytania, znów czuję podziw, bo w jej głosie jest wyłącznie ciekawość i pragnienie, by zrozumieć naszą sytuację.

- Konie i sakwy - Gareth podnosi się - były pod drzewami, na skraju obozu. Nie martwiliśmy się o bagaże, tylko o nasze osobiste bezpieczeństwo. Myślę, że ktoś sprytny mógł się tu zakraść. - Przerzywa i rozgląda się wokoło. - Obawiam się jednak, że w tych okolicznościach nie to powinno nas najwięcej niepokoić.

- Co może być bardziej niepokojącego niż to, że ktoś zakłóca spokój naszego obozu i wylewa nam całą wodę, chociaż jesteśmy tuż obok? - pyta dalej Brigid.

Mam dziwne przeczucie, że wiem, co usłyszę, jeszcze zanim pada odpowiedź.

- To, że ktoś wchodzi na teren naszego obozu i nie zostawia żadnych śladów swojej bytności. - Dimitri patrzy na mnie, a potem zwraca się do Brigid. - Ani Gareth, ani ja nie znaleźliśmy żadnego odcisku stóp czy kopyt. Ktokolwiek to był... czy cokolwiek to było, przyszło i odeszło jak duch.

Nagromadzenie nowych zapasów wody jest nie tyle trudne, co kłopotliwe. Śmierć z pragnienia w Anglii jest niemal nieprawdopodobieństwem, ale napełnianie manierek wymaga czasu, a wszyscy mamy świadomość, że zegar tyka. Tymczasem przed wypełnieniem Obrzędu w Avebury mamy jeszcze dużo do zrobienia. Tajemnicze zniknięcie wody, a dokładniej mówiąc, niepewność, kto ją wylał, wprowadza w naszej małej grupce jeszcze większe napięcie. Nim ruszymy w drogę, w milczeniu pochylamy się nad powierzchnią rzeki płynącej w pobliżu obozu, zatopieni we własnych myślach.

-Jak sądzisz, kto to był? - pyta Brigid.

Napełniwszy manierki i bukłaki, zbieramy odzież i inne przedmioty rozrzucone po obozie, podczas gdy Dimitri i Gareth zwijają namioty.

- Powiedziałałabym, że ktoś, kto służy Duszom, może ktoś ze Straży, ale... - kręcę głową.

- Nie ma żadnych śladów. - Brigid patrzy mi w oczy.

- Tak, a Duszom nie wolno używać magii, kiedy przebywają w naszym świecie. Jedynym wyjątkiem jest zmiana postaci. Wzięłam to pod uwagę, ale żadne zwierzę, które mogłoby wślizgnąć się do obozu niezauważone, nie zdołałoby opróżnić naczyń.

Brigid składa jedną z koszul Garetha i wpycha ją do sakwy.

- Czy ten intruz mógł zmienić postać wtedy, gdy już dostał się do obozu?

- Wiem, co masz na myśli. - Kiwam głową. - Gdyby któraś z Dusz dostała się do obozu w postaci, dajmy na to, jastrzębia, nie zostawiłaby śladów. I gdyby tutaj przybrała ludzki kształt, mogłaby wylać wodę. Jednak... Mimo że konie i sakwy były pod osłoną drzew, uważam, że Dimitri czy Gareth dostrzegliby nieznajomą osobę, nawet jeśli pojawiła się na bardzo krótko. - Nie chcę wyjawiać innej myśli, która przyszła mi do głowy, ale Brigid wyczuwa nawet to, co niewypowiedziane.

-Jest coś jeszcze, prawda?

Prostuję się, zawiązując ciasno sakwę, a gdy odpowiadam, patrzę wprost na moją towarzyszkę. Teraz łączy nas jeden los.

- Nie rozumiem przyczyn tego zajścia. Po co ktoś miałby tak się wysilać, żeby jiozbawić nas wody? Wszędzie jej pełno, można nabrać znowu. Nie jesteśmy na pustyni. To bardzo nieskuteczny sposób, żeby opóźnić naszą podróż przez Anglię. Prawie... dziecinny.

Bezsensowny. Nie wydaje ci się?

Brigid wbija wzrok w ziemię, ważąc moje zdania. Jej milczenie jest potwierdzeniem tego, co już wiem: ona też nie zna wyjaśnienia.

Nie ma czasu, żeby dłużej omawiać tę sprawę, bo Dimitri sygnalizuje, że namioty są spakowane, a konie osiodłane. Obie wstajemy bez słowa. Przez resztę dnia Brigid nic nie mówi, ale ja wiem, że nie zapomniała o tej rozmowie.

Nie jest w tym sama. Ja też nieustannie zastanawiam się nad zdarzeniami minionej nocy. Choć nie do końca pojmuję ich znaczenie, nie potrafię zwalczyć przeczucia, że w tej grze, której na imię proroctwo, wykonany został ważny ruch.

A w głębi duszy zdaję sobie sprawę, że to dopiero początek.

«jP

Następnego dnia podróż przebiega bez zakłóceń. Co jakiś czas Gareth lub Dimitri wracają przebytą przez nas trasą, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś śladów, jednak nic nie wskazuje na to, żeby ktoś nas ścigał. Słońce, które wreszcie uwolniło się od przytłaczających chmur, przedziera się wśród drzew przez warstwy gałęzi i liści, malując wszystko na złoto. Okolica jest piękna i spokojna, a słoneczny blask niesie ze sobą upragnione ciepło. To jednak nie poprawia mi nastroju. Prześladuje mnie uczucie, że ktoś albo coś nas śledzi.

Dobrze znam siły zła. Wiem, że powrócą.

Gareth i Brigid jadą razem na przedzie, podczas gdy Dimitri pozostaje za mną. Nie odczuwamy potrzeby prowadzenia rozmowy. Staram się przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek spędziłam z Jamesem tyle czasu, milcząc. Ze zdziwieniem odkrywam, że nie pamiętam — jakby wszystko, co się przydarzyło od mojego wyjazdu z Nowego Jorku, zamieniło całą moją przeszłość w spłowiałą akwarelę. Zarysy kształtów jeszcze widać, ale szczegółów już nie.

i

Poza tymi, które dotyczą Henry'ego - bo one pozostają tak żywe, jak gdybym widziała go zaledwie wczoraj.

Wypieram tę myśl ze swojego umysłu. Podobnie jak Henry, James odszedł, choć w zupełnie inny sposób. Myślenie o nim nie przyniesie mi żadnego pożytku, chyba że wpadnę na to, jak uratować go spod wpływu Alice. Mój czas z Jamesem był i minął. Już nie powróci. Mimo że kocham Dimitriego, także od niego nie mogę uzależnić swoich planów. Sama miłość nie może decydować o mojej przyszłości. Stawka jest zbyt wysoka.

Dla mnie, dla mieszkańców Altus i dla całego świata.

t

Z zapadnięciem w sen powracam w Pustkę. Sfora jest jeszcze bliżej, zaraz za nią Dusze, a ja pędzę na koniu przez zamarzną krainę, kątem oka zauważając wykrzywione grymasem, wrzeszczące twarze uwieczonych pod lodem. Chwilę potem budzi mnie mój własny krzyk. Jestem zaskoczona, gdy nad moim posłaniem pochyla się Dimitri i szarpie mnie, żebym się obudziła.

- Zbudź się, Lia! To tylko sen! - W ciemności namiotu jego oczy są jak czarne jeziora. Przez jeden przerażający moment wygląda jak martwy.

Siadam, chwytając się ręką za pierś w nadziei uspokojenia szybko bijącego serca i oddechu, który zbyt prędko wydobywa się z płuc.

-Wszystko w porządku? - pyta łagodnie Dimitri. - Jestem tu już od jakiegoś czasu. Usłyszałem, że coś wołasz, ale aż do tej pory nie mogłem cię obudzić.

Przeczesałem dłonią zmierzwiłone włosy i dotykam palcami skroni, czując pod skórą tępy, pulsujący ból.

-Jak długo tu jesteś?

- Około pięciu minut.

- A ja... nie mogłam się obudzić? - patrzę Dimitriemu w oczy. Kręci przecząco głową. Nawet w mroku namiotu dostrzegam, że jest zmartwiony.

- Nie myślisz chyba, że podróżowałam? - Nie wiem, czy na pewno chcę znać odpowiedź, ale nie mogę sobie pozwolić na luksus nieświadomości.

Dimitri głęboko wzdycha, odwracając głowę, jakby bał się mojego wzroku.

- Nie wiem. To wbrew prawom Pozaświatów, wbrew przepisom ustalonym przez Obserwatorów, żeby zmuszać kogoś do podróżowania po Równinie niezgodnie z jego wolą...

-Ja nie chciałam znaleźć się na Równinie, jeśli to sugerujesz!

Dimitri wyciąga rękę i zakłada mi za ucho niesforne pasmo włosów.

- Oczywiście, że nie chciałaś. Ja po prostu rozważam wszystkie możliwości.

Ponieważ natychmiast żałuję zjadliwego tonu swojej wypowiedzi, przysuwam się do Dimitriego i opieram głowę o jego ramię.

- Przepraszam, Dimitri, jestem taka zmęczona. Już nie odróżniam jednej nocy od drugiej ani snów od podróżowania. Nie wiem, czy to Dusze starają się osłabić moją determinację i bawią się moim umysłem, czy... - W tej chwili boję się dokończyć myśl.

- Czy co? - pyta cicho Dimitri.

Unoszę głowę i patrzę mu w oczy.

- Czy to coś nie w porządku ze mną. Czy po wszystkich tych perypetiach nie zaczynam odchodzić od zmysłów. Albo jeszcze coś

gorszego: czy po trochu nie przechodzę na ich stronę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Następuje długa chwila milczenia, a potem Dimitri przyciąga mnie do siebie.

- Nie tracisz zmysłów, Lia, ani nie przechodzisz na ich stronę. To tylko... - Przerywa mu krzyk spoza namiotu. Dimitri unosi głowę i odwraca ją w kierunku źródła hałasu, potem wstaje do wyjścia.

Odprowadzam go wzrokiem.

- Co się stało?

- Nie mam pojęcia. - Wychodzi na zewnątrz, ale ogląda się za siebie. - Ty zostań tutaj.

Nie wiem, jak długo siedzę w namiocie, ale z pewnością krócej, niż życzyłby sobie Dimitri. Nie jestem w stanie ignorować podniesionych głosów, owijam się więc w koc i wyglądam spod brezentu. Dimitri i Gareth stoją wśród sterty śmieci, gdyż nasze sakwy zostały podarte, a ich zawartość wysypana na ziemię.

- Co to jest? - Krążę wokół nich, oglądając to spustoszenie, a ze swojego namiotu, przecierając oczy, wychodzi Brigid.

- Prosiłem, żebyś została w środku - mówi Dimitri napiętym głosem.

Wbijam w niego wzrok.

- Niezbyt często robię to, co mi się każe, na pewno zdążyłeś już zauważyć.

- Chcę cię tylko chronić, Lia - wzdycha.

- Co się stało? Co się tu dzieje? - Do mojej potyczki z Dimitrim włącza się Brigid, więc zwracam na nią spojrzenie.

Ma na sobie koszulę nocną, a na twarzy przerażenie, kiedy przygląda się miejscu zdarzenia.

Odpowiadam, starając się powstrzymać drżenie głosu:

- Ktoś - albo coś - znowu dobrał się do naszych bagaży.

Gareth krąży po obozie, w końcu, poirytowany, rzuca czymś w kierunku drzew.

- Mam obawy, że stało się coś gorszego. Tym razem chodziło o nasze zapasy.

- Jedzenie? - Brigid rusza w jego stronę. - Mówisz, że zniszczyli całe nasze jedzenie?

- Niezupełnie - wtrąca się Dimitri. - Myślę, że uda nam się trochę uratować.

- Ale kto mógłby to zrobić? I jak? - Oczy Brigid są okrągłe ze strachu, a ja zastanawiam się, czy ona przypadkiem nie udaje.

- Dobrze pytanie. - Mrużę powieki. - Jak myślisz, kto mógłby to zrobić? Oprócz nas nikogo tutaj nie ma i wydaje mi się, że nawet gdy Dimitri z Garethem przejrzą teren w poszukiwaniu śladów, znajdą tylko nasze, tak jak ostatnim razem.

Brigid błędnie.

- Chyba nie zamierzasz sugerować, że ja to zrobiłam?

- Niczego nie sugeruję. Po prostu stwierdzam fakty.

- Dlaczego miałabym to robić? - pyta Brigid.

Przez moment mam wątpliwości, ale potem uparcie brnę dalej.

- Ty nam powiedz.

- Lia... - zaczyna ostrzegawczo Dimitri, ale nie ma czasu skończyć, bo Brigid przechodzi przez obóz i zatrzymuje się naprzeciw mnie.

- Odpowiedź brzmi: ja tego nie zrobiłam. To oczywiste, że tego nie zrobiłam - dodaje obronnym tonem. - Spałam w swoim namiocie, tak jak ty.

- Tak, ale ze mną był Dimitri. A z tobą kto? - Od razu zdaję sobie sprawę, że to nieuczciwe pytanie.

- No cóż, rzecz jasna, nikt, ale... - Patrzy to na Dimitriego, to na Garetha. - Powiedźcie jej! Wiecie, że nie zrobiłabym czegoś takiego! Gareth wytrzymuje jej spojrzenie, a potem spogląda na mnie.

- Moja pani, zdawało mi się, że słyszę jakiś szmer w lesie. Ktoś tam chodził. Odszedłem na kilka minut, a kiedy wróciłem, Dimitri był z tobą w namiocie, a rzeczy w takim nieładzie.

Owijam się ciaśniej kocem, nie mam ochoty rezygnować ze swojej hipotezy. Nie chcę przyznać się, że w moich żyłach płynie strach.

Mam coraz silniejsze wrażenie, że prześladowuje mnie coś, co pozostaje poza moją kontrolą.

- Co to ma wspólnego z Brigid? - pytam.

- Po prostu sądzę, że żadne z nas nie zdołałoby zrobić tutaj takiego spustoszenia w tak krótkim czasie, nie zwracając uwagi Dimitriego - wyjaśnia Gareth. - Ściany namiotu nie są tak grube, żeby zagłuszyć odgłosy kroków osoby zakradającej się do obozu.

Ośmielałam się rzucić spojrzenie na Brigid i czerwienię się ze wstydu, widząc w jej oczach urazę i gniew. Mimo to nie umiem ustąpić.

- Ale jednak ktoś, czy też coś, zdołał się zakraść.

Dimitri podnosi z ziemi jeden z pakunków.

- Tak. I dopóki nie dowiemy się, kto to był, albo co to było, na pewno nie zaznamy spokoju.

Nasza podróż kolejnego dnia przebiega w milczeniu, bez miłego poczucia więzi, do którego zdążyliśmy przywyknąć.

Kiedy wyjeżdżamy spomiędzy drzew, atmosfera jest pełna napięcia, dlatego wzdycham z ulgą na widok rozpościerającej się przed naszymi oczami niziny. Od czasu koszmarnej podróży na Altus, kiedy ściagała nas Sfora, a ja musiałam wytrzymać bez snu przez prawie trzy dni, nie umiem odpoczywać otoczona niesamowitą ciszą lasu.

Przebywanie na otwartej przestrzeni, wśród pól, ma jednak swoją cenę, gdyż cały dzień upływa nam na rozglądaniu się wokół w poszukiwaniu oznak zagrożenia bądź pościgu. Przypominam sobie swoją paniczną ucieczkę niedaleko Chartres przed członkiem Straży Samaela. Wiem, że nigdy nie będę bezpieczna - naprawdę bezpieczna - dopóki Brama nie zostanie zamknięta.

Gdy nadchodzi noc, szukamy jak najlepszego miejsca i rozbijamy obóz w niewielkim zagajniku na skraju pól. Pracuję wraz z Brigid w pełnej napięcia ciszy, starając się przyrządzić jakąś prostą kolację. Tymczasem Gareth i Dimitri zajmują się końmi. Wreszcie Brigid odkłada nóż, którym się posługiwała, i ciężko wzdycha.

- Ja tego nie zrobiłam, Lia. Przysięgam. - W jej głosie nie ma złości, co bardzo mnie zawstydzia, chociaż nie potrafię powiedzieć dlaczego.

Sięgam po czerstwy bochenek chleba, który zamierzam pokroić. Nawet on padł ofiarą któregoś z nocnych najazdów, więc ostrożnie usuwam z niego zabrudzenia, zwracając się do Brigid.

- Skąd masz tę pewność? Wiesz, Dusze są bardzo podstępne.

- Lia. - Brigid dotyka mojego ramienia, aż w końcu podnoszę wzrok i patrzę jej w oczy. - To nie ja.

- Nie mówię, że to ty, a jeśli nawet, nie twierdzę, że zrobiłaś to świadomie. Dusze... - Nie jestem w stanie wytrzymać spojrzenia Brigid, więc wracam do krojenia chleba. - Kiedyś udało im się obrócić Sonię przeciwko mnie. Sonię, która była dla mnie, w pewnym sensie, ważniejsza niż moja własna siostra Alice.

- Nie jestem Sonią. - Brigid cofa dłoń z mojego ramienia. - Ani Luisa, ani Helene, ani Alice.

Po raz pierwszy słyszę w jej głosie prawdziwy gniew. Dlatego opanowuję się i przemawiam łagodniej.

-Wiem. Przykro mi, że przeszłość naznaczyła naszą znajomość.

Naprawdę mi przykro.

Brigid bierze głęboki oddech, a potem odwraca się tak, by stanąć naprzeciwko.

- To nie moja wina, że włączyłam się w sprawy proroctwa po tylu zdarzeniach z przeszłości. Proszę tylko o to, aby uczciwie dać mi szansę, żebym się mogła wykazać, tak jak inni przede mną.

W jej oczach jest coś czystego i jasnego, dlatego nagle zaczynam jej wierzyć. Wyciągam ręce, żeby ją objąć.

- Masz rację, Brigid. To ci się należy, poza przeprosinami. Tak mi przykro. Przeszłość, przepowiednia i Dusze sprawiły, że jestem cyniczna nawet w kwestii przyjaźni.

- W porządku - odpowiada Brigid. - Tylko powiedz, że mi wierzysz.

- Wierzę ci. Naprawdę. - Mówię to szczerze, lecz nie wypowiadam słów, które, nieproszone, przychodzą mi do głowy. Ale skoro nie ty, kto to zrobił? Czego chciał?

Sfora jest tak blisko, że czuję zapach wilków. Pamiętam tę dziwną, ostrą woń mokrej sierści i potu z czasu podróży na Altus. Dlatego wiem, że są co najmniej tak blisko jak wtedy, gdy dopadły nas nad rzeką i gdy nadszedł Dimitri, żeby bezpiecznie dowieźć nas na wyspę.

Tym razem nie ma Dimitriego. Ani Edmunda.

Teraz jadę przez lodowatą tundrę Pustki i nie chroni mnie nic poza peleryną na plecach.

We śnie nie mam nawet łuku i kołczanu.

Jazda przez lodowe przestrzenie zdaje się trwać wiecznie, przy-
ma końca. Rytm kopyt koni Straży osiąga crescendo, prześladowcy są
zaraz za Sforą, gotowi mnie otoczyć i skazać na wieczny pobyt w
Pustce.

Już prawie godzę się z tym, że spadnę, że poddam się losowi i
powolnej torturze, jaką mi zgotuje, gdy naraz zaczyna wiać potężny
wiatr. Oplątuje mi włosy wokół twarzy, w powietrzu wznieca dziki

wir płatków śniegu i lodu, tak że nie widzę prawie nic poza końską szyją. Przepęlnia mnie strach, ale to jeszcze nie wszystko. Rodzi się we mnie jakaś euforia, tak silna, że przebiega mnie dreszcz. Jednostajne przestrzenie Pustki leżą poza zasięgiem mojego wzroku, ale wokół wreszcie panuje cisza. Nie słychać ujadania Sfory ani tętentu wierzchowców Straży. Wszystko umilkło i po raz pierwszy od śmierci ojca czuję spokój.

Lecz trwa to tylko chwilę. Tylko chwilę - bo zaraz do mojego oszołomionego, ospałego umysłu zaczyna docierać jakiś głos. Staram się go odepchnąć. Nie zwracać na niego uwagi. Tak długo czekałam na ten rzadki moment spokoju, że teraz nie chcę go stracić, nawet we śnie. Ale głos jest uparty. Nie pozwala mi tkwić w nieświadomości. Wkrótce wypowiada słowa, które sprawiają, że ziemia usuwa mi się spod stóp.

- Lia! Coś ty uczyniła?

- Nie rozumiem.

Siedzę z Dimitrim przy dogasającym ognisku, a moje myśli są nadal przytępione, ociążałe od snu.

Gareth i Brigid starają się naprawić namioty, a ja nie znam jeszcze wystarczającej liczby faktów, by poczuć się źle z powodu tego, co miało miejsce.

Dimitri bierze mnie za rękę.

- Stałaś przed namiotem, z otwartymi oczami, a wiatr... - nie kończy. Kiedy patrzę mu w oczy, widzę, że prześladowają go obrazy, których nie znam.

- Wiatr? - delikatnie ponaglam.

Dimitri kręci głową, przypominając sobie zdarzenie.

-Wiatr... wirował wokół ciebie, wiał mocno, targał namioty, niszczył wszystko na swojej drodze.

- Ale ja spałam. - Słyszę upór w swoim głosie.

- Tak, lecz to było chyba coś więcej niż sen.

Zaczynam rozumieć, do czego wiodą te słowa, i wstaję, odwracając się tyłem do Dimitriego, a przodem do ognia.

- Nic więcej. Tylko spałam. I miałam sen.

- Nie sądzę, Lia - zza moich pleców dochodzi stanowcze, choć spokojne zdanie.

-Jeśli było tak, jak mówisz... Skoro stałam przed namiotem... Jak wyszłam? - dociekam. - Ty stałeś na straży. Powiedziałeś, że nigdzie nie odejdiesz.

- Nie odchodziłem - pada proste wyjaśnienie. - Wyszłaś, przechodząc obok mnie. Najpierw byłem zdziwiony, ale po sekundzie zawołałem cię, myśląc, że potrzebujesz dyskretnie się oddalić. Nie odpowiedziałaś. Szłaś przed siebie, dopóki nie znalazłaś się na środku obozu, a wtedy uniosłaś ręce i zerwała się wichura.

Przez chwilę wydaje mi się, że odnajduję ślad tych wydarzeń w pamięci, jakby to był prawie zapomniany sen, jednak ten przebłysk natychmiast ginie.

Staram się przypomnieć sobie wcześniejsze zdarzenia, ich kolejność, a mój umysł czepia się ostatnich skrawków nadziei. Czuję przyływ ulgi, bo mam pewność, że zostanę uniewinniona.

- W poprzednich sytuacjach i ty, i Gareth trzymaliście wartę i nie widzieliście, żebym opuszczała namiot. Tej nocy, kiedy zniszczono nam zapasy żywności, byłeś nawet w moim namiocie, budziłeś mnie z koszmaru, kiedy Gareth zawołał.

Dimitri spuszcza głowę, jego ramiona opadają w nietypowym dla niego geście porażki.

- Miałaś sen, Lia. Moim zdaniem na tym musimy się skupić. Mówiłaś mi, że masz coraz gorsze koszmary i czasami nawet nie jesteś pewna, czy śnisz.

- Tak, ale bez względu na to, czy dziś miałam sen, wcześniej - co do tego chyba możemy się zgodzić - nie stałam na środku obozu, niszcząc zapasy. Stałam tam dopiero ostatnim razem.

- Ale jeśli podróżowałaś po Równinie - wzdycha Dimitri - czy Dusze nie mogły cię wykorzystać? Sprawić, aby twoje wyczerpanie i rozgoryczenie znalazły ujście w demolowaniu obozu siłą woli? Nie jestem gotowa, by stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością, która da mi odpowiedź na to pytanie.

- Mówiłeś... - Głos utyka mi w krtani, a ciało, mierząc się z zaskakującymi informacjami, zaczyna drżeć. - Mówiłeś, że Dusze nie mogą mnie siłą, bez mojej zgody, zabrać na Równinę.

Chciałabym zatrzymać tę chwilę milczenia, poprzedzającą odpowiedź Dimitriego. Wiem, że nie spodoba mi się to, co usłyszę.

- Nie mogą.

Staję naprzeciwko niego, unosząc wyzywająco podbródek.

- A jednak udało im się. Bo ja nie chcę podróżować po Równinie.
- Na samą myśl o tym śmieję się w głos, ale ten śmiech jest powierzchowny, fałszywy. - Unikam tego za wszelką cenę, sam najlepiej wiesz.

Dimitri nie wstaje, lecz przypatruje mi się, siedząc na pniu.

-Wiem, że chcesz tego unikać, Lia. Powiedziałem ci jednak wcześniej, że Dusze mają większą moc, niż potrafisz sobie wyobrazić. Umieją znaleźć sposób, żeby cię wykorzystał wbrew twojej woli.

Omijam go spojrzeniem, patrzę dalej na środek obozu, na namioty, przekrzywione i podarte.

- Nie mam wystarczającej wiedzy, żeby władać taką siłą.

-Wprost przeciwnie - mówi Dimitri. - Masz. Jesteś Zaklinaczką, podobnie jak Alice. Nie udoskonaliłaś pewnych zakazanych umiejętności, ale z pewnością wiesz, że one pozostają gdzieś ukryte.

Trze-

ba było tylko silnego bodźca, rozkazu wydanego przez potężną moc. Gdyby zaistniały istotne przyczyny, z łatwością mogłabyś tego dokonać - wylać wodę, zniszczyć prowiant, namioty.

- Mówisz, że to ja. - Znów się odwracam. - Za każdym razem ja. Nie słyszę, jak się podnosi, ale zaraz potem, kiedy staje za mną, czuję jego ciepłe dłonie na swoich ramionach.

- Nie ty. W rzeczywistości nie ty. Tak jak to nie Sonia wywołała incydent w czasie naszej podróży na Altus.

Wzmianka o Soni nie tylko nie zmniejsza mojego rosnącego przerażenia, ale wprawia mnie w wielki gniew.

- Porównujesz mnie z Sonią? Porównujesz takie... bezprawne wykorzystanie mojej mocy do jej zdrady?

Dimitri wydaje z siebie jęk irytacji.

- Dlaczego tak trudno ci wytłumaczyć? Cokolwiek się stało, nie odstanie się przez to, że będziesz zaprzeczać, Lia. Musisz przyjąć do wiadomości to, co się dzieje, jeśli chcesz pozostawić sobie nadzieję, że zwyciężysz. - Unosi ramiona w górę i odchodzi kilka kroków dalej, potem odwraca się do mnie. - Chcesz, żebym wstał i powiedział, że to nie ty doprowadziłaś do sabotażu w obozie. Że to nie za sprawą twojej mocy Zaklinaczki nasze bagaże zostały przetrząśnięte, a zapasy i namioty zniszczone. Ale ja nie zamierzam cię oszukiwać. A teraz możesz wylądować na mnie całą swoją wściekłość i wzburzenie, choć

to nie przyniesie pożytku. Nie zniechęcisz mnie. Zostaję z tobą. I będę z tobą zawsze, tak jak przyrzekłem.

Oddała się, lecz już po kilku jego krokach moja zaciętość słabnie. Rzucam koc na ziemię i ruszam za Dimitrim, ciągnę go za rękę, aż zatrzymuje się i odwraca przodem do mnie.

Jest tyle rzeczy, które chcę mu powiedzieć, ale one nie mieszczą zaszło. Dlatego poruszam tylko jedną sprawę, tę, której muszę być pewna, ponieważ wszystko, cóż powiedział Dimitri, zaczyna układać się w całość.

- Powiedziałaś, że musiałyby pojawić się „istotne przyczyny”, abym została wykorzystana przez Dusze. - Unoszę dłonie do nieba. - Jakże to mogłyby być przyczyny?

Dimitri wzrusza ramionami i odpowiada bez zastanowienia:

- Zmęczenie? Rezygnacja? To żadna tajemnica, Lia. Wszyscy dostrzegamy je w twoich oczach, ale nikt nie ma ci tego za złe. Każdy byłby zmęczony, pokonując takie trudności jak ty. Tyle tracąc i tak dużo zrfosząc.

Szukam jego spojrzenia, bo chcę, żeby uwierzył w to, co zaraz powiem.

- Ale ja nadal walczę! Nie poddałam się! Czy nie widzicie, jak dzień po dniu zbliżam się do Londynu, a może do zakończenia swojego życia? - W swoim głosie słyszę rozpacz i nienawidzę siebie za to.

Dimitri przyciąga mnie do siebie.

- Nikt nie wątpi, że walczysz z całych sił. Ale czy podczas snu, wtedy, kiedy w końcu wszystko da się od siebie odsunąć, jakaś drobna częśćka twojej osoby nie chciałaby poszukać wolności? Końca walki, jakkolwiek by nie był?

W słowach Dimitriego pobrzmiewa prawda, nad którą nie ośmielę się zastanawiać.

- Nie wiem. - Staram się zapanować nad drzeniem głosu, nim jeszcze raz spojrzę Dimitriemu w oczy. - Ale co jeszcze mogę zrobić, żeby chronić siebie i innych przed wpływem Dusz? Nie jestem w stanie czuwać przez cały czas. Przynajmniej niezbyt długo. Miną co najmniej cztery dni, zanim dotrzemy do Londynu, o ile będziemy jechać szybko i bez wytchnienia. Kiedy będziemy na miejscu, trzeba podjąć przygotowania przed wyjazdem do Avebury. Jak mam sobie radzić przez cały ten okres?

- Zdaj się na moją opiekę. - Dimitri bierze mnie za rękę. Zaczynam protestować, ale on nie pozwala mi skończyć.

- Każdy musi kiedyś komuś zaufać, Lia. Nawet ty. - Ze zdziwieniem czuję, jak łzy napływają mi do oczu, gdy Dimitri mówi dalej. - Zdaj się na mnie. Będę przy tobie podczas snu i zbudzę cię, gdyby zdarzyło się coś niepokojącego. - Wzdycha. - Oczywiście nie ma całkowitej gwarancji. Nie zdołam chronić cię na Równinie, jeśli mnie tam nie będzie. Lecz mogę czuwać i patrzeć, czy w naszym świecie nie dzieje się nic złego, albo obudzić cię, kiedy będzie trzeba. Nie mówię mu, że to kiepski plan. Odpycham od siebie strach przed zdaniem się na Dimitriego. Na kogokolwiek. Odpycham ten strach i wpadam w bezpieczne ramiona mojego mężczyzny. Ponieważ on ma rację. Tylko to nam pozostaje.

Następny dzień - i kolejny, i jeszcze jeden - upływa nam na przemierzaniu lasów i pól Anglii. Nie umiem już zliczyć ani drzew, ani mijanych gospodarstw. Zlewają się w jedno, tym bardziej że moja wytrzymałość jest coraz mniejsza - wyczerpują mnie prawie bezsenne, wypełnione zwidami noce.

Odpowiedzią na moje przeprosiny jest gorący uścisk Brigid. Jej wielkoduszność to dla mnie powód skrywanego wstydu: ja nie umiałam tak łatwo wybaczyć Soni. Nagle ogarnia mnie pragnienie, żeby cofnąć czas do momentu, gdy wraz z Luisą i Sonią stałam na urwisku nad morzem, na Altus. Szkoda, że nie można wrócić do tej chwili i przeżyć jej jeszcze raz. Gdyby to było możliwe, myślę, że chciałabym objąć Sonię, jak Brigid przytuliła mnie.

podczas snu. Mam wyrzuty sumienia z powodu takiego podziału obowiązków, ale uśmiech Garetha pozostaje tak promienny, jak zawsze, choć nasz przewodnik może sobie pozwolić tylko na krótką drzemkę, kiedy robimy popas w ciągu dnia. I on, i Dimitri traktują mnie tak jak dawniej, chyba nawet z większą czułością. Szukam w ich spojrzeniach śladu zagniewania lub niechęci, bo wydaje mi się, że muszą się tam kryć. W końcu to przeze mnie nocujemy w przeciekających namiotach. Z mojego powodu musimy ścierać brud z bochenków chleba.

W ich oczach nie ma jednak nic poza serdecznością i troską. Na tle tej dobroci jeszcze wyraźniej widać moją słabość, więc większość czasu,

kiedy przytomnie myślę, spędzam na pełnym wstrętu do samej siebie rozważaniu swoich wad.

Mija dzień za dniem, a ja wpadam w objęcia kojącej apatii. Po raz pierwszy odkąd na swoim nadgarstku znalazłam znamię węża, przez całe godziny, a nawet doby nie znajduję dość energii na zastanawianie się nad prorocstwem i moją w nim rolą. Czasami nawet myślę, że byłabym tak samo szczęśliwa, gdyby Samael sprawował nad ziemią swoje rządy ciemności, jak i wtedy, gdybym ostatecznie zakazała mu wstępu do naszego świata.

Nie zawsze zależy mi na tym, jak to się skończy. Chcę tylko, żeby się skończyło.

Pragnę wierzyć, że udaje mi się pokrywać ten brak wymagań wobec siebie błahymi rozmowami i wymuszonymi uśmiechami - ale pewności nie mam. Nie ufam już swojemu sposobowi postrzegania czegokolwiek. Całkiem możliwe, że Brigid, Dimitri i Gareth w pełni zdają sobie sprawę z mojej przerażającej obojętności wobec zakończenia przepowiedni. Nawet to mnie nie martwi. Podporządkuję się swojemu losowi, jakikolwiek będzie.

Ósmego wieczoru podróży jest już dla mnie czymś zupełnie zwyczajnym to, że nie śpię, podczas gdy Brigid dawno się położyła, a Gareth stoi na posterunku po drugiej stronie obozu. Moja bezsenność nie może trwać bez końca, ale każda godzina spędzona w ciepłym ognisku, z kocem otulającym plecy, oszczędza mi koszmarów wywoływanych przez Dusze. Wpatruję się w ogień, a w głowie mam przerażającą próżnię.

- Proszę, napij się. - Gdzieś z boku wyłania się Dimitri, wręczając mi filiżankę gorącej herbaty. Siada na ziemi obok mnie. - To pomoże ci zasnąć.

Biorę od niego naczynie, ale nie piję.

- Nie chcę zasnąć.

Dimitri wzdycha. To ciężkie westchnienie zmęczonego człowieka, więc przez chwilę przykro mi, że przysparzam mu zmartwień.

- Lia, musisz. Jest jeszcze tyle do zrobienia, więc zbieraj siły na to, co przed tobą.

- Jestem silna. - Rzucam mu ostre spojrzenie.

Dimitri wyciąga rękę i ujmuje moją dłoń. Zaczyna mówić, a jego głos jest delikatny, przepełniony smutkiem:

- Staram się troszczyć o ciebie w chwilach, kiedy trudno ci samej o siebie zadbać.

Gardło zatyka mi żal, więc tylko ściskam jego rękę.

- Przepraszam... To dlatego...

Mimo że patrzę w płomienie, czuję na twarzy jego wzrok.

- O co chodzi?

Odwracam się, żeby popatrzeć na Dimitriego, chcę zatonać w głębinach jego czarnych oczu.

- Boję się zasnąć. Moje sny... Dimitri, one są straszne.

Waham się, rozważając, ile mu powiedzieć, ale potem decyduję się wyjawić wszystko.

- Ścigają mnie - szepczę. Nie wiem, czy kiedykolwiek umiałam mówić głośno.

- Kto cię ściga?

Wpatruję się w filiżankę, jakby mętny płyn w jej wnętrzu mógł ułatwić mi rozmowę o koszmarach, które dręczą mnie we śnie.

- Dusze, Sfora, Samael, wszyscy.

Jego palce otaczają moją dłoń i wyjmują z niej filiżankę. Dimitri zabiera mi ją i stawia na ziemi, a potem obejmuje mnie ramionami, tak że mogę wetknąć głowę pod jego podbródek.

- Czy to się dzieje we śnie? Czy Dusze zmuszają cię do podróży po Równinie?

Wtulam się w tors swojego mężczyzny, jego zapach mnie uspokaja. Pachnie drewnem i dymem z ogniska, i chłodnym wiosennym powietrzem.

- Nie wydaje mi się, żebym podróżowała, ale z drugiej strony raczej nie są to zwykłe sny.

- Co masz na myśli? - Do mojego ucha dociera dudniący w jego płucach głos.

-Trudno to wytłumaczyć. Nie czuję się tak, jakbym była na Równinie. A jednak za każdym razem, kiedy we śnie ścigają mnie Dusze, są bliżej. Mam dziwną pewność, że z upływem dni jeszcze się przybliżą, a jeśli będzie im dane pochwycić mnie, we śnie czy gdzie indziej, nigdy się już nie obudzę. Na zawsze pozostanę w Pustce.

Przez moment nic nie mówi, a ja zastanawiam się, czy jednak nie zwariowałam. I czy on też dopuszcza taką możliwość, obmyślając odpowiedź. Ale wtedy Dimitri ciężko wzdycha i odzywa się łagodnie:

- Nie mogą cię uwięzić w Pustce, o ile nie złapią twojej duszy na Równinie, a przecież powiedziałaś, że - twoim zdaniem - nie podróżujesz.

- To prawda.

- A więc... w czym problem? Skoro uważasz, że nie podróżujesz, dlaczego boisz się, że cię złapią i ześlą w Pustkę?

W jego głosie słyszę przerażenie, dlatego waham się, czy opowiedzieć wszystko do końca. Bo co się stanie, jeśli przestanie mi ufać?

Jeżeli zwątpi w moją determinację, żeby zamknąć Bramę?

Przypominam sobie Jamesa, swoją niechęć do dzielenia się z nim każdą informacją i konsekwencje zachowania pewnych spraw w sekrecie. Czy naprawdę chcę stracić drugiego mężczyznę w ten sam sposób? Postawić między nami mur, nie zdobywszy się na całkowitą szczerłość?

Odsuwam się, żeby spojrzeć na Dimitriego.

- Czasami czuję, jakby mieszkały w mojej głowie. Nic nie jest takie, jak się wydaje, a one manipulują mną w swoich celach. Jakby to, co uważam za fakt, było zaledwie wytworem mojej wyobraźni.

Dlatego nie wiem, czy rzeczywistość odpowiada prawdzie.

Przychodzi mi na myśl ojciec i jego przejście na Równinę. Teraz rozumiem, jak bardzo był bezbronny wobec Dusz, podszywających się pod mamę. - Zmuszam się, żeby ciągnąć rozmowę. Jeżeli mam być otwarta wobec Dimitriego i lojalna wobec naszej miłości, trzeba powiedzieć wszystko. - Chyba nie podróżuję podczas snu, ale tak naprawdę nie ufam sobie na tyle, żeby mieć absolutną pewnoŚć.

Dimitri przyciąga mnie do siebie i mocno obejmuje. W tym momencie wierzę, że nic nie zdoła nas rozdzielić, ani w tym świecie, ani w żadnym innym.

- To nie ma znaczenia, Lia. - Całuje mnie w czubek głowy. - Ja ci ufam.

Mówi to tak żarliwie, że wiem na pewno - nie kłamie.

, j 28

Jesteśmy jeszcze wiele mil od Londynu, kiedy dostrzegamy dym ulicznych latarni, unoszący się w wieczorne niebo. Chciałabym móc powiedzieć, że po prostu cieszę się, widząc w oddali miasto. Po wyjeździe z Birchwood i Nowego Jorku znalazłam tu przecież coś na podobieństwo domu. Nie umiem jednak tak jasno określić uczuć, które kłębią się w moim sercu. Jestem zadowolona, że znów będę spać

w normalnym łóżku, mimo że sen nie daje mi takiego wytchnienia jak kiedyś. I czuję radość, że zobaczę ciotkę Virginie, bo tęsknię za wyjątkowym połączeniem jej matczynej troski i pełnej spokoju siły. Lecz są inne sprawy, na myśl o których ze zmartwienia kurczy mi się żołądek.

Będę musiała stanąć twarzą w twarz z Luisą i Sonią oraz moją nieumiejętnością wybaczenia, zwłaszcza kiedy opowiem im o zdradzie, jakiej dopuściłam się podpuszczona przez Dusze. Poza tym będę zmuszona uporać się z faktem, że mamy już cztery Klucze, a nie trzy, jak dotychczas, i że do grupy - już teraz pełnej napięć. Największe moje obawy budzi jednak konieczność konfrontacji z Alice. Na pewno postaram się przeciągnąć ją na naszą stronę, choć w tej chwili wydaje się to absolutnym niepodobieństwem.

- Martwisz się, Lia? - obok mnie odzywa się cichutki głos Brigid. Na drodze wychodzącej z miasta właśnie mijamy zmęczoną młodą mamę z dwójką małych dzieci.

Przytakuje, jednocześnie zażenowana i uradowana, że na mojej twarzy tak łatwo widać emocje. Chyba nie mam już sił, żeby je dłużej taić.

-W twoim sercu jest wiele dobroci - uśmiecha się Brigid. - Twoje przyjaciółki na pewno o tym wiedzą. Jestem przekonana, że cię zrozumieją.

- Mam nadzieję. - Odpowiadając, pochylam się, żeby pogłaskać szyję Sargenta. - Obawiam się... Tak, boję się, że ostatnio nie byłam dobrą przyjaciółką.

- Każdy czasem przeżywa trudne chwile, nie uważasz? - pyta Brigid. - Ale ponieważ wybaczymy innym ich błędy, możemy mieć nadzieję, że i oni wybaczą nam.

- Być może. Ale problem polega na tym, że ja nie wybaczyłam im błędów tak łatwo, jak ty mnie. A teraz... - Wzdycham. - Nieuczciwością byłoby spodziewać się, że zostanę potraktowana pobłażliwie.

- Ja o przyjaźni wiem tylko tyle, co z książek - mówi z uśmiechem Brigid. - I może jeszcze z naszej wspólnej podróży - śmieje się - lecz wydaje mi się, że nie chodzi tutaj o sprawiedliwość, tylko raczej o akceptację. Ale pewnie jestem naiwna.

Prostota idealistycznego myślenia Brigid jest dla mnie pewnym pocieszeniem. Może ma rację i w końcu wszystkie będziemy umiały sobie nawzajem wybaczać?

-Jesteś bardzo mądra jak na dziewczynę żyjącą w takim odosobnieniu
- odpowiadam z szerokim uśmiechem. -I bardzo dzielna.

Brigid odchyła głowę do tyłu i śmieje się.

- Robię tylko dobrą minę do złej gry. Zapewniam cię, że w środku cała drzę.

- W takim razie nie jesteś sama, Brigid. - Patrzę na miasto i z miejsca opuszcza mnie niefrasobliwy nastrój tej chwili. - Nie jesteś w tym sama.

Ze zdziwieniem patrzę, jak Dimitri zsiada z konia i oddaje lejce jednemu ze stajennych w Milthorpe Manor.

- Postaw go razem z innymi, dobrze? - prosi.

Przekazuję wodze Sargenta temu samemu chłopakowi i zaskoczona zwracam się do Dimitriego:

- A czy ty... nie musisz wracać do swojego mieszkania w Towarzystwie?

Dimitri kręci głową.

- Powiedziałem ci, że zostanę z tobą, dopóki to wszystko się nie skończy, prawda? To właśnie zamierzam zrobić.

Sens jego wypowiedzi dociera do mnie dopiero po chwili.

- Zamierzasz mieszkać tutaj w Milthorpe Manor?

- Zamierzam pilnować cię, kiedy będziesz spała, tak jak obiecałem.

- W mojej sypialni? - Nie potrafię ukryć niedowierzania.

Dimitri unosi brwi i chyba nawet teraz dostrzegam w nim jakiś podstępny urok.

- Tak, chyba właśnie tam będę musiał przebywać, o ile nie zechcesz spać gdzie indziej.

Brigid przygląda się nam, zaciskając wargi, żeby się nie roześmiać.

- Ale ciotka Virginia nigdy się na to nie zgodzi! Co ludzie... No, będą plotkować! - Jest już chyba za późno, żeby się martwić o przekroczenie granic przyzwoitości, ale przebywanie razem na Altus albo w angielskich lasach jest zupełnie inną sprawą niż wpuszczanie mężczyzny do sypialni, kiedy mieszka się w samym środku miasta.

- Myślę, że mamy poważniejsze problemy niż londyńscy plotkarze, co? - Dimitri nie czeka na odpowiedź. Bierze mnie za rękę i spogląda na Garetha, który nadal siedzi w siodle. - Pamiętasz adres?

- Tak, urządzę się, a jutro tu wrócę.

- Zostajesz w Londynie? - Najwyraźniej pewne plany zostały poczynione beze mnie, ale nie umiem się gniewać, gdy pomyślę, jak bezpiecznie czuję się w obecności Garetha.

- Tak, moja pani - potwierdza. - Nie potrafię odwieźć cię aż tak daleko, a potem po prostu zawrócić. Dimitri poinformował mnie o twoich... kłopotach po tym, jak...

Odwracam się do Dimitriego zszokowana, z rozpaloną twarzą.

- Powiedziałeś mu? O podróży, o... wszystkim?

W jego oczach nie ma śladu skruchy. Tylko determinacja.

- Po tym, co się stało, nie ma sensu ukrywać prawdy przed Garethem. Poza tym potrzebny nam każdy wierny sojusznik, a chyba zgodzisz się ze mną, że niewielu darzymy większym zaufaniem niż jego.

Gareth zawsze miał dla mnie ogromny szacunek. Nie wiem, jak nowe dla niego informacje o prorocестве i mojej trudnej w nim roli wpłyną na jego uczucia względem mnie. Jednak kiedy spoglądam na niego, w jego dobrych, niebieskich oczach widzę tylko życzliwość

1 współczucie.

- Rzeczywiście - staram się uśmiechnąć. - Cieszę się, że jesteś z nami, Gareth, chociaż przysparza mi to również zmartwień. Nie chciałabym, żeby stała ci się krzywda albo żebyś czuł się wykorzystywany.

238

- Nie ma potrzeby martwić się o mnie, moja pani. Módl się raczej w intencji tych, którzy ośmielają się nastawać na twoje bezpieczeństwo. - Dodaje uśmiech, ale pozbawiony radości. W tej chwili rzeczywiście martwię się o tych, którzy wywołali ten grymas na jego twarzy. Tymczasem on ciągnie: - Zostanę i pojadę z wami do Avebury, będziecie mieć dodatkowe wsparcie, gdyby coś miało się przydarzyć w drodze. Uważam, że Lady Abigail - niech spoczywa w pokoju i szczęściu - przystałaby na to.

- Chyba się nie mylisz - potwierdzam cicho.

Gareth zaWraca konia i kłania się.

- A więc zobaczymy się rano. - Patrząc w tył, posyła mnie i Dimitriemu szelmowski uśmieszek. - Spijcie dobrze.

Mojej uwagi nie przyciągają Sonia i Luisa, stojące spokojnie obok Helene, lecz ciocia Virginia. Nawet w słabym świetle ognia z

kominka i niewielkich lampek poustawianych w salonie widzę, że nie wygląda dobrze.

- Lia! Wróciłaś! - Z pomocą Helene ciotka wstaje, żeby się z nami przywitać.

Ruszam w jej stronę. Nie sposób nie zauważyć, choć w Londynie nie było mnie tylko miesiąc, że lekko się przygarbiła, a zmarszczki ma jakby głębsze.

- Ciociu! Tak się cieszę, że jestem w domu! - Delikatnie ją obejmuję. - Chciałam dać ci znać, że nadjeżdżamy, ale nie mieliśmy przez kogo przekazać wiadomości.

- Nic nie szkodzi, kochanie. Martwiłam się o was, ale miałam przecucie, że niedługo się pojawicie.

Odsuwam się i zaglądam jej w twarz.

- Czy pod naszą nieobecność wszystko było w porządku?

Ciotka kiwa głową, lecz w jej oczach dostrzegam wahanie i wiem, że na osobności będzie miała mi dużo do powiedzenia.

- Wszystko układało się doskonale. Sonia i Luisa lepiej poznały Helene i w trójkę świetnie dotrzymywały mi towarzystwa. - Patrzy daleko za mnie, w stronę drzwi salonu, gdzie stoi Brigid. - Kto to jest? Cofam się, biorę Brigid za rękę i wprowadzam ją na środek pokoju.

- To jest Brigid O'Leary. - Przesuwam wzrok z cioci na Sonię, Luisę i Helene. - Ona jest ostatnim Kluczem.

Nastaje chwila całkowitej ciszy, w której prawie słyszę zdumienie odbijające się echem od ścian. Pierwsza odzyskuje głos Luisa.

- Ostatni Klucz? Ale... - kręci głową, popatrując to na mnie, to na Brigid. - Myślałam, że jedziesz do Irlandii, żeby szukać Kamienia.

- Tak było - potwierdzam. - Znalazłam go. Jednak okazało się, że mój ojciec przed śmiercią zdążył wszystko zaplanować. Ukrył Kamień blisko ostatniego Klucza, żebyśmy mogły odnaleźć je razem. Jest coś jeszcze.

- Co takiego? - Oczy Soni aż błyszczą z zaciekawienia.

- Znalazłam też zaklęcie potrzebne do Obrzędu. Było wyryte na ścianie grobowca, tam, gdzie miał być schowany Kamień.

- Co to znaczy „miał być schowany”? - Jestem zdziwiona, bo pytanie zadaje Helene. Zapomniałam już, jaki ma wyjątkowy, niski głos. - Nie udało się go tam odszukać?

Przytakuję i zaczynam rozumieć, jak trudno jest to wszystko pojąć osobie, która nie była w Loughcrew. ■>

- W końcu się udało. Był u Brigid, która go pilnowała. To nie złudzenie - dziewczęta przypatrują się Brigid z nową podejrzliwością, dlatego kieruję wzrok na jej nadgarstek, ukryty w rękawie bluzki.

- Czy mogłabyś...? - Podnoszę oczy i napotykam jej spojrzenie. Mam nadzieję, że wie, iż jestem jej przyjaciółką. - Czy mogłabyś im pokazać?

Brigid zgadza się i zaczyna odwijać mankiet rękawa.

Sonia i Luisa lekko wyciągają szyje; chcą lepiej widzieć, a jednocześnie zachować dobre maniery. Kiedy wreszcie całe znamię zostaje odkryte, delikatnie unoszę rękę Brigid, żeby zademonstrować je dziewczętom.

-Widzicie? Takie jak wasze. Ojciec odnalazł Brigid wiele lat temu i zatrudnił jej ojca jako dozorcę terenu, na którym znajdują się kopce. Powiedział Brigid, że przyjedziemy po Kamień, a ona ukryła go, czekając na nasze przybycie.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówi. Wreszcie ciszę przerywa spokojny głos ciotki Virginii.

- Więc tak to wygląda. Klucze. Kamień. Obrzęd. - Patrzy mi w oczy. - Wszystko już mamy.

Kręcę głową; nie chciałabym mówić im tego, czego dowiedziałam się wkrótce po pobycie w Chartres.

- Nie wszystko.

- Co jeszcze jest potrzebne? - pyta Luisa, wzruszając ramionami. Patrzę po kolei na każdą z nich, szukając odpowiednich słów i żałując, że nie zdecydowałam się poinformować ich wcześniej. Nie ma dobrego sposobu, żeby im to powiedzieć.

- Alice - stwierdzam jak najzwyczajniej. W końcu jestem gotowa pozbyć się tej ostatniej dzielącej nas tajemnicy. - Końcowa stronica mówi, że Strażniczka i Brama muszą współdziałać, żeby - odprawiając Obrzęd - ostatecznie zakazać Samaelowi wstępu do naszego świata. - Urywam. - A to oznacza, że potrzebna nam jest Alice.

Przez moment wydaje mi się, że mnie nie usłyszały. Żadna się nie odzywa ani nie rusza. W końcu ciszę przerywa Luisa.

- Alice? To świetnie! - Jej śmiech jest zimny i szorstki. - Równie dobrze możesz prosić o pomoc Królową Matkę. W zasadzie można powiedzieć, że wtedy szanse byłyby większe!

Jej nonszalancja mnie przeraża. Ale teraz nie ma odwrotu. Muszę wyjawić im całą prawdę, jeśli mamy zacząć wszystko od początku i utrzymać nadzieję na odbudowanie przyjaźni. ✓

- Obawiam się, że na tym nie koniec.

- Co masz na myśli? - Sonia robi krok naprzód.

- Musimy uzyskać wsparcie Alice - biorę głęboki oddech - i zdążyć z tym do trzydziestego kwietnia, przed świętem Beltane. Spojrzenie Helene wędruje w stronę kominka.

- Ale to... - Odwraca głowę i patrzy mi w oczy.

- Wiem. Już za cztery tygodnie.

Mówię dobranoc Soni, Luisie i Helene, polecając Brigid ich opiece, a sama zostaję w salonie z ciocią Virginią i Dimitrim. Mamy wiele spraw do omówienia, a choć chciałabym zająć się naprawianiem swoich relacji z przyjaciółkami, nie wszystko możemy załatwić w ich obecności.

Opowiadamy ciotce o Brigid i jej ojcu, o ścianie grobowca, na której wyryty był tekst zaklęcia, o podróży do Londynu i wszystkich perypetiach. Spodziewałam się, że będzie zaskoczona albo przerażona wpływem Dusz i wykorzystywaniem przez nie mojej mocy, ale ona tylko ze zrozumieniem kiwa głową.

-Ja też nie mogę sobie z nimi poradzić. Uważam, że to dotyczy nas wszystkich, tyle że dziewczęta są młodsze i po nich tak bardzo

- O czym mówisz, ciotciu? - Staram się wyobrazić sobie, co mogło się dzieć pod moją nieobecność. - Co się stało?

Ciotka ruchem ręki zbywa zatroskanie przebijające z mojej wypowiedzi.

- Prześladują nas we śnie. Kuszą, żebyśmy podróżowały po Równinie.

- Każdą z was? - kręcę głową.

- Tak, w różnym stopniu. - Przerywa, jakby nie mogła się zdecydować, czy kontynuować. - Najbardziej chyba dręczą Sonię, ale według mnie orfa dzielnie to znosi.

Nie mówię ciotce, że właśnie ona wygląda tak, jakby była nękana najmocniej - wydaje mi się, że przez miesiąc postarzała się o dziesięć lat. Wiem, że nigdy się nie przyzna, jak ostrą walkę musi toczyć, dlatego wracam myślami do Soni.

- Skąd masz pewność, ciociu? Skąd wiesz, że Sonia jakoś sobie radzi? - Wypowiedziawszy te słowa, natychmiast czuję się winna, że jestem tak nieufna, jednak gdybym nie zadała tego pytania, narażałabym nas na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Jej westchnienie nie wyraża irytacji, lecz smutek.

- Walczy z Duszami z całych sił, nie oszczędzając się. Ona cię kocha. Jesteś jej najdroższą przyjaciółką, nawet teraz. Jej jedynym pragnieniem jest pomóc ci, zadośćuczynić za zdradę. Myślę, że prędzej by umarła, niż znowu stanęła po stronie Dusz.

- Rozumiem - przytakuję.

Zdaję sobie sprawę, że bronię się przed impulsem, żeby natychmiast iść do Soni, przeprosić ją i błagać o przebaczenie. Zapytać, jak jej mogę pomóc. Moja sprawa musi jednak poczekać, bo tego wieczoru mamy omówić jeszcze jedną rzecz.

- Wymyśliliśmy pewien sposób - zaczynam, patrząc krótko na Dimitriego, a potem zwracając się do ciotki - żeby nie dopuścić do mnie Dusz, a jednocześnie pozwolić mi na trochę odpoczynku.

Ciotka unosi brwi, czekając, co powiem dalej.

- Chodzi o to... że... - czerwienię się i w myślach ganię siebie za to, że zachowuję się jak głupiutka uczennica, podczas gdy chodzi o losy świata. - Dimitri zostanie ze mną. Na noc. Pilnuje mnie, żebym podczas snu nie zrobiła czegoś na rozkaz Dusz.

- Chciałbym zostać przy niej w Milthorpe Manor, dopóki wszystko się nie skończy, po to, żeby chronić ją i całą resztę domowników - dodaje Dimitri. - Wiem, iż to niezgodne z panującymi zwyczajami, ale ma pani moje słowo, że całą noc będę siedział w fotelu obok łóżka Amalii. Nic więcej.

Początkowo ciotka Virginia nie odpowiada. Po prostu patrzy na nas tak, jakbyśmy mówili jakimś innym językiem. W końcu lekko kręci głową, spoglądając na nas jak na ludzi niespełna rozumu.

- Zostać? W jej sypialni? - Prostuje się. - Zdaję sobie sprawę, że proroctwo postawiło nas w wielu nietypowych sytuacjach, ale na to, panie Markov, na pewno nie mogę pozwolić. Chodzi o reputację Lii. Jestem przekonana, że dotrzymałby pan danego mi słowa, ale wyglądałoby to absolutnie nieprzyzwoicie. Moja siostrzenica nigdy nie odzyskałaby dobrej opinii!

Wstaję, a po chwili klękam przed ciotką i biorę jej dłonie w swoje.

- Ciociu, wiesz przecież, że kocham cię jak matkę.

Po chwili wahania ciotka przytakuje, a mnie się wydaje, że w jej oczach błyszczą łzy. Staram się przemawiać jak najłagodniej.

- Rozumiesz więc, że powiem to z całym szacunkiem, ale... - wzdygam, zdziwiona, że tak trudno mi jest przeciwstawić się ciotce.

- Nie proszę cię o zgodę. Milthorpe Manor na zawsze jest twoim, że w tym przypadku muszę obstawać przy swojej decyzji. Dimitri dbał o moje bezpieczeństwo już niejedynym razem. Tej bitwy, która jest przed nami, nie mogę podjąć bez odpoczynku, a nie zdołam odpocząć, jeśli ktoś nie będzie nade mną czuwał. Sama powiedziałaś, że wszystkie jesteście obiektem ataków. Sądzę, że w takich okolicznościach rozsądniej będzie mieć Dimitriego przy boku, dla dobra nas wszystkich.

Na twarzyciotki widać urazę, a ja odczuwam żal, że sprawiłam jej ból. Ale nie jestem już dzieckiem. Stoczyłam wiele bitew. Poniosłam ogromne straty. Zyskałam prawo wyrażania własnych opinii.

Poza tym nie ma innego wyjścia.

Ciotka z westchnieniem wstaje.

- Dobrze. Tak jak powiedziałaś, to ty jesteś panią Milthorpe Manor. - W jej głosie nie słychać niechęci, tylko zmęczenie i smutek. - To twoja decyzja.

Nie mówiąc już nic, wychodzi z salonu, a ja zastanawiam się, dlaczego nie cieszy mnie to, że wybrałam własną drogę. Że sama podjęłam postanowienie.

Nie odczuwam żadnego zadowolenia, tylko strach. Boję się, że nie jestem aż tak dobrze przygotowana na podejmowanie decyzji, jak chciałabym, żeby myśleli inni.

Boję się też, że moje decyzje mogą zniszczyć nas wszystkich.

- Wygodnie ci?

Dimitri przygląda mi się z fotela, który stoi obok mojego łóżka. Wcześniej niewinnie pocałował mnie w czoło i otulił kołdrą jak dziecko. W jego pytaniu nie ma nawet śladu aluzji, ale nawet teraz, kiedy nad naszymi głowami wisi miecz, jego nieco rozpięta koszula i leniwe ruchy są dla mnie niesamowicie pociągające.

- Tak, dziękuję - potwierdzam. - Tylko czuję się winna, że spędzisz noc w fotelu, choć dzięki tobie zdecydowanie zyskał na atrakcyjności.

Dimitri śmieje się i klepie po kolanie.

- Mam tu dla ciebie mnóstwo miejsca, gdybyś zechciała odmiany. Z przyjemnością i jednocześnie ze zgrozą dostrzegam, że potrafimy wymyślać niestosowne żarty, kiedy waży się tak wiele spraw. Na uśmiech Dimitriego odpowiadam jednak uśmiechem.

- Nie sądzę, żeby to się spodobało cioci Virginii.

Dimitri teatralnie wzdycha i zagłębia się w fotelu.

Zamykam oczy, a jego obecność dodaje mi otuchy. W pokoju panuje ciepło, a łóżko jest znacznie bardziej miękkie niż ziemia, na której spałam przez ostatnie dziesięć dni. Wszystko sprzysięga się przeciwko mnie: staję się senna i po niedługim czasie zapadam w drzemkę.

Tym razem, z jakiegoś powodu, nic mi się nie śni.

Dimitri odpoczywa w pokoju przygotowanym dla niego przez ciotkę Virginif, a ja zakładam, że Luisa i pozostałe dziewczęta przygotowują się do rozpoczynającego się dnia. W końcu będę musiała porozmawiać z Luisą, ale teraz najbardziej ciąży mi na sercu sprawa Soni. Staję przed drzwiami jej sypialni z uniesioną dłonią, żeby zastukać.

Nie wiem, czy będzie umiała mi wybaczyć. Czy wszystko będzie tak jak dawniej. Jednak nie znajdę odpowiedzi na te pytania, stojąc na korytarzu, więc postanawiam szybko zapukać, zanim zmienię zdanie.

- Ruth, czy mogłabyś... - Drzwi otwierają się szybciej, niż się spodziewałam, i staję w nich Sonia. Na jej twarzy bardzo wyraźnie widać zaskoczenie, a zdanie, przerwane w połowie, zawisło w próżni.

- Lia! Ja... Wejdz! - Sonia cofa się i otwiera szerzej drzwi, żebym mogła przekroczyć próg.

Robię krok do wnętrza pokoju, onieśmielona towarzystwem Soni - po raz pierwszy, odkąd poznałyśmy się w oświetlonym świecami pomieszczeniu, w którym dawno temu organizowała seanse spiry-

tystyczne.

- Przepraszam, czy ja ci nie przeszkadzam?

- Nie, wcale nie - cicho się śmieje. - Po prostu myślałam, że to Ruth. Luisa już nie puka, a ty... - urywa.

- A ja już nie przychodzę - kończę za nią.

Powoli kiwa głową.

Wskazuję jedno z krzeseł stojących przy kominku.

- Mogę usiąść?

- Oczywiście. - Sonia się przysiadła, ja natomiast przypominam sobie, jak nieraz wpadałam do jej sypialni i bez zbędnych ceregieli siadałam na łóżku. Ona wtedy sadowała się obok i tak spędzałyśmy długie godziny, plotkując, planując, martwiąc się. Serce ściska mi się z żalu na myśl, że tak często coś tracimy, nim zdołamy zrozumieć, jaką ma wartość. Szczerze żałuję, że nie da się cofnąć czasu i zacząć wszystkiego od nowa, z większą wiedzą.

Patrzę w dół, na swoje dłonie, bo nie wiem, jak rozpocząć rozmowę.

- Soniu - podnoszę głowę i napotykam jej spojrzenie. -

Przepraszam.

Jej twarz jest spokojna, nie zdradza żadnych uczuć.

-Już mnie przepraszałaś, Lia. I to nie raz.

- Tak, ale mimo to po części uważałam, że mam prawo nie udzielić ci przebaczenia.

- To zupełnie zrozumiałe. To, co zrobiłam, było niewybaczalne. - Ból, jaki słyhać w jej głosie, jest wciąż świeży, niezagojony.

- Nie powinno takie być. - Biorę ją za rękę. - To, co ja zrobiłam, było niewybaczalne. Nie uszanowałam naszej przyjaźni i wielu twoich wyrzeczeń w imię tej relacji. Nie potraktowałam cię tak łagodnie, jak ty traktowałaś mnie. A co najgorsze - oddycham głęboko, wreszcie rozumiejąc w pełni, jak prawdziwe będą moje następne słowa - nie było mnie przy tobie wtedy, kiedy najbardziej mnie potrzebowałaś.

- To samo można powiedzieć o mnie. Te dni, kiedy jechaliśmy przez lasy na Altus... - Sonia mówi coraz ciszej, a jej oczy są takie

248

jasne, kiedy stara się przypomnieć sobie dawne wydarzenia. - Prawie ich nie pamiętam. Dopiero później dowiedziałam się, że nie wolno ci było zasnąć, żeby Dusze nie mogły przejść przez ciebie jako Bramę. Stało się to z mojej winy, a ja nawet nie potrafiłam wytrwać przy tobie, kiedy cierpiałaś.

Zapada milczenie, bo wspominamy tamten straszny czas, kiedy obie byłyśmy wydane na pastwę Dusz - Sonia ze względu na niezupełnie świadome z nimi przymierze, a ja z powodu strachu, że zostanę przez nie wykorzystana, kiedy będę spać.

Jednak przeszłość powinna pozostać przeszłością. Nie da się bez końca o niej rozmyślać, zwłaszcza że tyle jest przed nami. Patrzę więc na Sonię i uśmiecham się.

- Przepraszam, że nie byłam dla ciebie lepszą przyjaciółką. Ale jeżeli zdołasz mi wybaczyć, chciałabym zacząć od początku. Żebyśmy były tak blisko, jak kiedyś.

Sonia przybliżyła się i obejmuje mnie.

- Niczego nie pragnę bardziej.

Nie mam złudzeń - pokojówki szepczą po kątach, kiedy wchodzę do jadalni. Choć wraz z Dimitrim staraliśmy się zachować w sekrecie fakt, iż nocował w mojej sypialni, było niemal pewne, że ktoś to zauważy.

Pozostałe dziewczęta siedzą już przy stole, wszystkie oprócz Soni, która nadal ubiera się na górze. Siadam obok Brigid, starając się ignorować dziwne spojrzenia służącej, która nakłada mi jedzenie na talerz. Będę musiała jakoś wytłumaczyć się przyjaciółkom z obecności Dimitriego, ale nie mogę tego zrobić przy służbie. Dlatego znoszę wszystko ze stoickim spokojem, obserwując, jak podają potrawy, i dochodzę do wniosku, że im dłużej przebywam wśród londyńczyków, tym mniej ich lubię.

- Dobrze spałaś, Lia? - Z tajonych myśli wyrywa mnie głos Brigid, więc odwracam się do niej z uśmiechem.

- Tak. Można by rzec, że nadzwyczaj dobrze. A ty?

- Wspaniale jest znowu położyć się w łóżku - odpowiada równie uśmiechnięta - mimo że podobały mi się noclegi w namiocie podczas podróży.

- Wiem, o co ci chodzi.

Przez chwilę waham się, w jaki sposób nawiązać do kwestii pobytu Dimitriego, ale potem postanawiam, że najlepiej będzie wyjaśnić wszystko wprost. Podnosząc do ust filiżankę, staram się mówić jak gdyby nigdy nic.

- Na pewno słyszałyście, że pomieszka z nami Dimitri.

Dziewczęta spoglądają na siebie i widzę wyraźnie, że jego obecność była już tematem rozmowy, nim dosiadłam się do stołu.

- Brigid mówiła nam, że Dimitri ma się tobą opiekować - odzywa się w końcu Luisa. - Pilnować, żeby Dusze nie wykorzystały cię podczas snu.

Potakuję, ciesząc się, że Brigid utorowała mi drogę.

- Żmijowy kamień ciotki Abigail jest zimny, a bez jego mocy jestem bardziej bezbronna, niż chciałabym przyznać. Dimitri zostanie tutaj ze względu na nas wszystkich, tylko musimy pogodzić się z faktem, że służba będzie plotkować.

Luisa śmieje się i zbywa moje słowa machnięciem dłoni.

- Phi! Ja bym się wcale nie przejmowała tym, co myślą służące! Wolalabym, żebyśmy wszyscy dotrwali do końca naszej podróży. Jeżeli obecność Dimitriego zwiększa nasze szanse, jestem jak najbardziej za.

Soni wyjaśniłam sytuację już przedtem, dlatego zwracam się teraz do Helene i Brigid.

*

- Czy macie jakieś zastrzeżenia?

- Gdybym miała zastrzeżenia - uśmiecha się Brigid - wyraziłabym je wcześniej.

- Helene? - patrzę na ostatnią z dziewcząt.

Ona zaś marszczy brwi i starannie dobiera słowa.

- Myślę, że mój ojciec nie zgodziłby się na to.

Luisa obrzuca Helene spojrzeniem, z jej pełnych warg wyrywa się nagły śmiech.

- Twój ojciec? A kto chce go o tym poinformować? Zanim wyślesz list do Hiszpanii, a tatuś ci odpowie, będzie po wszystkim! Helene prostuje się na krześle. Nagle wygląda jak pruderyjna panienka; do tej chwili nie zauważyłam u niej takiej cechy.

- Cóż, to, że nie mam dość czasu, aby go zawiadomić, nie oznacza, iż powinnam lekceważyć jego życzenia.

- Myślę, Helene, że to bardzo chwalebne, iż szanujesz wartości głoszone przez ojca - wzdycha Luisa. Wtem przerywa i patrzy w sufit, zastanawiając się nad dalszym ciągiem wypowiedzi. - Nie, to nieprawda. Uważam, że to żalosne i krótkowzroczne. Ale moja opinia jest bez znaczenia.

Mam ochotę histerycznie, niegrzecznie się roześmiać, a Luisa kontynuuje:

- Chodzi o to, że mamy teraz na głowie ważniejsze sprawy, chyba przyznasz? Na przykład to, czy przeżyjemy - zaczyna wyliczać na palcach - albo co się stanie z naszymi duszami, jaki będzie los ludzkości i tak dalej. Głosuję za tym, żeby Dimitri został. - Definitywnym gestem kładzie obie dłonie płasko na blacie i patrzy Helene w oczy. - A skoro wiemy, że pozostali też się zgadzają, obawiam się, że jesteś przegłosowana.

odchodzi od stołu, cały czas wysoko zadzierając podbródek. Gdy jej kroki cichną w korytarzu, Brigid wybuchają śmiechem. Ja walczę z pokusą, by zrobić to samo.

- Nie sądzicie, że któraś z nas powinna za nią pójść? Luisa odpędza dłonią tę sugestię i upija łyk herbaty.

- Za godzinę jej przejdzie. Wierz mi, ja i Sonia wiemy już, jak postępować z Helene.

Jestem nieco zdziwiona, kiedy ciotka Virginia proponuje, że przyłączy się do nas podczas spaceru po mieście, ale kiedy rusza za nami wraz z Helene, zaczynam rozumieć. Idą obok siebie w zgodnej ciszy, a ja zdaję sobie sprawę, że dzięki opiece nad Alice moja ciocia ma wyjątkowe predyspozycje, żeby rozumieć kogoś takiego jak Helene. Ta dziewczyna nie ma tak mrocznego charakteru jak moja siostra, ale w ten sam sposób trzyma się na uboczu. Naturalnym rozwiązaniem jest roztoczenie nad nią pieczy przez ciotkę, której jestem wdzięczna za życzliwość.

Londyńskie ulice kipią życiem późnego poranka. Mijają nas turkoczące powozy i pędzący we wszystkich kierunkach ludzie rozmaitego wieku i stanu. Ja idę z Luisą, a przed nami, miło gawędząc, Sonia z Brigid; po drodze Sonia pokazuje naszej nowej towarzyszce najważniejsze punkty miasta.

- To miło, że znów jesteś z nami, Lia. - W głosie Luisy słyszę radość, a gdy patrzę na nią, widzę, że się uśmiecha. - Bo jesteś z nami, Jej słowa napęłniają mnie takim smutkiem, że nie potrafię się rozchmurzyć.

- Tak, wygląda na to, że tak. Ale...

-W czym jest problem, Lia? - pyta życzliwie.

Patrzę w dół, na bruk, po którym idę.

- Zdrada Soni tak mnie zabolęła, tak przeraziła. A po powrocie z Altus wydawało mi się, że jesteście sobie bliższe niż przedtem. Dzisiaj widać, że szaleństwem było wątpić w waszą lojalność, ale wtedy miałam wrażenie, że powinnam się bać każdej osoby w swoim otoczeniu. Wybaczysz mi?

Luisa chwyta mnie za rękę i ściska ją.

- Lia, ty głuptasie! Nie musisz przeproszać. Po prostu powiedz, że znowu jesteś z nami, że jesteśmy razem, a o całej reszcie natychmiast zapomnimy.

Odwzajemniam jej uścisk dłoni, uśmiecham się z wdzięcznością i myślę, jaki to paradoks, że coś tak mrocznego jak proroctwo dało mi wyjątkowe, piękne przyjaciółki - moje przyjaciółki.

- A teraz - mówi Luisa z błyskiem w oku - opowiedz, co mnie ominęło.

Opowiadam więc przez następne dwadzieścia minut, kiedy spacerujemy wzdłuż sklepów z odzieżą czy piekarni. Mówię o Loughcrew i znalezieniu Kamienia. O zaklęciu i o tym, że słońce oświetla jego tekst raz w roku, w czasie wiosennej równonocy. Wyjawiam, jak bardzo się boję, że Alice nam nie pomoże, i jak niemal ciągle myślę o tym, co zrobimy, jeżeli odmówi.

- Ale jak mamy połączyć wszystkie elementy podczas Obrzędu? - pyta na koniec Luisa.

Już mam odpowiedzieć, kiedy Sonia, znajdująca się prawie przecnicę przed nami, odwraca się i woła:

- Idziemy do sklepu z kapeluszami!

- Wejdźcie do środka. - Macham do niej i Brigid. - Zaraz do was dołączymy.

Znikają w jednym ze sklepów, a ja spoglądam na Luisę.

- Na początku też tego nie rozumiałam, ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej skomplikowany wydaje się Obrzęd.

- Wobec tego muszę częściej o tym myśleć - Luisa w skupieniu marszczy brwi.

Wybucham śmiechem.

- Ostatnia stronica przepowiedni mówi, że musimy powrócić do brzucha węża. To zapewne oznacza, że trzeba udać się do Avebury. Ty i pozostałe Klucze urodziłyście się w tej okolicy. Proroctwo stwierdza zatem, że tam się zaczęło. Aby je zakończyć, musimy

wrócić do tego samego punktu. „Brzuch” oznacza środek. Jeżeli Avebury jest świętym miejscem, jego moc powinna być skupiona w centrum. Tak jak szczególne znaczenie miała grota pod katedrą w Chartres.

Dochodzimy do sklepu z kapeluszami i zatrzymujemy się przed wystawą. Przez okno patrzymy, jak rozbawione Sonia i Brigid przymierzają jakieś ogromne nakrycia głowy. Chichocząc, poprawiają sobie nawzajem kapelusze na głowie, dopóki sprzedawca nie rzuci im krytycznego spojrzenia.

-Jak ten Obrzęd... jak to się nazywa? „Krań Ognia”? - pyta Luisa.

- Wydaje mi się, że widywałam go we śnie. - Przez moment zamiast naszych odbić dostrzegam w szybie ogień płonący wewnątrz kręgu - jak w moich widzeniach. Przypominam sobie dziwny śpiew i zakapturzone postaci. - Wokół ognia stali ludzie, nucąc, a Kamień położony był na drewnianym trójnogu, tak by padły na niego pierwsze promienie słońca podczas Beltane. - Odwracam się, bo zrównują się z nami ciotka Virginia i Helene. - Pewnie tak to ma się odbyć.

Luisa kiwa poważnie głową, a Helene przypatruje się przez okno Soni i Brigid, które odkładają dwa kapelusze na wieszaki i natychmiast łapią następną parę.

- Co one robią? - pyta.

- Świetnie się bawią. - W odpowiedzi Luisy pobrzmiwa rozdrażnienie.

- Chcesz wejść? - pytam Helene.

Wygląda na zaskoczoną.

- Niepotrzebny mi nowy kapelusz.

Przez chwilę robi mi się smutno, że Helene nie umie się cieszyć, i nie potrafię powstrzymać pełnego rezygnacji westchnienia. Na szczęście z odsieczą przychodzi ciotka.

-Wracamy? - proponuje z uśmiechem. - Chętnie napiłabym się herbaty.

Z mieszkania w budynku Towarzystwa Dimitri przyprowadza Garetha, a ponieważ komicznie przedrzeźniają się przy kolacji, posiłek mija nam pośród śmiechu. Najpierw nie czuję upływającego czasu, ale potem, gdy panowie odchodzą od stołu, aby w salonie napić się brandy, okazuje się, że jestem bezgranicznie zmęczona. Nie marzę o niczym prócz swojej cichej sypialni, miękkiego łóżka i odrobiny

samotności, żeby porozmyślać o tym, jak zyskać w Alice sprzymierzeńca.

Sama ta myśl jest niedorzeczna i nakazuję sobie ignorować wewnętrzny głos, który mówi mi, że to po prostu niemożliwe. Powiedziawszy towarzystwu dobranoc, idę do pokoju, żeby się przebrać i umyć przed snem. W kominku buzuje ogień, a ja wypełzam pod kołdry, zastanawiając się, co powiem siostrze. I kiedy.

Rozsądek podpowiada mi, że to musi nastąpić jutro, bo okres dzielący nas od Beltane szybko się kurczy. Planowania i czasu wymaga także podróż, która - choć krótsza niż wyprawa na Altus albo do Irlandii - będzie przecież miała tak wielu uczestników.

Staram się wymyślić argumenty, które mogłyby wzbudzić motywację Alice. Takie, które mogłyby zmniejszyć jej ochotę, żeby pomagać Duszom. Ale motywy Alice zawsze były jasne. Ona chce mieć tyle władzy, ile tylko da się zdobyć. Nie dba o to, czy władza będzie sprawowana w imię Dobra, tak jak teraz, czy z nadania Dusz, jak stanie się wówczas, gdy moja siostra zyska przewagę.

Alice nikogo nie kocha. Nie jest wobec nikogo lojalna.

Jeśli nie liczyć Jamesa.

Ta myśl jest jak promyk światła w przepastnej studni serca. Siadam na łóżku, bo w mojej głowie w pewnym porządku zaczynają się układać konsekwencje tego odkrycia.

Czy można uwzględnić Jamesa? Czy to możliwe, choć odrobinę możliwe, że Alice naprawdę go kocha? Te pytania budzą we mnie iskierkę nadziei - pierwszą od czasu, gdy zrozumiałam, że proroctwo wymaga współpracy mojej i siostry.

- Nad czym tak poważnie dumasz w łóżku?

To leniwe pytanie wyrywa mnie z zamyślenia. Prostuję się, łącząc głos z osobą, która pojawiła się przy drzwiach, a haftowana kołdra zsuwa mi się do pasa.

- Dimitri! Wystraszyłeś mnie.

- Przepraszam - mówi. - Byłaś pogrążona w myślach. Nie chciałem ci przeszkodzić.

Powoli podchodzi do mnie i siada na skraju pościelenia. Jego ciężar na brzegu łóżka, jego bliskość, zapach brandy i dymu z kominka sprawiają, że jestem rozpalona i mam wypieki.

- Czy ty i Gareth dobrze bawiliście się przy kolacji? A czy jemu dobrze się mieszka w twoim apartamencie u Elspeth? - Nie jest to zbyt inteligentna próba odwrócenia swojej uwagi od osoby Dimitriego, ale w tym momencie nie mam lepszego pomysłu.

Dimitri szelmowsko się uśmiecha i kładzie obok mnie na kołdrze.

- Powiedział, że jest mu tam bardzo dobrze, ale na pewno nie aż tak dobrze, jak mnie tutaj. - Patrzy na moje usta, a potem jego wzrok wędruje w stronę tasiemki, którą związana jest pod szyją koszula nocna.

- O ty... - Opieram ręce o jego pierś i delikatnie go odpycham. - Masz na mnie zły wpływ. Powinieneś siedzieć w fotelu.

Dimitri obejmuje mnie ramionami i bardzo blisko się przysuwa. Dzieli nas kołdra, ale to nie powstrzyma pędu krwi w moich żyłach.

- Mam iść? - pyta.

- Tak... Nie... To znaczy... Masz iść. - Mówię coraz słabszym głosem, kiedy Dimitri całuje najpierw mój policzek, a potem delikatną nasadę szyi. - Musisz.

- Muszę? - Przez plecy przebiega mi dreszcz, gdy czuję na skórze jego ciepły oddech.

Wzdycham i, mimo najlepszych intencji, przytulam się jeszcze mocniej. Nie chcę, żeby wychodził z mojego łóżka. Nie chcę, żeby mnie zostawił. Nigdy.

- Może... - w pokoju rozlega się mój szept - może jeszcze nie teraz.

Wtedy nasze usta się łączą. Pomiedzy moje wargi wsuwa się jego język, a ja zatracam się w tym gorącym pocałunku, jakby ziemia usuwała mi się spod nóg. Moje ręce, jak gdyby wiedzione własną wolą, gładzą szerokie plecy Dimitriego, aż w końcu mam ochotę, żeby pomiędzy nami nie było żadnej kołdry ani żadnych ubrań, dzielą-

•

nie, przekraczamy granice, które wyznaczyła nam ciotka Virginia i konwenanse. Nie ma nic oprócz ciężaru ciała leżącego na mnie Dimitriego.

Wreszcie z cichym westchnieniem odrywa się ode mnie i siada wyprostowany. Oddycha szybko i mocno.

Nie muszę pytać, czemu się odsunął, daję mu chwilę, żeby odzyskał równowagę. Wykorzystuję ten czas, starając się ugasić płonący w moim brzuchu pożar, a umysł oczyścić z pożądania, które zasnuło go jak mgła.

Gdy wdechy i wydechy Dimitriego następują po sobie w wolniejszym rytmie, lekko dotykam jego pleców.

- Przepraszam. Tak trudno jest nie dać się ponieść, prawda?

Odwraca się do mnie z nieprzeniknionym spojrzeniem.

- Słowo „trudno” w najmniejszym stopniu nie oddaje dyscypliny, jakiej muszę się poddać, będąc blisko ciebie, Lia.

Uśmiecham się, bo dziwną przyjemność sprawia mi jego wysiłek, żeby się do mnie nie zbliżać.

- Nie chcę, żebyś poszedł - mówię. - Myślisz, że znajdziesz w sobie tyle samodyscypliny, żeby chwilę ze mną poleżeć? Poleżeć i nic więcej?

Dimitri wyciąga się przy moim boku, kładąc głowę na poduszce.

Chytrze się uśmiecha.

-A ty?

Cicho się śmieję.

- Dla mnie to będzie równie trudne jak dla ciebie, zapewniam cię, ale jestem jeszcze nieprzygotowana na to, żeby zostać sam na sam ze swoimi myślami.

Twarz Dimitriego poważnieje. Wyciąga rękę, aby dotknąć moje-

- A jakie to będą myśli?

- Staram się wymyślić coś, cokolwiek - biorę głęboki oddech - żeby sprowadzić Alice na inną ścieżkę niż ta, którą wybrała. Nie da się dłużej tego odkładać. Jutro muszę się z nią spotkać.

-Już jutro? - Dimitri unosi głowę.

- Muszę. Do Beltane pozostał niecały miesiąc, a tyle jeszcze trzeba zrobić, zanim w ogóle pomyślimy o wyjeździe. Poza tym co za różnica, czy spotkam się z nią jutro, czy pojutrze, czy nawet później? Chcę to mieć za sobą.

- Pójdę z tobą - proponuje Dimitri.

Patrzę mu w oczy i uśmiecham się.

- Dimitri, muszę to zrobić sama. - Ponieważ zaczyna protestować, podnoszę dłoń. - Wiem, że chcesz mnie chronić. Rozumiem. Ale to moja siostra.

Jego oczy stają się ciemniejsze, zaciska szczęki.

- To zbyt niebezpieczne.

- Nieprawda. Bitwa stoczy się w Avebury i na Równinie, w Poza-
światach. - Wyciągam rękę i gładzę jego czoło, chcąc rozproszyć
troski. - Nie rozumiesz? Ja w końcu domyśliłam się, dlaczego Straż
Sa-maela nie ścigała nas, kiedy wracaliśmy z Loughcrew.

Dimitri czeka na dalsze wyjaśnienia.

- Zdają sobie sprawę, że teraz nie mam większego wroga niż ja
sama. Ponieważ zmijowy kamień ciotki Abigail stracił moc, jestem
tak słaba, jak byłam przedtem. Nie ma potrzeby wysyłać za mną
Straży. Nie w tym momencie, gdy pojawiła się szansa, że sama
przejdę na ich stronę.

Oczy Dimitriego stają się czarne z bólu. Potem przyciąga mnie do
siebie, wtulając twarz w moje włosy.

Następnego ranka czekam na Alice przed Savoyem. Ponieważ bałam
się, że mi odmówi, nie zapowiedziałam swojej wizyty i teraz stoję
oparta plecami o mur hotelu, czekając, aż siostra wyjdzie - bo zrobi to
na pewno. W takie dni jak dzisiejszy Alice nigdy nie zostaje w domu.
Do Londynu wreszcie zawitała wiosna i miasto cieszy się kryształowo
czystym niebem.

Planowałam, że będę powtarzać sobie prośbę tak długo, aż wyuczę się
jej na pamięć. Ostatecznie jednak nie podejmuję takich prób, potrafię
tylko ze ściśniętym sercem gapić się na drzwi wejściowe, czekając na
pojawienie się mojej rozmówczyni.

Chwilę potem wychodzi, a ja mocniej przyciskam plecy do ściany, nie
jestem jeszcze gotowa na spotkanie. Opuszczając hotel, moja siostra
mija portiera - od razu rozpoznaję to jej protekcyjne skinienie
głowy. Alice nigdy nie lubiła ludzi, których uważała za gorszych od
siebie. Zastanawiam się, czy podobnie postrzega Jamesa, syna
zwykłego księgarza.

A *

żając na przechodniów wokół niej. Tak dziwnie jest obserwować
spacerującą po mieście osobę, która wygląda identycznie jak ja.
Zauważam pełne zachwyty spojrzenia rzucane jej przez mężczyzn i
zazdrosne zerknięcia kobiet. Nigdy nie sądziłam, że jestem ładna, ale
teraz z zaskoczeniem myślę, że chyba powinnam. A może to tylko
połączenie pewności siebie i wyniosłości sprawia, że tak wielu ludzi
zwraca na Alice uwagę?

Gdy moja siostra oddala się prawie o przecznicę, odrywam się od ściany i podążam za jej rozwianą peleryną. Mówię sobie, że byłoby nierozsądnie tak szybko ujawniać swoją obecność; sprytniej będzie zobaczyć, dokąd udaje się Alice, a potem znaleźć ustronne miejsce, gdzie da się porozmawiać.

Jednak boję się. Nie Alice. Przynajmniej nie wyłącznie. Lękam się, że przyspieszę ostateczną konfrontację, od której zależy istnienie naszego świata, i że utracę nadzieję, nawet tę wątłą, iż siostra pomoże mi zamknąć Bramę przed Samaelem.

Alice mija liczne sklepy znajdujące się przy ulicy. Nie jest trudno ją śledzić, pozostając niezauważoną. Niewiele osób kroczy naprzód tak pewnie jak ona, a jeszcze mniej w podobny sposób ignoruje innych ludzi wokół siebie.

Siostra przechodzi na drugą stronę, a ja przyspieszam i także pokonuję ulicę; w przeciwnym przypadku straciłabym ją z oczu, rozdzieliłby nas sznur powozów. Idę za nią jeszcze przez kilka minut i wcale nie dziwi mnie, kiedy wchodzi przez bramę do parku, w zasadzie odciętego od świata zewnętrznego pierścieniem rosnących drzew o bujnym listowiu.

Park jest niewielki; minąwszy bramę, staję na wąskiej żwirowej ścieżce. W tej ograniczonej przestrzeni wydaje mi się, że Alice znajduje się bliżej, dlatego zostaję z tyłu, aby mnie nie dostrzegła.

Wcho-

dzimy coraz bardziej w głąb parku, krążąc pomiędzy plamami światła i cienia, jaki rzucają na ziemię gęsto posadzone drzewa. Kiedy Alice nagle zatrzymuje się nad brzegiem stawu, chowam się gwałtownie za pień i obserwuję, jak siada na jednej z ustawionych tam kutych ławek. W oddali po stawie płynie rodzina kaczek. Jestem ciekawa, czy Alice nadała im imiona - zawsze nazywałyśmy kaczki pływające po sadzawce w Birchwood Manor.

Biorę głęboki wdech i zbieram się na odwagę, by wyjść z bezpiecznej kryjówki za drzewem. Powiedz już coś, myślę, podchodząc od tyłu do Alice. Będąc tak blisko niej, tracę spokój ducha i nagle zalewają mnie fale zupełnie sprzecznych uczuć: nienawiści, smutku i - tak! - miłości. Nawet teraz.

Jestem już tylko kilka kroków od siostry i chcę wymówić jej imię, gdy to ona się odzywa, a jej spokojne słowa niosą się po wodzie.

- Czemu się chowasz, Lia? Chodź tu i usiądź przy mnie, dobrze?

Jestem zaskoczona, ale nie dziwi mnie, iż wiedziała, że ją śledzę. Przeraza mnie natomiast ton jej głosu: brak gniewu, wręcz obojętność. Nie odpowiadam. Po prostu podchodzę i siadam obok niej na ławce. Wędruję za jej wzrokiem po powierzchni stawu, obserwując ptaki, które zbliżają się do nas, najwyraźniej nauczone, że dostaną chleb czy inne jedzenie.

- Pamiętasz, jak jeździłyśmy konno nad staw i karmiłyśmy kaczki suchym chlebem? - pyta nostalgicznie Alice, a ja w myślach widzę pola otaczające Birchwood i moją siostrę, która prędko, wytrwale, jedzie przede mną, z włosami rozwianymi na wietrze.

- Zawsze jechałaś za szybko, za bardzo mnie wyprzedzałaś. Bałam się zostawać z tyłu.

W kącikach ust Alice igra uśmiech.

- Nigdy nie byłam aż tak daleko, jak ci się zdawało. Nigdy nie dopuściłabym do tego, żebyśmy się rozłączyły, bez względu na to, co myślałaś.

Potrzebuję chwili, żeby przyswoić sobie tę nową informację. Nawet tak drobne wyznanie zmienia sposób, w jaki patrzę na siostrę.

- Dlaczego to robiłaś, skoro wiedziałaś, że się tego boję?
Alice nieznacznie wzrusza ramionami.

- Chyba jakaś część mnie napawała się twoją zależnością i strachem. Ale jeśli pytasz o prawdziwe przyczyny, nie potrafię ich podać.

Patrzę daleko ponad wodą. Jej powierzchnia, nawet w świetle słońca szara i ołowiana, marszczy się. Nagle nie wiem, co powiedzieć. Jak zacząć. Przypatruję się przeciwległemu brzegowi, obserwuję porastającą go trawę i drzewa w oddali, jakby to one znały słowa, które powinnam wyrzec. Nie dziwi mnie, że Alice zaczyna mówić pierwsza.

-Już wiem, że on mnie nie kocha.

Oczywiście mówi o Jamesie, ale to wyznanie nie daje mi poczucia zwycięstwa.

- Nie to miałam zamiar powiedzieć.

Alice spuszcza oczy, patrzy na ręce splecione na kolanach.

- Nie musisz. Kiedy patrzę w jego oczy, widzę tylko ciebie. Pozwalam, by te słowa stały między nami. Nie po to, żeby Alice

cierpiała, ale dlatego, iż chciałabym wymyślić sposób przekonania jej, żeby nam pomogła, skoro już zdaje sobie sprawę, że James jej nie kocha.

W końcu potrafię powiedzieć tylko prawdę.

- Niezależnie od tego, jak jest teraz, James nigdy cię nie pokocha, jeżeli odmówisz nam pomocy przy zamykaniu Bramy i jeśli dowie się, że pozwoliłaś Samaelowi zapanować nad światem, tak jak tego pragniesz.

- Wygląda na to, że w moim przypadku możliwe są tylko dwa scenariusze przyszłości. - Alice mówi spokojnie, bez śladu buntu, który zawsze był jej cechą charakterystyczną. - Pomóc wam i wieść życie mężatki u boku mężczyzny, który kocha ciebie, albo wesprzeć Samaela i panować nad światem. - Odwraca się i patrzy na mnie, a jej oczy mają tak ostrą zieloną barwę, jakiej dotychczas nie widziałam. - Co ty byś zrobiła?

Rozważam jej pytanie, stawiając się na jej miejscu. Już po sekundzie znam odpowiedź.

- Nie zgodziłabym się na żadne z tych rozwiązań - stwierdzam. - Znalazłabym inny sposób na ułożenie sobie przyszłego życia. Żebym była kochana, szczerze kochana, i nie musiała wybierać między miłością a władzą.

Alice przez chwilę wytrzymuje moje spojrzenie; wydaje mi się, że w jej oczach widzę błysk wątpliwości. Jest to jednak nikły płomyczek, gaśnie, nim zdołam się upewnić, że się tam palił.

Moja siostra znów spogląda na wodę.

- A więc, Lia, jesteś lepszym człowiekiem niż ja. - Cierpko się uśmiecha, a jej następne słowa zabarwione są sarkazmem: - Ale nie musiałyśmy odbywać tej rozmowy, aby to ustalić, prawda?

Nie mam ochoty wracać do przekonań Alice na temat tego, że zawsze byłam faworyzowaną bliźniaczką.

- Myślmy o różnych sprawach, Alice, kierując się tym, jak postrzegamy świat. Obojętne, co sądzisz, ojciec cię kochał. I kocha nadal. Jak my wszyscy.

- Wszyscy z wyjątkiem Jamesa. - Unosi podbródek, unikając mojego wzroku.

Wstaję i idę nad brzeg, staję tam tyłem do Alice.

- James jest... Tak, w sprawie Jamesa to ja zawiniłam. Ja nie... - Słowa mnie dławią, bo jeszcze teraz się smucę na wspomnienie, że go

zostawiłam i skrzywdziłam. - Nie załatwiłam tego tak, jak należy. Nie porozmawiałam z nim tak, jak było trzeba. Zostawiłam mu w głowie mnóstwo pytań bez odpowiedzi. - Odwracam się przodem do niej. - Czy nie rozumiesz, Alice? Teraz te pytania są nieistotne. Kocham Dimitriego. A James i ja... Cóż, nasza miłość nie nadawała się na te czasy ani na to miejsce. Gdybyś stanęła przy mnie, żeby dopilnować zamknięcia Bramy, mogłabyś zacząć z Jamesem wszystko od początku. Miałabyś szansę na nowe życie, szczęście i prawdziwą miłość, bez cienia rzucanego przez prorocstwo i swoją w nim rolę. Przez chwilę Alice nie odpowiada, ale kiedy zaczyna mówić, nie wspomina o Jamesie, lecz o naszym ojcu.

- Czy wiesz, że przypatrywałam się tobie i ojcu, gdy przebywaliście w bibliotece? Stałam na zewnątrz, pod oknami, albo w drzwiach biblioteki i patrzyłam, jak we dwójkę żartujecie i rozmawiacie o książkach. Wasze przebywanie razem wydawało się tak naturalne, ale kiedy ja próbowałam dowiedzieć się czegoś o bibliotece czy innych zbiorach taty, słuchał mnie tylko jednym uchem, zawsze chętny, by wrócić do twojego towarzystwa.

-Jestem przekonana - wzdygam - że ojciec wiedział, iż w rzeczywistości nie zajmują cię książki. Zapewne doceniał twoje wysiłki, ale nie chciał, abyś się do czegoś zmuszała.

- Jasne. To niemożliwe, że zwyczajnie się mną nie interesował, co? - mówi Alice drżącym głosem. - Lia, ja byłam samotna. Mama nie żyła. Ty miałaś tatę i Jamesa. Henry miał Edmunda. Ciotka Virginia zawsze opiekowała się tobą, jeszcze zanim zrozumiałam, czemu tak podejrzliwie mi się przygląda.

Słowa mojej siostry są ciężkie jak ołów. Ona ma rację. Ta świadomość tkwi w moim sercu jak nóż - bo czyż nie ponoszę takiej samej winy jak Alice, która odrzuciła rolę Strażniczki? Gdyby obdarzono ją taką miłością, jakiej jej odmówiono, może umiałaby wspierać sprawę Sióstr?

Przechodzę przez kamienistą ścieżkę i znowu siadam na ławce obok Alice; zwracam się w jej stronę i ujmuję jej ciepłą rękę w swoje dłonie.

- Chyba nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że czujesz się samotna. Wyglądałaś na tak szczęśliwą. Beztroską. Wydawało mi się, że rozmowy o książkach cię nudzą, więc po pewnym czasie zrezygnowałam z nich.

- Nie chciałam, żebyście ty i ojciec zauważyli, jak bardzo cierpię. Wolałam, abyście nie mieli takiej władzy nade mną. - Alice wzrusza ramionami i odwraca wzrok. - Udawałam więc, że mi nie zależy.

- Przepraszam, Alice. Przykro mi, że sprawiłam ci ból. - Wypowiedzenie tych zdań jest trudniejsze, niż się spodziewałam. Nie dlatego, że są nieszczerze, lecz z powodu Henry'ego. Każda niesprawiedliwość i przykrość, jaka spotkała Alice, wydaje się zasłużona w świetle tego, co uczyniła naszemu braciszkiowi. A jednak zdobywam się na te słowa. Wymawiam je, bo Alice pragnie je usłyszeć, bo muszę to zrobić, jeśli mam pozostawić sobie jakąkolwiek nadzieję, że pozyskam jej wsparcie.

- Teraz to już bez znaczenia. - Widać, jak ogarnięta emocjami chwili z trudem przełyka ślinę.

- Być może - odpowiadam. - Czy wobec tego możemy zapomnieć o przeszłości? Czy będziemy współpracować, żeby zamknąć Bramę przed Samaelem, a potem zacząć wszystko od nowa? Żebyś od początku budowała swój związek z Jamesem?

Alice powoli uwalnia swoją rękę z moich dłoni, kładzie ją sobie na kolanach i patrzy na staw.

- To nie moje zadanie - stwierdza z całą prostotą.

To stwierdzenie wydaje mi się dziwne i tylko z trudem udaje mi się ukryć irytację.

- Właśnie że twoje, Alice. Jako Strażniczki. Bardziej twoje niż kogokolwiek innego.

- Postaraj się zrozumieć, Lia. - Jej głos zdaje się dobiegać z coraz większej odległości, a ja mam nieodparte wrażenie, że tracę z nią kontakt. Jak również szansę, aby przeciągnąć Alice na naszą stronę. - Pomagam Duszom od dawna. Niezmiennie wspierałam ich interesy. Zawsze.

W jej zdaniach pobrzmiwa ton ostatecznej decyzji, której nie zdołam się sprzeciwić.

Gdy odpowiadam, znów czuję ciężar na sercu.

- A więc nie przyjdiesz nam z pomocą? Nie wypełnisz swojej roli Strażniczki, chociaż możesz stracić Jamesa?

- Przykro mi, Lia. - Alice odwraca się do mnie. - Za późno. Nie wiem, kim byłabym, gdybym nie służyła Duszom. To część mnie i mojego planu. Bez tego chyba przestałabym istnieć. - Wstaje, spogląda na mnie smutnym, nieokreślonym spojrzeniem i zbiera się

do odejścia. - Żal mi cię, Lia. Oby szczęście sprzyjało ci w wypełnianiu twojej roli. Będziesz go bardzo potrzebować.

Słyszając ciche pukanie do drzwi, nie odpowiadam, ale Dimitri i tak wchodzi do środka. W milczeniu przechodzi przez pokój, siada obok mnie i delikatnie bierze mnie w ramiona. Początkowo opieram się, ale już po chwili przytulam się do niego.

Dimitri odgarnia mi włosy z czoła i całuje mnie w czubek głowy.

- Nie zgodziła się?

Przez długi czas nic nie mówię, nie chcąc pogodzić się z prawdą. Nie pora jednak na udawanie, dlatego w końcu potwierdzam.

Czuję, że jego pierś unosi się w westchnieniu.

- Przykro mi.

Siadam wyprostowana i podciągam kolana pod brodę, otaczając je ciasno ramionami.

- Byłam naiwna, myśląc, że pójdzie łatwo. Dimitri kręci głową.

- Naiwna? Nie - byłaś optymistką. Nierozsądnie byłoby nie spróbować. - Wzrusza ramionami. - Teraz wszystko wiadomo.

-

p V -

- Tyle że nic nam z tego nie przyjdzie.

Kątem oka dostrzegam, że przeczesuje ręką włosy.

- Po prostu poczekamy i tyle. Postaramy się wpłynąć na Alice i dotrwamy do Beltane następnego roku. To nie musi być w tym roku. Kładę głowę na jego kolanach, tak aby spojrzeć mu w twarz.

- Nie mogę czekać, Dimitri.

- Owszem, możesz. Proroctwo nie mówi o konkretnej dacie rocznej. Nakazuje tylko, żeby zebrać się tuż przed Beltane. Jeżeli potrzebujemy kolejnego roku, żeby przekonać Alice, niech tak będzie. Niech to się stanie choćby i za dziesięć lat.

- To nie potrwa tak długo. - Lekko się uśmiecham. - Obydwoje o tym wiemy. Jestem już bardzo osłabiona walką z Duszami. Moje porozumienie z Kluczami jest nietrwałe, a ja nie mam pojęcia, czy uda mi się w ogóle nakłonić Helene, żeby pozostała z nami jeszcze jeden rok. Musimy działać teraz.

- Ale jak? Jeżeli Alice nie zgodzi się nam pomóc, nie mam pojęcia, jak moglibyśmy ją zmusić. Co prawda zdołalibyśmy zabrać ją

do Avebury wbrew jej woli, ale bez jej zgody nie damy rady włączyć jej w Obrzęd.

- Nie znam odpowiedzi, Dimitri. Jeszcze nie. - Zamykam oczy. - Ale wiem, że nie mogę czekać i że jestem bardzo zmęczona.

Wstaje i nachyla się nade mną. Nim zdążę zaprotestować, bierze mnie na ręce i niesie w stronę łóżka. Chwył jego ramion jest silny

1 pewny. Wydaje mi się, że mógłby bez zmęczenia nieść mnie tak przez całą wieczność.

- Co robisz? - pytam cicho.

Jego twarz znajduje się tuż obok mojej, a jego oczy to dwa bezdenne jeziora onyksu.

JP

Dochodzimy do mojego posłania, a wtedy Dimitri delikatnie układa mnie na nim i podciąga koldrę aż po szyję. Ostrożnie siada na skraju i nachyla się, żeby leciutko ucałować mnie w usta. Czuję dotyk jego miękkich warg.

- Rano wszystko będzie wyglądać lepiej, przekonasz się. A teraz śpij, kochana.

Choć wydaje się to niewykonalnym zadaniem, wkrótce zanurzam się w ciemność. Ostatnią rzeczą, jaką widzę, jest twarz Dimitriego.

Znowu znajduję się w Pustce, a Samael jest bliżej niż przedtem.

Obezwładnia mnie zgniły odór Dusz. Na plecach mam gorący oddech ich koni.

Jestem zmęczona nawet we śnie. Machinalnie spinam konia ostrogą do szybszego biegu. Próbuję uciec Bestii i armii. Jednak w pewnym stopniu wiem, że to daremny wysiłek, a mój wierzchowiec coraz bardziej zwalnia, aż w końcu coś nagle zrywa mnie z jego grzbietu.

Mocno uderzam o lód, ale prawie nie zwracam na to uwagi.

Właściwie nie czuję takiego bólu, jaki odczuwałabym w swoim świecie. I tak nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Armia Dusz otacza mnie kręgiem, a ja leżę na lodzie i wiem, że to koniec.

Na całą wieczność zostanę uwięziona pod lodem.

Najpierw jednak przybędzie On.

Słyszę konia, który przedziera się przez rozstępujące się szeregi Dusz; parska, jakby się złościł, że przeze mnie musiał uczestniczyć w pościgu. Dociera do mnie bicie serca Samaela, które odbieram jako

basowy ton w mojej piersi, wibrujący i coraz silniejszy w miarę zbliżania się Bestii. Wkrótce słyszę nie tylko jej serce, lecz i swoje, O dziwo to mnie uspokaja. Kiedy zamknę oczy, mogę pomyśleć, że jestem w łonie matki. Leżę na lodzie, poddając się pulsowi serca Samaela, a pióra z jego skrzydeł wirują wokół mojego ciała jak czarny śnieg. Spadają mi na twarz, a ich dotknięcie jest jak pocałunek. Myślę wtedy: Tak, przecież to całkiem łatwe.

Budzę się cała drżąca. Dygoczę, jakbym była pustym workiem pełnym kości, szczękam zębami.

- Co... co się...?

- Lia, obudź się! Lia! - Nad sobą mam twarz Dimitriego.

Roztargniona, nie rozumiem, dlaczego on nie pozwala mi pospać.

Przecież powiedział, że mam spać! A może mi się to śniło?

Jestem zagubiona, zdezorientowana. Rozglądam się, czy przypadkiem nie jestem w lesie, w drodze na Altus, albo w Loughcrew, albo w

którymś z naszych obozów rozbitych podczas powrotu do Anglii. Nie.

Widzę pięknie wytapetowane ściany swojej sypialni i rzeźbione słupy podpierające baldachim mojego łóża w Milthorpe Manor.

Coś ściska mnie za ramiona. Dotyk jest nieprzyjemny, prawie bolesny. Zdziwiona patrzę i stwierdzam, że przyczyną tego doznania są dłonie Dimitriego.

- Co ty wyprawiasz? - Usiłuję usiąść. - To boli!

Dimitri odrywa ode mnie ręce i unosi je w geście kapitulacji.

- Przepraszam. O Boże, przepraszam, Lia. Ty...

Ma pociemniałe z przerażenia oczy, a kiedy podążam za jego spojrzeniem, wiem dlaczego.

Coś trzymam w lewej dłoni. Spomiędzy palców zwisa czarna aksamitka. Siadam, a kiedy otwieram dłoń, zapiera mi dech - widzę medalion. Właśnie na dłoni, a nie uwiązany u nadgarstka, tam, gdzie powinien być. Tam, gdzie był, kiedy kładłam się spać.

Patrzę w oczy Dimitriego, a on zbliża się, żeby zabrać ode mnie okrągłą ozdobę.

- Rzuciłaś się przez sen, a gdy podszedłem, żeby cię obudzić, nagle się uspokoiłaś. - Przerywa, a na jego twarzy pojawia się wyraz zaskoczenia. Znowu spogląda na mnie. - Później położyłaś się i odwiązałaś medalion z nadgarstka tak naturalnym ruchem, jakbyś była całkowicie obudzona i świadoma tego, co robisz.

- Ale nie byłam. Nic nie wiedziałam. - Kręcę głową.
- Jednak fakt pozostaje faktem - sama odwiązałaś medalion, Lia.
- Kiedy mówi dalej, w jego oczach pojawia się prawdziwy strach:
- A potem chciałaś go użyć, żeby wpuścić tu Dusze.

Z wyrazu twarzy dziewcząt mogę wywnioskować, że wyglądam równie kiepsko, jak się czuję.

Wezwałam je, jak również ciocię Virginie, do salonu po bezsennej nocy, podczas której omówiłam z Dimitrim wszystkie możliwości. Od początku wiedziałam, że jest tylko jedno wyjście, ale on upierał się, że musimy rozpatrzyć pozostałe rozwiązania. Wreszcie przystał na moją propozycję, bo zrozumiał, że nie ma wyboru. Zrobię to, co muszę, obojętne, czy będzie mnie wspierał, czy nie.

Po prostu inaczej się nie da.

Przyglądam się twarzom naszych Kluczy - Luisy, Soni, Helene i Brigid. Stanowią dla mnie coś znacznie ważniejszego niż element przepowiedni, a żadna z nich nie będzie wolnym człowiekiem, jeśli nie podejmiemy działań teraz. Nie wiem, czy sobie to uświadamiają, ale nasz sojusz nie przetrwa jeszcze jednego roku oczekiwania i nadziei, że Alice przejdzie na naszą stronę.

- Czy wszystko w porządku, Lia? - pyta Sonia. - Nie wyglądasz dobrze.

274

Siada na sofie obok Luisy, z drugiej strony siedzi Brigid. Helene usadowiła się na krześle z wysokim oparciem. Już mnie nie dziwi, że znalazła sobie miejsce z dala od innych.

- Nie spałam prawie całą noc, ponieważ chciałam opracować plan naszego dalszego działania.

To nie przypadek, że nie odpowiadam na pytanie Soni zapewnieniem, iż wszystko jest dobrze, wręcz doskonale. Nie mam zamiaru oszukiwać. Ani samej siebie, ani osób, którym proroctwo odmieniło całe życie.

- Alice ci odmówiła. - Sonia stwierdza ten fakt delikatnie. Ona bowiem, lepiej niż ktokolwiek inny, wie, jak zmienne są moje uczucia wobec siostry.

Kiwam głową i przetykam ślinę, czując, jak ściska mnie w gardle. Żadna z dziewcząt nie wygląda na zaskoczoną, ale pierwsza zabiera głos Luisa.

- Co teraz? Co mamy robić dalej?

Głęboko oddycham, oglądam swoje dłonie i unikam ich wzroku.

- Mimo że w zasadzie prorocтво nie musi zostać rozwiązane w tym roku, ja nie doczekam następnego Beltane.

Sonia zaczyna protestować, ale ja podnoszę oczy i dłoń, chcąc ją powstrzymać.

- Taka jest prawda, Soniu, chociaż gorąco pragnęlibyśmy, żeby było inaczej. Ostatnio nie czuję się dobrze. Walczę z Duszami nawet podczas snu i z dnia na dzień staję się słabsza. - Przygryzam wargę, bo teraz muszę się przyznać do tej najgorszej rzeczy. - Tej nocy Dimitri nie dopuścił do tego, żebym połączyła medalion ze znamieniem. Gdyby nie to, wpuściłabym do naszego świata więcej Dusz.

Oczy Soni są pełne smutku i uczucia z pogranicza litości. To przy-

i staram się mówić silnym głosem. Skoro mam poprowadzić je niebezpieczną drogą, muszę przynajmniej umieć przyjąć na siebie odpowiedzialność.

- Nie wiem, czy mam na tyle siły i na tyle władzy, żeby zamknąć Bramę bez Alice. Być może jest to niewykonalne. Ale jeśli nie spróbuję. .. Jeśli będę zwlekać... - Patrzę na każdą z nich, upewniając się, czy rozumieją, jakie byłyby konsekwencje odkładania wszystkiego

na później. - Doczekam się śmierci. Moja dusza zostanie uwięziona w Pustce. Wówczas nikt nie zdoła zamknąć Bramy, dopóki nie zostanie wyznaczony nowy Anioł. A to może potrwać wieki.

- W ten sposób wszystkie możemy zginąć. - W głosie Helene, kiedy w końcu się odzywa, pobrzmiwa ton oskarżenia.

- Tak - odpowiadam z wahaniem - ale moim zdaniem tak się nie stanie. Beze mnie, wybaczcie, że to powiem, Samael i Dusze nie będą mieć z was wielkiego pożytku. Uważam, że cokolwiek zdarzy się w Avebury, zostanieie oszczędzone.

- Ale pewności nie ma - podkreśla Helene.

- Nie ma - potwierdzam.

-Jednak, Lia... - spokojnie zaczyna Brigid - gdybyś nie zdołała zamknąć Bramy, czy nie narażasz się na pewną śmierć? Co się stanie, jeśli wskutek Obrzędu przeniesiesz się w Pozaświaty? Czyż Dusze nie pochwyćą cię tam, zważając na to, jak jesteś słaba?

Nim odpowiem, rzucam spojrzenie na Dimitriego. Niełatwo mu słuchać, jak szybko godzę się ze swoim losem.

- Tak, to możliwe, ale nie mogę... siedzieć beczynnie, dzień za dniem, aż Dusze osłabią mnie jeszcze bardziej i poniosą w Pustkę. - Mój głos drży, dlatego staram się zapanować nad nim, zanim zacznę mówić dalej. - Jestem zmęczona. Wolę taki koniec, ze względu na nas wszystkich, niż wasze niekończące się oczekiwanie, które sprawia, że życie w zawieszeniu.

- A więc pojedziemy do Avebury, żeby zdążyć na wschód słońca w święto Beltane, odprawimy Obrzęd - i co? Spróbujemy zamknąć Bramę bez Alice?

- Zbiorę wszystkie siły - kiwam głową - was poproszę o to samo i postaramy się zatrzasnąć Bramę bez niej. To ryzykowne, lecz nie bardziej niż nasze codzienne życie upływające na czekaniu. - Bawię się nitką, którą wysnuła się z mojej sukni.

- A jeżeli bez Alice nam się nie uda? - pyta cicho Sonia.

- Wtedy będzie, co ma być. - Wzruszam ramionami. - Ja pewnie zostanę uwięziona w Pustce, a wy będziecie żyć pełnią życia, tak jak na to zasługujecie. Ta ofiara zakończy moją udrękę, a wam da wolność. - Spoglądam na ciotkę Virginie, uważnie obserwuję jej drobną postać. - Wam wszystkim.

Luisa patrzy na Dimitriego.

- Przypuszczam, że starałeś się już wybić jej to z głowy.

Dimitri stoi z rękoma skrzyżowanymi na piersi, zaciska szczęki, chcąc opanować frustrację.

- Przez całą noc.

Luisa kiwa głową i odwraca się do mnie.

- Nie pozostaje więc nic innego, jak pomóc ci, Lia, abyś odnalazła spokój, którego potrzebujesz. Jeżeli chodzi o mnie, zrobię wszystko, co możliwe, żebyś go osiągnęła. Nawet to.

-Ja też - dodaje Brigid.

Patrzymy na Helene. Prostuje się i wydaje rozpaczliwe westchnienie.

-Jeżeli dzięki temu uwolnię się od całej sprawy i wrócę do Hiszpanii, zrobię to.

Może tylko mi się wydaje, że cała reszta towarzystwa w tym momencie wzdycha z ulgą.

Mój wzrok zatrzymuje się na Soni, a ona wstaje, podchodzi do mnie i znowu siada koło Luisy.

- Wolałabym dźwigać ciężar bycia Kluczem tylko po to, żeby zatrzymać cię z nami, ale jeżeli tego właśnie potrzebujesz, dostaniesz to. Nie ma rzeczy, której bym nie zrobiła, żeby ci pomóc, Lia.

Do oczu cisną mi się łzy wdzięczności. Ocieram je i zanim wstanę, szybko ściskam ręce Soni i Luisy.

- Zatem szykujemy się do podróży, dobrze?

4

Minął tydzień; przygotowuję się do snu u siebie w sypialni, wciąż zdumiona, że jesteśmy spakowani i gotowi do drogi.

Większość pracy wykonali Gareth, Dimitri i Edmund, świetnie wszystko organizując, pomimo że nasza grupa będzie większa niż poprzednio. Luisa i Sonia wraz ze mną zrobiły, co się da, żeby przygotować Helene na trudy podróży, bo w przeciwieństwie do Brigid, która potrafiła o siebie zadbać, kiedy przemierzaliśmy trasę z Loughcrew do Londynu, nasza przyjaciółka z Hiszpanii jeździła dotychczas tylko w bocznym, damskim siodle - i na pewno nie w bryczesach.

Wkładam nocną koszulę i szczotkuję włosy, myśląc o czasie, jaki poświęciłyśmy, próbując oswoić Helene z końmi. Po dwóch załamujących dniach w Whitney Grove straciłyśmy cierpliwość z powodu jej lamentów i rozpacz, że nie zdoła utrzymać się na końskim grzbiecie, gdyby konieczna była intensywna jazda. Co gorsza, Helene stanowczo odmawia noszenia spodni, z czym Brigid pogodziła się, nie zadając żadnych pytań. W normalnych warunkach nie interesuje

mnie niczyj strój, ale w tym przypadku upór Helene może kosztować nas życie, gdyby trzeba było pędzić przez las tak, jak podczas wyprawy na Altus.

Słyszając pukanie do drzwi, odwracam się, bo wiem, że to pewnie Dimitri.

- Proszę.

Wchodzi do środka. Ze zmartwienia pojawiły mu się zmarszczki wokół oczu - nie cieszy go, że zgodził się zrealizować plan dzisiejszego wieczoru. Przechodzi przez pokój w moją stronę, bierze mnie za rękę i pociąga, żebym wstała. Potem przytula mnie do siebie, otaczając ramionami, w których zawsze czuję się bezpieczna, chociaż

to tylko pozory. Jednak złudzeniem na pewno nie jest fakt, że w ostatnich dniach Dimitri tuli mnie mocniej i dłużej. Jak gdyby bał się, że lada chwila zniknę z jego objęć.

W końcu odsuwam się lekko, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Jesteś gotowy?

- Tak, ale tylko dlatego, że nie ma sposobu, żebyś zmieniła zdanie.

- Masz rację. Nie ma. - W moim uśmiechu jest smutek.

Nietrudno mi było podjąć decyzję, żeby po raz ostatni odwiedzić Pozaświaty. Nie wiem, co wydarzy się w Avebury, ale wobec siebie muszę być szczerą: ponieważ nie mogę liczyć na pomoc Alice, wszystko wskazuje na to, że moja dusza zostanie uwięziona w Pustce, a ciało, opuszczone przez nią, umrze. Moi rodzice, a z nimi zapewne i Henry, ryzykują bezpieczeństwo swoich dusz i pozostają w Pozaświatach, na wypadek gdybym potrzebowała ich pomocy. Postąpię słusznie, nakłaniając ich, by już przeszli do ostatniego ze światów, ponieważ ja mogę nie przeżyć Obrzędu. Jestem wprawdzie pogodzona z losem, ale chcę po raz ostatni zobaczyć mamę, tatę i braciszka. Chcę z nimi porozmawiać i przytulić się do nich.

Przede wszystkim jednak chcę się pożegnać.

Puszczam rękę Dimitriego, idę w stronę łóżka i wspinam się na nie.

On siada obok mnie, przesuwając palcami po moim policzku i szyi.

- Gdybyś pozwoliła mi iść ze sobą, dopilnowałbym, żebyś bezpiecznie wróciła.

Kręcę przecząco głową. Już wcześniej odrzuciłam ten argument.

- Nie chcę, żebyś z mojego powodu poniósł konsekwencje albo, co gorsza, stracił swoje miejsce w gronie Obserwatorów.

Dimitri odwraca wzrok i zaciska szczęki.

- Nadal nie rozumiesz, prawda? - pyta rozdrażniony.

- Czego? - Podnoszę się na łokciach. - Czego nie rozumiem?

Patrzy mi w twarz.

- Myślisz, że się martwię o to, czy pozostanę wśród Obserwatorów? Czy naprawdę uważasz, że po tym wszystkim, co wydarzyło się między nami, dbam o konsekwencje? - Kręci głową, na chwilę odwraca spojrzenie, a potem znów spogląda na mnie z ogniem w oczach. - Lia, jesteś dla mnie wszystkim. Zrezygnowałbym z roli Obserwatora w jednej minucie, gdyby pozwoliło ci to spokojnie doprowadzić prorocтво do zakończenia.

Wyciągam ręce i obejmuję go za szyję, dotykam ustami jego ust. Już po chwili czuły pocałunek zmienia się w namiętny, gwałtowny. Cała lgnę do Dimitriego, bo nasze uczucia wzmacnia świadomość, że w najbliższych dniach możemy się wzajemnie utracić. W brzuchu wzbiera mi fala, która niepohamowanie rozlewa się na całe ciało. Dimitri musi czuć się podobnie, bo odchyła mi głowę, żeby łatwiej sięgnąć moich warg. Przytulam się coraz mocniej, chcąc stopić się z nim w jedno.

Chcę być wewnątrz jego skóry, jego ciała i duszy.

tm

Dimitri wyplątuje dłonie z moich włosów i kładzie mi je na ramionach.

- Lia, Lia... - Unosi moją rękę, odwraca i całuje jej wnętrze, przesuwając usta dalej, w stronę delikatnego nadgarstka. Nim spojrzy mi w oczy, zostawia ostatni pocałunek na znamieniu. - Miałem nadzieję, że całe życie poświęcę na to, żeby cię obejmować. Żeby cię kochać.

Wyciągam dłoń i dotykam palcami jego czoła, a potem kładę ją na kolanach. Nie wiem, jak to możliwe, że się uśmiecham, ale jego miłość dodaje mi siły i sprawia, iż nie jest to takie trudne.

- Obiecuję, że będę walczyć, Dimitri. O to, żeby z tobą zostać. Reszta zależy od przeznaczenia. - Wzruszam ramionami.

Dimitri kiwa głową, a ja wsuwam się głębiej pod kołdrę, układając się na poduszce.

- Zrób to, co musisz, i wróć do mnie.

Składa na moich wargach jeszcze jeden pocałunek i podnosi się z łóżka, żeby zająć swoje miejsce w fotelu. Gdybyśmy jednocześnie wyciągnęli ręce, mogłabym dotknąć koniuszków jego palców. Jednak wydaje mi się, jakbym była bardzo daleko stąd.

Zamykam oczy, wyciszam swój umysł i zapadam w półsen, co pozwoli mi podróżować po Równinie, a jednocześnie do pewnego stopnia kontrolować trasę tej podróży. Myślę o rodzicach, o zielonych oczach mamy i basowym głosie taty. Myślę o Henrym i jego zaraźliwym uśmiechu, który rozświetlał nie tylko spojrzenie mojego braciszka, ale i oczy innych ludzi w jego otoczeniu.

Rozmyślam o nich wszystkich. W wyobraźni rysuję sobie ich twarze. A potem spadam.

Jestem przekonana, że napotkam ich na polach otaczających Birchwood. To jedyne możliwe miejsce, żeby się pożegnać. Tym razem spaceruję nad rzeką płynącą za naszym szarym, kamiennym domem. Pozostał taki, jak w mojej pamięci. Wzniesiony przez prapradziadka. Przeziiera przez otaczające go wielkie dęby. Nie jest wcale mroczny ani groźny.

Czuję ukłucie smutku, widząc głąz, który kiedyś wraz z Jamesem nazywałam „naszym”. Ciekawe, czy teraz James i Alice określają go tak samo. Pobliska rzeka wesoło szemrze, a ja uświadamiam sobie, że odgłosy każdej z rzek są inne. W zasadzie nie powinno tak być, powinny wydawać taki sam dźwięk. Gdziekolwiek płynie, to tylko woda przesuwaną się po kamieniach. Lecz ta rzeka jest moja i woła mnie jak dawna przyjaciółka.

Stoję na brzegu z zamkniętymi oczami, koncentrując się na wyobrażeniach moich bliskich tak długo, dopóki nie słyszę szurania butów po suchych liściach, opadłych z rosnących tutaj drzew.

Powinnam być przygotowana. Wiem, że nadchodzą, ponieważ zwywałam ich całą swoją mocą, teraz już dość znaczną. Mimo to czuję zaskoczenie, kiedy odwróciwszy się, widzę, że rodzice wraz z Henrym idą - idą - w moją stronę.

Smutek trwa jedynie chwilę, bo szeroki uśmiech Henry'ego sprawia, że mogę już tylko biec mu naprzeciw. Rodziców także dostrzegam, ale to braciszka chcę chwycić w objęcia.

Wpada na mnie z energią, której nie miał jako żywy chłopiec.

Uprzytamniam sobie, że nigdy nie widziałam ani nie czułam jego siły. Zawsze był przykuty do wózka inwalidzkiego. Na nim żył i umarł.

Kiedy go obejmuję, niepowstrzymane łzy płyną mi po twarzy. Wiem, że teraz jest nareszcie wolny.

- Henry! Och, Henry! - Tylko tyle jestem w stanie wykrztusić.

Przepełnia mnie uczucie, które jest zbyt wielkie i zbyt potężne, żeby je nazwać.

- Lia! Ja chodzę! Widzisz? Chodzę! - Ma taki głos, jak zapamiętałam: nadal wysoki, dziecięcy, pełen przejęcia i entuzjazmu, jego naczelnych cech.

Odsuwam się lekko i przypatruję.

- Oczywiście, że widzę, Henry. Widzę. Pięknie chodzisz.

Jego uśmiech jest bezkresny jak błękitne niebo nad nami.

- To czemu płaczesz?

Śmieję się, wierzchem dłoni ocierając łzy z policzków.

- Po prostu przepełnia mnie szczęście, Henry. Nie mieści się we mnie.

Obok Henry'ego z cichym śmiechem staje mój ojciec. Zwracam się teraz ku rodzicom.

Najpierw obejmuję tatę, przyciągam go blisko siebie i wdycham zapach dymu z fajki i cedru.

- Tato, tak za tobą tęskniłam!

- A ja za tobą, córeczko.

Teraz zbliżam się do mamy i powtarzam taki sam uścisk; od czasu pobytu na Altus czuję z nią nową więź.

- Lia - mówi mama, wtulając twarz w moje włosy - widzę, że masz się dobrze.

Odsuwamy się od siebie i spoglądamy jedna na drugą.

Mama uśmiecha się i z podziwem kręci głową.

-Wyrosłaś na piękną młodą kobietę.

Przyjemność po usłyszeniu komplementu nie trwa długo. Po chwili ojciec zaczyna się rozglądać, a jego męska twarz o silnych ry-

- Na razie jesteś tu bezpieczna, Lia, ale nie możemy ryzykować zbyt długo.

Ponagla mnie, choć nikt z nas nie chce skracać tych odwiedzin. Dla mnie są one szczególnie trudne, gdyż wiem, że ostatnie.

Biorę go za rękę.

-Tato, przyszłam cię prosić, żebyś razem z mamą i Henrym przeszedł do ostatniego świata.

Spodziewałam się, że będzie zaskoczony, ale jemu opadają ramiona, a w oczach odbija się rezygnacja.

-Już nas nie potrzebujesz?

- Zawsze będę was potrzebować - zaprzeczam. Przenoszę spojrzenie na mamę i Henry'ego. - Zawsze. Ale tutaj nie jesteście bezpieczni. Od pewnego czasu to nie jest już dobre miejsce.

Powinnam była przekazać wam tę prośbę dawno temu, po to, żeby was chronić. Byłam samolubna, pozwalając wam pozostawać w tym przejściowym świecie.

- Lia - teraz cicho odzywa się mama, więc odwracam się do niej. Między nami nie może być żadnych tajemnic. Wrodzona więź matki i

córki jest nierozzerwalna, chociaż od czasu jej śmierci widziałyśmy się w Pozaświatach tylko raz. - Jest coś jeszcze, o czym nam nie mówisz. Zbieram się na odwagę, chciałabym wyznać to z mocą, bez strachu.

- Nadeszła pora, żebyśmy spotkała się wraz z Kluczami w Avebu-ry. Choć prorocstwo nakazuje, że Alice i ja mamy współpracować, ona nie chce stanąć przy moim boku.

Mama marszczy czoło.

- Ale jeżeli przepowiednia mówi, że musisz pozyskać pomoc Alice, dlaczego jedziecie do Avebury teraz?

- Nie dam rady... - Patrzę jej w oczy, wiedząc, że jeśli ktokolwiek zrozumie, jak dręczą mnie Dusze, będzie to moja matka. - Moja siła w konfrontacji z Duszami nie starczy już na długo. Muszę postarać się wykorzystać tę moc, którą jeszcze mam, bo słabnę z każdym dniem.

- Takie postępowanie jest niebezpieczne - stwierdza ojciec.

- Musisz poczekać i zebrać wszystko, co potrzebne, żebyś mogła ujść z tego z życiem.

- Nie chodzi tylko o mnie, tato - kręcę głową. - Klucze też tracą siły. Cierpią tak, jak ja, zmagając się z Duszami.

- Znalazłaś Klucze? - pyta. - Wszystkie cztery?

- Wszystkie cztery - potwierdzam. - Ale nie sądzę, żeby udało się je przekonać do pozostania w Londynie przez następny rok.

- Próbuję się uśmiechnąć. - Chodzi o czas, to wszystko. Jestem gotowa, żeby walczyć. Wykorzystać całą moc, jaką mam, i moc Kluczy. Muszę spróbować. Nawet jeśli w trakcie tej próby zginę, a moja Dusza zamarznie w Pustce, jednak Samael nie użyje mnie jako Bramy, będzie to lepsze rozwiązanie niż przeciwne.

Rodzice poważnieją i zastanawiają się nad moimi słowami. Pierwsza odzywa się mama.

- Tę decyzję musisz podjąć ty, Lia. Wiem, jakie spustoszenie potrafią siać Dusze. Zrób to, co uważasz za słuszne.

Uśmiecham się do jej oczu, tak podobnych do moich.

- Dziękuję ci, mamo. Wiedziałam, że mnie zrozumiesz. Żałuję tylko...

Dotyka mojej twarzy.

- Czego żałujesz, dziecko?

Wzdycham i zmuszam się do smutnego uśmiechu.

-Żałuję, że nie spędziłyśmy więcej czasu razem. Że ten dany nam w materialnym świecie tak się skrócił.

- A ja żałuję, Lia, że nie miałam tyle odwagi, co ty. Tyle siły. Przybliżam się i obejmuję ją.

- Do widzenia, mamó. Mam nadzieję, że znajdziesz spokój w ostatnim świecie. Pamiętaj, że zawsze będę cię kochać.

-Ja też cię kocham, Lia. - Głos mamy jest zachrypnięty, a oczy błyszczą od łez, które nie popłynęły. - Żadna matka nie może być bardziej dumna niż ja.

Zanim się rozdzielimy, patrzę jej w oczy.

- A żadna córka tak dumna z mamy, jak ja.

W końcu łzy zaczynają lecieć po jej twarzy, wiem, że myśli o swoim własnym wyborze: wolała zakończyć życie, niż spełnić rolę wyznaczoną jej przez proroctwo. Może teraz wyzbędzie się wstydu za ten czyn, może wybaczy sobie, podobnie jak ja wybaczyłam jej.

Zwracam się do ojca, starając się dobrze zapamiętać jego twarz, te dobre oczy i łagodny uśmiech, dzięki którym zawsze czułam się bezpieczna. Wspominając je, na pewno zaznam otuchy, bez względu na to, jaki spotka mnie los.

- Dziękuję, że tak długo byłeś przy mnie, że opiekowałeś się mną i dopilnowałeś, żebym mogła znaleźć wszystko, czego potrzebuję. Tata bierze mnie w objęcia. Kiedy mówi, wdycham jego zapach.

- Przykro mi tylko, że to nie wystarczyło.

Opuszczam ramiona i odsuwam się, żeby spojrzeć na jego twarz. Chcę go uspokoić, uświadomić mu, że zrobił, co się dało.

- Nie miałaś możliwości, żeby dać mi wszystko, tato. - Myślę o Alice i jej decyzji, by stanąć po stronie Dusz, w opozycji do mnie: swojej siostry bliźniaczki, najbliższej osoby. - Gdyby było inaczej, na pewno bym to dostała.

Ojciec chwytą mnie za ramiona, a jego oczy patrzą na mnie

- Nie poddawaj się, Lia. Masz wielką moc. Jeśli jest na świecie ktoś, kto może doprowadzić proroctwo do końca, to właśnie ty.

- Nie poddam się, tato. Przyrzekam. - Uśmiecham się, pragnąc go pocieszyć. - Może się spotkamy w ostatnim ze światów.

Ojciec dotyka mojego czoła.

- Oby tak się stało, kochana córeczko. I oby do spotkania nie upłynęło zbyt wiele lat.

Robię krok w tył, starając się powstrzymać emocje ściskające mnie za gardło. Nie chcę patrzeć na Henry'ego ani zaglądać w jego ciemne

oczy, podobne do oczu ojca. Nasze poprzednie pożegnanie omal mnie nie zabiło.

Tym razem muszę być silniejsza.

- Nie smuć się, Lia - mówi Henry, jakby czytał w moich wspomnieniach. - Kiedyś znowu będziemy razem.

Moje czarne myśli rozpraszają się, a na ustach zakwita uśmiech.

-Tak, Henry. Będziemy. - Pochylam się i obejmuję go ramionami.

- Wiedziałem, że ty nie jesteś zła, Lia. Wiedziałem.

Teraz patrzę w jego ciemne oczy i widzę w nich miłość. Miłość, prawdę i światło.

Wszystko to, o co walczę.

- Oczywiście, cały czas miałeś rację. Nie jestem zła, Henry. -

Przerywam, jeszcze raz zaglądam mu w twarz. - Może nikt nie jest.

To chyba nie takie proste.

Wypowiadając te zdania, myślę, że taka właśnie jest prawda.

Henry z powagą przytakuje.

- Będę za tobą tęsknił. - Uśmiecha się. - Ale przecież zobaczymy się znowu.

- Tak. - Pochylam się i całuję go w policzek. Jest gładki i miękki jak dawniej.

W tej chwili nie żałuję, że nie dorośnie i nie będzie miał szorstkiej twarzy dojrzałego mężczyzny. Wierzę, że przeznaczeniem Henry'ego jest przebywanie z mamą i tatą w ostatnim świecie, a moim - w świecie materialnym, przynajmniej na razie. Moim zadaniem jest doprowadzić przepowiednię do zakończenia, dla własnego dobra i dla przyszłych pokoleń Sióstr.

Prostuję się i uśmiecham.

- A teraz idźcie. Spieszcie się. Poszukajcie schronienia w ostatnim świecie i pamiętajcie, że mam was w sercu na zawsze.

Ojciec bierze za rękę mamę, ona zaś Henry'ego. Odwracają się i odchodzą, a mama po raz ostatni patrzy na mnie przez ramię. Czekam, aż powie coś ważnego - i chyba tak właśnie się dzieje. W pewnym sensie jest to najważniejsza rzecz, jaką mogłaby powiedzieć; moja twarz natychmiast rozjaśnia się w uśmiechu.

- Nie zazdroszczę teraz Duszom, córko. Wcale im nie zazdroszczę.

Gdy znikają pomiędzy drzewami, nadal się uśmiecham. W tym

momencie ja też nie zazdroszczę Duszom, bo wierzę, że mogę wszystko.

✓

Wyjeżdżamy z Londynu, nie dbając o zachowanie tajemnicy. Stanowimy za dużą grupę, by nas nie zauważono, a poza tym jesteśmy zbyt zmęczeni i zagonieni, żeby planować, jak opuścić miasto bez rozgłosu. Nikt z nas nie mówi głośno tego, z czego zdajemy sobie sprawę: nasza podróż do Avebury na pewno nie stanowi sekretu. Wie o niej Alice, a zatem wiedzą i Dusze - i prawdopodobnie Samael. Drugi dzień podróży wita nas dziwnym światłem brzasku. Rozpoczynając całodniową jazdę, spoglądam na niebo i staram się zgadnąć, skąd taka niezwykła barwa.

- Zaćmienie słońca. - Wzdrygam się na dźwięk głosu Edmunda. Na początku jechał przodem, ale widocznie został z tyłu, kiedy przypatrywałam się kolorom. - Nie zdarza się często. Za parę godzin będzie prawie całkiem ciemno.

Mogę tylko skinąć głową; nagle rozumiem, dlaczego światło jest tak niesamowite. Stanie się jeszcze bardziej dziwne, kiedy tarcza księżyca przesłoni stopniowo całą tarczę słońca. To rzadkie zjawisko wydaje się adekwatne do okoliczności - przecież jedziemy do Avebury, aby zamknąć Bramę. Czuję niepokój, jakby zaćmienie było zwiastunem przepowiadanej ciemności, jaka nastąpi, jeśli poniosę klęskę.

Te trudne myśli przypominają mi o Henrym i rodzicach. Podczas jazdy zagaduję naszego przyjaciela rodziny.

- Edmundzie.

- Tak? - Nie odrywa oczu od ciągnących się przed nami pól.

-Ja... - Nadal niełatwo mi wymówić imię Henry'ego w obecności Edmunda. Nie chcę na nowo rozbudzać bólu, jaki odczuwał po śmierci mojego brata, lecz tym razem moje słowa powinny mu pomóc. - Chciałabym ci powiedzieć, że widziałam na Równinie Henry'ego. Z mamą i tatą.

Odwraca głowę i patrzy na mnie. Ma zupełnie puste spojrzenie.

- Naprawdę?

Słyszę, że stara się zapanować nad głosem.

- Tak, chciałam się z nimi pożegnać i upewnić się, że przejdą do ostatniego z Pozaświatów jeszcze przed Obrzędem w Avebury.

- Czy przeszli?

- Teraz już tak. - Lekko się uśmiecham. - Chciałam, żebyś wiedział, że u nich wszystko w porządku. Henry jest zdrowy, bezpieczny i szczęśliwy, a nawet chodzi na własnych nogach. Oczy Edmunda wypełnia zdumienie.

- Może chodzić?

Przytakuję, a mój uśmiech się rozszerza, bo przypominam sobie, jak Henry biegł do mnie przez Równinę.

- Tak, chodzi całkiem dobrze.

Edmund wpatruje się w jakiś punkt w oddali, gdzieś ponad moim ramieniem. Potem mówi tonem pełnym tęsknoty:

- Szkoda, że tego nie widziałem.

- Edmundzie.

Znowu patrzy mi w twarz.

- Kiedyś zobaczysz. Zobaczysz to. O tym właśnie opowiadam.

Henry jest bezpieczny i zdrowy, w ostatnim świecie. - Zaglądam mu w oczy. - Pewnego dnia go ujrzysz.

Na chwilę w jego źrenicach zapala się światło nadziei, potem odwraca spojrzenie w stronę pól.

- Znowu go zobaczę.

Uśmiecham się i także patrzę przed siebie.

-Tak.

Przez pewien czas jedziemy w ciszy, a potem przenoszę uwagę na inną osobę, którą obydwójce darzymy życzliwymi uczuciami.

- Jak ona się trzyma? - Skinieniem głowy wskazuję skuloną na koniu ciotkę Virginie, podążającą przez pola na przedzie kawalkady.

- Zważając na okoliczności, całkiem nieźle. Myślę, że jest silniejsza, niż sobie wyobrażamy, a poza tym zbyt uparta, żeby zostać w domu. - Po czym dodaje, nie patrząc na mnie: - Bardzo przypomina inną osobę, którą dobrze znam.

Kręcę przecząco głową.

- To nie to samo, Edmundzie.

Przykro jest patrzeć, jak od czasu wyjazdu z Londynu ciotka Virginia stara się skryć za maską silnej kobiety. Nie potrafię jednak zdobyć się na to, żeby zranić jej dumę i zapytać o zdrowie. Jej zamiary stały się jasne już w pierwszym dniu podróży, kiedy wyszła z Mil-thorpe Manor, niosąc sakwojaż. Chociaż protestowałam i odmawiałam, spokojnie podeszła do konia przygotowanego przez Edmunda,

obstając przy tym, że jest moją starszą krewną i będzie mi towarzyszyła bez względu na moją zgodę bądź jej brak. Ale mój własny upór w sprawie podróży to co innego. Ciotka

odegrała już swoją rolę w prorocctwie. Spełniła swój obowiązek. Mój pozostanie niespełniony, dopóki nie zamknę Bramy przed Sama-elem albo nie utracę możliwości udzielania mu pomocy.

- Poza tym - mówię - skoro byłeś przeciwny mojemu wyjazdowi do Avebury, dlaczego nie próbowałeś mi tego wyperswadować, tak jak robili to inni?

Edmund krótko wzrusza ramionami.

- Nic by to nie dało. Obydwoje o tym wiemy.

Lekko się prostuję, czując dziwną satysfakcję, chociaż zmęczenie przenika każdą kość mojego ciała.

- Cóż, tę najprawdziwszą prawdę.

Jedziemy przez parę chwil w milczeniu. Na czele jest Gareth, za nim Klucze, a dalej ciotka Virginia. Dimitri, jak zawsze, podąża za mną. Staram się nie myśleć, z jakiej przyczyny. Boi się, że Straż Sa-maela mogłaby nas ścigać lub, co gorsza, niepostrzeżenie podkraść się i porwać mnie, nim ktokolwiek z grupy zdążyłby się zorientować. Co noc we śnie przesładują mnie koszmary, a w ostrym świetle dnia - mimo że noszę ze sobą łuk - może mi braknąć siły, żeby zabezpieczyć się przed wszystkim, co może się zdarzyć. Dlatego najlepiej jest te zmartwienia pozostawić Dimitriemu.

Milczenie przerywa Edmund.

- Wprawdzie wiem, jak silna jest wola panienki - mówi - ale muszę zapytać, czy jesteś pewna, absolutnie pewna, że właśnie taką drogę chcesz wybrać.

Nie od razu bronię swojego stanowiska. Pozwalam sobie przez chwilę zastanowić się nad pytaniem. Pomyśleć o innych ewentualnych rozwiązaniach. A raczej o tym drugim rozwiązaniu, ponieważ jest tylko jedna alternatywa: poczekać, aż Alice przejdzie na naszą stronę. Czekać i mieć nadzieję.

Ciekawe, czy w moim skinieniu Edmund dostrzega zniechęcenie, bo nawet ja żałuję, że nie ma innej drogi.

- Jestem pewna. Nie chcę... - Patrzę na łagodne, szaro-zielone wzgórza, które ciągną się aż do kolejnego lasu widocznego w oddali. - Nie chcę skończyć jak mama.

Przez długą chwilę Edmund nie odpowiada. Kiedy zaczyna, mówi urywanymi zdaniami.

- Matka panienki... była wspaniałą kobietą. Promienną i energiczną... dopóki nie znalazła się w mocy Dusz. Nie chcę... źle o niej mówić. Niewiele osób zdołałoby się oprzeć żądaniom Dusz. Ale uważam... że taką osobą jesteś ty. Założyłbym się o własne życie, że nie skończyłabyś tak jak mama, bez względu na to, jak długo wypadłoby czekać na pomoc Alice. - Skinieniem głowy wskazuje na jadące przed nami Klucze, na ciotkę Virginię oraz Garetha. - Ponadto najwyraźniej masz sojuszników, nie wspominając o panu Markovie.

- Tak, ale wbrew pozorom wewnątrznie nie czuję się mocna. Przez cały czas, kiedy śpię, Samael usiłuje mnie wykorzystać. To obecność Dimitriego, a nie moja siła charakteru, uchroniła mnie przed popełnieniem jakiegoś straszliwego czynu.

Spojrzenia moje i Edmunda spotykają się.

- O twoim zaangażowaniu, panienko, świadczy wola zatrzymania Dimitriego przy sobie. A z tego, co wiem, twoja matka szukała samotności, jak większość Bram. Za aprobatą Dusz Bramy podróżowały po Równinie, realizowały cele Samaela... Cóż, dla wielu z nich była to przyjemność, spełnienie powołania. A ty nie myślisz w ten sposób, prawda?

-Ja chcę się im przeciwstawić. Sprzeciwić się Samaelowi - wzdygam.

- Ale moja wola jest coraz słabsza - ja staję się coraz słabsza

* •

- z każdym dniem, po każdej nocy pełnej udręki. Rok to dużo czasu. Kiedy przeminie święto Beltane, na następne musiałabym czekać dwanaście miesięcy. Takiego ryzyka nie mogę podjąć. Wolę raczej skazać się na bytowanie w Pustce i zmusić Samaela, żeby czekał na narodziny kolejnego Anioła. Wtedy przynajmniej ty i pozostali bylibyście bezpieczni.

- Tak przypuszczałem. - Odwraca głowę i patrzy gdzieś przed siebie. - Byłoby trudno odnaleźć jakiś sens w istnieniu świata, gdyby coś ci się stało, panienko. Rozumiem jednak, że chcesz chronić tych, których kochasz. Ja robiłem to przez całe życie, dlatego nie wymawiam ci twojej decyzji ani nie będę cię od niej odwozić. Siedzi wyprostowany, z nieprzeniknioną twarzą, a w mojej piersi wzbierają uczucia i wypełniają serce tak, że ledwie mogę mówić.

- Dziękuję, Edmundzie. Wiem, że mogę na ciebie liczyć i że zadbasz o ciotkę Virginie, obojętne, co się wydarzy.

Edmund kiwa głową tak lekko, że prawie niedostrzegalnie. Jedziemy dalej i potem nie wracamy już nigdy do tematu.

Podróż, która mnie i Dimitriemu zajęłaby trzy dni intensywnej jazdy, w dużej grupie trwa dłużej. Z powodu braku umiejętności Helene, jak również słabego zdrowia ciotki Virginii nie możemy przyspieszyć tempa. Nie robię im jednak wyrzutów. Cokolwiek się stanie, to prawdziwa ulga jechać naprzeciw swojemu przeznaczeniu, a nie biernie czekać na zmianę decyzji Alice.

Trzeciego dnia mamy za sobą dopiero połowę drogi do Avebury. Ciotka Virginia jest zmęczona, dlatego rozbijamy obóz, gdy słońce świeci jeszcze wysoko; uważamy, że lepiej pozwolić wszystkim dłużej odpocząć i wyruszyć rano. Usiłuję zapomnieć, że Beltane dek podpowiada mi, że trzeba zastanowić się nad innymi możliwościami. Dopuścić prawdopodobieństwo, że nie zdążymy na czas.

Nie. Tę ostatnią myśl wyrzucam z głowy. Zdążymy. Musimy. Ponieważ obóz jest już rozbity, a konie zaopatrzone, Helene udaje się do namiotu na spoczynek, a Sonia, Luisa i Brigid siadają razem pod kwitnącym drzewem i czytają trzy zapisane skrawki papieru. Bez pytania wiem, że uczą się na pamięć zaklęcia potrzebnego do Obrzędu; tekst dostały przed wyjazdem z Londynu. Niełatwo im będzie recytować go po łacinie, ale lepiej przeprowadzić to tak, niż starać się sporządzić dokładne tłumaczenie na angielski.

Ja nie muszę się uczyć. Znam tekst zaklęcia równie dobrze, jak własne imię. Postanawiam więc skorzystać z tego, że skupiły się na nieznanym słowach, i proszę Dimitriego, żeby mnie popilnował, kiedy będę się kąpać w leniwie płynącym strumieniu nieopodal.

Dyskretnie zawiadamiamy Garetha o naszych planach, a potem wymykamy się z obozu i idziemy nad wodę. W lesie jest cicho, słychać tylko przemykające drobne zwierzątka i ptaki podlatujące z drzewa na drzewo. W milczeniu podążamy ścieżką częściowo zasłoniętą przez niskie gałęzie drzew; cieszę się, że tak dobrze czujemy się w swoim towarzystwie. Po raz pierwszy od wielu dni zaznaję trochę spokoju.

Po kilku chwilach wychodzimy spośród drzew na pochyły brzeg nad strumieniem. Nawet takie spokojne zakole sprawia, że serce bije mi

mocniej, ale zapominam o strachu i z uśmiechem odwracam się do Dimitriego.

- Dziękuję - mówię, patrząc w jego nieskończone brązowe oczy.
- Proszę bardzo - uśmiecha się leniwie od ucha do ucha, nie ruszając się z miejsca.

- Pan, proszę pana - żartobliwie unoszę brwi - może poczekać tam. - Wskazuję głową na las.

- A jeśli obiecuję, że nie będę podglądać?

Wzdycham, starając się stłumić uśmiech.

- Muszę przyznać, panie Markov, że jest pan niezmiernie wytrwały, ale obawiam się, że musi się pan oddalić. Wystarczającym skandalem jest to, że pilnuje mnie pan w sypialni, gdzie - co należy podkreślić - jesteśmy całkowicie ubrani. Pańska bliska obecność w sytuacji, gdy jestem naga, wywołałaby u ciotki Virginii atak szału. Dimitri pochyla się tak, że prawie dotyka mojej twarzy.

- A więc gdyby nie ciocia, pozwoliłabyś mi zostać?

Delikatnie go odpycham.

- Tego się nie dowiesz. A teraz idź.

- Dowiem się, Lia. - Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę z pożądaniem w oczach, potem odwraca się i odchodzi tam, skąd przyszliśmy. - Będę w pobliżu.

Jego słowa odbijają się echem w moich myślach i wywołują na twarzy rumieniec, choć stoję sama w lesie. Czekam, dopóki Dimitri nie zniknie mi z oczu, potem zdejmuję spodnie do konnej jazdy oraz koszulę i kładę je na dużym kamieniu nad rzeką. Nie wiem, gdzie dokładnie czeka Dimitri, ale na pewno jest na tyle blisko, by mnie usłyszeć, gdybym potrzebowała pomocy. Nachodzi mnie refleksja, jak bardzo wszystko się zmieniło i jak ja sama się zmieniłam - bardziej obawiam się o swoje bezpieczeństwo, niż martwię tym, że wchodzę nago do krystalicznie czystej rzeki, gdzie każdy przypadkowy przechodzień łatwo mógłby mnie zauważyć. Oczywiście jest to mało prawdopodobne, ale wiem, że poczynam sobie dość śmiało.

Woda jest szokująco zimna; prawie krzyczę, ale w końcu decyduję się zanurzyć w niej głowę ze świadomością, że przecież nagle nie stanie się cieplejsza. Płynę w stronę środka nurtu, lecz uważam, żeby trzymać się blisko brzegu, tak aby bez trudu go sięgnąć. Cieszę się, że

prąd jest tak łagodny. Sunie leniwie, szemrzając cicho i radośnie. Odchyłam głowę do tyłu, a moje włosy unoszą się na wodzie. Chociaż jest tak zimna, bez ubrania pływa się w niej wyśmienicie. Dziwię się, dlaczego zwykła kąpiel nigdy nie sprawiała mi takiej przyjemności. Wcześniej nie zauważałam, jak woda opływa moje nagie ciało. Myślę o Dimitrim i o tym, że obiecał pozostać blisko. Nietrudno byłoby go zawołać. Na ramionach i udach pojawia mi się gęsia skórka, bo wyobrażam sobie, że mógłby razem ze mną pływać nago w tej rzece, obejmując mnie.

Staję na kamienistym dnie i wyrzucam ten obraz ze swojego umysłu. Zachowuję się tak lekkomyślnie. Jakbym nie miała nic do stracenia. Nie chcę ofiarować się Dimitriemu w ten sposób. Nie chcę poniżać samej siebie ani naszej miłości, oddając mu się w chwili, gdy nie myślę jasno.

Przesuwam rękami po powierzchni wody, wygładzając ją, jakbym miała uładzić to, co dzieje się w mojej głowie. Wtedy nagle go widzę. Najpierw wydaje mi się, że to jakiś szczególny blask na wodzie, dziwne odbicie.

Jednak nie.

Przyglądam się powierzchni, a wówczas postać staje się wyraźna. Jedzie przez las bardzo podobny do tego, w którym zażywam kąpeli. Jasne włosy mężczyzny błyszczą w słońcu tak mocno, że niemal wyczuwalnie. Czuję też, bardziej niż widzę, że za nim podąża wielu innych jeźdźców. Przed nim zaś tylko jeden - ten, który pragnie uciec.

*

Ścigający to członkowie Straży Samaela, a przewodzi im straszny człowiek, który nieomal schwytał mnie w Chartres. Wokół jego szyi oplątany jest znak węża, widoczny spod rozpiętego kołnierza. Jego twarz to maska dysząca zemstą. Przypominam sobie gardłowy jęk, jaki wydobył z siebie przed katedrą, gdy rozplątałam mu krtań sztyletem matki, by potem poszukać schronienia wewnątrz kościoła. Serce wali mi jak młotem, ale staram się opanować przerażenie i ustalić, czy wizja dotyczy wydarzeń dawnych, obecnych czy przyszłych. Sądząc po jasno świecącym słońcu, to chyba inny dzień niż dzisiejszy lub po prostu inny las, bo niebo nade mną ocieniają duże wiosenne chmury, nie jest ono tak czyste jak w moim przepełnionym światłem widzeniu.

Tylko tyle udaje mi się odgadnąć. Wiem, że prześladowca nie jest sam; on i reszta Straży ścigają kogoś jadącego konno. Na tej podstawie dochodzę do logicznego wniosku, że jedyną osobą, którą mogą ścigać, jestem zapewne ja sama.

Brnę przez wodę do brzegu, wychodzę z niej i łapię koc, który tu przyniosłam, żeby się wytrzeć. Owijam się cała, zabieram swoje ubranie i ruszam w stronę linii drzew.

- Dimitri... Jesteś tam? - mówię znacznie ciszej, niż odezwałabym się jeszcze kwadrans temu. Trudno oprzeć się urojeniom, wiedząc, że Straż może być tuż za nami.

Już po sekundzie w oddali pod drzewami pokazuje się Dimitri. Mój wyraz twarzy jest widocznie przyczyną jego trwogi, bo resztę drogi przemierza sprintem, aby po chwili stanąć przy mnie.

Bierze mnie za ramiona i na moment przyciąga do siebie, nim pyta:

-Wszystko w porządku? - Odsuwa się, najwyraźniej przerażony. - Coś jest nie tak? Co się stało?

- Jakie mamy możliwości do wyboru? - pyta Brigid, kiedy siedzimy wokół ogniska.

Ja zajęłam miejsce obok Dimitriego, z moich mokrych włosów nadal kapie woda. Opowiedziałam im wszystko, co zobaczyłam w swoim widzeniu, lecz cały czas starannie unikałam wzroku ciotki Virginii. Nie stanowi żadnego sekretu, że obwinia się za powolne tempo naszej jazdy.

-Jest ich niezbyt wiele. - Skonsternowany Edmund krąży wokół nas ze zmarszczonym czołem.

- A jeśli to nie za nami pędzą? - pyta Helene siedząca po drugiej stronie ogniska.

Luisa rzuca jej rozdrażnione spojrzenie, więc wyjaśniam, uprzedzając zgryźliwą odpowiedź:

- Mogłoby tak być, ale kiedy widzisz taki obraz w wodzie... - Staram się pomyśleć, jak najprościej opisać to zjawisko komuś, kto nigdy nie uczył się podobnej umiejętności. - Albo ty przywołujesz

dzenie jest ci dane. I tak właśnie się stało: obraz najzwyczajniej się pojawił. Kiedy tak się dzieje, oznacza to, że wizja ma z tobą coś wspólnego.

- Tak, ale czy wiemy to na pewno } - Helene nie spuszcza ze mnie oczu.

Luisa staje naprzeciw Helene i kładzie sobie ręce na biodrach.

- A kogóż mogliby gonić? Zwłaszcza że był już kiedyś pościg za Lią.

Przerywam jej, starając się panować nad głosem, bo nie chcę, żeby Luisa zachowywała się naprawdę nieuprzejmie.

- Najrozsądniej jest chyba założyć, że to my jesteśmy ścigani, Helene.

Ona na moment nieruchomieje, a potem kiwa głową.

- Co robimy? - pyta Sonia.

- Możemy jechać szybko i bez przerwy - proponuje Gareth. - Starać się dotrzeć do Avebury jako pierwsi.

Nie patrzę w oczy cioci Virginii. Ona nie da rady tak podróżować.

- To się nie sprawdzi - odpowiada Dimitri. Gareth otwiera usta, żeby podać swoje argumenty, ale Dimitri kontynuuje, nie dopuszczając go do głosu. - Musimy dojechać do Avebury przed nimi, żeby przygotować Obrzęd. Nie da się zsiąść z konia i zacząć. Musimy przygotować kwatery i zabezpieczyć cały teren, a następnie zająć sobie miejsce w środku kręgu, żeby na Kamień padły pierwsze promienie wschodzącego słońca w święto Beltane.

- On ma rację - zgadza się Edmund. - Musimy im uciec, zanim pojawimy się w Avebury, i na tyle ich wyprzedzić, żeby mieć kilka godzin w zapasie, nim nas dogonią.

Zastanawiamy się nad tymi możliwościami w nieznośnej ciszy.

Mogłabym wykorzystać swoją zdolność przywoływania obrazów na chęć narażać się na gniew Obserwatorów, używając zakazanej magii.

Oglądanie wizji, która przyszła do mnie sama, to inna sprawa.

Przywoływanie jej byłoby natomiast nadużyciem moich kompetencji i mimo że mam prawo dziedziczenia tytułu władczyni Altus, nie chcę się przekonać, jaką niezbadaną władzę dysponują Obserwatorzy.

Przypatruję się siedzącym wkoło ognia towarzyszom podróży, mój wzrok zatrzymuje się na Brigid, a umysł czepia się cienia rozwiązania.

Przypominam sobie domostwo dozorczy terenu w opustoszałej okolicy Loughcrew. Dom jej ojca.

Spoglądam na Dimitriego.

- Gdzie się zatrzymamy w Avebury?

- Słucham? - Na to nagłe pytanie zmieszany Dimitri kręci głową. - Elspeth mówiła, że jest tam gospoda. Podobno mała, ale i tak będzie lepszym schronieniem niż namioty pod gołym niebem. Myślałem, że tam wynajmiemy pokoje.

Wstaję i zaczynam chodzić dookoła, bo mój pomysł nabiera kształtów.

- Gareth!

- Tak, moja pani - pochyła głowę.

- Czy trafisz sam do Avebury?

- Znam te rejony jak własną kieszeń - odpowiada bez zastanowienia.

- Bez nas Gareth dojedzie do Avebury szybciej - mówię do Dimitriego. - Może posłalibyśmy go przodem, żeby wynajął gospodę i przyległy teren? Wtedy od razu po przyjeździe mielibyśmy przynajmniej bezpieczne schronienie. Tam zaplanujemy wszystko dokładniej i wybierzemy najlepsze miejsce na przeprowadzenie Obrzędu.

Usiłuję opanować irytację spowodowaną faktem, że ona zawsze dostrzega negatywne strony.

- Tak, ale jeśli nie spróbujemy, i tak nas dogonią. Wysłanie Garetha przodem da nam największe szanse na bezpieczeństwo i czas na przygotowanie Obrzędu. - Ręce mi opadają, a rezygnacja już zagraża tej iskierce nadziei, jaka dopiero się pojawiła. - To niewiele, ale nie przychodzi mi na myśl nic więcej.

- Ruszam natychmiast. - Gareth podnosi się z miejsca.

-Jadę z tobą. - Obok niego, ku zaskoczeniu nas wszystkich, staje Brigid.

Gareth kręci głową. Zastanawiam się, czy inni też widzą żal w jego oczach.

- Na to nie mogę pozwolić.

- Nie możesz mi pozwolić ani zabronić. - Brigid unosi podbródek.

- To moja decyzja. Umiem jeździć tak szybko jak ty, a po przyjeździe pomogę ci przygotować gospodę. Poza tym Dimitri i Edmund będą mieli pod opieką o jedną kobietę mniej.

Nie wiem, czy sprawił to buntowniczy błysk w oku Brigid, czy jej logiczna argumentacja, ale w chwilę później Gareth daje jej lekki znak głową.

- Dobrze, pakuj się. Zaraz wyjeżdżamy i postaramy się pokonać jak największy dystans przed zmrokiem.

Patrzę, jak obydwójce zmierzają w stronę namiotów, i staram się zdusić ogarniające mnie rozdrażnienie. Nie mam ochoty zostawać w tyle i wlec się przez las. Chcę pędzić do Avebury na grzbiecie Sargenta, a nie czekać i mieć nadzieję, że innym udało się bezpiecznie tam dotrzeć.

Nie zostawię jednak ciotki Virginii. Jej słabość uczyniłaby ją łatwym celem ataków Straży. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś jej się stało, podczas gdy ja umknęłabym przed zagrożeniem. Gdy żegnamy się z Garethem i Brigid, pomagając im wsiąść na konie, zaczynam rozumieć, że poświęcenie ma niejedno oblicze. Na przykład polega na czekaniu w sytuacji, gdy wolałabym działać. Moje wyrzeczenie - tak jak wiele innych, poprzednich - przyczyni się jednak do doprowadzenia proroctwa do końca.

Nim upływa godzina od mojego widzenia nad rzeką, Gareth i Brigid są już w drodze. Nie chcę słyszeć oddalającego się tętentu ich koni i staram się nie myśleć o jasnowłosym napastniku, który coraz bardziej zbliża się do Avebury, gnany pragnieniem zemsty za to, co zrobiłam w Chartres, oraz lojalnością wobec Bestii - Samaela.

- Boisz się?

Wzdrygam się na głos Soni, chociaż odzywa się cicho, siadając koło mnie na pniu drzewa przy ogniu.

- Czemu nie śpisz? - pytam. - Myślałam, że wszyscy się już położyli.

- Zmieniasz temat - uśmiecha się Sonia.

- Nie - odwzajemniam uśmiech wbrew temu, co czuję. - Dziwię się tylko, widząc cię jeszcze na nogach, to wszystko.

- Cóż, reszta śpi, a ja nie mogłam uspokoić myśli i zasnąć.

Ponieważ Dimitri stoi na warcie, przyszło mi do głowy, że dotrzymam ci towarzystwa. Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie - zapewniam.

- No to jak? - dopytuje się. - Boisz się?

Nie potrzebuję wyjaśnienia, co ma na myśli. Do Avebury będziemy jechać jeszcze dwa dni i tam nastąpi kres podróży. Wszystko niedługo się skończy, w taki czy inny sposób...

Patrzę w ogień, obserwując, jak poczerniały kawałek drewna roz-

-Trochę, ale nie tak bardzo, jak się spodziewałam. Chyba jestem już gotowa na ostateczne rozwiązanie, bez względu na to, co się wydarzy. Kątem oka widzę, że Sonia kiwa głową, ale nie mam odwagi spojrzeć w jej stronę - ogarnia mnie dziwna melancholia. Przebyłyśmy razem naprawdę długą drogę.

Wyciąga do mnie rękę.

- Lia, muszę ci coś powiedzieć. Możesz na mnie popatrzeć?

Odwracam się i spoglądam jej w twarz, ciesząc się ciepłym dotykiem jej dłoni.

-Jesteś najukochańszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

Najdroższą, jaką kiedykolwiek będę miała - mówi dalej, z

błyszczącymi oczami. - Uważam, że masz dość siły, żeby przetrwać Obrzęd w Avebury, ale po prostu... nie chcę ryzykować, że nie dowiesz się, jak dużo dla mnie znaczysz. Jak bardzo jesteś mi droga. Potakuję i ściskam jej dłoń, bojąc się, że nie zniosę przepelniających mnie emocji.

- Moje uczucia są takie same. Nie ma nikogo, z kim chętniej dzieliłabym te ostatnie miesiące. - Nachyliłam się, stykamy się czołami. Przez chwilę tak siedzimy, a potem wstaję. - Spróbujmy zasnąć.

Będziemy musieli zachować czujność, skoro ściga nas Straż.

Sonia zgadza się i również wstaje. Udajemy się do namiotów, ja - z ogromnym poczuciem ulgi.

Rozsądnie jest zacząć się żegnać.

Nie przenoszę się w Pozaświaty z własnej woli. Takie postępowanie byłoby niemądre - przecież Beltane jest blisko i nadchodzi moment, kiedy będę musiała zawezwać Bestię i zakazać jej wstępu do naszego świata.

306

A jednak znajduję się w bezludnej okolicy na Równinie, w miejscu, które najsilniej kojarzy mi się z Alice. Mimo że podróż jest niezamierzona, nie odczuwam zdziwienia. Przemierzając trasę do Ave-bury, przez cały czas intensywnie myślałam o swojej siostrze.

Wciąż przywołuję w pamięci naszą ostatnią rozmowę w parku.

Wspominam krótkie przebliski zwątpienia w jej oczach i zastanawiam się, czy zrobiłam wszystko, co się dało. Czy

przypadkiem Alice nie jest bliższa przejścia na naszą stronę, niż mi się wydawało.

Dobrze znam zasady obowiązujące w Pozaświatach. Można przenieść się tam siłą woli lub zostać wezwanym przez inną osobę. Teraz jednak stoję na Równinie, szaroczarnej z gniewnym odcieniem fioletu, i nie wiem, dlaczego znalazłam się w tej ponurej okolicy. Owszem, myślałam o Alice. To ona mogła sprawić, że zechciałam się tu przenieść, żeby jej szukać. Oczywiście mogła mnie zwyczajnie zawezwać, ale wówczas byłaby tutaj i czekałaby na mnie.

Obracam się w kółko, patrząc w dal na tereny porośnięte wysoką trawą, na stojące w pewnej odległości jakby nadpalone drzewa. Jestem w świecie ciszy. Ptaki nie śpiewają. W trawie nie przemykają żadne drobne zwierzęta. Nawet liście drzew, owiewane wiatrem, którego prawie nie czuję, pozostają bezszelestne.

Czekam, jak mi się wydaje, dosyć długo, ze ściśniętym żołądkiem. Bez względu na powód mojej obecności na Równinie, nigdzie nie widzę Alice, a przecież nie mogę przebywać tu bez końca. W Pozaświatach trudno jest uniknąć wytropienia przez Dusze, a ja nie mam zamiaru pozwolić im się porwać w Pustkę. Nie teraz i nie w ten sposób. Jeśli mam zostać tam uwięziona, to dopiero po odprawieniu Obrzędu w Avebury.

I nie odejdę bez walki.

Ostatni raz rozglądam się po okolicy w nadziei, że ujrzę nadchodzącą siostrę. Po raz pierwszy jestem zawiedziona, nie widząc jej na Równinie, ale nie mam czasu, żeby zastanawiać się nad tymi dziwnymi okolicznościami. Moje rozczarowanie jest bowiem podszyte niepokojem. Zamykam oczy i siłą woli chcę się przenieść do materialnego świata, nadal myśląc o Alice. O tym, gdzie może być - i co nie pozwoliło jej przyjść na Równinę, która była jej królestwem, na długo zanim ja dowiedziałam się o istnieniu Pozaświatów.

na wieki zapanuje chaos.

309

Nie chcę, żeby inni myśleli, że związali swój los z osobą, która już teraz wątpi w swoją wolę walki. Dlatego nie mówię o swoim strachu - to sekret, który skrywam w najczarniejszym zakątku serca.

Zwalniamy tempo w poszukiwaniu dobrego miejsca na rozbić obozu przed zapadnięciem nocy. Ciotka Virginia zostaje trochę z tyłu, żeby zrównać się ze mną. Najwyraźniej ma mi coś do powiedzenia, ale

przez moment trwamy w milczeniu. Dopiero potem otwiera usta i zaczyna:

- Przepraszam, Lia.

- Przepraszasz, ciociu? Za co? - Patrzę na nią z zaskoczeniem. W jej westchnieniu słyszę zmęczenie.

- Za to, że upierałam się, aby jechać z wami. Za to, że opóźnię podróż, chociaż nie możesz sobie na to pozwolić.

- Ciociu, o czym ty mówisz! Helene jedzie dziesięć razy wolniej. Gdybyś została w Londynie, nie byłoby żadnej różnicy. I tak podróżowalibyśmy w tym samym tempie. - Uśmiecham się do niej. - Poza tym lepiej się czuję w twoim towarzystwie.

Poza tym to mogą być nasze ostatnie dni spędzone razem, myślę. Cieszę się każdą chwilą.

Ciotka kiwa głową i rozgląda się po otaczającym nas lesie.

- Być może nie uda się zamknąć Bramy bez pomocy Alice, ale jako Siostra i dawna Strażniczka chciałabym stanąć w Kręgu Ognia przy twoim boku. Chcę oddać całą swoją moc, choć niewiele mi już zostało, sprawie zamknięcia Bramy. Dlatego obstawałam przy swoim wyjeździe.

Nie od razu odpowiadam. Nie potrafię zapomnieć, co czułam, śniąc o Obrzędzie w Avebury. Miałam wrażenie, że zostanę rozdarta na pół, że rozpadnę się na dwoje, gdy Samael usiłował wykorzystać mnie jako Bramę prowadzącą do materialnego świata. Na to wspomnienie moje myśli zasnuwa ciemność. Nie chcę narażać cioci na takie przeżycia.

- To niebezpieczne - tłumaczę jej. - Moc Samaela... Poznałam ją przez ostatnie tygodnie, w koszmarnych snach. Nie sądzę, żeby to było korzystne dla twojego zdrowia.

Oczy ciotki rozjaśnia uśmiech. Przez chwilę wydaje mi się, że dostrzegam w nich cień mojej mamy.

- Lia, czy ty myślisz, że nie wiem, jakie jest ryzyko? Co prawda w przypadku moim i twojej matki stawka nie była aż tak wysoka...

Byłyśmy po prostu Strażniczką i Bramą, jak setki Sióstr przed nami. Ty jesteś Aniołem Bramy i to powoduje, już spowodowało, wiele trudności. Więcej, niż sobie wyobrażasz. - Jej oczy, zielone jak moje, poważnieją. - Nie ma jednak ważniejszej sprawy niż ta, a ja, chociaż zrzekłam się roli Strażniczki na rzecz Alice, mam jeszcze odrobinę siły. Nie chcę żyć ze świadomością, że trzymałam się z boku i

pozwoiliam ci walczyĆ samotnie. - Ponownie siÄ uÅmiecha. - Nie jesteÅmy tylko ciotkÄ i siostrzenicÄ. JesteÅmy Siostrami, ktÅre łączy proroctwo. Moim obowiÄzkiem jest stać przy tobie.

W jej spojrzeniu jest jakieÅ nieznane mi Åwiatło, ktÅre Åwiadczy o ukrytej mocy i wierze. Wiem, Åe jej nie odmÅwiÄ. Nie chcÄ ponosić odpowiedzialnoÅci za zgaÅnienie tego promyka.

- Zgoda - mÅwiÄ. - Twoja moc, ciociu, bardzo mi siÄ przyda. Lekko skłania głÅwÄ. UznajÄ to za oznakÄ szacunku wobec potencjalnej wladczyni Altus.

- DziÄkujÄ.

W odpowiedzi pochylaÅ siÄ nisko, nie wypowiadajÄc na głos modlitwy, ktÅra rozbrzmiewa w moich myÅlach: Oby bogowie, Obserwatorzy i Siostry nam sprzyjali.

Tej nocy trudniej jest mi wypuÅcić Dimitriego z namiotu. Kiedy chce usiÄ siÄ prosto, przyciÄgam go do siebie i przytulam siÄ, owijajÄc w koce. Wpycham mu głÅwÄ pod brodÄ i staram siÄ o niczym nie myÅleć, tylko czuć jego oddech we włÅsach i ÅlyÅzeć tuÅ przy uchu bicie jego serca.

Nie dostrzegliÅmy ani Åladu StraÅy, ale wiem, Åe sÄ blisko. Nie potrafiÄ stwierdzić, czy przeÅladowcy nadjeÅdzajÄ, czy zdołali siÄ wedrzeć do mojej ÅwiadomoÅci, ale czajÄ siÄ nawet w moich najskrytszych myÅlach.

Poza tym odczuwam ich wplyw na jawie. Jest podÅtÄpny, nie przejawia siÄ jako wyraÅny przymus. To raczej wraÅenie, Åe przez cały czas trwaÅam w błÄdzie, kusiÅam los i zburzyÅam harmoniÄ Åwiata, odrzucajÄc swojÄ rolÄ Bramy.

- O co chodzi? - pyta Dimitri po jakimÅ czasie.

- O nic - kłamiÄ.

Bierze głÄboki oddech, jego pierÅ siÄ unosi.

- Nie wierzÄ, ale jestem przy tobie, gdybyÅ zmieniÅ zdanie i chciaÅa o tym porozmawiać.

Chce wykonać jakiÅ ruch, ale trzymam go mocno.

- Zostañ.

- Nigdzie nie idÄ, Lia. Jestem tutaj. - Schyla głÅwÄ i dotyka ustami moich warg. - A ty musisz spać, ile siÄ da. Jutro bÄdziemy w Avebury. Potrzebna ci bÄdzie caÅa twoja siÅa.

Z ulgÄ patrzÄ, jak Dimitri głÄbiej zakopuje siÄ w koce; najwyraÅniej nie ma zamiaru stÄd odejÅć. PrzestaliÅmy juÅ przejmować siÄ tym, co

pomyślą inni. On przytula mnie z nową łagodnością i zaczynam rozumieć, że - podobnie jak ja - próbuje się pożegnać. Leżę w ciemności przez dłuższy czas z głową opartą o tors Dimi-

triego, którego oddech stopniowo staje się coraz cichszy i bardziej regularny. Nie zaznał głębokiego snu, odkąd postanowił pilnować mnie po nocach, więc nie mam sumienia go budzić. Jestem przy nim, trzyma mnie w ramionach. Wolę to niż jego czuwanie w kącie namiotu, podczas gdy ja staram się zasnąć sama. Dlatego wtulam twarz w jego miękką koszulę, żeby nacieszyć zmysły. Unoszenie się i opadanie jego piersi działa na mnie uspokajająco, dlatego wkrótce i moje powieki stają się ciężkie. Cudownie jest tak leżeć po ciemku z Dimitrim, wiedzieć, że jest blisko. W chwili, która poprzedza moje osunięcie się w nicość snu, nie czuję strachu.

Trwam w ramionach Dimitriego nawet w marzeniach sennych. Pozostaję w półświadomości, stanie najbardziej zbliżonym do snu, jaki mogę osiągnąć, i jestem wdzięczna losowi za obecność tego mężczyzny. Wciąż czuję rytm jego serca, które bije tuż pod moim uchem, tak jak wtedy, gdy w mroku namiotu zapadałam w drzemkę. Stuk-stuk. Stuk-stuk. Stuk-stuk.

Brzmi to jak kołysanka, której pozwalam się nieść przez noc. Nie myślę o niczym poza otaczającymi mnie ramionami Dimitriego i solidną opoką jego piersi pod moją głową. Nie leżymy już na twardej ziemi pod brezentowym dachem namiotu, lecz pośród purpurowych poduch z pluszu i jedwabiu. Wzdycham z zadowoleniem, a mój puls przyspiesza, zrównując się z rytmem jego serca. Jego ręka zaczyna gładzić moje włosy.

- Tak. - Słyszę szept. - Tak.

Dłoń wędruje od głowy w stronę szyi, zatrzymując się w tych wrażliwych miejscach, gdzie żyły pulsują tuż pod skórą. Palce pozostają dłużej właśnie tam, jakby upajając się ciepłem krążącej we mnie krwi. Potem kontynuują swoją podróż do zagłębień obojczyków i dalej do ramion.

*

Wyciągam rękę wzdłuż jego ręki i nasze dłonie spotykają się. Splatamy palce. Nigdy nie czułam się tak szczęśliwa. Bezpieczna. Pewna, że to moje miejsce.

Nie mam ochoty się poruszyć nawet wtedy, kiedy jego palce wysupłują się z moich, lekko przesuwiają się po wnętrzu dłoni, a potem zatrzymują na nadgarstku. Alarm w głębi świadomości włącza się dopiero wtedy, gdy zastanawia mnie dotyk jego skóry. Nie jest jak zwykle miękka i ciepła, gdzieniegdzie zgrubiała po wielu godzinach trzymania cugli lub strzelby.

Jest... inna.

Sucha i zimna.

Dopiero wtedy dociera do mnie szelest. To cichy dźwięk, ledwie poszum, ale na próżno podnoszę głowę, chcąc sprawdzić, skąd dobiega. W tym śnie Dimitri nagle staje się tak wysoki, że wszystko mi zasłania. Staram się go odsunąć, zobaczyć jego twarz, ale im silniej go popycham, tym mocniej mnie trzyma. Moje serce zalewa fala paniki, bo zaczynam rozumieć.

Szum się nasila, brzmi tak, jakby kilka ptaków naraz wzbijało się w powietrze, potem - jakby to było ogromne stado. Odpycham się z całych sił i robię kilka niezdarnych kroków w tył, bo chwyt lekko zelżał. Kieruję spojrzenie w górę, omijając wzrokiem masywne, wyrzeźbione ciało: chcę zobaczyć twarz.

Tak piękną jak twarz bóstwa.

Ale nie.

To oblicze jest boskie tylko przez moment. Potem drga, zmienia się w coś okropnego. Ohydneho. Ginący obraz wspaniałej męskiej twarzy zastępują wielkie szczęki i zaciśnięte, błyszczące zęby.

Mój wzrok przykuwają jednak skrzydła. Widziałam je już wtedy, gdy Samael objawił mi się we śnie nad rzeką. Teraz rozwija je z gło-

śnym świstem. Są wielkie i szerokie, wyrastają z obydwu boków jego ciała, przechodzącego dziwną metamorfozę.

Nie mogę oderwać od niego oczu. Zresztą nie chę. Te skrzydła obiecują mi spokój i wolność. Skorzystanie z ich osłony to nie jest kwestia decyzji. Nie zastanawiam się. Po prostu robię krok naprzód i wzdycham z ulgą, kiedy spowija mnie ich jedwab.

Po chwili, jakby z oddali, nadpływa fala paniki. Czuję bowiem, jak słabnie astralny sznur, jak resztki mojej ziemskiej świadomości starają się znaleźć na Równinie jakiegokolwiek oparcie. Wydaje się, że moje ciało znajduje się gdzieś daleko. Zmagam się z przebłyskiem myśli, że zostałam pochwycona. Samael ma mnie w garści. Nie zdołam

powrócić do swojego ciała, a kiedy Dimitri zbudzi się rano, będzie ono już tylko pustą skorupą.

Wahanie nie trwa długo. Ukojenie, jakie obiecują jedwabiste skrzydła Samaela, i rytm jego serca identyczny z moim to zbyt wielka pokusa - moja dusza nie zdoła jej się oprzeć. Czuję jeszcze jedno pociągnięcie astralnego sznura, jak wezwanie ze świata, który dotychczas był mój. Ja ciągnę w drugą stronę, robiąc krok w kierunku Bestii. Jedyne źródła spokoju, które mogę uznać za swoje.

Potem zupełnie się poddaję.

Nie sądziłam, że wstyd, jaki odczuwam, może się jeszcze nasilić. Tymczasem następnego dnia - po tym, jak Dimitri zbudził mnie ze snu, w którym byłam gotowa w pełni oddać się Samaelowi - czuję się po prostu zhańbiona. Nie ma znaczenia, że inni nie znają szczegółów. Jestem przeklęta. Zmierzamy do Avebury, a mój wstręt do samej siebie osiąga coraz wyższe szczyty. W końcu dochodzę do

Przez cały ranek przypatruję się Dimitriemu, spodziewając się, że w jego oczach dojrzę litość. Zbieram na to siły, bo wiem, że przyjęłabym ją z gorętszą nienawiścią niż jakikolwiek krytyczny osąd.

Ale ona się nie pojawia.

Jego oczy wypełnia tylko miłość i determinacja; są tak czyste, jak lazururowe niebo nad nami.

To jednak nie porządkuje zamętu, jaki panuje w moim umyśle, odkąd się obudziłam: oczywiście Dimitri nadal jest tym samym człowiekiem, lecz przez większą część dnia usiłuję zapomnieć o tym, jak jego znajoma twarz zmieniła się w przerażające oblicze Bestii.

Wkrótce robimy przerwę na lunch i czuję, że Avebury jest już blisko.

Zaczyna się od drobnych wibracji w kościach, a potem słyszę słaby pomruk, gdy dostrzegamy wreszcie monumentalne, szare głazy, stojące w koncentrycznych kręgach niczym żołnierze. Znamię na nadgarstku pulsuje tęnym bólem, a ja zwracam wzrok na medalion, wyczuwając, jak to uświęcone miejsce przyciąga znak Jorgu-manda. Kilkakrotnie zatrzymujemy się pod osłoną drzew, rozglądając się i sprawdzając, czy Straż nie przybyła tu przed nami. Przez cały czas

Avebury działa na mnie jak magnes. Tylko siłą woli powstrzymuję chęć, żeby puścić się pędem naprzód.

Nareszcie dojeżdżamy do niewielkiego domku znajdującego się w pobliżu środka kręgów.

W brzuchu węża.

Wszędzie panuje cisza, ale ja nie odbieram jej jako spokoju poprzedzającego rozwiązanie. Wiem, że to początek końca.

Nie stoimy jeszcze przed domem, kiedy drzwi nagle się otwierają. W sercu wzbiera mi radość, bo widzę, że na ganek wychodzi Gareth. W chwilę później obok niego pojawia się Brigid, wycierając ręce w fartuch obwiązany wokół pasa. Macha do nas energicznie, a jej twarz rozświetla promienny uśmiech.

- Lia! - Schodzi z ganku, mimo że zdążyliśmy się zatrzymać. - Tak się martwiłam!

- Zakładam, że jest tu bezpiecznie - Dimitri zwraca się do Garetha.

- Mieszkamy sami - potwierdza Gareth. - Wejdźcie. Przygotujemy wam coś do jedzenia, a potem wszystko opowiemy.

Dimitri zsiada z konia na moją stronę. Wiem, że stara się być blisko, na wypadek gdybym potrzebowała pomocy, ale jestem mu wdzięczna za to, że jej nie proponuje. Pomimo zmęczenia chciałabym mieć poczucie, że radzę sobie ze wszystkimi drobiazgami, które czekają na nas każdego dnia.

Zsiadając z grzbietu Sargenta, znowu przyglądam się Brigid potykając jej spojrzenia, trochę bardziej się prostować i radośniej uśmiechać.

- Z chęcią coś zjemy. Przydałoby się też trochę wody do mycia, jeśli macie.

Dojeżdżają pozostali i również zsiadają z koni. Edmund pomaga ciotce Virginii, a Brigid prowadzi nas do domu, podczas gdy mężczyźni zajmują się końmi.

Wnętrze jest małe i ciemne, ale dość przytulne. Mijamy pokój, który wygląda na salon, następnie Brigid kieruje nas w stronę prostych, wąskich schodów w środku budynku. Na górze pokazuje ciotce Virginii i mnie nasze sypialnie. Luisa wybiera, w którym pokoju będzie mieszkać z Sonią, a Brigid z wdziękiem zaprasza Helene do pomieszczenia, które będzie należeć do nich obu. Ustalamy, że

umyjemy się i przebierzemy, aby potem spotkać się z Brigid na dole, w niewielkiej kuchni.

Pół godziny później wszystkie Klucze siedzą już wokół prymitywnego, ledwie oheblowanego stołu, a Brigid nalewa herbatę.

- Gdzie ciotka Virginia? - pytam, zajmując miejsce obok Soni.

- Powiedziała, że chce odpocząć i zejdzie dopiero na kolację - wyjaśnia cierpliwie Luisa, a ja zdaję sobie sprawę, że chyba niezbyt dobrze kryję się ze swoją troską o ciocię. - Poczuj się lepiej, Lia, zobaczysz. Kilka godzin odpoczynku może zdziałać cuda.

Kiwam głową, biorę wyszczerbioną filiżankę z pracowitych dłoni Brigid i popijam gorącą herbatę, zwalniając się w ten sposób z odpowiedzi.

- A więc - zaczyna Luisa, upijając łyk ze swojej filiżanki i przypatrując się Brigid z chytrym uśmieszkiem - w tym dużym domu mieszkałaś sama z Garethem?

- Nie jest aż taki duży - odpowiada Brigid, nalewając herbatę. Jej policzki lekko różowieją.

Luisa unosi brwi.

- Brigid, mnie w ogóle nie obchodzi ten głupi dom. Naprawdę! Chciałabym się tylko dowiedzieć, czym zajmowaliście się przez ostatnie dwa dni.

Sonia przewraca oczami.

- Luisa! Jak możesz być taka bezczelna!

Luisa z entuzjazmem odgryza kęs herbatnika zabranego ze stołu.

- Nie udawaj niewiniątka. Jesteś tak samo ciekawa jak ja.

Powstrzymuję się od śmiechu. Może to i lepiej, że ciotki Virginii tu nie ma.

Brigid wreszcie siada, bardzo zajęta ściereczką leżącą na jej kolanach.

- Nie mieszkamy tu bardzo długo. Przyjechaliśmy dopiero wczoraj rano. Zanim ustaliliśmy szczegóły naszego pobytu z właścicielami, a oni spakowali się i opuścili dom, był już wieczór. Od tego czasu obserwowaliśmy, czy nie nadciąga Straż, i przygotowywaliśmy się na wasz przyjazd. Chyba nie przyjeżdża tu wielu gości. Trzeba było dokładnie posprzątać.

Zastanawiam się, czy myśli o swoim własnym, dobrze utrzymanym domu w Loughcrew, bo w jej oczach widzę iskierkę dumy.

- Co powiedzieliście właścicielom? - Z drugiej strony stołu dobiega cichy głos Helene. Uprzytamnam sobie, że nie pamiętam,

kiedy po raz ostatni się odezwała. Przez chwilę jest mi jej żal, kiedy porównuję, jak łatwo Brigid stała się jedną z nas. Tymczasem Helene nadal trzyma się na uboczu gromadki.

Brigid wzrusza ramionami, a na jej policzkach ponownie wykwitają dwie różowe plamy.

- Gareth powiedział gospodarzowi, że dopiero co wzięliśmy ślub i chcemy побыć trochę sami. Dobrze im zapłacił, żeby szybko się stąd wynieśli.

- Absolutnie w to nie wątpię! - Luisa śmieje się rubasznie. Sonia trąca ją w ramię.

- Luisa! Na litość boską! - Patrzy prosto w oczy Brigid, ale ledwie powściąga wesołość. - Przepraszam, Brigid. Nie wiem, co ją tak czasem nachodzi.

Brigid kiwa głową, a na jej twarzy pojawia się żartobliwa mina.

- Prawdę mówiąc, było raczej miło mieć cały dom dla siebie.

- Wiedziałam! - prawie krzyczy Luisa. - I żądam szczegółów!

Całe towarzystwo przy stole wybucha radosnym jazgotem, poza Helene, która obdarza nas skromnym uśmiechem. Brigid jednak nie może kontynuować, bo w korytarzu prowadzącym do kuchni słychać ciężkie kroki. Po minucie w drzwiach ukazuje się Gareth.

- Konie są... - urywa, przypatrując się naszym twarzom, które wszystkie naraz zwróciły się w jego stronę, ponieważ myślimy o jego sam na sam z Brigid. - Co jest?

Brigid czerwieni się i wstaje, żeby pozbierać filiżanki i talerzyki.

Reszta raz po raz wybucha śmiechem. Nawet Helene cicho chichocze, zasłaniając usta ręką, i na chwilę zapominam, że jesteśmy w Avebury.

Zapominam o szumie w żyłach, o szepcie medalionu na przegubie dłoni, o wołaniu Samaela. ■*

Przez moment prawie nie pamiętam, że mogą to być ostatnie dni, podczas których moja dusza należy do mnie.

Niemal cała.

Nie ja jedna szukam zapomnienia, dlatego spędzamy w swoim towarzystwie miły wieczór, jak gdybyśmy się porozumieli, że przy-

9 »

* *

i_ ** <r

najmniej raz nie będziemy rozmawiać o przepowiedni. Obie z Sonią pomagamy Brigid przygotować kolację, a Helene i Luisa grają w karty przy zniszczonym kuchennym stole. Gareth z Dimitrim rozpalają w kominku i rozglądają się za winem - po godzinie wychodzą z piwnicy jak zwycięzcy, dzierżąc dumnie cztery zakurzone butelki rubinowego płynu.

O naszej misji przypomina nam tylko zmartwiona mina Edmunda. W regularnych odstępach czasu wychodzi ze strzelbą na obchód okolicy, a ciotka Virginia siedzi na ganku owinięta w koc, który chroni ją przed chłodem nadciągającej nocy.

Wkrótce Stół jest zastawiony. Na talerzach leży gorące jedzenie, nalane jest wino. Siadamy wszyscy razem, złączeni jednym celem. Z przyjemnością przyglądam się, jak Helene zaczyna żartować z Sonią i Luisą, a Gareth okazuje serdeczne uczucia Brigid, co wywołuje uśmiech na jej ustach i rumieniec na buzi.

Kiedy im się przypatruję, w moim sercu gości głęboki spokój - mam dla tych ludzi tak wiele miłości. Stali mi się tak bardzo drodzy. Nagle zyskuję pewność, że nic złego im się nie przydarzy, bez względu na to, jaki będzie mój los. Przetrwają i będą szczęśliwi. Będą żyć, śmiać się i kochać.

Tylko tyle chcę wiedzieć. Tylko tyle mi wystarczy. Czuję nową siłę i słuszność decyzji, aby przyjechać do Avebury bez Alice. Gdy rozglądam się wokół stołu, jestem absolutnie pewna, że moja ofiara - jeśli będę zmuszona ją złożyć - pomoże trwać wszystkiemu, co dobre.

Cień wątpliwości pojawia się wyłącznie wtedy, kiedy patrzę na Dimitriego. Choć jest pogodny i stara się śmiać, w jego oczach widzę mrok. Zarozumiałstwem byłoby myśleć, że beze mnie nie da szczęki i smutek w spojrzeniu budzą mój ogromny niepokój. Nie chciałabym zostawiać go samego.

Wyciągam rękę i odgarniam mu włosy z czoła, nie dbając o to, że ciotka Virginia albo inna osoba posądzi mnie o zbytnią śmiałość. Wzrok Dimitriego spotyka się z moim, a w głębi naszych oczu, jak ogień, płoną miłość i pożądanie. Wiem, że jeśli jest na świecie coś, co może skłonić mnie do zmiany decyzji, to właśnie istnienie Dimitriego.

Zanurzam się głębiej w gorącej wodzie, z radością przyjąwszy fakt, że gdzieś na tyłach domu Brigid natknęła się na starą metalową wannę.

Nagrzanie wielu garnków ciepłej wody, a potem noszenie ich po kolei do mojego pokoju to luksus, na który - jak zdołałam sobie wmówić - zasługuję.

Jutro o tej samej porze będziemy przygotowywać się do Obrzędu. Oczywiście jeśli założymy, że wcześniej nie przeszkodzi nam Straż. Tak czy inaczej, być może czeka mnie ostatnia noc pośród żywych. Staram się oczyścić swój umysł. Skoncentrować na tym, jak woda opływa moje ciało, jak plecy dotykają zimnego metalu wanny, a chłodniejsze powietrze sponad powierzchni muska moją twarz. To działa tylko na krótko, bo potem ciemność w mojej głowie wypełnia twarz Dimitriego. Widzę go takim, jak wyglądał przy kolacji, kiedy oczy wypełniało mu to samo pragnienie, które stopniowo narastało we mnie, w mojej duszy i ciele. Na myśl o Dimitrim czuję wewnątrz jakieś łagodne, obiecujące poruszenie.

- Chcesz zostać sama, dopóki nie skończysz? - Od drzwi dobiega jego głos. Odwracam głowę, żeby tam spojrzeć. Stoi oparty o ścianę: wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Nie jestem zdziwio-
322

na, widząc go tutaj. Przyzwyczyłam się do tego, że się zakrada, pojawia niespodziewanie.

Jakiś głos w mojej głowie mówi mi, że powinnam poprosić go, by wyszedł. Przypomina mi, że to więcej niż niestosowne, aby w moim pokoju przebywał mężczyzna, podczas gdy ja siedzę nago w wannie. Lecz ten głos jest taki słabiutki. Szybko zamienia się w szept. To szept Amalii, którą byłam kiedyś i którą już nigdy nie będę.

Nie zastanawiam się dłużej. Ociekając wodą, staję w wannie przed Dimitrim. Jego oczy stają się coraz ciemniejsze, aż zmieniają się

f
w dwa czarne jeziora pożądania, kiedy jego spojrzenie przesuwa się na moje piersi, płaski brzuch i uda.

Wyciągam do niego rękę, dziwnie niespieszona.

- Podasz mi? Bardzo proszę.

Dopiero po chwili Dimitri podąża za ruchem mojej dłoni, wskazującej koc leżący w nogach łóżka, wreszcie go podnosi. Idzie w moją stronę, wręczając mi go z pewnej odległości, jakby nie chciał się za bardzo zbliżyć, nie ufając samemu sobie.

- Rozwiń go, dobrze?

Widzę, że jest zaskoczony, ale rozpościera koc, czekając, aż wyjdę z wanny, nadal mokra, i podejść do niego. Otaczają mnie jego ramiona, otula miękką i ciepłą tkaniną. Przez chwilę stoimy bez ruchu. Nie da się nie myśleć o tym, że muskularne ręce Dimitriego oddziela od mojej nagiej skóry tylko kawałek cienkiego, starego materiału.

- Pomożesz mi się wytrzeć? - mruczę w ramię Dimitriego. On lekko się cofa i powoli odwijają koc. Słyszę, jak bierze głęboki wdech, patrząc na moje nagie ciało. Niespodziewanie łatwo jest tak stać przed nim, nie czując wstydu.

Nie odrywa wzroku od moich oczu, kiedy delikatnie wyciera mi plecy rogiem koca. Potem od ramion przechodzi do piersi, a lekki nacisk jego rąk wzbudza w moim ciele mocne fale pożądania. Dimitri spuszcza wzrok z mojej twarzy i klęka przede mną, wycierając mi brzuch, łuki bioder i delikatną wewnętrzną stronę ud. Odkrywam przyjemność w tym, iż robi to tak powoli. Nie spieszę się, żeby schować się przed jego spojrzeniem. Wydaje się, jakby moje ciało było dotychczas najstaranniej skrywanym sekretem, a teraz nie chcę już mieć przed Dimitrim żadnych tajemnic.

Jego ręce są cierpliwe i uważne. W pokoju prawie da się wyczuć jego pragnienie, tak silne jak moje. Skończywszy mnie wycierać, Dimitri wstaje, wciąż trzymając koc. W jego oczach widzę pytanie, dlatego odpowiadam, wysuwając dłoń.

- Chodź. - Pociągam go w stronę łóżka. - Połóż się ze mną. Nic nie mówi, kiedy wtulam się w zagłębienie jego ramienia i dotykam rękami ciepłej skóry pomiędzy troczkami koszuli. Moje palce wędrują w dół, rozwiązując tasiemki, wszystkie po kolei. Odsuwam tkaninę, odsłaniając jego pierś, przywieram do niej i całuję mięśnie poruszające się pod zadziwiająco miękką skórą. Opieram brodę na rękach i patrzę mu w oczy.

- Kocham cię, wiesz o tym. Musisz o tym pamiętać. Dimitri przyciąga mnie do swoich ust tak gwałtownie, że brakuje mi tchu. W jednej sekundzie leżę pod nim, moja głowa tonie w puchowej poduszce, a ciało ginie pod naciskiem jego ciała. Dotyka mojej twarzy i patrzy mi w oczy tak dzikim wzrokiem, że nieomal zaczynam się bać.

- Wyjedź ze mną, Lia. Uciekniemy tej nocy. Będę cię chronił przed Duszami tak długo, jak trzeba. Razem postaramy się, żeby Alice przeszła na naszą stronę.

Owijam mu ramiona wokół szyi i przyciągam do siebie, tak że nasze usta znowu się spotykają. Pożądanie chciałoby przekroczyć barierę delikatnego pocałunku, ale w końcu odsuwam się.

- Muszę to zrobić, Dimitri. Nie chcę żyć w świecie, w którym mam się kryć przed Duszami nawet we śnie. I co ważniejsze, nie chcę żyć w świecie, w którym Klucze, moje przyjaciółki, muszą postępować tak samo. W takim świecie, gdzie nie możesz być lojalny wobec Obserwatorów, jeśli chcesz mnie chronić. - Dimitri zaczyna protestować, ale lekko przykładam mu palce do ust, żeby przestał. Potem patrzę mu w oczy, tak żeby wiedział, że zaraz powiem to, co naprawdę myślę. - Tak musi być, Dimitri. Proszę, nie marnujmy naszego wspólnego czasu na kolejną rozmowę o tym. Po prostu bądź ze mną, tu i teraz. Zostań ze mną i pamiętaj, że cokolwiek wydarzy się jutro, ja jestem twoja - dzisiaj i zawsze.

Nachylałam się, aby go pocałować. Potem otwieram ramiona, rozkoszując się dotykiem jego nagiej skóry, przesuwaną się po mojej. Niczego nie żałuję.

Dzień upływa nam w chorobliwej ciszy. Sonia, Luisa, Helene, Brigid, ciotka Virginia i ja z udawanym zapalem gramy w karty albo czytamy fragmenty paru zakurzonych książek spoczywających na regałach.

Mężczyźni po kolei wyruszają konno na patrol po obrzeżach terenu.

Do kolacji nie widzimy ani śladu Straży i choć przyjmuję to z zadowoleniem, nie wątpię, że przyboczni Samaela gdzieś tutaj są. Nie wiem, kiedy przybędą, ale zdaję sobie sprawę, że nadciągają.

Z nadejściem wieczoru udaję się do swojego pokoju razem z Dimitrim, żeby przygotować się do odprawienia Obrzędu. W milczeniu składam swoje rzeczy i pakuję je, aby ktoś mógł je zawieźć z powrotem do Londynu, jeśli nie przeżyję dzisiejszej nocy. Nagle słyszę za sobą głos Dimitriego:

- Czekałem na dobrą chwilę, żeby ci to wręczyć. - Odwracam się w jego stronę. Podaje mi paczuszkę owiniętą w zwykły szary papier. - Albo raczej miałem nadzieję, że okazja jednak się nie nadarzy. Ale

Nie od razu odbieram pakunek. Po prostu na niego patrzę i boję się go dotknąć, jakbym w ten sposób mogła uruchomić serię zdarzeń, której nie da się przerwać. Oczywiście to czysta głupota. Seria zdarzeń została zapoczątkowana dawno temu. Teraz nie mogę już nic zrobić, aby je zatrzymać.

Sięgam po paczkę i jestem zdziwiona jej wagą.

- Co to jest?

Dimitri siada obok mnie na łóżku; pod jego ciężarem materac lekko się ugina, co sprawia, że przesuwam się w jego stronę, lekko go dotykając.

- Coś, co sprawi ci przyjemność dzisiejszego wieczoru. Otwórz. Rozplątnę sznurek, którym obwiązana jest paczka, potem odwracam ją, żeby znaleźć miejsce, gdzie stykają się brzegi opakowania. Rozwijam papier, spod którego wyłania się wielka masa fioletowego jedwabiu. Kiedy go dotykam, przez moją pamięć przepływa powiew wspomnienia, silnego, ale nieukształtowanego, jak resztkę pięknego snu.

-Ja... nie rozumiem.

Z gardła Dimitriego wyrywa się dudniący śmiech, w którym jest nutka melancholii.

-Jesteś trudnym odbiorcą prezentów. Rozpakuj i zobacz.

Kładę pakunek na łóżku i unoszę brzeg zwoju. Jest gruby, ale tym się nie martwię, tylko strzepuję materiał, żeby się rozwinął. Na podłogę spływa błyszczący, fioletowy ocean. Stojąc, odsuwam tkaninę od siebie, żeby lepiej się przyjrzeć, i nagle rozumiem.

- O! Ale... - Zwracam się do Dimitriego, lecz emocje wzbierają mi w gardle. Muszę je opanować, żeby coś powiedzieć. - Skąd to masz?

-Jest tam chyba list, który wszystko wyjaśnia. - Dimitri skinie-

Rozkładałam szatę na łóżku i szukam pośród materiału oraz szarego papieru. Wreszcie znajduję grubą kartkę. Nie rozpoznaję tego charakteru pisma; podchodzę do kominka, żeby przeczytać list na osobności. Cokolwiek jest w nim napisane i ktokolwiek jest jego autorem, te słowa przeznaczone są wyłącznie dla mnie.

Przez chwilę moje oczy przyzwyczajają się do eleganckiego nachylenia liter, a kiedy zaczynam czytać, zapiera mi dech.

Moja najdroższa Amalio!

Czy to nie dziwni, że drobna rzecz potrafi wszystko zmienić W moim przypadku tak było z Twoim pobytem na Altus. Mieszkałaś tu ledwie kilka dni, ale Twoja przyjaźń okazała się dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Często o Tobie myślę.

Wiem, że zbliża się czas, kiedy będziesz musiała stawić czoło Samaelowi i jego Duszom. Wiem również, że będziesz działać dla

dobra Sióstr - tych, które żyły wcześniej, i tych, które przyjdą po Tobie. Dlatego słuszne wydaje się towarzyszenie Ci w jakiś sposób w tym zadaniu, mimo że nie mogę być w Avebury ani stać u Twojego boku podczas Obrzędu. Mam nadzieję, że tunika noszona przez Siostry doda Ci otuchy i mocy. Może przypomni Ci o Altus i o mnie. Chciała-bym, żebyś dzięki niej pamiętała, że jesteśmy z Tobą, choćby tylko duchem.

Twoi poddani i Twoja wyspa potrzebują Cię, moja Pani, moja przyjaciółko. Niecierpliwie oczekujemy Twojego powrotu.

Una

Wpatruję się w list jeszcze długo po jego przeczytaniu. Słowa przenoszą mnie w inne miejsce i przez moment czuję nadmorską bryzę, która ma w sobie zapach pomarańczy rosnących w zagajnikach Altus.

- Pojawiłaby się tu, gdyby mogła - mówi Dimitri, wciąż siedząc na łóżku.

- Wiem. - Odwracam się do niego ze słabym uśmiechem.

Przechodzę przez pokój i wydaję z paczki pierwszą długą tunikę, potem liczę pozostałe.

- Jest sześć. Jedna dla mnie, po jednej dla Kluczy i jedna dla ciotki Virginii. - Jestem zdumiona zapobiegliwością Uny.

- To suknie noszone przez Siostry na Altus, wkładane z okazji dawnych świąt i obrzędów - informuje Dimitri.

- Są piękne. - Przyciskam do piersi fioletowy jedwab, jakbym w ten sposób mogła zaczerpnąć siły Sióstr z wyspy. - Przekaż Unie moje podziękowania.

Dimitri wstaje i bierze mnie w objęcia, tak że trzymamy pomiętą tunikę pomiędzy nami.

- Podziękujesz jej sama, kiedy wszystko się skończy.

Jego głos jest schrypnięty z emocji, a ja nie odpowiadam. Po prostu stoję w opiekuńczym kręgu jego ramion i pozwalam mu twierdzić, że moje dalsze życie jest oczywistością i nie zależy od pewnego ryzykownego posunięcia - chociaż oboje wiemy, iż jest inaczej.

Spodziewałam się, że noc minie szybko - jak to zwykle bywa, gdy chcemy, aby czas płynął wolniej. Tymczasem godziny wloką się jedna za drugą. O wyznaczonych porach Dimitri i Edmund wstają, żeby

przeczesać teren kamiennych kręgów, ale Straży nie widać. To jednak nie zapewnia mi spokoju myśli.

Prawdę mówiąc, świadomość, że Straż jeszcze nie przybyła, budzi we mnie większy niepokój. Chciałabym wsiąść na grzbiet Sargenta i ruszać na patrol wraz z mężczyznami, ale nawet nie warto im tego proponować. Na pewno powiedzą mi, że to zbyt niebezpieczne i że aż do Obrzędu muszę pozostać w zamknięciu. Mimo to myślę sobie, że lepiej byłoby zginąć na koniu, w otwartym polu w Avebury,

z ręki kogoś ze Straży, niż umierać samotnie na zesłaniu w Pustce. Gdyby jednak tak się stało, nie podjęłabym próby zamknięcia Bramy. A taka możliwość nie wchodzi w grę.

Kiedy mały zegar nad kominkiem wybija trzecią w nocy, marzę tylko o tym, żeby już było po wszystkim. Jestem zmęczona czekaniem, rozmyślaniami.

Siedzę z Dimitrim na niewielkiej sofie, opierając się o niego i wtulając w jego ramię. On pochyla się i szepcze mi do ucha:

- Chyba pora, żebym zabrał Kamień.

Kiwam głową i pozwalam mu wstać. Słowa są tu zbędne. Dimitri przygotowuje Kamień przed Obrzędem, przed wschodem słońca, a ja zostanę w domu razem z Kluczami i ciotką Virginią prawie do samego świtu. Wszystko zostało zaplanowane.

Czuję na sobie wzrok pozostałych, kiedy unoszę wiszący na mojej szyi łańcuszek, obciążony Kamieniem. Bez zbędnych ceremonii wręczam go Dimitriemu, patrząc mu w oczy, nim wstanie i skinie głową na Edmunda i Garetha. W milczeniu wychodzą z domu.

Żadna z nas nie przerywa ciszy, jaka nastaje po ich odejściu.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że ruszam w drogę na miejsce kaźni. Stoję wraz z Kluczami i ciotką Virginią przy drzwiach domu i czekam na wiadomość, że nadeszła pora, by zgromadzić się wokół ognia. Z okien domu widać już płomienie, wysokie, sięgające nieba.

Mój czas się zbliża.

Podnoszę prawą rękę i odwiązuję medalion z nadgarstka; zakładam go na lewą. Odkąd wyśniłam scenę w Avebury, podczas której medalion sparzył mi skórę, wiem, że taki jest ostateczny warunek postawiony w przepowiedni. Końcowy egzamin. A żeby zatrzaskać Co oznacza, że mogę ją otworzyć, jeśli mi się nie uda.

Ale to bez znaczenia. Jest tylko jedno wyjście, dlatego przykładam lekko poczerńiały złoty krążek do znaku Jorgumanda. Moja dusza uwalnia się, jakby głośno wzdycha, kiedy symbol wyłobiony w medalionie sadowi się na swoim odbiciu na skórze. Przez chwilę moja wytrwała walka zdaje się głupotą, skoro przez cały czas spokój był tak blisko.

Potrząsam głową, odrzucając tę myśl, i opuszczam rękę wzdłuż ciała. Czyjeś palce splatają się z moimi, a kiedy przechylam głowę, żeby lepiej widzieć spod kaptura tuniki, dostrzegam elegancki profil i pełne usta Luisy wychylające się spośród jej jedwabnego okrycia.

Luisa odwraca się do mnie i mówi tak cicho, że chyba nikt poza mną jej nie słyszy:

- Lia... Ja... - Patrzy mi w oczy ze smutnym uśmiechem. - Jesteś bardzo dzielna. Cokolwiek się stanie, wiem, że zwyciężysz. W tym świecie albo w innym. Mam nadzieję, że zabierzesz mnie ze sobą, obojętne, gdzie pójdziesz.

- Dziękuję ci, Luiso. Ty pewnie zrobiłabyś dla mnie to samo. - Jestem jej wdzięczna za szczerość. Ten jedyny moment, w którym ktoś otwarcie przyznał, że mogę umrzeć, przynosi mi dziwną ulgę, że nie trzeba udawać. Nie zdobędę się jednak na to, żeby odwzajemnić uśmiech, bo wiem, że to byłoby oszustwo. Nie jestem dzielna. Wprost przeciwnie, cała się trzęsę ze strachu i podczas naszej rozmowy usiłuję opanować chęć, by wsiąść na Sargenta i uciec.

Umknąć i skryć się przed Strażą, Duszami i Samaelem na jak najdłuższy czas.

Na taki krok nie pozwala mi tylko prawda. A ona jest następująca: żyjąc, jak żyję, praktycznie jestem martwa. Nie mam dokąd uciec. Dopóki Brama pozostaje otwarta, Dusze i Samael będą mnie ścigać. Luisa ściska mnie za rękę i obydwie ruszamy w stronę otwierających się drzwi. Stoi w nich Edmund, oświetlony blaskiem dalekiego ogniska.

-Już czas. Do świtu została niecała godzina. Nie chcę wprawdzie narażać panienki, ale dłużej nie wolno zwlekać.

W krtani dusi mnie nowy strach, ale kiwam głową i przekraczam próg. Reszta grupy podąża za mną. Słyszę chrzęst ich kroków na kamienistej dróżce odchodzącej od domu, dopóki nie wydostajemy się na otwartą przestrzeń porośniętą trawą. W ciszy postępujemy za Edmundem w kierunku ogniska otoczonego kręgiem niewielkich

poходni. Unoszę wzrok w granatowe niebo i zauważam słabą poświatę na wschodzie. Tyka zegar, który wskaże, kiedy odprawić Obrzęd i jak potoczy się moja przyszłość. Zastanawiam się, ile czasu minie, nim słońce przebije się przez atramentową czern i oświetli Kamień.

Teraz zwracam uwagę na ciemną postać Dimitriego na tle ogniska, a zarys strzelby w jego ręce dodaje mi otuchy. Poprosiłam go, żeby nie interweniował, chyba że trzeba będzie bronić mojego ciała przed Strażą, gdybym znalazła się w Pozaświatach. Nie mam wątpliwości, że właśnie tam trafię. Jestem tylko człowiekiem i nie zdołam świadomie przebywać w obydwu światach naraz. Gdyby tutaj pod moją nieobecność wywiązała się walka, zostanie stoczona przez innych.

Zbliżam się do ogniska, chłonąc wszystko wyostrzonymi zmysłami. Trawa pod moimi stopami jest chłodna i bardzo się cieszę ze swojej decyzji, by przyjść tu bosą. Czuję energię Avebury jak prąd płynący pod skórą, tym silniejszy, im bardziej zbliżam się do widocznych w oddali głazów. To chyba ważne, żeby dotykać świętej ziemi, bo wibracje, jakie czuję w stopach, działają na mnie uspokajająco. Chcę czerpać siłę ze wszystkich możliwych źródeł - nawet zimny żmijowy kamień nadal mam na szyi. Być może utracił już duchową moc, ale należał do ciotki Abigail. Jej obecność przy mnie, choćby w takiej formie, jest dla mnie pocieszeniem.

Kiedy przechodzę przez krąg pochodni, Dimitri nie spuszcza ze mnie wzroku. Zatrzymuję się tuż przed nim. Najbardziej na świecie pragnęłabym przepędzić smutek i rezygnację, jakie widać w jego oczach.

Ostatecznie jednak wszystko, co mogę zrobić, to pozwolić mu usłyszeć swój zdecydowany głos:

-Jestem gotowa.

Dimitri kiwa głową i zdejmuję ze mnie spojrzenie, pokazując palące się nieopodal ognisko.

- Tutaj też wszystko gotowe. Podczas Obrzędu ogień nie jest konieczny, ale pomoże Edmundowi i mnie obserwować łąki, gdyby ktoś się zbliżał. Ustawiliśmy...

- Czy nie ryzykujemy, rozpalając ogień, skoro nie jest to niezbędne? - przerywa mu Helene.

Dimitri wydaje z siebie zmęczone westchnienie.

- Święty ogień jest elementem wielu dawnych obrzędów, ale używa się go także dla oświecenia. Jeżeli wszystko inne jest na swoim miejscu, Lia powinna zdołać zawezwać Samaela.

Nie wszystko jest na swoim miejscu, myślę. Nie ma z nami Alice. Zastanawiam się, czy inni myślą o tym samym, ale mówienie o oczywistych sprawach nic nam nie da. Teraz nie ma już odwrotu. Dimitri znów patrzy na ogień, a potem na wysoki drewniany trójnóg.

- Ułożyliśmy Kamień na takim podwyższeniu, żeby był jak najbardziej wystawiony na promienie wschodzącego słońca. Teraz mu-

sicie stanąć w kręgu, wziąć się za ręce i wypowiedzieć zaklęcie, czekając na światło, które padnie na Kamień.

Nie będzie to takie proste, jak opisuje, ale rzeczywiście na wschodzie niebo lekko się rozjaśnia, a mrok nad nami nie jest już tak gęsty.

Zwracam się do uczestniczek Obrzędu, patrząc po kolei na każdą z nich: na Helene, Brigid, Luisę, Sonię i ciotkę Virginie.

- Dziękuję, że jesteście tutaj ze mną. Zaczynamy?

t

Na początku czuję się skrepowana. Kiedy wymawiam słowa zaklęcia, brzmią bardziej obco niż wtedy, gdy powtarzałam je w pamięci. Nie zawsze recytuję równo z Kluczami, czasami się zacynam, pozostając w kręgu wokół ogniska i umieszczonego na podwyższeniu Kamienia. Całkiem przytomnie zauważam, że ręka stojącej obok ciotki Virginii jest chłodna, podczas gdy ręka Soni, znajdującej się z drugiej strony, lekko wilgotna.

Naprzeciw mnie, odgradzona płomieniami, stoi Brigid, uważnie powtarzająca zaklęcie, a po jej obydwu stronach - Helene i Luisa.

Patrzę na niebo tylko raz, spokojnie konstatując, że światło jest coraz silniejsze, a słońce wznosi się wyżej. Potem zamykam oczy, koncentrując się na treści zaklęcia, na równoczesnym deklamowaniu go z Kluczami i ciotką. Na przyzywaniu Bestii.

Słowa zaczynają brzmieć bardziej rytmicznie. Mówimy coraz zgodniejszym chórem, powtarzając zaklęcie jak mantrę, raz po raz.

Realny świat oddala się ode mnie, aż wreszcie łączę się z nim tylko

— W

go miejsca płynie w górę, poprzez moje nogi, brzuch i ramiona, dopóki całe ciało nie zacznie nią pulsować. Myślę o Altus; chciałabym znaleźć oparcie w tradycji równie starej jak samo

proroctwo. Wdycham uderzający do głowy aromat pomarańczy i słony zapach powietrza znad morza. Jestem przekonana, że słyszę fale rozbijające się o brzeg, i to tak blisko, jakbym stała na jednym ze skalistych klifów wyspy.

Nie czuję potrzeby otwierania oczu. Unoszę się w eterze, pomiędzy światem materialnym a Pozaświatami. Oddaję się cała. Również prastarym słowom, które wychodzą z naszych ust, żarowi ogniska, który czuję na twarzy, świętej ziemi, którą mam pod stopami.

Lecz potem coś otwiera moje oczy przymocą, jakieś oślepiające światło zalewa świat dookoła mnie, a w chwilę później widzę Kamień, rozjaśniony pojedynczym promieniem słońca, które właśnie wychynęło spod dalekiej linii horyzontu.

Ze środka kręgu dochodzi szum i rozplywa się na wszystkie strony, a Kamień, z którego wnętrza bije blask, zmienia kolor. Nie jest to już zwykły kawałek szarej skały, ale świecąca zielona kula. Nie mogę oderwać od niego wzroku, a moje usta nadal poruszają się jak w cichej modlitwie, wypowiadając słowa zaklęcia. Kamień przyciąga mnie, woła mnie, aż w końcu zapadam w przyjemny, niezwykle stan przypominający pożądanie. Opadają ze mnie wszystkie krępujące więzy, upajam się swoją wolnością.

Trwa to ledwie mgnienie oka, bo już po paru sekundach Kamień eksploduje oślepiającym światłem. Blask gwałtownie rozprzestrzenia się, zalewając obszar pomiędzy trójnogiem a naszym kręgiem.

Zamykam oczy, ale jasność nie znika, rozprasza mrok pod moimi powiekami, a po chwili widzę strzępki różnych obrazów.

Ja z Jamesem nad rzeką w Birchwood, obydwójce wyglądamy na niewiarygodnie młodych i beztroskich.

Henry patrzący na mnie z rozradowaną buzią, śmiejemy się nad książką w salonie.

Luisa, Sonia i ja, razem pokazujące nadgarstki, których gładka skóra naznaczona jest prawie identycznymi znamionami.

Ja nad urwiskiem ponad jeziorem, w którym moja mama za sprawą proroctwa złożyła ofiarę z własnego życia.

I wreszcie twarz Dimitriego i jego ciało poruszające się nade mną w blasku kominka, w moim małym pokoiku w Avebury.

Potem jest tylko ciemność. Z ulgą przepływam przez nią, zastanawiając się, czy już umarłam. Ale oczywiście to nie takie proste: wkrótce otwieram oczy i widzę, że znajduję się na tej samej

plaży, gdzie po raz pierwszy dowiedziałam się, jak dziwne są Pozaświaty i jak wielka jest moc myśli. U moich stóp przyplływają i odpływają fale, po lewej stronie wzrok nie sięga poza plażę, gdyż dalszy widok zasłania szereg skał kryjących jaskinie.

Rozglądam się i przez pewien czas czuję niepewność. Znalazłszy się tutaj, nie mam pojęcia, jak zakończyć prorocstwo. Dziwne, że po wszystkim, co się wydarzyło, po trudach ukrywania się przed Duszami w Pozaświatach, teraz mam ich poszukiwać na Równinie - ale najwyraźniej tak muszę zrobić. Gdyby problem polegał wyłącznie na wyrażeniu pragnienia, aby Brama się zamknęła, cała sprawa byłaby dawno zakończona. Jednak jestem tu, w Pozaświatach, w związku z działaniem Kamienia, Obrzędem i Kluczami. Mogę jedynie zakładać, że moje towarzyszki w materialnym świecie nadal trzymają mnie za ręce i wciąż recytują słowa zaklęcia, spełniając obowiązek wynikający z naszej umowy. Jednocześnie z nową ostrością

m

zdaję sobie sprawę, że moim zadaniem jest przywołanie Samaela, mimo że przez ostatnie dwa lata każda sekunda poświęcona była temu, aby go odtrącać.

Mam świadomość, że plaża nie jest dobrym miejscem na wykonanie tego zadania: po jednej stronie znajduje się morze, po drugiej - jaskinie. Nie chcę także spotkać się z Duszami w Pustce, bo chociaż ostatecznie może dojść do uwięzienia mnie pod lodem, nie mam zamiaru ułatwiać tego Samaelowi.

Nie, chciałabym spotkać się z nimi, a przede wszystkim z nim, na dobrze znanym mi terenie. W chwili gdy przychodzi mi to do głowy, mam już pomysł, gdzie dokładnie się udać. Przypominam sobie dawne słowa Soni, z czasów, kiedy podróżowanie po Równinie było dla mnie czymś nowym i niezwykłym.

Na Równinie stawa mają wielką moc, Lia.

Myślę o Birchwood. O ciągnących się we wszystkich kierunkach łagodnych wzgórzach. O lasach zasypujących pola liśćmi i o rzece płynącej obok dużego domu z kamienia. O cmentarzu, gdzie obok ciała ojca i matki spoczywa ciało Henry'ego.

To miejsce zarazem pocieszające i bolesne. Doskonale na ostateczne zdjęcie z siebie ciężaru przepowiedni.

Niedługo potem jestem już w powietrzu, frunę nad jaskiniami wzdłuż plaży, nad wydmami i nadmorską roślinnością, ustępującą wkrótce zielono-szarym polom, a później intensywnie zielonym łąkom.

Poniżej poruszają się jakieś stworzenia, wiele stworzeń. Wszystkie uciekają, jak przed pożarem, w przeciwną stronę, niż lecę. Nawet zwierzęta nie chcą przebywać tam, gdzie się udaję. Tylko ja podążam w kierunku Bestii, wszystkie inne istoty umykają.

Nie mam jednak czasu, by roztrząsać tę myśl. Zaczynam zniżać śleć o osobie, którą pragniemy zobaczyć, albo o zadaniu, jakie chcemy wykonać, i przenosimy się w odpowiednie miejsce dzięki energii naszego myślenia.

Lądując, spodziewam się poczuć miękką wiosenną trawę. Tymczasem coś drapie mnie w delikatne podeszwy stóp. Patrząc pod nogi i ze zdziwieniem stwierdzam, że trawa jest pożółkła i sucha. Zaczynam rozumieć, kiedy unoszę wzrok, badając bury krajobraz wokół mnie. Przypomina okolice Birchwood, ale jest martwym polem, gdzie kiedyś zostałam zawezwana, aby spotkać się z Alice.

Życia brakuje nie tylko trawie i drzewom. Wydaje się, że nawet w powietrzu nie ma tlenu. Że to jakiś opuszczony świat. Jakby każda istota w Pozaświatach wiedziała, że pobyt tutaj nie przynosi nic dobrego i postarała się jak najszybciej uciec. Kręcę się wokoło, szukając jakiegoś śladu Dusz.

Najpierw je słyszę. Nie - czuję.

Zaczyna się jak poruszenie ziemi pod stopami, jakby wielki zwierz sunął w moim kierunku i lada chwila miał wynurzyć się zza drzew.

Mój puls przyspiesza, czekam i nasłuchuję, bez zdziwienia konstatając, że dudnienie to odgłos końskich kopyt w oddali. Z nasilenia dźwięku wynika, że Dusz jest bardzo wiele. Znacznie więcej niż poprzednio. Niewątpliwie Samael postarał się zebrać wszystkich swoich służalców, aby wypełnili misję: raz na zawsze pochwycili i uwięzili tę, która miała wpuścić go do świata ludzi.

Konie zbliżają się z prędkością, przy której tempo piekielnej Sfory wydaje się leniwe. Odwracam się w kierunku linii drzew, skąd dobiega największy hałas, gotowa na pojawienie się Dusz na rumakach. Odgłosy wskazują na to, że Dusze nadciągają z różnych stron, ale nie zdołam patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie. W chwilę potem widzę, że wybrałam ten właściwy.

śleć o osobie, którą pragniemy zobaczyć, albo o zadaniu, jakie chcemy wykonać, i przenosimy się w odpowiednie miejsce dzięki energii naszego myślenia.

Lądując, spodziewam się poczuć miękką wiosenną trawę. Tymczasem coś drapie mnie w delikatne podeszwy stóp. Patrzę pod nogi i ze zdziwieniem stwierdzam, że trawa jest pożółkła i sucha. Zaczynam rozumieć, kiedy unoszę wzrok, badając bury krajobraz wokół mnie. Przypomina okolice Birchwood, ale jest martwym polem, gdzie kiedyś zostałam zawezwana, aby spotkać się z Alice.

Życia brakuje nie tylko trawie i drzewom. Wydaje się, że nawet w powietrzu nie ma tlenu. Że to jakiś opuszczony świat. Jakby każda istota w Pozaświatach wiedziała, że pobyt tutaj nie przynosi nic dobrego i postarała się jak najszybciej uciec. Kręcę się wokoło, szukając jakiegoś śladu Dusz.

Najpierw je słyszę. Nie - czuję.

Zaczyna się jak poruszenie ziemi pod stopami, jakby wielki zwierz sunął w moim kierunku i lada chwila miał wynurzyć się zza drzew. Mój puls przyspiesza, czekam i nasłuchuję, bez zdziwienia konstatując, że dudnienie to odgłos końskich kopyt w oddali. Z nasilenia dźwięku wynika, że Dusz jest bardzo wiele. Znacznie więcej niż poprzednio. Niewątpliwie Samael postarał się zebrać wszystkich swoich służalców, aby wypełnili misję: raz na zawsze pochwycili i uwięzili tę, która miała wpuścić go do świata ludzi.

Konie zbliżają się z prędkością, przy której tempo piekielnej Sfory wydaje się leniwe. Odwracam się w kierunku linii drzew, skąd dobiega największy hałas, gotowa na pojawienie się Dusz na rumakach. Odgłosy wskazują na to, że Dusze nadciągają z różnych stron, ale nie zdołam patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie. W chwi-

Dusze wynurzają się z lasu z uniesionymi rękami, w których trzymają rozpalone do czerwoności miecze. Już zapomniałam, jak są wielkie. Podczas gdy członkowie Straży Samaela są wzrostu żyjących na ziemi ludzi, Dusze przewyższają śmiertelników dwukrotnie, a dosiadają koni, przy których Sargent zdaje się kucykiem. Dostrzegając, że stoję na polu, nie zwalniam ani nie zatrzymuję się, lecz suną naprzód z

nową energią, jakby chciały mnie pochwycić, nim rzucę się do ucieczki. ✓

Ale ja nie robię nic. Nie zatroszczyłam się nawet o to, żeby zabrać łuk czy jakąś inną broń. Tamten czas już minął. Teraz moim zadaniem jest zmusić Dusze, aby przyszły do mnie.

Walczyć siłą, którą odziedziczyłam po żyjących przede mną Siostrach.

Takich jak ciotka Abigail, ciotka Virginia, moja mama.

Jednak teraz nie mogę o tym myśleć, bo Dusze są przy mnie, napływają ze wszystkich stron, osaczają mnie jak małe zwierzątko. Kiedy jestem całkowicie okrażona, a Dusze jest tak dużo, że nie widać końca tej rzeszy, jednocześnie unoszą w górę miecze, a z ich gardeł wyrывa się dziki wrzask. Nawet bez słów można się domyślić, że niezaprzeczalnie jest to okrzyk zwycięstwa.

Ogarnia mnie drzenie, nie umiem ukryć strachu. Są potężne, ich ciała to góry mięśni naprężających się pod poszarpanym odzieniem. Ich triumfalne miny i zarośnięte twarze napawają mnie przerażeniem i obrzydzeniem.

Zacieśniają krąg wokół mnie, podprowadzając konie coraz bliżej, a te olbrzymy obnażają swoje zębiska i starają się mnie ugryźć, na co Dusze patrzą z widoczną przyjemnością. Zaczynam myśleć, że pobyt w Pustce zostanie mi oszczędzony. Że umrę tutaj, stratowa-

Lecz wówczas mam wrażenie, jakby bicie mojego serca nagle się zwielokrotniło. Na początku to niewyraźne odczucie, nie jestem go pewna, ale potem narasta. To dzieje się i poza moim ciałem, i w nim, a potem ogarnia zarówno ciało, jak i duszę. Z jednej strony złowroga armia zaczyna się rozstępować, unosząc miecze i pochylając głowy. Słyszalny puls jest jeszcze silniejszy, już prawie równy z moim, a Dusze usuwają się z drogi, robiąc przejście Bestii.

Samael, w czarnych szatach, zatrzymuje się przede mną. Podobnie jak Dusze, jest zatrważająco wielki. Ma twarz przystojnego mężczyzny, ale ja szybko przypominam sobie te chwile na Równinie, gdy jego oblicze zmieniło się w pysk straszliwego potwora, jaki ścigał mnie podczas podróży przez las i chciał dosięgnąć swoimi ostrymi jak brzytwa pazurami. Nie wolno mi tego zapomnieć. Nie mogę dać się

zwieść tej fałszywej, uwodzicielskiej twarzy ani biciu serca, które stara się tętnić równo z moim.

Samael stoi nade mną jak góra. Gdyby ruszył naprzód, zmieniłabym się w proch pod jego stopami. Nie zbliża się jednak na koniu, lecz, co mnie dziwi, mimo swych potężnych rozmiarów zeskakuje na ziemię jednym szybkim ruchem, zwinniej niż człowiek.

- Pani, zaszczytasz mnie swoją obecnością. - Jego głos jest zniekształcony, zdeformowany, jakby zwierzę starało się przemówić, korzystając z odmienionego ciała.

Przełykam ślinę i staram się zachować stanowczy ton.

- To nie żaden zaszczyt. Przychodzę w imieniu Sióstr, aby zamknąć Bramę i na zawsze zakazać ci wstępu do naszego świata. - Nawet mnie wydaje się to dziecinne, ale nie potrafię powiedzieć nic innego.

Samael podchodzi do mnie wielkimi krokami. Ziemia drży, chyba nie tylko pode mną, ale o wiele dalej od miejsca, w którym się znajdujemy.

- Nie ma z tobą Strażniczki.

- Być może nie ma - unoszę podbródek - ale i tak mam zamiar zamknąć Bramę, gdyż prorocтво upoważnia mnie do tego.

Zbliżając się, Samael mruży oczy. Widzę, że ich tęczęwki są prawie złote, otoczone czerwoną obwódką.

- Uparta jesteś, pani. - Jego głos wnika we mnie przez pory w skórze, przepływa przez całe ciało. Za plecami Samaela szumią jego skrzydła. - Zaznasz wytchnienia dopiero wtedy, gdy pozbędziesz się swoich złudzeń.

Podchodzi jeszcze bliżej, zatrzymując się tuż obok i przewiercając mnie wzrokiem. Przestaję zauważać świat wokół mnie. Martwe pole, Dusze... Wszystko znika, kiedy ten dziwny głos wpełza w moje żyły, a słowa kończą się ohydny sykiem.

- Twoje miejsce jest przy mnie, przecież wieszysz. Na pewno to czujeszysz.

Skrzydła rozwijają się jednym gwałtownym ruchem, zasłaniając Dusze stojące po obu stronach. Kuszą mnie, ich piękne pióra lśnią jak wypolerowany onyks, obiecują mi bezpieczeństwo i spokój. Ze strony Samaela i, co najważniejsze, we mnie samej.

Potrząsam głową, pozostając wierna wspomnieniu wyznaczonego celu.

- Nie. To nieprawda. - Ale pulsowanie, jakie słyszę w głowie, narasta. Rytm nie rozmija się już z moim tętnem. Obydwa serca pracują w absolutnej harmonii, a moja determinacja słabnie.

-Już czassss - mówi Samael, robiąc ostatni krok w moją stronę i dotykając mojego policzka grzbietem okrytej rękawicą dłoni. - To naturalne, że czujesz więź, jaka jest między nami. To żaden wstyd. Urodziłaś się po to, żeby wpuścić mnie do świata ludzi. I panować Kręcę głową, chcąc jeszcze raz zaprzeczyć, ale ogarnia mnie bezwład, jakby mój umysł zasnuwała mgła, w której wszystkie słowa Samaela wydają się prawdą. Nabieram poczucia, że są słuszne, kiedy wokół moich ramion owijają się skrzydła Bestii, ciepłe i miękkie. Serce bije coraz głośniejsze. To już jedno, nasze serce, jeden rytm.

Teraz wszystko jest takie proste.

Jesteśmy jednością, tak jak każe proroctwo. Nie jestem powołana do tego, żeby sprzeciwiać się Bestii. Mój sprzeciw był wyłącznie źródłem smutku, straty, ciemności. Właśnie tego, czego chciałam uniknąć, odmawiając Samaelowi wstępu.

Zapadam się w jego zmysłowe skrzydła, pocieram policzkiem o pióra, pozwalam, żeby moje serce biło z jego sercem, ale nagle moja dusza zostaje niemal rozdarta na pół.

Krzyczę, odrywam głowę od pokrytej puchem piersi Bestii. Z jej objęć wyrywa mnie pociągnięcie astralnego sznura łączącego mnie z ciałem, spadam w ciszę i mrok. Spadam bez końca, a potem moim pierwszym świadomym odczuciem są dochodzące z oddali głosy, które chórem powtarzają jakieś słowa, dziwne i zarazem znajome. Pod plecami czuję coś twardego, stąd wiem, że już nie spadam. Z wysiłkiem otwieram oczy, jakbym budziła się z długiego snu.

Otoczające mnie postaci są jakieś powykrzywiane, zniekształcone, a tam, gdzie powinny znajdować się ich twarze, widzę czarną próżnię. Dopiero po chwili rozpoznaję te zakapturzone osoby w powłóczystych szatach i przypominam sobie: to Klucze. Nadal recytują zaklęcie, a ja leżę na ziemi obok ogniska, w jakiś sposób wyrwawszy się z ich kręgu. Z tęsknotą wspominam Bestię, a kiedy moje ciało rozdziera kolejny bolesny wstrząs, krzyczę w ciemność. Nadgarstek pali mnie żywym ogniem, z trudem podnoszę rękę i nie wiem, czy tylko to sobie wyobrażam, czy rzeczywiście medalion stapia się w jedno ze znamieniem, sprawiając mi cierpienie.

Wiem, że zbliża się Samael, dlatego podnoszę ramiona w geście kapitulacji. Wreszcie wkroczy do świata za moim pośrednictwem, dlatego poddaję się bólowi, zrzucam z siebie ciężar walki. Chcę odzyskać ten ulotny spokój i poczucie sensu, jakie miałam pod osłoną jego skrzydeł.

Podjąwszy decyzję, zaczynam odczuwać ulgę, ale wtem do moich uszu dochodzi tętent kopyt. Najpierw myślę, że to jadą Dusze chcące wspomóc Samaela. Poprowadzić mnie w stronę błogiego zadowolenia, jakie zyskam, stając się jego Bramą.

Lecz ten dźwięk nie dobiega z Pozaświatów, gdzie nadal przebywa jakaś część mnie. Te konie biegną tutaj, są tuż poza kręgiem postaci w tunikach. Patrzą tylko w ich stronę, zbyt słaba, aby unieść głowę.

Za otaczającymi mnie istotami bez twarzy rozlegają się męskie głosy. Spomiędzy nich przebija jeden żeński.

Ten głos góruje nad pozostałymi.

- Przepuście mnie! Muszę pomóc siostrze!

Nagle zjawia się Alice i klęka przy moim boku, chwytając mnie za rękę.

Poza bezpiecznym obszarem kręgu dostrzegam jeźdźców na koniach.

Przez ciemność przychodzi do mnie twarz jasnowłosego

prześladowcy, zniekształcona za sprawą bólu, jaki odczuwam, i migotania ogniska. Z wyrazem wielkiego gniewu obserwuje Alice.

Teraz już wiem. Straż rzeczywiście podjęła pościg. Przez cały czas była na tropie. Lecz to nie mnie starała się powstrzymać. Nie tym razem.

i

Goniła moją siostrę.

- Jesteś tu, Lia? Jesteś tu czy tam? - Chcę otworzyć usta, żeby odpowiedzieć, ale nie mogę wydobyć z siebie słów. Nie czekając na nie, Alice mówi dalej: - Nie ma znaczenia. Obojętne, gdzie jesteś,

* #

nie słuchaj go. To wszystko kłamstwa. - Kładzie się na ziemi obok mnie, wyciąga wzdłuż mojego boku i bierze mnie za rękę. Jej oczy wypełnia smutek i coś jeszcze. Coś, czego nie widziałam w nich od bardzo dawna. Miłość. - Myślisz, że dzięki temu będę znowu dobra? Nie mam czasu, żeby odpowiedzieć. Gdy tylko jej dłoń splata się z moją, czuję następne silne szarpnięcie i razem lecimy przez ciemność.

- Ty! - Samael wypluwa z siebie to słowo. Jego czarne skrzydła trzepoczą, wzniesając gniewny wiatr. Bestia znów wsiadła na konia, stoi na martwym polu, kilka metrów ode mnie i mojej siostry.

Mówiąc, Alice nie patrzy na mnie.

- Teraz musimy powtórzyć zaklęcie razem, Lia.

Zaczyna wypowiadać tekst, podobnie jak ja czyniłam to wraz z Kluczami, nim zostałam przeniesiona w Pozaświaty: *Sacro orbe ab angelis occidentibus effedo potestatem sororem societatis convocamus Custos Por-taque ut Diabole saeculorum te negaramus in aeternum.*

Porta se praecludat et totus mundus tutus a tua iracundia fiat.

Mija chwila, nim jej polecenie dociera do mojej przytępionej świadomości, ale wkrótce powtarzam zaklęcie razem z siostrą. Nasze głosy wznoszą się ponad Samaelem i jego Duszami, wzbijają się w górę pośród niezwyklej ciszy martwego pola. Słowa są coraz głośniejsze, odważniejsze, a Dusze zaczynają się wiercić na swoich koniach. Wierzchowce cofają się, choć jeźdźcy prowadzą je naprzód i okładają batami.

Złote oczy Samaela, z błyszczącymi czerwonymi obwódkami, wpatrują się w moje.

- Pani, jakże poważny błąd popełniasz.

Moim słowom towarzyszy narastająca moc, wraz z siostrą podnoszę głos. Zawsze wiedziałam, że we dwie jesteśmy silniejsze. Ciekawe, czy Alice także to rozumie.

Wiatr nasila się, teraz go słyszę i czuję. Unosi się dookoła nas jak chmura, otulając kokonem Bestię, Alice i mnie, jakbyśmy stali w oku cyklonu. Włosy owijają mi się wokół twarzy. Pod naporem wichury z trudem udaje mi się stać prosto.

Samael przenosi spojrzenie na Alice.

- Drogo zapłacisz za swoją zdradę. - Nie przekrzykuje wiatru, ale i tak świetnie słyszę jego słowa.

Alice patrzy mu w oczy bez zmrużenia powiek, nie przestając powtarzać zaklęcia.

Zaraz potem ponad nami rozlega się potężny trzask. Podnoszę wzrok i jakoś bez zdziwienia obserwuję, że w niebie Pozaświatów pojawia się ogromna dziura. Samael podąża za moim spojrzeniem, a jego dotychczas ludzkie oblicze całkowicie się zmienia.

To potwór.

Bestia.

Kieruje swoje złe oczy, teraz prawie zupełnie czerwone, na Alice.

- Skoro ja mam odejść, odchodzisz i ty.

Przez moment wydaje mi się, jakbym wpatrywała się w wodę, odczytując z niej przyszłość. Postać Samaela drży, a szaty pękają z głośnym trzaskiem, bo jego ciało staje się coraz większe i większe, aż uwalnia się z odzienia, które skrywało podobny do ludzkiego kształt. Forma, która się wyłania, nie przypomina wyrzeźbionej sylwetki mężczyzny. Jest pokraczna, zniekształcona. Nie mogę przestać obserwować tej przerażającej metamorfozy. Twarz Samaela także zaczyna się przeistaczać. Najpierw rośnie szczeka, odkrywając nieprawdopodobnie spiczaste kły. Ich zakończenia są cienkie i ostre jak miecze. Bestia ryczy jak wulkan i chce nas dosięgnąć zębami. Jej palające zemstą spojrzenie skierowane jest ku Alice.

Ona jednak nie przerywa swojej recytacji, a we mnie narasta lęk o siostrę. Nawet teraz - wbrew wszystkiemu, co zaszło, mimo tego, co uczyniła - nie chciałabym, aby została skazana na pobyt w Pustce. Po zaciśniętych szczękach poznaję, że jest zdeterminowana, dlatego znów dołączam się do słów zaklęcia, wypowiadając je równo z siostrą. Po kolejnym przeraźliwym trzasku pęknięcie w niebie jeszcze się powiększa, a cały świat umyka mi spod stóp. Samael rzuca spojrzenie w górę, potem ściąga lejce swojego konia. Wierzchowiec tańczy na tylnych nogach, rzucając długi cień na wszystko wokół. Bestia wbija w nas swoje ślepia i szarżuje.

- Nie przestawaj powtarzać zaklęcia, bez względu na to, co się stanie, dopóki nie będziesz znów bezpieczna w naszym świecie, Lia. Obiecuj mi to, bo inaczej cały trud pójdzie na marne.

Odpowiadam po chwili, przekrzykując ryk wiatru:

- Obiecuję!

Zgodnym chórem skandujemy zaklęcie, a Samael pędzi galopem prosto na nas, wpatrując się w Alice. Nie czuję, żeby jego serce biło w rytmie mojego, ale mój puls i tak przyspiesza, w miarę jak Bestia zbliża się do nas. Nie wiem, który hałas jest silniejszy - ten powodowany przez wiatr, czy przez dudniące kopyta rumaka Samaela. Jednak pamiętam o swoim przyrzeczeniu i nie przerywam wymawiania zaklęcia, nawet gdy Bestia jest tuż na wprost. Nawet gdy się nachyla i mijając nas, porywa Alice. Chce odciągnąć ją ode mnie,

• - *

więc ściskam jej rękę tak mocno jak wtedy, gdy ratowała mnie od pewnej śmierci w odmętach rzeki w pobliżu domu w Birchwood. Lecz to na nic. Moja siła nie może równać się z potęgą Samaela. Alice zostaje wyszarpięta z moich rąk. Bestia rzuca ją na grzbiet konia, a potem nakrywa skrzydłami, tak że wcale jej nie widzę. Zawraca rumaka i rusza w stronę lasu.

Ale nie udaje jej się ujechać daleko.

Po chwili koń zwalnia, a potem całkiem się zatrzymuje. Widzę, że zwierzę stara się utrzymać równowagę, walcząc z jakąś niewidzialną mocą. Rżąc, staje na tylnych nogach - i zaraz zostaje uniesione w górę. Na grzbiecie wierzchowca nadal siedzi Samael wraz z moją siostrą. Razem z koniem wpadają w szczelinę w niebie.

Nawet stojąc na ziemi, dostrzegam, jak Bestia i jej ogier opierają się sile, która wciąga ich w otwór. Nie wiem, czym jest ta potęga, którą wraz z Alice zdołałyśmy rozbudzić, ale z pewnością przewyższa możliwości Samaela.

Wkrótce znikają.

- Alice! - Mój głos niesie się przez pola, które teraz okrywa głucha cisza.

Odwracam się, żeby spojrzeć na Dusze, i z zaskoczeniem stwierdzam, że odeszły. Wiatr się uspokoił, a rozpadlina w niebie zamknęła, jakby jej nigdy nie było. Słyszę stuknięcie metalu o ziemię w miejscu, gdzie stoję, a kiedy się nachylam, dostrzegam leżący w trawie medalion.

Podnoszę go i obracam w dłoniach, spodziewając się ujrzeć wyryty na nim znak.

Jorgumanda nie ma.

Przekręcam rękę i patrzę na nadgarstek, sądząc, że również znamie zniknęło, ale nie - jest. Tak jak przez cały czas od śmierci taty.

Dotykając gładkiej już powierzchni medalionu, zastanawiam się, czy zabrać go ze sobą. Był częścią mnie, towarzysząc mi w zdarzeniach przedziwnych i strasznych, dlatego niełatwo mi się z nim rozstawać.

Jednak chętnie wyzwolę się spod jego władzy. Rzuciwszy medalion na ziemię, rozglądam się i myślę o siostrze. Mam nadzieję, że dzięki prawom panującym na Równinie przeniosę się tam, gdzie ona, jak to wcześniej bywało. Wyobrażam ją sobie w Pustce, na plaży, w każdym z siedmiu Pozaświatów, jakie poznałam, ale nigdzie się nie przenoszę.

Zamiast tego znowu spadam w ciemność, lecę i lecę, póki moja dusza nie złączy się z ciałem.

Leżę obok mojej martwej siostry na łąkach Avebury.

Tak mocno wciągam powietrze, że aż bołą mnie plecy, staram się złapać oddech. Przez jakiś czas nie wstaję, zbierając siły, później podnoszę się u boku Alice. Wsuwam dłoń pod jej głowę i kładę ją sobie na kolanach.

-Alice! Wracaj, Alice! Udało ci się! Udało się nam\ - Jakie to dziwne uczucie, kiedy z ust wydobywają się słowa; moje gardło gwałtownie protestuje, jakbym od dawna nic nie mówiła. Jestem zdziwiona łzami kapiącymi na twarz mojej siostry. Zaskoczona tym, że za nią płaczę. - Wracaj, i to już. James czeka. - Przemawiam surowo, jakby moja złość mogła ożywić jej ciało. - Zrobiłaś to dla niego, prawda? Prawda?!

- Lia. - Dimitri nachyla się nade mną i kładzie mi dłoń na ramieniu. - Ona odeszła, Lia. Zrobiła to, po co przyjechała.

- Nie - kręcę głową. Łzy płyną coraz szybciej, podczas gdy jeszcze mocniej przyciskam do siebie ciało Alice. - To niesprawiedliwe. Nie mogła odejść. Przecież wypełniła swoją rolę Strażniczki. Uratowała mnie. Uratowała nas wszystkich.

- Lia - powtarza cicho Dimitri.

Potrząsam głową. Nie chcę patrzeć mu w oczy. Jeśli to zrobię, wszystko okaże się prawdą.

Dlatego spoglądam na Luisę, Sonię, ciotkę Virginie... każdego, kto stoi obok.

- Ona wyzdrowieje, prawda? Trzeba czasu, żeby wypoczęła po podróży. Ona po prostu śpi.

Luisa klęka koło mnie na trawie, mówi prawie szeptem. Nie mam ochoty patrzeć na jej twarz - wyraża ulgę.

-To koniec, Lia. Udało ci się. Zamknęłaś Bramę przed Samaelem. Zaprzeczam, kołysząc się w przód i w tył, z ciałem Alice w ramionach. Staram się nie słuchać słów Luisy.

Dimitri nie pozwoli mi jednak unikać prawdy.

- Spójrz na mnie, Lia - mówi władcym tonem. Patrzę mu w twarz, ale nie puszczam bezwładnego ciała mojej siostry. - Alice wiedziała, co robi. Wyprzedziła Straż, żeby zdążyć, a ścigający odjechali, gdy zamknęłaś Bramę. Twoja siostra rozumiała, na czym

będzie polegać jej ofiara. Zdawała sobie sprawę, że nie ujdzie z życiem. Ale tak właśnie zdecydowała.

- Chciała być znowu dobra. - To zdanie zagłusza szloch.
- Tak - potwierdza Dimitri. - Chciała być znowu dobra.

Słońce jest dzisiaj jak wojownik: walczy dzielnie z otaczającymi je stalowymi chmurami. Myślę, że to dobrze, iż ten dzień nie jest ani słoneczny, ani pośepny - jakby same niebiosy nie miały pewności, co sądzić o śmierci Alice.

Milczący James stoi po mojej lewej stronie. Znajdujemy się na małym rodzinnym cmentarzu na wzgórzu. U naszych stóp wyrósł kopczyk świeżo przekopanej ziemi, a w głowach grobu sztywno tkwi granitowa tablica. Dimitri wraz z innymi odszedł do domu, dając mnie i Jamesowi czas na pożegnanie się z Alice. I ze sobą.

Nie wiem, jak zacząć. Chcę, żeby James zrozumiał znaczenie miłości i ofiary mojej siostry, ale nie mam zupełnej pewności, że i

pojął prawdę o prorocत्वie. Próbowałam mu wszystko wytłumaczyć po naszym powrocie z Avebury, lecz relacja na temat śmierci narzeczonej jak gdyby odbijała się od powierzchni jego pozbawionej wyrazu twarzy. Od tej pory nie zadał ani jednego pytania.

A >

Wydaje mi się, że dla Jamesa wszystko jest prostsze, szczegóły nie mają znaczenia. Liczy się to, że nie ma Alice i że ja także mogę odejść.

Wreszcie odwracam się, żeby spojrzeć na jego dobrą twarz i powiedzieć jedyną rzecz, którą naprawdę powinien wiedzieć.

- Kochała cię i chciała zasłużyć na twoją miłość. Słyszę, jak wciąga powietrze.

Patrzy teraz na mnie, w ręku trzyma kapelusz.

- Czy to moja wina?
- Oczywiście, że nie - zaprzeczam. - Alice zrobiła to, co chciała
- tak jak zawsze. Nie powstrzymałbyś jej, nawet gdybyś wiedział o jej

t

planach i próbował. Nikt by jej nie przeszkodził.

James wzdycha i spogląda na grób, lekko kiwając głową.

- Co teraz zrobisz? - pytam.

- Będę robił to, co przedtem. - Wzrusza ramionami. - Pracował w księgarni z ojcem, katalogował książki, starał się zrozumieć to, co się stało. - Przechyliła głowę i ponownie mi się przypatruje. - A ty? Czy kiedyś wrócisz?

- Nie wiem. To miejsce... - Oglądam okoliczne wzgórza, łąki porośnięte polnymi kwiatami. - Kryje tyle moich wspomnień.

- Odwracam się i patrzę na Jamesa. - Chyba dopiero czas pokaże, czy zdołam je wszystkie unieść.

James ze zrozumieniem potakuje.

- Gdybyś kiedyś doszła do wniosku, że zdołasz, mam nadzieję, iż wpadniesz z wizytą. Daj nam znać, jak ci się wiedzie.

- Dziękuję, James. Postaram się. - Udaje mi się wykrzesać z siebie uśmiech.

Wkłada kapelusz i pochyla się, żeby pocałować mnie w policzek. Czuję ten wyjątkowy, charakterystyczny dla Jamesa zapach książek, kurzu i atramentu. W jednej chwili wydaje mi się, że znowu mam piętnaście lat.

- Do widzenia, Lia.

Mrugam, żeby pozbyć się wypełniających mi oczy łez.

- Do widzenia, James.

Odchodzi, jego podążająca w dół zbocza postać maleje. Patrzę za nią, póki nie zniknie.

Odwracam głowę, a moje spojrzenie prześlizguje się po innych grobach. Pochowano tu mamę i ojca; białe lilie, które przyniosłam im dziś rano, leżą na puszystym dywanie z traw. Dalej stoją poczerniałe, trochę przekrzywione płyty nagrobne rodziców mojego taty.

Mój wzrok przyciąga jednak przede wszystkim grób Henry'ego. Podchodzę tam i bez zdziwienia przyjmuję fakt, że miejsce jego ostatniego spoczynku zamiast trawy porastają fiołki. Myślę o jego dobrym serduszkach, spokoju i sile. Wierzę, że to nie przypadek, iż kwiaty zdobiące jego grób mają ten sam kolor, co szaty Sióstr.

Sióstr z Altus.

Wyobrażam sobie Henry'ego, jak biegnie pod pięknym niebem ostatniego ze światów, wreszcie wolny, jak inni chłopcy. On bardziej niż ktokolwiek zasłużył na taką błogość. Unoszę rękę do ust, a potem wyciągam ją przed siebie i dotykam palcami miejsca, gdzie w kamieniu wyryto imię mojego braciszka.

- Do widzenia, Henry. Byłeś lepszy niż my wszyscy.

Przeszłość to wspomnienie krętej drogi, która doprowadziła mnie do tego miejsca, do tego momentu. Ta droga ciągnie się w przyszłość, bo dzisiejszy dzień nie składa się z samych pożegnań.

To początek czegoś nowego.

Przypominam sobie dzień, kiedy wraz z Dimitrim staliśmy na pokładzie statku, który zabierał nas z Anglii do Nowego Jorku.

Morze przed nami, jak okiem sięgnąć, było wzburzone. Na początku nie patrzyłam na Dimitriego. Po prostu spoglądałam na wodę i tak spokojnie, jak tylko umiałam, oznajmiłam mu, że przyjmę na siebie obowiązki władczyni Altus i będę przy nim trwać we wszystkich sprawach. Z uśmiechem nachylił się, a potem pocałował mnie szybko, lecz delikatnie - do takich pocałunków przyzwyczał mnie od czasu pobytu w Avebury. Gdy się odsunął, zobaczyłam w jego oczach całą miłość i wiarę świata, jak gdyby nigdy nie miał żadnych wątpliwości, że taką właśnie decyzję podejmę, że jej dożyję.

Teraz jednak myśli o przyszłości zostawiam na jutro. Podchodzę do grobu Alice, wiedząc, że stoję nad nim może po raz ostatni. Patrząc na epitafium wyżłobione w gładkiej tablicy: Alice Elizabeth Milthorpe Siostra, Córka, Strażniczka 1874-1892

Zasłużyła na każde wymienione tu miano, ale przez chwilę czuję ukłucie bólu - napis nie wyraża żadnych emocji. Nawet teraz nie potrafię zrozumieć mojej siostry. Nie wiem, co myśleć o jej pospiesznej jeździe do Avebury, o jej poświęceniu i pomocy przy zamykaniu Bramy. Przypuszczam, że z czasem moje uczucia nabiorą jasności, lecz obecnie zaciemnia je zbyt wiele szczegółów. Nie umiem ich uprościć ani nazwać.

Przypominam sobie, jakie byliśmy, nim górę wzięło proroctwo, jak jeździłyśmy konno po polach otaczających Birchwood. Alice zawsze była tak szybka, że nie mogłam jej dogonić, nie chciała nawet dać mi tej szansy. Widzę, jak leżymy obok siebie w naszym dziecięcym pokoju, odpływając w sen, a nasze loki mieszają się na poduszce. Pamiętam, jak trzymając się za ręce, unosiłyśmy się w morskiej wodzie podczas nauki pływania, a nasze dziecięce ciała były swoim wzajemnym odbiciem. Mam to wszystko przed oczyma i wiem, że nawet jeśli pojmę wiele spraw tego świata, Alice na zawsze pozostanie dla mnie piękną tajemnicą.

Taką, której nie będę starała się odgadnąć. Teraz potrafię ją kochać z całym jej urokliwym mrokiem.

Jeszcze raz gładzę rękami szczyt tablicy, a potem odwracam się, żeby odejść, podążyć w dół trawiastym zboczem w stronę Birchwo-od Manor, rozumiejąc wreszcie tę jedyną rzecz, która ma znaczenie.

Alice była moją siostrą.

I wcale tak bardzo nie różniłyśmy się od siebie.

PODZIĘKOWANIA

By opowiedzieć całą tę historię, potrzeba było pięciu lat i niezmiernie wielu wspaniałych osób. Nie da się podziękować każdemu, ale wypada przynajmniej spróbować.

Po pierwsze dziękuję mojemu agentowi, Stevenowi Maikowi. Stevenie, wszystko się udało dzięki temu, że od początku wierzyłeś w tę książkę. Co ważniejsze, nadal wierzysz we mnie i sens tych licznych opowieści, jakie jeszcze mam do przekazania - to dar o niezmiernie wartości. Dziękuję, że byłeś po mojej stronie, kiedy miałam rację; że mówiłeś mi wprost, gdy się myliłam; że każde moje posunięcie wspierałeś swoim zaufaniem i niebywałymi umiejętnościami.

Moim wspaniałym redaktorem była Nancy Conescu. Nancy, dziękuję ci za to, że byłaś jedyną osobą, której ta opowieść podobała się tak samo jak mnie. Twój niezwykły talent sprawił, że zyskałam wielką wiedzę, która nieustannie pomaga mi stawać się lepszą pisarką. Kiedy spisuję przy komputerze różne historie, to twój głos, stanowczy i pełen zrozumienia, słyszę w swojej głowie. Nigdy nie zdołam wyrazić całej wdzięczności za to, że towarzyszyłaś mi w tej podróży.

Dziękuję też Alison Impey. Nigdy nie poddałaś się, pracując nad okładkami moich książek, a twoje projekty są niesamowite.

Podziękowania otrzymują również Kate Sullivan, Megan Tingley, Andrew Smith, Melanie Chang, Lisa Sabater, Jessica Bromberg, Lauren Hodge oraz inni pracownicy wydawnictwa Little, Brown and Company z działu książek dla młodych czytelników, którzy postarali się, aby „Proroctwo Sióstr” pojawiło się na świecie w tak eleganckiej formie.

Wyrazy wdzięczności przekazuję moim drogim przyjaciółkom. Lisa Mantchev, Jenny Draeger, Tonya Hurley i Georgia McBride wspierały mnie podczas długich wieczorów i trudnych okresów przejściowych. Dziękuję także żarliwym czytelnikom i pisarzom, którzy odwiedzają moją stronę internetową i dotrzymują mi towarzystwa w sieci. Są to zwłaszcza: Devyn Burton, Catherine Haines, Adele Walsh, Kaiden Blake oraz Sophie i Katie z Mundie Moms.

Specjalne podziękowania otrzymują: Dan Russo - za sprawdzenie poprawności mojej łaciny, Jenny i jej mama Janet - za pomoc w prowadzeniu czytelników po wiejskich krajobrazach Anglii; Gail Yates i Laura McCarthy- za przekazanie mi najważniejszych informacji z dziejów Irlandii.

Dziękuję Wam, Morgan i Anthony, dożywotni członkowie „paczki” Zinków, oraz Tobie, Layla, doskonała partnerko w pisarstwie.

Nigdy nie starczy mi słów, aby podziękować mojej mamie, Claudii Baker, za jej pomoc i wytrwałość w tak trudnym zadaniu, jakim jest rozumienie i akceptowanie mojej osoby. Kiedy myślę o tych rzeczach w życiu, z których najbardziej się cieszę, jesteś, Mamo, na szczycie listy.

Na koniec dziękuję tym, którzy są miłością i światłem mojego życia. To Kenneth, Rebekah, Andrew i Caroline. Wszystko dzieje się dla nich i za ich przyczyną.

A Wam, drodzy czytelnicy, dziękuję za to, że umożliwiacie realizację moich przedsięwzięć poprzez nieustanne sięganie po te opowieści. Przy tym wcale nie uważam, że zdobyłam Wasze zaufanie raz na zawsze.

mieszka w Nowym Jorku. Pomysł na trzyczęściową powieść o historycznej przepowiedni zrodził się z jej wielkiej fascynacji dawnymi mitami i legendami. Pierwszy tom trylogii, Proroctwo sióstr, znalazł się na liście dziesięciu najlepszych debiutów roku 2009 opracowanej przez prestiżowe czasopismo „Booklist”. Chicago Public Library oraz New York Public Library rekomendowały powieść jako jedną z najwybitniejszych książek dla młodzieży.

Urzekająca, pełna silnych uczuć historia, ukazująca rywalizację sióstr w całkiem no wym świetle.

Przykuwająca uwagę opowieść, przenosząca czytelnika w inny wymiar.